

# Kristin Hannah

## WYPRAWA

*Mojemu Tacie, za wszystkie drogi, które musiały zostać zbadane.  
Nauczyłeś nas marzyć. Wierzyć. A to wszystko zmieniło.  
I oczywiście, Benjaminowi.*

*Specjalne podziękowania dla  
Kathleen Gens za jej nieocenioną pomoc.  
I Kenowi Johnowi, gawędziarzowi, od którego się,  
to wszystko zaczęło.*

Smutny, nudny deszcz.

Emmaline Amanda Hatter patrzyła przez okno poprzez szarą mgłę, okrywającą Ósmą Aleję, starając się dojrzeć Central Park. Gniewne krople uderzały w grubą szybę i spływały w dół rozmazanymi, zygzakowatymi smugami. Chłodny wiatr wprawiał szybę w drgania. Zimno przenikało przez okno, powodując drżenie modnie odsłoniętych ramion Emmy.

Unosząc brwi, kobieta skierowała wzrok z powrotem w stronę mężczyzn zgromadzonych w jej salonie. Magnat kolejowy Wilbur Jacobs stał pochylony nad stołem z przystawkami niczym łakomy gryzoń szykujący zapasy na zimę. Czyniąc przerwy jedynie na zaczerpnięcie oddechu, wypychał jedną kanapkę po drugiej w i tak już przepełnione usta. Jego policzki, ozdobione siwymi bokobrodami, poruszały się gorączkowo w jednostajnym tempie.

Dobry Boże, pomyślała, unosząc brwi jeszcze bardziej. Mając na uwadze cenę kawioru, mógłby podchodzić do jedzenia z wiekom pietyzmem. Nic nie irytowało Emmy bardziej niż wydawanie jej ciężko zarobionych pieniędzy na głupców.

Popatrzyła na elegancko odzianego mężczyznę, stojącego obok niej. Dzisiejszy horror był tylko i wyłącznie jego winą.

- Nie mogę uwierzyć, że namówiłeś mnie na urządzenie tego nieszczęsnego przyjęcia - rzekła do Michaela Jamesona, zaciskając zęby.

Prezes zarządu Columbia College zaśmiał się lekko.

- Widziałem, jak obserwowałaś biednego Wilbura. Czy powinienem bać się o jego zdrowie?

Emma wypięła mały tyk absurdalnie drogiego szampana, który zamówił jej kucharz.

- Jeżeli czujesz potrzebę martwienia się o kogoś, zacznij się martwić o mnie. Powinien mnie zbadać ten niemiecki lekarz z Wiednia... jak on się nazywa? Freud? Tylko ktoś psychicznie chory zgodziłby się urządzić przyjęcie dobroczynne w tak niepewnych finansowo czasach. Nie mogę zrozumieć, dlaczego się zgodziłam.

- Byłaś mi to winna - odrzekł krótko Michael Jameson. - Na patencie doktora Zinberga zbiłaś niezły majątek, a przecież mogłem go zanieść Rockefellerowi.

- Cóż, po dzisiejszym wieczorze ten dług będzie całkowicie spłacony, Michaelu. Nie zgadzam się na...

Przerwał jej głośnie walenie do głównych drzwi. Wzrok Emmy pomknął ku wejściu do salonu. Długie, trzymające w napięciu minuty mijały, podczas gdy gospodyni czekała, aż ktoś otworzy drzwi. Nikt tego nie zrobił.

Walenie stawało się coraz głośniejsze, rozbrzmiewając echem w pustym korytarzu. Pomyślała o miśnieńskim filigranowym wazonie, stojącym na mosiężnym lichtarzu obok wejścia do mieszkania. Ten cenny bibelot był symbolem jej pierwszego udanego interesu i bardzo drogo ją kosztował. Podobnie jak wszystkie inne skarby był dla niej ważny - być może nawet bardziej niż większość z nich, ponieważ był pierwszy. Jeśliby się potłukł, ponieważ jakiś głupi nieproszony gość nie umie pukać jak dzentelmen...

Nie, wiedziała, że żaden gość nie byłby tak grubiański. To musiał być kamerdyner, którego wynajęła na wieczór. Zerknęła na cenny zegar, ustawiony na gzymsie kominka, i zmarszczyła czoło.

Kamerdyner był ponad godzinę spóźniony. Godzinę!

Emma wzięła głęboki oddech, aby się uspokoić, i z przesadną starannością odstawiła kieliszek.

- Wybacz, Michaelu. Wygląda na to, że kamerdyner raczył się wreszcie zjawić.

- Naturalnie.

Prawie niedostrzegalnie skinęła głową w stronę swego rozmówcy, chwyciła brzegi aksamitnej sukni i opuściła zatłoczony i zadymiony salon. Walenie w drzwi ponownie rozbrzmiało, zagłuszając stukot obcasów jej eleganckich francuskich butów.

Przeszła przez wykładany marmurem hol i zbliżyła się do drzwi. Przygotowana na batalię, otworzyła jeż całej siły i natychmiast zdała sobie sprawę ze swego błędu. Jej wzrok pomknął w stronę zabytkowej porcelany, podczas gdy drzwi uderzyły z impetem w ścianę. Miśnieński wazon zachwiał się niebezpiecznie.

Rzuciła się do przodu, ale nie była wystarczająco szybka; cenny przedmiot runął z łoskotem na podłogę. Rozbita porcelana rozprysła się na wszystkie strony. Cienkie niczym skorupka jajka kawałki leżały rozrzucone na biało-czarnych marmurowych kafelkach, wyglądając jak pogubione zęby boksera.

Emma patrzyła z przerażeniem na skorupy. Wspomnienie kupna wazonu i tego, jak wiele ten dzień dla niej znaczył, przesłoniło wszystko inne. Odwróciła się wściekła.

- A teraz spójrz, co... - Zerknęła na intruza i zaschło jej w gardle. Gapiła się z otwartymi ustami na to coś, stojące w drzwiach.

Wysokie, chude, okryte beznadziejnie niemodną czarną peleryną, stało oświetlone przez skąpe korytarzowe światło. Tam, gdzie powinna znajdować się twarz, pod wygiętym, lekko przekrzywionym kapeluszem, ziała ciemna pustka.

Emma z niesmakiem pokręciła głową. To nie był kamerdyner.

Sięgnęła do drzwi, chcąc je zatrzasnąć. Nagle spod czarnej peleryny, z której skapywała woda, wysunęła się ręka. Długie mokre palce chwyciły za drzwi, a brązowy kalosz wsunął się przez szparę i znalazł na podłodze.

- Czy to mieszkanie państwa Hatter?

Nawet głos miał taki jakiś mokry. Emma zacisnęła powieki, wyobrażając sobie, jak dusi pośrednika, który przysłał jej tego kamerdynera.

- Tak, ale...

- Świetnie! - Intruz pchnął drzwi, chcąc zrobić sobie wolną drogę.

Gospodyni potknęła się i poleciała do tyłu, wpadając z głuchym odgłosem na ścianę.

Nieznajomy pokuśtykał przez próg niczym postać z bajki braci Grimm. Jego nierówny, chwiejny chód sprawiał, że wyglądał jak pijany. Przerażona Emma patrzyła na jego brudne buty i błoto wsiąkające w wełniany dywan o barwie kości słoniowej.

Woda ściekała z pokracznego kapelusza i okrycia przybysza tysiącem srebrnych strumyków. Odsunął z czoła pukiel ciemnokasztanowych włosów, który natychmiast z powrotem opadł mu na oczy. Wzruszając ramionami, jak gdyby mówił: „Próbowałem”, intruz skierował w stronę gospodyni gorliwy uśmiech i wyciągnął prawą dłoń.

- Witam pa...

Spojrzała na niego taksując. Nagle poczuła na twarzy strumień wody. Świat przekształcił się w coś mokrego i zamazanego. Zachłusnęła się i chwilę potrwało, nim zaczęła wyraźnie widzieć.

Ta pokraka trzęsła się niczym świeżo wykąpany pies!

Gospodyni wskazała palcem drzwi.

- Wynos się!

Uśmiech nieznajomego jeszcze się poszerzył - mimo że Emma przysięgłaby, że jest to fizycznie niemożliwe.

- Co?

- Wynos się.

- Chwileczkę. - Mężczyzna przyłożył dłoń do ucha i z jego głowy i ubrania spłynęło jeszcze więcej wody.

- Wynos... - Emma mocno zacisnęła zęby, gdy zdała sobie sprawę, że krzyczy niczym jedna z żon rybaków, które znała w dzieciństwie. Przemknął przez jej głowę drażniący obraz starej pani Hopcoat, siedzącej na progu walącego się domu. Przenikliwy i dokuczliwy głos zawsze ją męczył. *Ryby... świeże ryby... dwa centy za funt...*

Nieoczekiwane wspomnienie wywołało mimowolny dreszcz. Z bezwzględnością, której nabyła poprzez praktykę, wyrzuciła je z pamięci.

- Wynos się - powtórzyła ze znacznie większym opanowaniem. Intruz przytknął ponownie dłoń do ucha.

- Słucham?

Chichy. Patrzyła na niego z niedowierzaniem. Przysłali jej głuchego kamerdynera.

Postępując do przodu, uniosła głowę, aby mu się przyjrzeć. Żywe, inteligentne zielone oczy wpatrywały się w nią zdecydowanie. Nagle mężczyzna się uśmiechnął, a jej na chwilę zaparło dech. Zapatrzyła się w nieznajomego. W jego oczach było coś, czego w swoich nie widziała od bardzo dawna: szczęście. To żywe i jasne uczucie było tak nieoczekiwane, tak kompletnie obce, że na krótką, ale kłopotliwą chwilę zaniemówiła.

Nieznajomy z wyraźnym zachwytem lustrował wejście.

- Piękny pokój.

Czar przysł. Pokój? - pomyślała Emma z pogardą. Kamerdyner uważał, że jej hol to pokój?

- Koniec tego. - Chwyciła go za ramię, obróciła i wypchnęła z mieszkania.

Zdziwiony, odwrócił się w jej stronę, a promienny uśmiech zniknął z jego twarzy. Na miejscu zadowolenia w oczach mężczyzny pojawiło się zdziwienie.

- To przyjęcie jest nie tutaj?

- Jest, ale nie dla pana. I może pan przekazać swojemu zwierzchnikowi, żeby nie spodziewał się ode mnie ani centa.

- A nie ma go tutaj? Myślałem...

- Żle pan myślał - przerwała intruzowi i zatrzasnęła drzwi. Odwróciła się na pięcie i podążyła w stronę salonu. W połowie drogi ujrzała Michaela Jamesona, zmierzającego w jej stronę z dwoma kieliszkami szampana. Minęła go bez słowa, gdyż nie była nastrojona zbyt towarzysko, a poza tym potrzebowała czegoś

mocniejszego niż szampan.

Michael szybko się odwrócił i po chwili znalazł się tuż za gospodynią.

- Co się stało? Widziałem...

- Wyrzuciłam tego idiotę za drzwi.

Jej rozmówca nagle się zatrzymał.

- Co zrobiłaś?

Dopiero po chwili Emma zorientowała się, że Michael został w tyle. Zwolniła i odwróciła się.

- Czyżbyś i ty ogłuchła? Wyrzuciłam go. Nie ma go i niech Bogu będą dzięki.

- Ale...

- Wiem, co chcesz powiedzieć, więc się nie trudź. Nie obchodzi mnie, że na przyjęciu powinien być kamerdyner. Nie mam zamiaru wydawać pieniędzy na spóźnionego, głuchego i niekompetentnego służącego tylko po to, aby pani Astor, której noga z pewnością i tak u mnie nie postanie, nie poczuła się obrażona.

- Musiał ci powiedzieć...

- Michael! - Emma westchnęła. - Doceniam twoje starania, aby przyjęcie się udało. Wiem, że może ono przynieść korzyści twojemu college'owi, ale musiałam szybko podjąć decyzję. Jeszcze dziesięć sekund, i mój dywan skurczyłby się do rozmiaru znaczka pocztowego.

- Emmaline, czy pozwolisz mi dojść do głosu?

- Oczywiście.

Uśmiech pojawił się na twarzy jej towarzysza.

- To nie był kamerdyner.

- Przynajmniej w tej sprawie się zgadzamy. - Chwyciła jeden z trzymanyh przez niego kieliszków i napiła się. - Powinieneś być zobaczyć, kogo przysłał ten okropny pośrednik. Nawet ten głupiec, którego ty i Caroline wynajęliście na przyjęcie bożonarodzeniowe, był lepszy.

- Ależ ja go widziałem. Poszedłem po szampana, a gdy wróciłem, już go nie było.

- I chwala Bogu, jak już zresztą powiedziałam.

- Emmaline - Michael uśmiechnął się - to nie był wynajęty przez ciebie kamerdyner. - Uśmiechnął się szerzej. - To był doktor Digby.

Spojrzała na niego z przerażeniem. Po chwili dodał:

- Widzę, że nazwisko twojego gościa honorowego nie jest ci obce.

Doktor Larence Digby wpatrywał się w drzwi. Coś było nie w porządku. Co prawda było to jego pierwsze takie przyjęcie, ale był całkowicie pewien, że go oczekiwano.

Cóż on takiego zrobił? Albo czego nie zrobił? Przeczytał od deski do deski *Dobre maniere dla dam i dżentelmenów* Duffeya. Oczywiście przypuszczał, że osoba otwierająca drzwi da mu wystarczająco czasu do namysłu. Na nieszczęście nie potrafił szybko myśleć. Nigdy tego nie umiał.

Jak zwykle narobił zamieszania. Nie powinien był pozwolić sobie na tak długie kontemplowanie piękna nocnego miasta. Normalnych ludzi nie zachwyca blask wielkich kropel deszczu w świetle latarni. Większość nawet tego nie zauważa.

Ale Larence nie potrafił nie zwracać uwagi na piękno, które mijał. Świat był po prostu zbyt wyjątkowy, aby go ignorować. Po tak wielu latach ciemności i pustki nie był w stanie przejść obojętnie obok tylu zjawisk.

Zapomniał, że ludzie znajdujący się za drzwiami nie zauważają burzy, nie mówiąc już o pięknie pojedynczej kropli. Oni wprawiali Ziemię w ruch, zamiast podziwiać jej piruety. Biznesmeni. A dziś wieczorem Larence miał zamiar do nich dołączyć. W normalnej sytuacji taki pomysł wywołałby potępiający uśmiech na jego twarzy. Obraz własnej osoby w komitywie z tymi wyrachowanymi i praktycznymi ludźmi za drzwiami wart był szczerego śmiechu. W normalnej sytuacji...

Sfrustrowany zacisnął pięści. Gdyby umiał być taki jak inni ludzie. Gdyby tylko potrafił bardziej się troszczyć o sprawy konkretne i przyziemne, a mniej zajmował się budowaniem Uników na piasku.

Zaprzepaścił całą swoją pracę i plany. Ciężkie drzwi odgradzały go od możliwości zrealizowania marzeń.

Co teraz? - zastanawiał się. Ponownie zapukać czy odejść? Poddanie się nie było w jego stylu, ale nie potrafił walczyć o coś publicznie. Zbyt długo żył sam, bez przyjaciół, aby teraz czuć się pewnie wśród obcych. Szczególnie wśród obcych tego pokroju co ludzie za drzwiami.

Musiał poszukać innego sposobu na sfinansowanie swojego przedsięwzięcia. I znajdzie go, choćby miało to trwać całe życie.

Odwrócił się i podążył w stronę windy. Po kilku krokach znajomy ogień pojawił się wokół kostki, zwiastując straszliwy ból. Larence skierował się z powrotem w stronę drzwi, szukając oparcia. Pochylił się, opierając się o nie jedną ręką. Trzęsąc się, otarł z czoła pot.

Przez wiele lat żył z tym bólem, więc wiedział, jak go przezwyciężyć. Skupił się na następnym oddechu i jeszcze następnym, aż udało mu się go uregulować. Ból zelżał i ustąpił.

Nagle drzwi otworzyły się i Larence upadł z głuchym odgłosem na mokry biały dywan. Gdzieś ponad głową usłyszał okrzyk zdziwienia. Zobaczył szeroką bordową spódnicę z aksamitu. Miękki materiał otarł się o policzki leżącego. Nim spódnica opadła na podłogę, Larence zdążył zauważyć białe koronkowe pończochy i czarne pantofle.

Pierwsze, co ujrzał, przewracając się na plecy, to kobieca twarz. Pasma blond włosów otaczały jasną i gładką skórę. Niebieskie oczy wpatrywały się w niego pytająco. Granatowe niczym niebo o północy, pomyślał marzycielsko.

Kobieta pochyliła się nad nim.

- Czy wszystko w porządku, doktorze Digby? - Jej melodyjny głos rozgrzał go niczym koniak. - Przepraszam, że przed chwilą pana nie wpuściłam. Wie pan, myślałam, że... no cóż, teraz to już nie ma znaczenia. Serdecznie pana witam. Wysłałam pana Jamesona, aby oznajmił pana przybycie gościom zebranym w salonie.

Gość uśmiechnął się szeroko.

Emma natychmiast wyprostowała się i cofnęła kilka kroków. Larence przekręcił się na brzuch. Opierając dłoń na dywanie, ukląkł, a następnie wstał.

Natychmiast zauważył kobietę, która patrzyła na niego z rozpaczą, tak jakby zrobił coś złego. Jej piękną twarz wykrzywił najbardziej surowy grymas, jaki kiedykolwiek widział. Wzrok miała wbity w smugi błota na dywanie. Gość Emmy dał duży krok, aby się z niego usunąć. Gdy tylko stanął na podłodze, poczuł ukłucie bólu w nieszczęsnej kostce. Zaciśnął zęby i zignorował go. Po chwili się uśmiechnął. Zdejmując z głowy pożyczony kapelusz, wykonał wyćwiczony, ale i tak niezręczny ukłon.

- Larence Digby, do pani usług.

Niebieskie oczy kobiety zlustrowały gościa i jego strój od stóp do głów. Zaciśnęła usta z dezaprobatą.

- Do moich usług, doktorze Digby? Czuję się uspokojona. Powiem mojej gospodyni, że pan nareszcie przybył. Zabierze pańską pelerynę i wskaże drogę do salonu. Za kwadrans może pan rozpocząć swój wykład. Czy tyle czasu panu wystarczy?

- T...tak.

Emma obróciła się na pięcie i poszła w stronę kuchni. Obcasy stuknęły o podłogę podczas jej ucieczki od tego nieszczęścia w holu. To znaczy od doktora Digby'ego. Uniosła drwiąco jedną brew. Jako osoba zbierająca fundusze była w niewesołej sytuacji. Nikt nie da ciężko zarobionych pieniędzy takiemu idiotcie jak Digby. Zwłaszcza gdy na Wall Street zaczyna źle się dziać. Ludzie sponsorowali naukowców wzbudzających zaufanie, a nie śmiech.

- Proszę pani?

Niechętnie zatrzymała się na dźwięk głosu gościa. Nie zadając sobie trudu, by się odwrócić, odpowiedziała:

- Tak, doktorze Digby?

- Nie dosłyszałam pani nazwiska.

- Jestem Emmaline Hatter, gospodyni tego przyjęcia.

- Och... Miło panią poznać. Powinienem być zgadnąć - odparł ze śmiechem.

- Tak. A teraz, jeśli mi pan wybaczy, pójdę po panią Sanducci.

- Panno Hatter...?

Emma poszła dalej, udając, że nie słyszy.

Dokładnie piętnaście minut później Larence stanął pośrodku salonu panny Hatter, patrząc na zebranych tam mężczyzn, którzy przyglądali mu się uważnie. Języki cierpkiego dymu, wydobywającego się z cygar, przemykały przez pokój niczym upiorne zjawy, docierały do nosa Larence'a, aż ten poczuł drapanie w suchym gardle. Przełknął głośno ślinę, żałując, że nie poprosił wcześniej o szklankę wody. Na jego czole pojawiły się kropelki potu. Wytarł w spodnie wilgotne dłonie.

Na przyniesionych przez Michaela drewnianych sztalugach rozłożył rysunki, rozprostowując duże białe arkusze papieru. Kilka kropli potu skapnęło z jego dłoni na delikatne arkusze, zostawiając żółtawe smugi. Ktoś wśród widzów zakasłał. Dźwięk ten zabrzmiał dla Larence'a niczym wystrzał armatni. Po raz kolejny naukowiec nerwowo wygładził papier, mimo że nie było już na nim ani jednego zgięcia.

Obok niego pojawiła się Emmaline Hatter. Jej spódnica była ozdobiona kryształami górskimi, które lśniły w bladym świetle lamp. Gospodyni przyjęcia stała cicho, z wyprostowanymi ramionami i lekko uniesionym podbródkiem. Jej klasycznie piękna twarz była bez wyrazu; Larence odniósł wrażenie, że kobieta o coś się martwi.

Zaklaskała głośno i wszystkie rozmowy od razu ucichły.

- Panowie, dziękuję wam za przybycie na to przyjęcie dobroczynne. Wszyscy znacie Michaela Jamesona, prezesa zarządu Columbia College...

Larence przykniął oczy, wsłuchując się marzycielsko w jej głos, brzmiały miękko i melodyjnie.

Nagle Emma go dotknęła. Otworzył szybko oczy. Patrzył z niedowierzaniem na dłoń leżącą na jego przedramieniu.

- A teraz chciałabym, aby panowie poznali doktora Digby'ego, sławnego profesora historii z Columbia College, który opowie nam o swym zaskakującym nowym odkryciu. Wszystkim wiadome jest, że to, co nowe, wymaga nakładów pieniężnych i nauka nie stanowi wyjątku. College potrzebuje naszych dotacji, aby sfinansować ekspedycję, mającą potwierdzić teorię doktora Digby'ego, więc proszę o hojność.

Po chwili już jej przy nim nie było. Usiadła na krześle, spłótła dłonie na kolanach, złączyła elegancko odziane stopy, wyprostowała się i czekała.

Larence czuł na sobie jej spojrzenie. Zimne. Niebieskie. Wymagające. Emma zakasłała.

Naukowiec podskoczył na ten dźwięk. Nadeszła ta chwila. Piętnaście lat badań poprzedziło ten moment, tę szansę. Zwilżył językiem suche wargi. Boże, proszę, spraw, by mi się udało...

Z postrzępionej brezentowej teczki wyjął cienki drewniany wskaźnik, ściskając go na tyle mocno, by ukryć drzenie palców. Publiczność poruszyła się. W rogu pokoju Michael niezauważalnie skinął głową. Potrafisz to zrobić - powiedział bezgłośnie.

Larence wziął głęboki oddech, posłał mu nerwowy uśmiech, po czym odwrócił się, by sięgnąć po notatki. Gdy się poruszył, kolejna fala bólu przeszła jego kostkę i się potknął. Wysunął dłoń, szukając czegoś, czego mógłby się chwycić, i natrafił na sztalugi. Deska na drewnianym stojaku zachwiała się, po czym spadła na podłogę. By odzyskać równowagę, biedak chwycił drżącymi palcami cienkie metalowe obramowanie.

Larence myślał, że spali się ze wstydu. Udręczony, zacisnął powieki. Wreszcie, zmuszając się do uśmiechu, odwrócił się z powrotem twarzą do publiczności.

- Przepraszam - wymamrotał.

Niezdarnie ułożył deskę na stojaku i poprawił rysunki. Biorąc kolejny głęboki oddech, jeszcze raz bezgłośnie się pomodlił, ogłodził pożyczony czarny garnitur i rozpoczął swoją prezentację.

- W starożytnym Rzymie...

Publiczność wydała zgodne westchnienie.

Dalsze słowa utknęły w gardle Larence'a. Oni nie chcieli słuchać o starożytnym Rzymie.

Na razie - powiedział sobie stanowczo. Na razie nie chcieli o tym słyszeć. Gdy tylko przedstawi im cudowną historię siedmiu zaginionych miast, zbudowanych przez rzymskich kapłanów, będą oczarowani.

## 2

Gdy niestrudzony mówca dotarł do szesnastego wieku, dolna część ciała Emmaline była całkowicie zdrętwiała. Drewniane krzesła, wypożyczone specjalnie na ten wieczór, były bardzo niewygodne. Czują tysiące kłujących mrówek rozchodzących się po całym ciele. Wzięła głęboki oddech, daremnie starając się stłumić irytację. Użyła całej swojej samokontroli, aby nie skoczyć i nie zabrać doktorowi Digby'emu drewnianego wskaźnika. Skierowała mętny wzrok na zegar stojący na kominku. Była jedenasta.

Ten idiota przemawiał przez trzy bite godziny.

Zmusiła się, aby na niego nie patrzeć, bo zdawała sobie sprawę, że gdyby to zrobiła, nie potrafiłaby ukryć lekceważenia. A to - wiedziała o tym doskonale - byłoby dużym błędem. Potencjalni sponsorzy powinni być przekonani, że Emma głęboko wierzy w tę głupią wyprawę Digby'ego. Aby uniknąć wzroku doktora, utkwiła spojrzenie w zegarze. Powolne, metodyczne przesuwanie się na tarczy metalowych wskazówek naśladowało monotonne tempo wykładu.

Deszcz dawno już przestał walić w dach i spływać srebrnymi strumieniami po szybie. Wyjący wiatr zmienił się w spokojny nocny powiew. Wydawało się, że nawet przyroda poszła spać.

Emma zdusiła w sobie głuchy jęk. Ukradkiem spojrzała na Digby'ego. Był całkowicie rozbudzony i przemawiał z taką gestykulacją i przejęciem, jakby się zwracał do dzieci podczas wieczoru wigilijnego. Jego uwaga skupiała się na rysunkach. Tak naprawdę podczas minionych trzech godzin ani razu nie spojrzął w stronę publiczności. Był zbyt zajęty wpatrywaniem się w swoje kolorowe bazgroły, aby martwić się o słuchaczy. Emma prawie oślepa od zezowania na absurdalne szkice.

Tak czy siak, ślepa czy nie, powinna przynajmniej wyglądać na zainteresowaną. To była jej jedyna możliwość spełnienia obietnicy danej Michaelowi, bez potrzeby sięgania do własnego portfela. Musiała wyszukać coś - cokolwiek - w przemowie naukowca, co zainspirowałoby mężczyzn znajdujących się w tym

pomieszczeniu do sfinansowania jego ekspedycji, a na nieszczęście jedynym na to sposobem było wysłuchanie tego wykładu.

Wyprostowała się i zmusiła do skoncentrowania się na prelekcji.

- Siódmego marca roku pańskiego tysiąc pięćset trzydziestego dziewiątego mauretański niewolnik Esteban i franciszkański zakonnik Fray Marcos de Niżą opuścili Mexico City. Ich celem było odnalezienie legendarnego zaginionego miasta Cibola...

Szesnasty wiek...

Z nagłą pewnością zdała sobie sprawę, że to wszystko na nic. Nigdy nie zdołałaby namówić tych mężczyzn na zainwestowanie w szalony plan profesora. Przyjęcie było katastrofą, a Digby pomyłką. Nic, nawet jej niezaprzeczalna pozycja na Wall Street, nie było w stanie uczynić profesora dobrą inwestycją.

Dziwne, ale fakt, że nagle to rozumiała, przyniósł jej ulgę. Przyznanie się do porażki ułatwiało zaakceptowanie jej. Odrętwienie ustąpiło z pleców Emmy kiedy usadowiła się na pożyczonym krześle w wygodniejszej pozycji. Nie miało dłużej sensu udawanie, że uważnie słucha naukowca. Spokojnie mogła sobie odpocząć.

A Digby wciąż przynudzał. Monotonia jego głosu pomagała Emmie pozbyć się napięcia. Przymknęła oczy i leniwie obserwowała go przez firankę rżęs. Mówił o czymś z przejęciem. Prawdopodobnie o jakichś potłuczonych garnkach lub o czymś równie istotnym dla porządku świata. Nawet nie trudziła się, by słuchać. Ostatni raz, gdy to zrobiła, przez pół godziny głądził o grupie ubłoconych zakonników, którzy założyli kilka tajemnych miast. Mężczyźni ślubujący ubóstwo zdecydowanie nie byli w typie Emmy.

Wtedy Larence nagle na nią spojrział.

Podsłoczyła zupełnie rozbudzona. Jej serce na chwilę zamarło.

Całkowite oddanie temu, o czym mówił, biło z jego zielonych oczu niczym promyki letniego słońca. Nikt nie mógł mieć co do tego wątpliwości, nawet jeśli czegoś takiego jeszcze nie widział. A Emma widziała. Tysiące razy oglądała to w oczach swego ojca - zawsze, gdy opowiadał o jednym ze swych zamierzeń, które wkrótce miał zrealizować.

Digby natychmiast powrócił do swych rysunków. Emmaline głośno przełknęła ślinę, wzburzona nagłym wspomnieniem. Przez całe lata próbowała wyrzucić z pamięci nierealne marzenia ojca i to, jak wiele kosztowały one jego rodzinę. A teraz nagle powróciły. Pytania. Co by było, gdyby... Co by się stało, gdyby ojcu dano taką samą szansę jak Digby'emu? Gdyby najbogatsi ludzie w mieście spędzili wieczór, słuchając jego planów? Czy wtedy by żył?

Siłą woli odsunęła od siebie wszystkie te pytania, tak jak to już nieraz czyniła. Ojciec i jego bezużyteczne, nierealne marzenia Już nie istniały - razem spoczywali w nędznym grobie w Potter's Field.

Podobne przyjęcie nie pomogłoby mu jednak bardziej niż temu człowiekowi. Było oczywiste, że Digby nie otrzyma od mężczyzn zgromadzonych w salonie ani centa. Biznesmeni nie płacą za mrzonki. Dają pieniądze w zamian za efekty. To była lekcja, której ojciec Emmy nigdy się nie nauczył.

Pieniądze. Zimne, ciężkie monety.

Jestem już tak blisko - pomyślał podekscytowany Larence. Tak blisko celu. Marzenie, które pielęgnował przez prawie połowę życia, było o krok od spełnienia.

Rozłożył na sztalugach przedostatni arkusz papieru. Rysunki przesłoniły mu wszystko inne i przeniosły do innego świata. Przyglądał się im w bezruchu. Jego monolog przekształcił się w mamrotanie, a potem w ciszę.

Oto było coś, co chciał, aby wszyscy ujrzeli: tajemnicze, osłonięte skałami wejście do legendarnego miasta Cibola. Dreszcz oczekiwania przebiegł przez jego ciało. Serce waliło mu w piersi. Oto chwila, na którą tak długo czekał.

Przemówił, tym razem głośno i wyraźnie. Ostatnie - kluczowe - zdanie popłynęło z jego ust.

- ...i z państwa hojnym wsparciem planuję wykorzystać ten nadzwyczajny dziennik i podążyć śladami Estebana. Miejmy nadzieję, że zaprowadzą mnie one do legendarnego zaginionego miasta Cibola.

Minęła chwila, nim powrócił do teraźniejszości. Jak zwykle przeszłość była tak żywa w jego myślach, że kiedy o niej opowiadał, czuł się tak, jakby sam w tym wszystkim uczestniczył. Powoli wrócił na ziemię, zdając sobie sprawę, że jest już po wszystkim. Jego przemowa dobiegła końca.

Odetchnął z triumfem. Udało mu się. Z niewielką pomocą kilku arkuszy papieru i własnych magicznych słów odtworzył wspaniałe, legendarne zaginione miasto Cibola. Zwycięski uśmiech pojawił się na twarzy doktora, gdy odwracał się w stronę publiczności.

To, co zobaczył, sprawiło, że uśmiech zamarł na jego ustach. Wszyscy spali w najlepsze. Nawet Michael. Salon wyglądał niczym bar na Dzikim Zachodzie, z mężczyznami rozwalonymi na krzesłach i prawie leżącymi na stołach. Rozbrzmiewało głośne chrapanie. Dlaczego wcześniej nie usłyszał tego dźwięku?

Stał bez ruchu. Uśmiech zniknął z jego twarzy. Nagle nogi ugięły się Digby'emu w kolanach. Opadł na krzesło i pochylił do przodu, kryjąc twarz w dłoniach.

Poświęcił piętnaście lat swojego życia na gromadzenie danych i podtrzymywanie przy życiu swych marzeń, sprawiając, że to, i niemożliwe, stało się rzeczywistością. A teraz... teraz, kiedy w końcu otrzymał od losu szansę na zrealizowanie swoich planów, wszystko zaprzepaścił.

Emma powoli zaczynała zdawać sobie sprawę, że coś się mieniło. Podnosząc rękę, aby rozmasować zdrętwiały kark, z trudem uniosła ciężące powieki. I wtedy dotarło do niej, że zapanuje dziwna cisza. Profesor skończył wykład!

Gospodyni przyjęcia wstała i zaczęła klaskać. Najpierw powoli, i gdy całkowicie się rozbudziła, szybciej i głośniej. Kątem oka zauważyła, że Michael zerwał się na równe nogi. Wymówił bezgłośnie tylko jedno słowo: katastrofa.

Nie zgadzając się z nim, potrząsnęła głową i pospieszyła w stronę Digby'ego.

- Niech pan wstanie - syknęła mu do ucha tak, aby tylko on usłyszał. Zanim zdążył jej cokolwiek odpowiedzieć, zaklaskała ponownie, chcąc zwrócić na siebie uwagę. - Panowie...

- Wszyscy zasnęli - mruknął Larence.

- Zrobili to już dwie godziny temu - ostro odrzekła Emma. - Teraz śpią jak susły. - Rzuciła w jego stronę pogardliwe, taksujące spojrzenie. - Czy pana specjalnością jest praca badawcza?

Spojrzał na nią tępym wzrokiem.

- Tak. Skąd pani wie?

- Domyśliłam się. A teraz proszę wstać. Naukowiec wolno podniósł się, podczas gdy mężczyźni wokół niego budzili się nawzajem.

- Panowie - rzekła Emma, gdy wszyscy goście się rozbudzili. - Wiem, że każdy z was chciałby zamienić kilka słów z doktorem Digbym, ale obawiam się, że muszę go na moment porwać. - Wśród publiczności rozległo się westchnienie ulgi. Emma udała, że go nie słyszy. - Bardzo proszę, poczęstujcie się, panowie, szampanem i czujcie jak u siebie w domu. - Energicznie chwyciła spódnicę, i odwracając się, poleciła doktorowi: - proszę za mną.

- Ale... kilku mężczyzn prosi o swoje płaszcze.

Nawet się nie odwróciła.

Szczury zawsze wiedzą, kiedy opuścić tonący okręt.

Maszerowała żwawo w stronę drzwi, unosząc podbródek na tyle wysoko, aby żaden z jej gości nie domyślił się, co kryje się w jej głowie. Za plecami słyszała niezdarne kroki naukowca. Do diabła z nim! - pomyślała. Wszystko zepsuł. Gdyby okazał chociaż trochę rozumu, potrafiłaby przekonać biznesmenów do zainwestowania w niego. Ale Digby nie dał jej nawet najmniejszej szansy i teraz sama musiała coś wymyślić, aby klęskę zamienić w sukces.

Larence przyspieszył kroku, by ją dogonić. Za każdym razem, gdy lewą stopą dotykał podłogi, rwący ból przeszywał mu kostkę. Zmusił się do zignorowania go. Instynktownie czuł, że Emma testuje go w pewien sposób. Z jakiegoś dziwnego powodu czekała na jego potknięcie lub na coś, co pozwoliłoby jej ponownie zatrzaskać przed nim drzwi. Zacisnął zęby i powłókł się za nią.

Pchnęła na wół otwarte drzwi i zniknęła we wnętrzu pomieszczenia znajdującego się za nimi. Larence niezdarne wszedł do małego pokoju, w którym panował półmrok. Chwilę potrwało, nim jego oczy przyzwyczyły się do przyćmionego światła.

Zorientował się, że jest przypuszczalnie w bibliotece. Na ścianie za jego plecami były półki z równymi rzędami tomów, oprawionych w brązową i zieloną skórę, wyglądających na nowe. Zapach papieru i dobrej jakości skóry wypełniał ciężkie, mdłe powietrze pomieszczenia, którego okna nigdy nie były otwierane.

Po chwili Larence się rozejrzał. Pozostałe trzy ściany pokryte były zieloną tapetą, która w połowie kończyła się, ustępując miejsca mahoniowej boazerii. Dokładnie na środku pokoju, z dala od okien, stało wielkie mahoniowe biurko. Na jego błyszczącym blacie znajdowały się porządnie ułożone stosy poważnie wyglądających dokumentów. Łagodna żółtawa poświata unosiła się wokół pergaminowego abażuru japońskiej lampy, rzucając blade cienie na czerwone drewno.

Gospodyni majestatycznie usiadła na masywnym drewnianym krześle, stojącym za biurkiem, i natychmiast zajęła się stosem leżących najbliżej dokumentów.

Po raz kolejny Larence'a uderzyła jej uroda. W świetle lampy Emma wyglądała niczym złota, promieniująca światłem bogini.

Bordowy odcień aksamitnego stroju sprawiał, że jej skóra wydawała się jeszcze bledsza i delikatniejsza. Powiewające pasma jasnoblonde włosów spływały na czoło i skronie, łagodząc surowy sposób, w jaki Emma odgarniała je z twarzy. Gdyby się uśmiechnęła, byłaby najpiękniejszą kobietą, jaką Larence kiedykolwiek widział.



- Proszę siadać - poleciła roztargnionym tonem osoby przyzwyczajonej do tego, że to, co kazała, było natychmiast spełniane. Larence, widząc jej władcą postawę, nie mógł się oprzeć pokusie dokuczenia tej kobiecie.

- Gdzie?

Spojrzała na niego ostro.

- Zapomniałam, że jest pan profesorem uniwersyteckim. Być może wolałby pan, gdybym zaproponowała kilka możliwości wyboru?

Zaśmiał się.

- Mam wrażenie, że odczuwa pani pewną pogardę wobec wyższego wykształcenia. - Jeśli przypuszczał, że jego rozmówczyni się uśmiechnie, był w błędzie.

- Edukacja oparta na książkach, jako że wahałam się użyć w jej przypadku słowa „wyższa”, jest czymś, wobec czego zachowuję całkowitą obojętność.

- Obojętność? Ale te wszystkie wspaniałe książki w pani bibliotece...

- Są dekoracją. Nie czytam ich, doktorze Digby. - Tym razem uśmiechnęła się ponuro. - Umiem czytać, ale tego nie robię. Zna pan pewnie stare powiedzenie: „Ci, co potrafią coś robić, robią to. Ci, co nie potrafią, uczą tego”. Ja po prostu robię. - Ale książki są w stanie przenieść nas w inny świat, rozpalać nasze marzenia, wypełniać wszystkie zmysły. Tak wiele pani traci, odwracając się od nich.

- Ostatnią potrzebną mi rzeczą jest wiązka bezużytecznych marzeń. - Posłała mu mrozące spojrzenie, po czym otworzyła górną szufladę biurka. - A teraz, doktorze Digby, jakkolwiek fascynująca byłaby nasza dyskusja, proponuję skupić się na interesach. Jak pan może, a może i nie, zauważył, mój dom pełen jest gości, którym powinnam towarzyszyć. Możemy więc zacząć?

Larence skierował się w stronę krzesła, stojącego naprzeciwko biurka. Przygotował się na jakieś zainteresowanie ze strony Emmy, nawet jeśli udawane. „Och, mój drogi, czy mogę ci jakoś pomóc?” - podobne słowa słyszał od kobiet przez całe życie, zazwyczaj krótko przed tym, jak odchodziły z innym mężczyzną.

Ta nie powiedziała nic. Jej gość powoli się odprężył. Stopniowo rozluźniał dłonie, ściskające kurczowo drewniane oparcia, a jego oddech wracał do normy. Kiedy wreszcie odważył się podnieść wzrok, zobaczył, że Emma wpatruje się w niego. Intensywność jej spojrzenia sprawiła, że poczuł się nieswojo. Patrzyła tak, jakby miała mu za złe to, że kuleje, jakby niedoskonałość gościa była bardziej psychiczna niż fizyczna.

- Czy dobrze się pan czuje? - spytała krótko i trzeźwo.

- W porządku.

- Dobrze. W takim razie zacznijmy.

- Zacznijmy co?

- A cóż innego? - odpowiedziała ostrym głosem. - Co ludzie pana pokroju zawsze chcą od ludzi takich jak ja? Pieniądzy.

Larence poczuł, jak jego serce zamiera, po czym zaczyna walić w oszałamiającym tempie.

- Pieniądzy? - wyszeptał. Takiego biegu wydarzeń nie brał nawet przez chwilę pod uwagę. Ona miałaby mu pomóc? - Czy to znaczy, że chciałaby pani sfinansować moją ekspedycję?

- Ktoś na tym przyjęciu musi to zrobić, a po pana bardzo... szczegółowej prezentacji nikt inny nie ma na to ochoty.

- Ani nie jest wystarczająco rozbudzony. Jej usta lekko drgnęły.

- Tak. Więc zrobię to ja, chociaż nie znoszę przyjęć dobroczynnych. Muszę to zrobić. Mam dług wobec Michaela, a co za tym idzie, także wobec Columbia College. Michael liczy na mnie.

Larence pochylił się na krzesło.

- Tak jak i ja, panno Hatter. Ja i cały świat.

Przewróciła oczami, wyrażając w ten sposób swą opinię przekonaniu nawiedzonego naukowca.

- Ile pieniędzy pan potrzebuje?

- Dziesięć tysięcy dolarów.

Wzdrygnęła się.

- A co pan pozyska za taką sumę?

Spojrzał na nią zaskoczony.

- Pozyska?

- Czego pan będzie szukał? Złota, srebra, drogocennych kamieni? Czego?

Przed oczami stanęło mu miasto Cibola, takie jak je sobie zawsze wyobrażał. Widział domy, ulice i dzieła sztuki dawno zaginionej cywilizacji. Przez połowę życia marzył, aby ujrzeć to wszystko na własne oczy. Nawet jako chłopiec był w pewien sposób przekonany, że jego przeznaczeniem jest odszukanie zaginionego miasta. Odnalezienie Ciboli sprawiłoby, że przez Zjedną szczęśliwą chwilę poczułby się spełniony.

Ale cóż to była za odpowiedź? Wpatrywał się z uwagą w piękną, pozbawioną emocji twarz Emmaline i jej zimne niczym lód oczy. Ona nigdy nie zrozumiałaby takiej odpowiedzi.

Więc udzielił innej, prawie tak samo dobrej. Takiej, której udzielał setkom swoich studentów i którą każdy zrozumiałby i zaakceptował.

- Wiedzy.

Emma parsknęła.

- Pan raczy żartować.

- Żartować? Dlaczego miałbym...

- Czy w mieście można będzie znaleźć złoto?

Zaskoczony, uniósł brwi.

- Sądzę, że tak, ale przecież jest to bez znaczenia w porównaniu z... Srebro?

Prawie stuprocentowo, lecz... Inne kosztowności? Niewątpliwie. Ale, panno Hatter...

- W porządku. - Wyjęła z szuflady małą, oprawioną w skórę książeczkę i powoli ją otworzyła. - Osiem tysięcy dolarów, prawda?

- Dziesięć.

- No tak. - Skrzywiła się. Ostrożnie wyjęła z etui srebrno-czarne pióro, a następnie wypisała czek. Nim wyschnął atrament, minęła długa i pełna napięcia chwila.

Emma z prawie niezauważalnym wzdrgnięciem podała gościowi czek. Odbierając go, Larence czuł, jak trzęsą mu się ręce. Ta kobieta właśnie wręczyła mu klucz, którym będzie w stanie otworzyć drogę do spełnienia swych największych marzeń. Słowa wdzięczności nie mogły przejść mu przez gardło. Jedyną czynnością, do jakiej był zdolny, było wpatrywanie się w pannę Hatter w osłupieniu.

Ona tymczasem energicznie otworzyła małe cenne pudełko ze srebra i wyjęła z niego delikatną białą kartkę.

- Oto moja wizytówka. Proszę mi przesłać telegram, gdy znajdzie pan już miasto. Do mnie należy połowa.

Zmieszany, spojrział na trzymaną w dłoni kartkę, po czym przeniósł wzrok na kobietę za biurkiem.

- Połowa?

- Tego, co znajdzie pan w Ciboli.

Larence znieruchomiał.

- Nie bardzo rozumiem...

Spoglądała na niego z nieukrywaną niechęcią. Najwyraźniej uważała go za trochę tylko inteligentniejszego od wypchanej sowy, która wisała na ścianie w kącie biblioteki.

- A czego pan właściwie nie rozumie?

- Tego, że chce pani połowy tego, co znajdę. Skarby z Ciboli należą do całego świata, a nie do jednej osoby. Trzeba je pokazywać w muzeach...

- Może pan to zrobić ze swoją połową. Moją sprzedam temu, kto zaoferuje mi najwyższą cenę.

- Sprzeda pani?! - wykrzyknął ze grozą. Poczul, że czek wysuwa mu się z dłoni, zabierając ze sobą jego wielkie marzenie.

- Tak, panie Digby, sprzedam. Dlaczego miałabym inwestować tak dużą sumę, nie mając nadziei na zysk? Jestem człowiekiem interesu, a nie filantropem.

- Ale chyba nie ma pani na myśli czerpania zysków z historii?

- Proszę mnie posłuchać, panie Digby. Ta rozmowa zaczyna się stawać męcząca. Bierze pan moje pieniądze lub nie, to już zależy od pana. Ale jeśli pan weźmie... Cóż, nic nie jest za darmo. Otrzymam połowę tego, co uda się panu znaleźć.

Larence zacisnął powieki. Wizja skarbu mającego tysiące lat, rozdzielanego niczym części kurczaka, wypełniła jego świadomość. Żołądek naukowca ścisnął się boleśnie na samą myśl o takim barbarzyństwie.

Emma wyciągnęła z szuflady kieszonkowy zegarek, inkrustowany drogimi kamieniami.

- A więc, panie Digby?

- Bez pani pieniędzy nigdy nie będę w stanie odnaleźć miasta - wyjąkał.

- Marzenia mają swoją cenę, doktorze. To lekcja, którą otrzymałam od życia. Jaka jest więc pańska decyzja?

Larence usiłował szybko przeanalizować sytuację. Czy miał inne wyjście? Czy istniało jakieś inne rozwiązanie? Bez tych pieniędzy wracał do punktu, z którego wyszedł, a dzieliło go przecież od tamtego momentu piętnaście lat. Czuł mdłości na myśl, że miałby przez to wszystko przejść jeszcze raz.

Emma pochyliła się w jego stronę. Przytłumiony odgłos łokci, uderzających w blat, sprawił, że doktor lekko podskoczył. Kobieta bacznie go obserwowała. W jej oczach na krótką chwilę pojawiło się rozbawienie, tak jakby cieszył ją dylemat gościa.

- Więc jak, panie Digby? - Jej słowa zabrzmiały niczym wystrzał armatni w cichym, przesyconym

napięciem pokoju. - Co pan postanowił?

Nagle zrozumiał, że jest to kolejny test. Chciała, by go oblał. Chciała, aby nie wziął od niej pieniędzy.

Larence uśmiechnął się, dumny ze swych zdolności dedukcyjnych. To miało sens - Emma była skąpcem, postawionym wbrew własnej woli w sytuacji, kiedy trzeba wydać własne pieniądze.

Jedynym sposobem na zachowanie i twarzy, i pieniędzy było odrzucenie jej oferty przez Larence'a.

Poczuł olbrzymią ulgę. Słowa tej kobiety były tylko groźbą, zasłoną dymną, mającą pozbawić go zdolności jasnego myślenia. Nie zrobiłaby tego. Jeśli ujrzałaby skarby, gdyby ich dotknęła, zrozumiałaby, jaką mają niesamowitą wartość dla świata. Przecież nikt nie byłby w stanie sprzedać części historii na licytacji!

Im dłużej o tym myślał, tym większą zyskiwał pewność. Być może panna Hatter nawet wierzyła w to, że sprzedaje skarby, ale gdy tylko je zobaczy, zrozumie, jak wielki byłby to błąd. Cibola i jej skarby były własnością całego świata.

- Zgadza się - rzekł powoli. W chwili, gdy słowa te wyływały z jego ust, poczuł się tak, jakby ktoś zdjął mu z ramion ogromny ciężar. - Przyjmę pani pieniądze.

- Ach tak - odpowiedziała, a szybkie spojrzenie na jej twarz potwierdziło przypuszczenia Larence'a. Chciała, aby odmówił. - A więc kiedy pan wyjeżdża?

- Jeszcze nie wiem. Wszystko potoczyło się tak nieoczekiwanie... Prawdopodobnie za kilka miesięcy. Będę potrzebował trochę czasu na poczynienie wszelkich niezbędnych przygotowań.

- Oczekuję, że odezwie się pan jeszcze przed wyjazdem. Powodzenia, doktorze Digby.

Patrzył, jak kobieta opuszcza bibliotekę. Ani razu się nie obejrzała. Larence opuścił wzrok na trzymany w dłoniach czek. Mały kawałek białego papieru zdawał się tańczyć w jego trzęsących się palcach.

Dziesięć tysięcy dolarów.

Teraz już nic nie było w stanie go powstrzymać. Nic.

Przygoda, na którą czekał przez całe życie, właśnie się rozpoczynała.

Emmaline szła szybkim krokiem szarym Broadwayem, trzymając nad głową czarną satynową parasolkę. Deszcz uderzał w nią i rozpryskiwał się na chodniku dużymi kroplami, ochlapując noski butów. Wiatr potrząsał grubą wełnianą suknią. Z uniesionym podbródkiem, patrząc prosto przed siebie, Emma podążała tam, gdzie powinna znajdować się w poniedziałek rano.

Poranne wilgotne od deszczu powietrze wypełniało jej płuca. Oddychała głęboko, delektując się tak dobrze znanym zapachem, unoszącym się wczesną wiosną nad centrum nowojorskiej finansjery. Kochała ten rejon miasta o tej porze dnia - był świeży i tętniący życiem.

Większość ludzi mogła się tu czuć osaczona wysokimi budynkami, stłoczonymi jeden przy drugim po obu stronach ulicy. Większość, ale nie Emma. Ona kochała bezbarwne kamienne bloki, w których biło serce nowojorskiego biznesu. Nie miało dla niej znaczenia, że ich potężne sylwetki nie są przeszkodą tylko dla niewielkiej wiązki promieni słonecznych. Kiedy stęskniła się za słońcem, jechała do swojego letniskowego domu, Położonego nad brzegiem morza.

Chęć szybkiego rozpoczęcia pracy sprawiła, że Emma przyprószyła kroku. Na rogu Broadwayu i Wall Street zatrzymała się by rozejrzeć na boki przed przejściem na drugą stronę ulicy, i bardzo zdziwiona zobaczyła, że Wall Street jest prawie wyludniona.

Głupcy, pomyślała o innych finansistach. Dla niej taka błahostka jak paskudna pogoda nie była przeszkodą w udaniu się do pracy. Dlatego właśnie odniosła sukces, podczas gdy tak wielu się to nie udało.

Chwyciła odzianą w rękawiczkę dłonią spódnice i gruby płaszcz i ruszyła pospiesznym krokiem w stronę Powierniczego Banku Gwarancyjnego Smitherton.

Przed bankiem zatrzymała się na chwilę, aby poprawić duży, będący ostatnim krzykiem mody kapelusz. Zniecierpliwiona, zmarszczyła czoło, czując, że kilka loków wymknęło się ze starannie ułożonego koka i powiewa swobodnie wokół twarzy.

Emma zacisnęła z niesmakiem usta. Loki zawsze rujnowały jej wizerunek. Bez względu na to, jak dużej ilości wody zużyła na ich zmoczenie i wyprostowanie, kilku małym skręconym w spirale pasmom zawsze udawało się uwolnić.

Bardzo ważne było dla niej to, aby dobrze wyglądać na spotkaniu z Eugene'em Cumminem, prezesem banku. Od prawie roku mieli dyskretny romans. Nie był to oczywiście typowy związek. Emma nie wierzyła w miłość i była całkiem pewna, że on także. Ich znajomość miała wymiar raczej ekonomiczny. Związek, który stuprocentowo odpowiadał im obojgu, a przynajmniej jej. Nigdy nie przyszło jej do głowy, aby zapytać Eugene'a, czy dla niego jest równie satysfakcjonujący.

Prawdopodobnie zdziwiłby się, gdyby zadała takie pytanie. Bardzo rzadko rozmawiali o sprawach osobistych. Nawet w łóżku głównym tematem ich rozmów były interesy. Oczywiście, czasami śmiali się lub opowiadali sobie dowcipy, ale nie zdarzało się to zbyt często. Życie w Nowym Jorku sprawiało, że Emma

miała na temat seksu niekonwencjonalną i praktyczną teorię.

Jej związek z Eugene'em nadał ich wspólnym interesom bardziej intrygujący, ostrzejszy wymiar. Co więcej, ta znajomość zadowalała ją. Tak naprawdę zapewnianie tematów do plotek tym wszystkim zarozumiałym damulkom sprawiało jej przyjemność.

Eugene nie należał do najprzystojniejszych mężczyzn na świecie, ale jego niesamowity zmysł do interesów rekompensował wszelkie niedoskonałości fizyczne. Byli parą umiejącą zarabiać porządne pieniądze. Emma brała nawet pod uwagę połączenie ich fortun, gdy nadejdzie czas na postaranie się o potomstwo.

Wchodząc potężnymi schodami, wiodącymi do wejścia do banku, wpatrywała się w ogromne drewniane drzwi, które lada moment powinny otworzyć się, by ją powitać.

Pozostawały jednak zamknięte. Uśmiech zamarł na jej ustach. Chyba ten beznadziejny odzwierny nie oczekiwał, że sama je sobie otworzy. Zdegustowana, stanęła z wyprostowanymi ramionami i uderzyła pięściami w drzwi. Sekundę poczekała, po czym, wściekła, zamknęła parasolkę i zapukała nią kilkakrotnie w małe portalowe okno.

W głębi dały się słyszeć pospieszne kroki, a po chwili drzwi się uchylły. Odzwierny spojrzął na nią wilgotnymi oczami z ogromnym zdziwieniem. Jego pokryta zmarszczkami szyja poczerwieniała.

- Przepraszam, panno Hatter. Ja po prostu... - Wzrok mężczyzny pomknął w stronę jego wyszorowanych na wysoki połysk butów. - Nie sądziłem, że pani się tutaj dziś pojawi.

Emma weszła do środka.

- Od dziesięciu lat przychodzę tu w każdy poniedziałkowy poranek, dokładnie o ósmej trzydzieści. A ty - spojrzęła na niego ostro - za każdym razem w ciągu tych wszystkich lat otwierałeś przede mną drzwi.

- Ale dzisiaj... Przecież...

Podążyła mu mokrą parasolkę i zaczęła ściągać wilgotne, zapinane na małe guziki rękawiczki. Nic jej nie obchodziło nieudolne tłumaczenie się tego starego pryka. Eugene przywołał go do Porządku, gdy dowiedział się o jego niekompetencji. Usłyszała za sobą zamykające się drzwi; dźwięk ten rozszedł się echem w nienaturalnie cichym wnętrzu. Nie poświęcając niczemu ani jednego spojrzenia, Emma uniosła głowę i podążyła korytarzem, wykładanym wypolerowanym marmurem. - Dzień dobry, panno Hatter.

Zatrzymała się, słysząc to nieoczekiwane powitanie. Odwróciwszy się, zauważyła pannę Baxter, machającą do niej zza mosiężnych krat, otaczających jej kasjerskie okienko. Na twarzy kobiety widniał triumfujący uśmiešek.

Emmaline, zaskoczona, uniosła brwi. Panna Baxter i ona nie zamieniły ze sobą ani jednego słowa, odkąd Emma poinformowała Eugene'a o niekompetencji kasjerki.

- Nie sądziłam, że dziś rano pani przyjdzie - zaświergotała panna Baxter z jeszcze szerszym uśmiechem. - Muszę przyznać, że podziwiam pani odwagę.

Emma odwróciła wzrok od kobiety i ruszyła przed siebie, a jej kroki odbijały się głośnym echem od ścian surowo wyglądającego holu. Skręciwszy, skierowała się w stronę prywatnego gabinetu Eugene'a.

- Do pana Cummina, proszę - zwróciła się do młodego mężczyzny, siedzącego za biurkiem przed gabinetem.

- A czy jest pani... - Spojrzął znad czytanej książki i rozpoznał Emmę. Uśmiech zniknął z jego twarzy.

- Czy jest jakiś problem? - zapytała ostro. - Chciałabym zobaczyć się z panem Cumminem.

- Och, oczywiście. Ja po prostu...

- Proszę tylko nie mówić, że nie spodziewał się pan mnie dzisiaj. Proszę poinformować pana Cummina, że przyszedłam. Na twarzy młodego mężczyzny pojawiło się z troską.

- Niech pani wejdzie - powiedział miękko, prawie smutnym głosem. - Nie dalej, jak piętnaście minut temu pan Cummin poprosił o pani akta.

Z niespiesznym skinieniem Emma przemknęła obok biurka i zapukała niecierpliwie do rzeźbionych mahoniowych drzwi. Słyszając niewyraźne: „Proszę”, weszła do środka.

- Dzień dobry, Eugene.

Mężczyzna podniósł wzrok znad raportu, który właśnie studiował. Emma zaprezentowała mu jeden ze swoich najpiękniejszych poniedziałkowych uśmiechów i zaczęła rozpinąć płaszcz.

- Muszę przyznać, że jest to bardzo dziwny poranek. Dlaczego wiemy... - Zauważyła dziwne błyski w oczach Eugene'a i uniosła brwi. - Czy coś się stało?

Zacisnął na moment powieki, po czym powoli je uchylił i spojrzął Emmie w oczy. Na jego twarzy widać było zmęczenie.

- Emmaline... - Normalnie silny głos Eugene'a był słaby i wyprany z uczuć. Mężczyzna wskazał na krzesło obok biurka. - Usiądź.

Emma poczuła pierwsze ukłucie strachu. Coś było nie tak. Mechanicznie postąpiła w stronę krzesła i lekko usiadła na jego brzegu.

Co się stało, Eugene? Widzę, że nie czytałaś dzisiejszych gazet. Oczywiście, że nie. W poniedziałek rano zawsze robimy to wspólnie.

Wzdychając ciężko, Eugene zakrył dłońmi zmęczoną twarz. Emma wpatrywała się w niego w ciszy, pochylając się nienaturalnie do przodu. Ich powolne, równomierne oddechy były jedynymi dźwiękami w tym zdecydowanie zbyt cichym pomieszczeniu.

- Eugene, przerażasz mnie...

- Pennsylvania i Koleje Reading ogłosiły dziś bankructwo. Emmaline zadrżała. Jej palce zacisnęły się kurczowo wokół skórzanych oparć.

- O mój Boże...

Eugene ponownie ciężko westchnął.

- Ale to nie wszystko. National Cordage zostanie zamknięte do końca tygodnia, podobnie jak Zakłady Przemysłowe Drexana. Rezerwy pieniężne maleją w zastraszającym tempie. Oczekuje się, że do końca miesiąca banki ogłoszą upadłość.

Oszołomiona kobieta oparła się na krześle. Zainwestowała wszystko, co posiadała, w koleje i przemysł tekstylny. Ich upadek oznaczałby...

Poczuła w skroniach nagły tępy ból, promieniujący na całe ciało. Zamknęła oczy, by nie widzieć jasnego światła padającego z lampy na biurku Eugene'a.

Myśleć! Musiała pomyśleć.

- Przykro mi, Em - rzekł cicho jej kochanek.

Powoli otworzyła oczy. Współczucie w oczach Eugene'a sprawiło, że poczuła się tak, jakby otrzymała cios prosto w brzuch. Zniknęła gdzieś cała jej samokontrola. Gorące łzy wypełniły oczy. Wytarła je wierzchem dłoni i wstała.

Myśleć. Zaczęła szybko przemierzać gabinet tam i z powrotem, podczas gdy jej umysł starał się uporządkować to, co właśnie usłyszała. Nerwowo splatała i rozplatała dłonie.

- Koleje, zakłady przemysłowe, banki...

- Firmy ubezpieczeniowe, fundusze powiernicze, farmy - dodał Eugene. - Wszystko upadnie. W zeszłym roku było po prostu zbyt dużo pochopnych spekulacji. Europejskie banki cofają kredyty. Chcą z powrotem swoje pieniądze.

- Wiedziałam, że czasy są niepewne, ale coś takiego... - Podniosła na niego wzrok.

Eugene poruszył bladymi ustami, ale nie wydobył się z nich żaden dźwięk. Emma posłała mu wymuszony uśmiech.

- A więc co dokładnie to wszystko oznacza? - spytała. Spojrzał na dokumenty leżące na biurku, z jego twarzy odpłynęła krew. Strach ścisnął żołądek Emmy.

- To znaczy, że jesteś zrujnowana. Kobieta wypuściła z płuc trzymane tam w napięciu powietrze. Znowu zaczęła przemierzać pokój, wyginając boleśnie palce.

- Być zrujnowaną jest pojęciem względnym. Czy masz na myśli to, że muszę znacznie ograniczyć moje wydatki, czy też nie jestem w stanie dłużej utrzymać mojego domu letniskowego?

- Mam na myśli to, że nim minie miesiąc, nie będziesz już nawet właścicielką tego domu. Jesteś tak poważnie zadłużona, że bank nie miał innego wyjścia, jak zablokować twoje konto.

Odwróciła się nagle w jego stronę.

- Zablokować moje konto? Eugene... Przerwał jej ruchem bladej dłoni.

- Pozwól mi dokończyć, dopóki jestem w stanie zachować zimną krew. Zastawiłaś całą swoją gotówkę, dom letniskowy razem z umeblowaniem, meble z nowojorskiego mieszkania w zamian za akcje kolei i przemysłu tekstylnego. Teraz wszystkie te akcje są nic niewarte. Jeśli nie będziesz w stanie spłacić długów do przyszłego miesiąca, będziemy musieli wszystko przejąć. Zablokowaliśmy już twoją gotówkę. Przykro mi.

Dłonie Emmy zacisnęły się w pięści, gdy odwracała się, aby nie widzieć wyrazu oczu Eugene'a. To pomagało jej powstrzymać się od krzyku. Wiedziała, że gdyby zaczęła, nie potrafiłaby przestać.

- Możesz zatrzymać biżuterię - dodał cicho. Z jej gardła wydobył się histeryczny śmiech. Zacisnęła mocno zęby, aby nie przemienił się w równie histeryczny szloch.

- Biżuterię? - powtórzyła tępo. - Nie mam biżuterii. Całe moje pieniądze zainwestowałam w to, w co wierzyłam: ten kraj. Stany Zjednoczone muszą się rozwijać, sam tak mówiłeś. Potrzebujemy kolei, banków, farm i fabryk. Oto, gdzie są moje pieniądze, Eugene, i ty dobrze o tym wiesz. Nie w brylantach i perłach.

- Każda decyzja, którą podejmowałaś, była słuszna, Emmo. Po prostu wyprzedzałaś swoje czasy. Reszta świata nie myśli w sposób tak racjonalny jak ty. - Opadł z powrotem na pokryte skórą krzesło.

Skrzywiła się z bólem, zacisnęła usta w cienką linię, żeby powstrzymać się od płaczu lub krzyku i nie zrobić z siebie idiotki przed mężyczyną, na którym jej w jakiś sposób zależało.

Eugene w sekundę znalazł się przy niej.

- Em... - zaczął uspokajającym głosem. Był tak blisko, że utrudniał jej oddychanie. Czuła ciepło jego oddechu na swoim Policzku. - Proszę. Weź te dokumenty. Może znajdziesz jakieś ukryte pieniądze. Coś, co ja przeoczyłem.

Odsunęła się od niego, obawiając się, że podda się współczuciu w jego głosie i pozwoli sobie na płacz. Łzy nigdy nikomu nie Poniosły pożytku. Wytarła wilgotny nos.

- Nie dotykaj mnie - wyszczała. Nie mogła tego znieść, nie teraz. Jeszcze jeden dotyk, i rozpadłaby się na milion kawałków. Nabrała z rąk kochanka dokumenty i przycisnęła je do piersi niczym tarczę ochronną. - Muszę iść - rzekła trzęsącym się głosem.

- Emma?

- Wszystko w porządku, Eugene. Naprawdę. - Zmusiła się, aby unieść wysoko głowę i wyprostować ramiona. - Ale teraz muszę już iść. Pomijając wszystko inne, czeka na mnie fortuna do ponownego zbitcia.

Uśmiechnął się słabo. To było kłamstwo i oboje o tym wiedzieli.

- Jesteś inteligentna, młoda. Znajdziesz jakiś sposób. Kolejne kłamstwo. Ścisnęła mocniej teczkę z dokumentami, aby powstrzymać drżenie rąk.

- Masz rację, znajdě.

Zanim Eugene zdążył dodać chociaż słowo, odwróciła się i wyszła z jego gabinetu. Podążała szybkim krokiem nagle wrogim, zbyt cichym korytarzem banku. Kiedy mijała okienko panny Baxter, uniosła głowę. Parsknięcie kasjerki zmroziło ją i zagroziło jej pewności siebie, ale zacisnęła usta i zignorowała śmiech. W drzwiach odebrała od odźwiernego parasol i rękawiczki i wymaszerowała na zewnątrz.

Drzwi zatrzasnęły się za nią. -

Słyszac ten dźwięk, Emma straciła całe opanowanie. Schowała głowę w trzęsących się ramionach.

Dobry Boże...

Było po wszystkim. Po piętnastu latach poświęceń, zbierania i oszczędzania straciła wszystko.

W jakiś sposób udało jej się iść dalej. Sunęła do przodu jak lunatyczka, nic nie czując i niczego nie zauważając. Poruszała się wolno, patrząc przed siebie szeroko otwartymi, suchymi do bólu oczami. I tylko silna wola sprawiała, że szła dalej. Budynki zachodziły na siebie, tworząc nierozróżnialną szarą masę. Równie szare było niebo nad nią - nawet jeden promień słońca nie przebijał się przez półmrok i nie ogrzewał policzków Emmy. Zdrętwiałymi dłońmi rozłożyła parasolce. Deszcz zaczął stukać w czarną satynę nad jej głową, a jego staccato pogłębiało i tak już potężny ból głowy.

Bankructwo. Słowo to pojawiało się w głowie kobiety wraz z każdą kroplą deszczu, uderzającą w parasolkę. Bankructwo... bankructwo... bankructwo...

Zacisnęła mocno oczy, pragnąc wyrzucić ze świadomości dręczące ją słowo, i nie otwierając ich, szła dalej.

- Hej, proszę pani!

Ktoś chwycił jej ramię i ostro pociągnął. Emma poleciała do tyłu, zderzając się z czyjąś silną i szeroką klatką piersiową.

Otworzyła usta, aby rzucić jakąś ciętą ripostę, ale zanim zdążyła wymówić choć słowo, elektryczny tramwaj przejechał obok z hałasem. Spod jadącego samochodu chlapnęła woda i opryskała jej twarz.

- Wszystko w porządku, proszę pani? - To był ten sam głos, tym razem nieco łagodniejszy.

W porządku? Emma poczuła, że nogi ma jak z waty. Niewiele brakowało, a wpadłaby pod jadący tramwaj! Nabierając głęboko powietrza, odwróciła się, aby spojrzeć na człowieka, który uratował jej życie. Był to potężny, krzepki mężczyzna w średnim wieku, wyglądający na robotnika portowego. Patrzył na nią najcieplejszymi brązowymi oczami, jakie kiedykolwiek widziała. Wdzięczność wypełniła jej duszę, ale jak zwykle słowa uwięzły w gardle.

Mężczyzna zdjął znoszoną czerwoną czapkę i przesłał Emmie troskliwy, ojcowski uśmiech.

- W porządku, panienko?

W odpowiedzi spróbowała się uśmiechnąć, ale nie była w stanie. Potrafiła jedynie skinąć lekko głową.

Nieznamy poprowadził ją z powrotem na chodnik. Znalazłszy się tam, rozejrzała się. Dopiero teraz zdała sobie sprawę, że nie Jest już w centrum finansjery.

- Gdzie my jesteśmy?

- Tak myślałem, że się panienka zgubiła. Niewiele takich znam Jak panienka płacze się po Mott Street.

Mott Street... Serce Emmy zamarło, a gardło się zacisnęło. Piętnaście lat zabrało jej wydostanie się z tej dzielnicy ubóstwa. A teraz znalazła się tu z powrotem. Bez pieniędzy - tak właśnie wtedy zaczynała. Przebiegł ją dreszcz. Boże - pomyślała z nagłą, dziką desperacją - czy to wszystko było snem? Czy naprawdę udało jej się kiedyś stąd wydostać?

- Dlaczego panienka tu przyszła?

Ponownie zadrżała. Czemu znalazła się właśnie tutaj?

Odpowiedź była oczywista. Zbyt oczywista. Był to fakt, od którego uciekała przez całe życie. *Ponieważ tu jest twoje miejsce. Zawsze było.*

Czy to może być prawda? - zastanawiała się z rosnącym przerażeniem. Czy mściwy Bóg podarował jej dostatnie życie na Ósmej Alei tylko po to, aby w ostatniej chwili odebrać wszystko i wepchnąć z powrotem do najzimniejszej ciemności, jaką kiedykolwiek poznała?

Na tę myśl ciarki przeszły jej po plecach. To tak bardzo odpowiadało jej postrzeganiu Najwyższego.

- Chce panienka pójść ze mną? Nie wygląda panienka zbyt dobrze.

Emma zmusiła się do wypowiedzenia przez zaciśnięte ze strachu gardło:

- Nie, dziękuję. Wygląda na to, że jednak wiem, gdzie jestem.

- Naprawdę?

Poczuła jego sceptyczny wzrok na swym kosztownym wełnianym płaszczu, chroniącym ją od zimnego wiatru i zacinającego deszczu, i na modnym kapeluszu, tkwiącym na starannie upiętym koku. Oblizła suche wargi, po czym odezwała się miękko:

- Dorastałam w Rosare Court.

Między nimi zapadła niezręczna cisza. Mężczyzna najwyraźniej nie wiedział, co w takiej sytuacji zrobić z nieznaną, która stała przed nim wyprostowana.

- Cóż, w takim razie do widzenia - rzekł wreszcie. - Niech panienka teraz już ma oczy szeroko otwarte.

- Będę uważać - obiecała Emma, lecz życzliwy człowiek już się oddalał. Postawiła kołnierz wełnianego płaszcza i wpatrywała się tępo w syczący, zadymiony półmrok. Łagodny szum ulic wibrował w jej uszach. Stała skamieniała, ze wzrokiem wbitym w chodnik. Wydawało się, że slumsy przywołują ją tym samym szelmowskim, sarkastycznym głosem, który prześladował ją każdej nocy, jak daleko sięgała pamięcią. Te żałosne, brudne ulice były gotowe na ponowne przyjęcie Emmy jako jednej z ich mieszkańców.

Budynki zwały się w szarą, wirującą ścianę mgły. Z tej bezbarwnej masy napłynął wysoki, ostry krzyk żony rybaka, sprzedającej swój towar. *Ryby, świeże ryby...*

Emma wzdrygnęła się. Przejeżdżający obok tramwaj posłał na mokry chodnik kaskadę iskier. Wokół niej ludzie biegali truchtem tam i z powrotem niczym mrówki. Ich blade, zmęczone twarze chowały się w obszarpanych kołnierzach znoszonych i płaszczy. Deszcz przestał padać, ale w powietrzu wciąż unosił się kwaśny zapach, potęgowany przez zwały dawno zapomnianych śmieci. Dym, unoszący się ze zbyt wielu kominów, czynił świat jeszcze ciemniejszym i bardziej ponurym.

Emma usłyszała śmiech i odwróciła się w stronę, z której dobiegał. Obok chybotliwej pustej dorożki około tuzina brudnych obszarpanych dzieci goniło równie brudnego kundla.

Nieopodal grupa przygarbionych kobiet tłoczyła się nad uszkodzonym hydrantem. Woda spryskiwała ich stopy i spływała wzdłuż wyłożonej kamieniami ulicy. Spieszyły się, aby napełnić świeżą wodą wszystko, co tylko mogły znaleźć: buty, dłonie, wiadra.

Emma przygryzła dolną wargę, aby powstrzymać jej drżenie. Nawet teraz, po wielu latach, pamiętała, co czuła, stojąc przy hydrancie: czekała, modliła się, aby dostać choć kubek wody, zanim nadejdzie policjant i przegoni wszystkich. Jej ręce były wtedy brudne i zimne. Wkładanie ich do lodowatej wody było bolesne jak diabli, ale zawsze ochoczo to robiła. Zatruta, brudna woda, płynąca z domowych kranów, nie nadawała się do picia.

Oderwała wzrok od kobiet stłoczonych przy hydrancie i powoli odwróciła się, wiedząc, co zobaczy: małą uliczkę. Pozwoliła obie tylko na chwilę wahania, po czym wyprostowała ramiona, niosła głowę, chwyciła mocniej parasolkę i ruszyła w stronę tej brudnej uliczki, szerokiej jedynie na trzy kroki.

Zaciskając zęby, mijała rozwalające się zabudowania, aż dotarła do budynku, który od lat prześladował ją w snach: Rosare Court.

Ściana czerwonobrazowego domu była pusta niczym oczy zmarłego. Żadne okno nie zakłócało prostego, jednolitego wzoru cegieł, w skrzynkach obok zamkniętych drzwi nie było kwiatów. Jedyłą, bardzo wątpliwą ozdobą tego budynku były metalowe pręty, tworzące drabinkę przeciwpożarową.

Przeciwpożarową. Cóż za okrutnym żartem było nazwanie w ten sposób tej niepotrzebnej drabiny. Emmie wciąż śniły się koszmary, przypominające o nocy, w czasie której dziesiątki mężczyzn, kobiet i dzieci spłonęły w dokładnie takim samym domu. Drabina, co odkryli za późno, nie sięgała ziemi. Ofiary spłonęły, patrząc w dół na strażaków i wozy z wodą, stłoczone w ciasnej uliczce. Mimo że w owym czasie Emma już podjęła pracę maszynistki na Wall Street i przeprowadziła się na Catherine Street, była wciąż wystarczająco blisko, aby słyszeć przeraźliwe krzyki.

Jakiś ledwie dostłyszalny dźwięk dobiegł jej uszu.

To była kołysanka.

Prawie wbrew woli podążyła za tym dźwiękiem w stronę zrujnowanego domu, znajdującego się niewiele

ponad sto metrów dalej. Wyższe piętra niknęły w niskiej, gęstej mgle. Na brudnym podwórzu porozwieszane były linki, uginające się pod ciężarem mokrych znoszonych ubrań, poruszających się na wietrze.

Emmę bombardowały różne dźwięki: szczekanie głodnych psów, szukających pożywienia, ryk rozgniewanego męża, krzyczącego na bezradną żonę, miękkie szuranie bosych stóp na mokrym poboczu. A ponad tym wszystkim unosiły się dźwięki matczynej kołysanki.

Podeszła do walącego się płotu, który odgradzał ją od błotnistego podwórza. Spoglądając na pierwsze piętro, zauważyła kobietę skuloną przy zimnych metalowych prętach drabiny przeciwpożarowej, trzymającą w ramionach dziecko owinięte w zniszczony kocyk.

Nagle dziecko zatrzęsło się, po czym sucho zakaszłało, a następnie zaczęło płytko, dychawicznie wciągać powietrze. Matka zaczęła śpiewać głośniejsze, przyłożywszy do twarzy dziecka wychudzoną, pokrytą niebieskimi żyłami dłoń.

- Óóó, Jeannie. Wszystko będzie dobrze, skarbie...

Emma odwróciła się pospiesznie. Łzy napłynęły jej do oczu i uwięzły w gardle. Ta scena była tak znajoma... Taką samą kołysankę śpiewała swojej umierającej matce, w ten sam sposób przykładała trzęsącą się dłoń do gorącego czoła. Szepiała te same rozpaczliwe, pełne bólu słowa...

Podeszła bliżej. Twarz kobiety była ledwo widoczna, gdyż jej blada, pomarszczona skóra prawie się zlewała z tanią szarą chustką z wełny, którą owinięła głowę i szyję. Usta jej poruszały się wolno, łagodnie, w rytm bolesnej kołysanki.

Dziecko zakaszło ponownie, tym razem ciężiej. Emma nie miała wątpliwości, że małe umiera i że jego matka dobrze o tym wie. W innym miejscu może by przeżyło, ale tutaj, w tej beznadziejnej pułapce ubóstwa, nie miało żadnych szans.

Chyba że Emma by mu ją dała. Zrobiła krok do przodu. Jej kolano musnęło chybliwy płot i przegniła deska spadła na mokre pobocze.

Matka uniosła głowę. Jej zmęczone, przekrwione oczy zwęziły się podejrzliwie, gdy zauważyła nieznajomą. Bez słowa opatulili dziecko i ruszyły do mieszkania. Drzwi skrzypnęły, po czym zatrzasnęły się za nią.

Emma przez długi czas wpatrywała się w nie, mając w pamięci szkliste oczy matki umierającego dziecka. Nie było w nich nadziei, nie było jej też w cichej kołysance. Żadnej nadziei na ucieczkę z piekła. Choćby na przetrwanie.

Kolejny raz zdała sobie sprawę, jak wiele miała szczęścia. W przeciwieństwie do większości ludzi mieszkających w jej sąsiedztwie, udręczonych przez biedę, nigdy nie pozwoliła sobie na akceptację życia w slumsach.

Tak, miała szczęście. Ale i coś jeszcze, coś nawet ważniejszego. Spryt i zdrowy rozsądek.

Wciąż to miała, wciąż była głodna sukcesu. Zbiła już raz fortunę i, na Boga, potrafi to zrobić jeszcze raz. A kiedy jej się już uda, nic ani nikt jej tego nie odbierze.

Emmaline popatrzyła na zdobiony ornamentami dom, przypominający zamek, i głośno przełknęła ślinę. Poczula nagle treść. Przycisnęła do brzucha szczupłą, odzianą w rękawiczkę dłoń.

Dlaczego się tak denerwowała? Rozmyślała nad tym wielokrotnie w ciągu ostatnich kilku dni i wyglądało na to, że jest to doskonałe rozwiązanie. Ona i Eugene powinni się pobrać.

Stłumiła wstręt na samą myśl o tym słowie. To było takie osobiste - przywoływanie mnóstwa niepokojących obrazów: połączone konta, dzielenie władzy, kobieca uległość.

- Nie - powiedziała ostro, unosząc głowę. To nie byłoby zwykłe małżeństwo. Nie jeden z tych romansów, w którym najważniejsze jest wpatrywanie się sobie w oczy i trzymanie za ręce. Małżeństwo z Eugene'em postrzegала raczej jako udogodnienie. Transakcję. Ona otrzymałaby dach nad głową i wystarczająco dużo pieniędzy, aby zacząć wszystko od początku, on zyskałby inteligentną, seksualnie wyzwoloną żonę z głową do interesów. Coś za coś - pomyślała. Dobry interes dla obojga.

Unosząc ciężkie fałdy plisowanej francuskiej sukni z satyny, wspięła się po marmurowych schodach i zapukała do drzwi.

Prawie natychmiast zjawił się kamerdyner.

- Panno Hatter, czy pan Cummin spodziewa się pani? - spytał suchym, nosowym głosem.

Zmusiła się do uśmiechu.

- Nie. Skinął głową.

- A więc proszę wejść i usiąść. - Poprowadził ją do wygodnej, wyściełanej miękką tkaniną ławki, stojącej w holu. - Powiem panu Cumminowi, że pani przyszła.

Emma popatrzyła za mężczyzną w uniformie lokaja, który wszedł po schodach i zniknął. Wydała z siebie nerwowe westchnienie. Miała nadzieję, że postępuje właściwie.



Siedziała sztywno wyprostowana, starając się pozbyć zdenerwowania. Rozglądając się, uważnie przyjrzała się korytarzowi. Ozdoby były kosztowne, ale nieliczne. Eleganckie, lecz nieciekawie rozmieszczone.

Potrzebna tu jest kobieca ręka, uznała. Gdy tylko się pobiorą, już ona się postara, żeby wyglądało tu inaczej.

- Emmaline! - Eugene pospiesznie schodził pokrytymi chodnikami schodami. - Co za niespodzianka.

Wstała.

- Dobry wieczór, Eugene.

- Wejść do salonu - rzekł, wiodąc ją do kolejnego oszczędnie umeblowanego pomieszczenia. - Masz może ochotę na coś do picia?

Emma usiadła. Ułożyła spódnicę wokół nóg i potrząsnęła głową.

- Nie, dziękuję. Przyszłam tutaj... w interesach. Gospodarz nalał sobie wina do kryształowego kieliszka i odwrócił się w jej stronę. Nie był w stanie ukryć zdziwienia w oczach.

- Co to za interes? Emma odchrząknęła.

- Pomyślałam, że byłoby dla nas bardzo korzystne, gdybyśmy się pobrali.

Eugene nie odrywał od niej wzroku.

- Pobrali?

- Tak. Od prawie roku jesteśmy kochankami. Zalegalizowanie naszego związku miałyby więc sens. Mogłabym zbić dla ciebie

Eugene podszedł do niej wolnym i ciężkim krokiem. Wyściełana pluszem sofa ugięła się pod jego ciężarem, gdy usiadł obok swego gościa.

Kobieta spojrzała w jego smutne brązowe oczy i zapragnęła uciec. Otworzył usta, aby coś powiedzieć, a ona nagle pożałowała, że nie chciała nic do picia.

- Emmo, ja...ja nie wiem, jak to powiedzieć, aby nie zabrzmieć jak łajdak...

- No mów - rzekła, przywołując na twarz uśmiech. Odstawił kieliszek na mały stolik po lewej.

- Pamiętam, kiedy rozpoczęłaś pracę w biurze maklerskim. Byłaś taka młoda, tak pełna entuzjazmu. Dziesiątki razy próbowałem z tobą porozmawiać, ale nigdy nie chciałaś poświęcić mi ani chwili. Byłem tylko dzieciakiem, nikiem. Lecz pan Lyndeman... dla niego miałaś czas. Nie zdziwiłem się, gdy się... zaprzyjaźniliście albo wtedy gdy pozwolił kupować ci akcje za twoje własne pieniądze.

- Eugene, to stare dzieje...

- Poczekaj, pozwól mi skończyć. - Przez lata patrzyłem na ciebie z oddali, obserwowałem, jak przeradzasz się w jeden z największych finansowych umysłów naszych czasów. I przez cały ten czas czekałem, aż wreszcie zwrócisz na mnie uwagę. Aż spojrzysz wyniośle i zauważysz właśnie mnie. Doczekałem się dopiero, gdy awansowałem w banku na stanowisko, które wcześniej zajmował pan Olsen. Nagle byłem kimś, a twoje piękne niebieskie oczy po raz pierwszy mnie dostrzegły. Myślałem, że znalazłem się w niebie. Chodziliśmy do teatru, na kolacje... Wszystko to było wspaniałe. A potem poszliśmy do łóżka. I wtedy po raz pierwszy to zauważyłem.

Emma zmarszczyła czoło.

- Zauważyłaś co?

- Chłód. Twój chłód. Oczywiście, robiłaś wszystko, jak należy, przy tobie czułem się wspaniale. Ale tak naprawdę nigdy nie byłaś przy mnie całą sobą. Domyślałem się, że nasza namiętność jest dla ciebie przyjemna, ale nic więcej. - Z jego ust dobył się wymuszony śmiech. - Przyjemność to trochę za mało dla ego mężczyzny. Przez jakiś czas miałem nadzieję, że się zmienisz, stopniejesz. A potem jakoś to zaakceptowałem.

Wziął Emmę za rękę i spojrzał na nią; jego ciemne oczy wypełnione były smutkiem i żalem.

- Nie jesteśmy kochankami, Em. Jesteśmy tylko kolegami z pracy, okazjonalnie ze sobą sypiającymi. Mnie to nie wystarczy, nie na całe życie. Małżeństwo nie jest tylko transakcją. To coś więcej... To śmiech, wspólne żarty, radość i uczucia, których nigdy u ciebie nie zauważyłem. Nie zrozum mnie źle, jestem pewien, że je masz. Ale jesteś taka... zamknięta w sobie. Niezmiernie podziwiam twój umysł. Jesteś wspaniałą kobietą interesu z dużą wyobraźnią. Ale... - Wzruszył ramionami, wyraźnie nie mogąc znaleźć odpowiednich słów, po czym dodał cicho: - Po prostu nie jesteś kobietą, którą bym wybrał, aby dzielić z nią życie i wychowywać dzieci. Przykro mi...

Upokorzenie zabolowało Emmę bardziej, niż gdyby otrzymała siarczysty policzek. Zawsze wiedziała, że nie jest zbyt sympatyczna i kochająca. Ale usłyszenie tego w takich zimnych, bezosobowych słowach, i to od jednego z ludzi, których opinię szanowała, sprawiło, że poczuła się bezużyteczna i niepotrzebna. Pusta. Wstała, wyprostowała się i odwróciła od litości w oczach Eugene'a.

- Rozumiem - rzekła sztywno. - Przepraszam za marnowanie twojego czasu.

- Emmo, ja...

Nie czekając na to, co powie jej były kochanek, chwyciła brzegi sukni i pospiesznie opuściła gabinet.

Dwa tygodnie później Emma zrozumiała, że znalazła się na dnie. Wszystko było skończone.

Potała zmęczone oczy i westchnęła. Głowa jej opadła, łokcie Mknęły o blat mahoniowego biurka.

Wpatrywała się w rozrzucone przed nią papiery. Białe arkusze Nazywały się, liczby stapały w czarny wzór tańczących plam.

Każdą chwilę w ciągu ostatnich dwóch dni spędziła na uważnej analizie liczb i dokumentów ze swojego finansowego portfolio. Dokładnie analizowała każdy świstek papieru. Co jakiś czas chciała się poddać, ale zmuszała się do ciągłego szukania, nadziei, że w którejś szufladzie znajdzie jakiś przeoczony dokument. Coś, co zapewni jej pieniądze, by raz jeszcze odbić się od dna. Cokolwiek...

Na początku sądziła, że znalezienie jakiegoś skrawka papieru, pozwalającego na spłatę długu, będzie proste, lecz z każdą upływającą chwilą, z każdą sekundą coraz mniej wierzyła w taką możliwość.

Teraz nie miała już żadnej nadziei. Nie pozostało jej nic. Nie posiadała żadnego ukrytego schowka z pieniędzmi, żadnych sekretnych akcji. Nic. Była zrujnowana. I nie miała już więcej czasu na szukanie i nadzieję.

Za niecałe dziesięć minut ludzie Eugene'a zapukają do jej drzwi. Wszystko, co ma jakkolwiek wartość, zostanie wywiezione i sprzedane w celu spłacenia jej niebotycznych długów. Dom letniskowy zdążył już zmienić właściciela, a służba musiała odejść.

Zostało jej dziesięć minut. Dziesięć minut, w ciągu których musiała wykonać najtrudniejsze, najboleśniejsze zadanie: posprzątać biurko.

Odkładała to zajęcie dopóty, dopóki się dało, ale nie mogła dłużej zwlekać. To już zresztą nie było jej biurko, teraz jego właścicielem był bank. Bank chciał je przejąć, ale puste.

Chwyciła małe metalowe uchwyty w górnej szufladzie i delikatnie ją otworzyła. Pierwszą rzeczą, którą w niej ujrzała, była książeczka czekowa. Wyjęła ją i położyła na blacie biurka. Zanim ją otworzyła, przesunęła z namaszczeniem palcami po miękkiej, najwyższej jakości skórze.

Kolejne liczby zaczęły przesuwac się przed oczami Emmy, prześladowując wspomnieniami jej wydatków. Był to jedyny dokument, na który wcześniej nie pozwalała sobie spojrzeć. Mis miało to żadnego sensu. Bank zablokował wszystkie pieniądze na jej koncie.

Popatrzyła ponownie na książeczkę i poczuła znajome ściskanie w gardle. Miśnieńskie wazy, srebra z Sheffield, dywany, szkło od Waterforda... Wydawała pieniądze naprawdę lekką ręką.

A dzisiaj już ich nie było. Spojrzała ponownie na rzędy cyfr i zauważyła coś dziwnego. W jednym miejscu, tam gdzie powinno być napisane, na co wydała daną sumę, widniała pustka. Czy kiedykolwiek zapomniała o zapisywaniu tego?

Pukanie do drzwi przerwało myśli Emmy. Czekwała, aż ktoś ze służby je otworzy, ale zaraz przypomniała sobie, że nie ma już przecież nikogo. Westchnąwszy, wstała i zmęczonym krokiem podążyła w stronę drzwi.

Powoli szła przez ciemny korytarz. Każdy krok zbliżał ją do całkowitej ruiny. Gdy otworzy drzwi, naprawdę będzie po wszystkim. Do zmierzchu w jej mieszkaniu nie pozostanie żaden mebel, a do jutra nie będzie nawet mieszkania, a przynajmniej nie dla niej. Apartament numer 17 przy ulicy Dakota należał teraz do banku.

Przy drzwiach Emma nabrała głęboko powietrza i wyprostowała ramiona. Z wyćwiczoną łatwością usunęła z twarzy wszelkie uczucia i otworzyła drzwi.

- Panna Hatter?

Emma przyglądała się mężczyźnie z nieskrywanym zdziwieniem. Nie miał na sobie poplamionych, niebieskich ogrodniczek ani nie był wysoki i krzepki. Był to niski człowieczek w okularach i garniturze niemodnym przynajmniej od sześciu sezonów. Jacy przewoźnicy mebli noszą garnitury?

- Będzie pan potrzebował pomocy przy pianinie - skomentowała sucho.

- Słucham?

- Tak naprawdę będzie panu potrzebna pomoc także przy krzesłach w pokoju stołowym.

Przybysz ściągnął z głowy brązowy melonik i przycisnął go do piersi.

- Ostrzegł mnie, że jest pani... uparta.

Słodko-gorzki uśmiech złagodził napięcie na twarzy Emmy.

- To właśnie lubię u Eugene'a. Jest taktowny. Ktoś inny powiedziałaby, że jestem nieuprzejma.

- Jaki Eugene?

- Cummin.

- Eugene Cummin?

- Człowiek, który pana zatrudnił - odparła zniecierpliwiona.

- Mnie zatrudnił Michael Jameson.

Emma uniosła brwi.

- Pracuje pan dla Michaela w Columbia College?

Pomarszczona twarz mężczyzny rozjaśniła się.

- Jestem dumny, że mogę twierdząco odpowiedzieć na to pytanie.

- I on mówił panu, że jestem uparta?

- Och nie, proszę pani. Pan Jameson nigdy nie powiedziałby czegoś takiego. A przynajmniej nie do mnie.

Emma poczuła, że zaczyna ją boleć głowa, więc przycisnęła dwa palce do skroni i zamknęła oczy.

- Proszę posłuchać, panie jak tam się pan nazywa, ja...

- Doktor - przerwał jej mężczyzna. - Doktor O'Halloran.

Wtedy zrozumiała. Otworzyła oczy.

- Pan jest przyjacielem tego doktora idioty.

O'Halloran gorliwie przytaknął.

- Larence'a Digby'ego.

- Widzę, że nie ma pan żadnych wątpliwości, jakiego idiotę mam na myśli - powiedziała szorstko, krzyżując ramiona. - W porządku, panie O'Halloran, dlaczego pan tu przyszedł?

- Larence przysłał mnie, abym to pani oddał. - Trzymał postrzępiony brudny skrawek papieru.

Emma skrzywiła się, ujmując dwoma palcami zniszczoną wizytówkę. Do czego ten doktorek jej używał? Do wycierania kurzu?

- Wysłał pana tak daleko, aby oddał pan moją wizytówkę? Jak... miło.

- Nie. Przysłał mnie tutaj, abym przekazał pani, że dziś w nocy wyrusza do Meksyku.

- I myśli, że... - Nowy Meksyk. Cibola. Złoto!

Serce podskoczyło jej do gardła. Brakująca pozycja w jej książeczce czekowej! To właśnie Digby'emu wypisała czek na dziesięć tysięcy dolarów. Musiała być zbyt rozkojarzona tamtego wieczoru, aby to zanotować.

Szczegóły wykładu Digby'ego zabrzmiały w uszach Emmy. i Złoto... srebro... turkusy... kosztowności. Nagle szeroko się uśmiechnęła.

- Cóż, doktorze O'Halloran, dziękuję za pańską fatygę.

- Cała przyjemność po mojej stronie, proszę pani. - Nałożył z powrotem melonik na łysiejącą głowę i odwrócił się, aby wyjść.

Zanim doszedł do windy, Emma zawołała do niego:

- Doktorze, czy mógłby mi pan powiedzieć, gdzie mogę dziś po południu znaleźć doktora Digby'ego?!

- Przypuszczam, że będzie w swoim gabinecie w college'u. Zazwyczaj siedzi tam aż do kolacji.

- Dziękuję, doktorze. Dziękuję serdecznie.

Niecałe dwie godziny później Emma stanęła przed zamkniętymi drzwiami gabinetu Digby'ego. Niecierpliwość wręcz ją pożerała. Była równocześnie zdenerwowana, pełna nadziei i podekscytowana. Znalazła go. Swój ukryty majątek. Dziesięć tysięcy dolarów było sumą jak najbardziej wystarczającą, aby odbić się od dna. Udałoby jej się to nawet z połową tych pieniędzy. Jedyne, co musiała zrobić, to odebrać je z rąk doktora. A przechytrzenie go będzie tak proste jak zabranie cukierka małemu dziecku.

Na tę myśl uśmiechnęła się zadowolona. Nabierając głęboko Powietrza, żeby się uspokoić, uniosła odzianą w rękawiczkę dłoń i zdecydowanie zapukała do drewnianych drzwi.

- Otwarte - usłyszała zza nich roztargniony głos.

Wyprostowała się, gotowa na batalię, uniosła głowę i otworzyła drzwi. Weszła do środka z tak dumną postawą, że w ostatniej chwili uniknęła zderzenia z regałem.

Jej uszu dobiegł niski, gardłowy śmiech.

- To raczej niewielki pokój - usłyszała męski głos. - Wielu ludzi wpada z rozpędu na książki. Dlatego właśnie szafka z nimi przechyla się na lewą stronę.

Emma odwróciła się. Digby przyglądał się jej zza wielkiego drewnianego biurka. Za plecami naukowca było otwarte małe okno, a ostatnie promienie popołudniowego słońca oświetlały jego twarz i sprawiały, że potargane kasztanowe włosy wydawały się złote.

- Panno Hatter, co za miła niespodzianka.

- Witam, doktorze Digby. Czy mogę usiąść?

- Nie wiem. Może pani?

Emma zmarszczyła czoło, a on uśmiechnął się jeszcze szerzej.

- Wybaczy pani, to taki belferski żarcik. Proszę spocząć.

Spojrzała na jedyne krzesło znajdujące się w pokoju i się wzdrygnęła. Szkoda, że nie włożyła gorszej sukni. Usiadła na sfatygowanym meblu. Zapach starej zakurzonej skóry był drażniący. Ryzykownie

usadowiona, przypomniała sobie, dlaczego się tutaj znalazła. Była tu, aby poprosić o przysługę. Za wszelką cenę powinna być uprzejma, nawet w stosunku do tego szalonego naukowca.

W szczególności w stosunku do niego.

Powoli podniosła wzrok i zorientowała się, że patrzy w gorliwe zielone oczy mężczyzny. Pochylił się do przodu w oczekiwaniu. Emma otworzyła usta. Z nieznanых przyczyn przygotowane wcześniej słowa uwięzły jej w gardle. Ni z tego, ni z owego przechytrzenie go wyglądało jak... jak odebranie cukierka małemu dziecku. Niezbyt miła czynność.

- Wiedziałem, że przyjdzie pani życzyć mi powodzenia. Wiedziałem! Nie mogła pozostać pani obojętna wobec czegoś, co może się okazać najważniejszym odkryciem stulecia. W końcu jest pani jego częścią. Dużą częścią. Nie dalej niż wczoraj mówiłem doktorowi O'Hall...

- Stop! - zawołała bardziej szorstko, niż zamierzała. Przełknęła z trudem ślinę, widząc zaskoczony wzrok naukowca. Splotła dłonie na kolanach. Dalej, Em. Tylko go nie zdenerwuj, rzekła do siebie w duchu.

- Przepraszam, nie chciałam panu przeszkodzić, ja tylko... cóż...

W jego oczach zamiast entuzjazmu pojawiła się troska.

- Tak?

Emma wzięła głęboki oddech.

- Chodzi o to, że potrzebuję z powrotem moich pieniędzy.

Larence zaśmiał się. Rzuciła mu ostre spojrzenie i zapadła niezręczna cisza.

- Pani żartuje, prawda?

- Doktorze Digby, jestem pewna, że zdążył już pan zauważyć, że nie należę do osób, które żartują, gdy w grę wchodzi pieniądze.

Jego wzrok stał się twardy i taksujący. Przez ułamek sekundy Emma zastanawiała się, czy za tą przyjacielską, szczerą otoczką nie kryje się charakter ostry jak brzytwa.

- Na nieszczęście dla pani, panno Hatter, wątpię, czy jest pani osobą żartującą z czegokolwiek.

W porę powstrzymała się przed słowami: „A ja uważałam, że jest pan głupi”.

- Doktorze Digby, nie chcę zabierać pańskiego cennego czasu dłużej niż to konieczne. Z pewnością dziesiątki uprzywilejowanych umysłów czekają na pańskie... elokwentne wykłady. A więc jeśli moglibyśmy przedyskutować kwestię moich dziesięciu tysięcy dolarów...

Pochylił się, aby spojrzeć na Emmę. Oparł się o biurko i nie spuszczać z niej wzroku, uniósł dłonie i splótł je na karku.

Emma, pod tak baczną obserwacją, poczuła się nieswojo. To ona zazwyczaj uważnie przyglądała się ludziom. Znalezienie się w odwrotnej roli stało się bardzo dekoncentrujące. Siłą woli zasznurowała usta. Nie mogła powiedzieć nic obraźliwego, zanim czek nie znajdzie się w jej małych gorących dłoniach. Ale, na Boga, wtedy...

- Nie mam tych pieniędzy.

Patrzyła na niego z otwartymi ustami.

- Co?

- Nie mam...

Styszałam, co pan powiedział - wycodziła przez zaciśnięte zęby. - Proszę to wyjaśnić.

- Nie uważam, aby nieuprzejmość z pani strony była konieczna...

- Wytłumacz, gdzie są moje pieniądze. Natychmiast! - Emma uderzyła pięściami w stół i wstała z krzesła. Jej oczy były ostre jak sztylety, gdy patrzyła na doktora.

Zadrzał, wyraźnie zdumiony jej gniewem.

- Mój kolega, doktor Henry Stanton z uniwersytetu w Nowym Meksyku, uprzejmie zaproponował, że wyposaży mnie na podróż do Ciboli. Ponad miesiąc temu wysłałem mu pieniądze. Zostawiłem sobie tylko tyle, aby wystarczyć na bilet i inne wydatki związane z podróżowaniem pociągiem.

- Czyja dobrze rozumiem? - rzekła powoli. - Dał pan wszystkie moje pieniądze profesorowi w Nowym Meksyku, który uprzejmie zgodził się wydać je w pana imieniu?

- Zgadza się.

- Digby, pańskie postępowanie byłoby nawet zabawne, gdyby nie było tak cholernie... - Zadrzał jej głos i zamilkła.

Tak cholernie poważne, dokończyła w myślach paraliżujące zdanie. Boże, co ona teraz zrobi? Zaciśnęła mocno oczy, aby nie dopuścić do siebie przerażających wizji. Nawet nie miała gdzie spędzić nocy.

Digby podniósł się i zbliżył do niej powoli. Emma poczuła jego ciepły oddech na swoim policzku. Był łagodny i zaskakująco uspokajający.

Wolno otworzyła oczy i odkryła, że wpatruje się w jego twarz. Zaszło jej w gardle. W oczach naukowca było coś, czego nie mogła pojąć, coś, co sprawiało, że czuła się nieswojo. Wydawało się, że ten człowiek

dostrzeża w niej - mimo fasady gniewu i chłodu - przerażoną kobietę.

Otworzyła usta, aby na niego wrzasnąć.

Zanim wydobyła z siebie choć jedno słowo, Larence przytknął palec do jej warg. Poczła ostry zapach mydła. Słowa uwięzły jej w gardle. Milcząc, wpatrywała się w niego oszołomiona.

- Ma pani dwa wyjścia - rzekł trzeźwo mężczyzna. - Albo będzie pani uprzejma, albo opuści to pomieszczenie.

Dłonie Emmy zacisnęły się w pięści. Właśnie dlatego nienawidziła być biedna. Ubóstwo oznaczało słabość, a ta z kolei zmuszała do zadawania się z takimi idiotami.

Z najwyższym trudem starała się wypowiedzieć następne słowa spokojnym tonem. Wolałaby się znaleźć oko w oko z rozwścieczonym lwem, niż kogoś przeprosić. Ale, niestety, nie miała wyjścia.

- P...p...przepraszam, jeśli byłam nieuprzejma. To dlatego, że bardzo potrzebuję tych pieniędzy. Nie mogę po prostu uwierzyć, że dał je pan komuś.

Pogodny uśmiech pojawił się w miejsce poważnego wyrazu twarzy.

- Nigdy nie twierdziłem ani nie udawałem, że jestem kimś innym niż człowiekiem, który sądzi, że odnalazł klucz do zamkniętych drzwi. Przykro mi, jeżeli pani uważa, że nie powinienem dać tych pieniędzy doktorowi Stantonowi. Być może ma pani rację. Być może nie. Tak czy siak nie ma to teraz znaczenia. Dałem je. Gdyby tak bardzo obchodziły panią te pieniądze, powinna była pani przyjść tutaj i nadzorować moje wydatki.

Nadzorować jego wydatki! Czy przypadkiem nie podpowiedział jej rozwiązania tej nieszczęsnej sytuacji?

Zaczęła ostrożnie, bojąc się mieć nadzieję.

- Dał pan pieniądze doktorowi Stantonowi, aby je wydał na to, co uważa za słuszne, tak? Digby przytknął, a Emma poczuła podekscytowanie.

- A więc jeśli pojechałby pan do Nowego Meksyku i odkrył, zostały one wydane w sposób, powiedzmy, nierozsądny, Poprosiłby pan o zwrot ich części, tak? Uniósł brwi.

- Wątpię, żeby zostały wydane nierozsądnie. Stanton jest wykształconym człowiekiem. Boże, pomóż mi. Emma przywołała na twarz fałszywy uśmiech.

Niemniej jednak, jeśli naprawdę uznalby pan, że nie zostały dobrze wydane, mógłby pan zażądać zwrotu ich części? - Popuszczam, że tak, ale... dobrze - przerwała mu Emma. - Kiedy wyjeżdżamy?

- Mam bilet w przedziale sypialnym. Wyruszam dziś wieczorem o... - Urwał.

Wymuszony uśmiech Emmy zamienił się w prawdziwy, gdy zobaczyła zakłopotanie doktora. Nie wiedzieć czemu, wyglądał wyraźnie na chorego. Może teraz o wszystkim zapomniał i zdepeszuje do doktora Stantona po pieniądze?

- Doktorze Digby - odezwała się słodkim głosem - czy coś jest nie tak?

- Czy pani powiedziała „my”?

- Tak. To moja inwestycja. Uważam, że powinnam podążyć za panem, aby przyjrzeć się pana wydatkom.

- Jest pani pewna? To długa i ciężka podróż. I pełna przygód. - Ostatnie słowa wypowiedział szeptem, tak jakby były zbyt ważne, aby je wymawiać głośno.

Emma zeszytniała. Pełna przygód... Jak wiele razy słyszała te absurdalne słowa z ust ojca.

- Jestem pewna - odpowiedziała zdecydowanie.

- To wspaniale! Spędzimy razem niezapomniane chwile. - Wysunął szufladę i wyjął z niej wielką, oprawioną w skórę księgę. Otworzył ją na założonej stronie i stuknął palcem w prosty mały rysunek, przedstawiający jakąś roślinę.

Oczy Emmy zwęziły się, gdy zaczął wskazywać na kolejne obrazki. Potrząsnęła głową z niedowierzaniem. Ten idiota cieszył się, że ona z nim jedzie. Powinna była to przewidzieć.

- O której godzinie wyjeżdżamy? - zapytała nagle. Spojrzał na nią znad książki.

- Pociąg odjeżdża ze stacji Grand Central o dziewiątej wieczorem. Mam nadzieję, że uda się pani kupić bilet.

- Na pewno.

Przytakując, zaczął wertować pospiesznie książkę.

- Tutaj. Zanim pani wyjdzie, proszę spojrzeć na ten wspaniały rysunek...

- Przykro mi, ale muszę iść do domu i się spakować.

- Och... - Niechętnie zamknął opasy tom. Skinąwszy głową, Emma odwróciła się na pięcie i wymaszerowała z niewielkiego pomieszczenia.

- Do zobaczenia o dziewiątej. Czeka nas wielka przygoda! - zawołał za nią.

Opuściła zagracony gabinet i zatrzasnęła za sobą drzwi. Nagła cisza wydała jej się niebiańska.

Cztery dni w pociągu z kimś takim? Wydawało się to nieprawdopodobne. Będzie miała szczęście, jeśli uda jej się nie zabić go, zanim dotrą do Nowego Meksyku. Lepiej nie brać ze sobą broni. Tak na wszelki

wypadek.

Larence powoli wypuścił z płuc powietrze, obawiając się, e jeśli coś powie lub się poruszy, albo nawet przymknie z ulgą oczy, czar przyśnie. Że panna Hatter wtargnie ponownie do jego gabinetu i powie, iż kłamała.

Czekał ze wzrokiem utkwionym w metalowej klamce. Ta na szczęście nie poruszyła się. Wskazówki zegara na jego biurku wyznaczały kolejne mijające minuty.

Czy naprawdę miała to na myśli? Naprawdę z nim jechała?

Usłyszał jej kroki pod swoim małym oknem i uśmiechnął się.

Powrócił do książki pozostawionej na biurku i otworzył ją na stronie 287. W gardle miał sucho, trzęsły mu się dłonie.

Po raz pierwszy od chwili otrzymania od panny Hatter czeku poczuł się całkowicie spokojny. Wolny od obaw. Legenda, ludzie, miejsca staną się częścią tej kobiety i zawładną jej duszą tak, jak się to zdarzyło w jego przypadku. Nigdy nie będzie w stanie sprzedać połowy znaleziska. Nigdy.

Nikt, nawet ta irytująca panna Hatter, nie potrafiłby po obejrzeniu skarbów pozbyć się ich. Więc ekspedycji, jego marzeniu nic nie groziło.

## 5

Prawie był na miejscu. Serce Larence'a waliło, a dłonie zwilgotniały, gdy wchodził po schodach na stację Grand Central. To była chwila, na którą czekał i o którą się modlił. Pierwsze kroki rozpoczynające wielką przygodę. Gdyby tylko żyła babka i mogła go teraz zobaczyć...

*Nie uda ci się, Larry. Nie jesteś jak inni chłopcy. Nie powinieneś nawet próbować taki być.*

Zesztywniał na to nieoczekiwane wspomnienie. Zachwiał się, a noga zaboląa go tak, że prawie upadł.

Mylisz się - pomyślał z uporem. Może wtedy miałś rację, ale teraz już nie. Tym razem będę taki jak inni mężczyźni.

Tym razem nie przegra. Miał dość samotności i ciągłych obaw. Ta wyprawa była czymś więcej niż tylko ekspedycją, której celem było odnalezienie zaginionego miasta. Ta wyprawa miała mu pomóc odnaleźć samego siebie.

- Nie pozwól jej się przestraszyć - powiedział głośno, jak zwykle uspokajając się, gdy słyszał swój głos. - Potrafisz to zrobić. Uda ci się.

Odpędzając od siebie wszelkie wątpliwości, Larence pospieszył na górę i znalazł się na imponującej stacji Corneliusa Vanderbilta.

Podróźni pędzili w górę i w dół po kremowych schodach, a ich kroki zlewały się w jeden wspólny przytłumiony odgłos, odbijający się od marmurowych płyt. Wpływali i odpływali niczym tancerze. Ogromne gazowe żyrandole sprawiały, że promienie światła połyskiwały na lśniącej posadzce. Nad głowami, widoczne poprzez okna usytuowane na kopule sufitu, setki gwiazd połyskiwały niczym złoty pył.

Pelen respektu Larence pokuśtykał przez tłum, zlewając się z nim niezdarnie i pozwalając, aby uniósł go ze sobą. Kilkakrotnie przystawał, obawiając się, że upadnie. Nic go to nie obchodziło. Wolałby upaść na twarz tysięcy razy, niż stracić choćby sekundę z tego marszu w stronę swego człowieczeństwa.

Jakiś dźwięk dobiegł do jego uszu. Syk, a potem głośne brzęczenie.

Larence wyrwał się z tłumu, rzucił walizkę na pustą ławkę i pospieszył w stronę początku peronu. Gonił go dźwięk nadjeżdżającego pociągu. Chłodny wiatr rozwiewał mu włosy, gorąca para ogrzewała policzki.

Pociąg zaczął hamować z sykiem, aż wreszcie zatrzymał się w obłokach pary, brzęcząc i turkocąc. Ziemia zadrżała pod stopami mężczyzny, który wdychał zadymione, wilgotne powietrze, rozkoszując się nim.

Palce Larence'a zacisnęły się na bilecie. Potrzebował już tylko swojej towarzyszkii i wielka przygoda mogła się rozpocząć.

Larence przeszukiwał wybrzuszone kieszenie, aż znalazł niklowany kieszonkowy zegarek i zerknął na godzinę: była 8.54. Emmaline Hatter powinna już tu być. Wyciągając szyję, aby w pełni wykorzystać zalety swojego wysokiego wzrostu, badawczo rozejrzał się po zatłoczonej stacji. Odnalazł ją w ciągu sekundy.

Szła w dół po schodach w typowy dla niej sposób, sztywno, lekko się uginając pod ciężarem bagażu.

Pomachał do niej.

- Tutaj, panno Hatter!

Na ustach kobiety widniał najbardziej ponury uśmiech, jaki kiedykolwiek widział. Larence ruszył w jej stronę. Panno Hatter, wspaniale jest znów panią widzieć.

- Cudownie - odparła przez zaciśnięte zęby.

- Czy mogę pani pomóc z bagażem?

Jęknęła, słysząc psią gorliwość w jego głosie. Boże, miała nadzieję, że przychodząc tu, nie robi straszego błędu. Nie troszcząc się o zwolnienie kroku, pchnęła w stronę naukowca trzy duże torby.

Larence chwycił je, zachwiał się niebezpiecznie, ale udało mu się utrzymać równowagę. Emma skrzywiła się i przyspieszyła kroku, starając się zignorować odgłos kuśtykania za jej plecami. Zatrzymała się przy drewnianej ławce. Digby wpadł na jej plecy, popychając ją do przodu. Straciła równowagę i upadła na metalową część ławki niczym szmaciana lalka. Parasolka i podróżny neseser wypadły jej z rąk.

- Przepraszam - rzekł za nią naukowiec głosem, w którym pobrzmiwała wesołość.

Wyprostowała się powoli, zmuszając się do zduszenia w sobie zjadliwej riposty, cisnącej się na usta.

- Oto pani kufer - powiedział jeden z pracowników stacji, pojawiając się za Emmą i stawiając część jej bagażu przy ławce. Kobieta skrzywiła się, słysząc jego głos, otworzyła torebkę i poszperała w jej jedwabnym wnętrzu, szukając drobnych. Zachmurzyła się. Temu mężczyźnie należało się więcej. I ona, i on to wiedzieli. Ale drobniaki były wszystkim, co jej pozostało, i powinna się cieszyć, że ma chociaż tyle. Musiała sprzedać swój złoty zegarek, aby zdobyć pieniądze na wydatki związane z podróżą. Pięćdziesiąt dolarów, które otrzymała, nie wystarczy na długo. Zanim dotrze do Nowego Meksyku i odzyska część pieniędzy od kolegi doktora, będzie musiała oszczędzać każdy grosz.

Tragarz wyciągnął rękę. Emma wyjęła jedną monetę i upuściła na oczekującą dłoń.

- Dziękuję, proszę pani.

Kiedy rozczarowany człowiek odszedł, taksujący wzrok Emmy przeniósł się na torby leżące na ławce. Z pewnym zadowoleniem zauważyła, że Digby ułożył je bardzo starannie. Przynajmniej w czymś był dobry.

- Gdzie mogę kupić bilet? - spytała, nie patrząc na niego.

Odpowiedziała jej cisza. Odwróciła się, aby spojrzeć na naukowca, i potrząsnęła głową z niezadowoleniem. Był zbyt pochłonięty wpatrywaniem się w jej kufer, aby zauważyć, że o coś go spytała. Emma westchnęła. Ta podróż zapowiadała się na najdłuższą w jej życiu.

- Digby? Digby?

Larence mgliście zdawał sobie sprawę, że jego towarzyszka coś do niego mówi, a właściwie raczej w jego stronę, ale nie był w stanie oderwać wzroku od jej bagażu. Potrząsnął głową z niedowierzaniem. Musiała przecież wiedzieć, w jaki sposób będą podróżować do Ciboli. Wspomniał jej chyba o tym.

Uznał, że w kontaktach z panną Hatter najlepiej od razu chwycić byka za rogi. Miał jednak nadzieję, że uda mu się ująć z życiem.

- Nie może zabrać pani ze sobą tego wszystkiego. Doktor Stanton...

- Jest idiotą. Potrzebuję wszystkich tych rzeczy. Nie oczekuje pan chyba, że będę nosiła te same ubrania codziennie w czasie podróży? A tak przy okazji, gdzie mogę kupić bilet?

Rozczarowany naukowiec westchnął. Nie wszystko układało się w taki sposób, jak tego oczekiwał. Miał nadzieję, że podekscytowanie zbliżającą się podróżą przynajmniej choć trochę złagodzi charakter tej kobiety.

Emma pomachała ręką przed jego twarzą. Podskoczył zaskoczony.

- Gdzie mogę kupić bilet? - powtórzyła powoli i wyraźnie, głosem zarezerwowanym zazwyczaj dla imbecyli. Pchnął w jej stronę zwinięty w rulonik kawałek papieru.

- Tutaj.

Zmarszczyła czoło.

- Co to jest?

- Pani bilet. Pomyślałem, że chociaż tyle mogę dla pani zrobić, skoro to właśnie pani finansuje całą ekspedycję. Emma, zaskoczona, otworzyła usta. Chwyciła się drewnianego oparcia ławki, czując ogarniającą ją ulgę. Pięćdziesiąt dolarów schowanych w portmonetce wydawało jej się w tej chwili majątkiem.

- Cóż, doktorze Digby, to bardzo troskliwe z pana strony. - Spróbowała być uprzejma.

- Pomyślałem, że nie uda nam się siedzieć obok siebie, chyba że wcześniej kupimy bilety. Wysłałem więc asystenta na stację, jak tylko pani opuściła mój gabinet. Udało mu się dostać dla pani miejsce obok mnie. Ostatnie zresztą wolne. Czyż nie mieliśmy szczęścia?

Uśmiech ulgi zamarł Emmie na ustach.

- Obok... pana?

- Tak. Wspaniale, prawda? Będę mógł opowiedzieć pani wszystko o Ciboli. Gdy już tam dotrzemy... - Uniósł brwi. - Dobrze się pani czuje, panno Hatter?

Riposta Emmy została przerwana w połowie przez głośny gwizd pociągu i donośny głos:

- Proszę wsiadać!

- To do nas! - zawołał podekscytowany Digby. - To właśnie pociąg numer osiemdziesiąt dwa do Albuquerque.

Palce Emmy zacisnęły się na bilecie. Pięć dni - i nocy! - w pociągu w towarzystwie doktora. Na samą myśl o tym zaczęły ją boleć zęby.

Chyba wołałaby być biedna.

- Chodźmy. - Nie czekając na Digby'ego, chwyciła torebkę, neseser podróżny i parasolkę i pospieszyła w stronę pociągu. Obcasy jej kosztownych butów, zapinanych na dwanaście guzików, stuknęły głośno, gdy maszerowała w kierunku umundurowanego mężczyzny, stojącego przy najbliższym wagonie. Opalony pracownik kolei ciepło uśmiechnął się na powitanie.

Emma rzuciła za siebie ukradkowe spojrzenie. Larence sięgał właśnie po swoją walizkę, idiotycznie przeładowaną i niemodną. Odetchnęła z ulgą. Chwilę potrwa, nim zawoła bagażowego i załaduje do pociągu wszystkie ich bagaże. Czekają ją kilka cennych minut bez niego.

Podawała bilet stojącemu przed nią mężczyźnie.

- Chciałabym zamienić moje miejsce na inne. Gdziekolwiek.

Pracownik kolei nawet nie spojrzał na bilet.

- Przykro mi, proszę pani. Pociąg jest pełen.

- Mam pieniądze.

- Nie wątpię, ale to nie stworzy dodatkowych miejsc w wagonach. A teraz, jeśli pani pozwoli, zaprowadzę panią do jej przedziału. Usta Emmy rozciągnęły się w pełnym napięcia uśmiechu.

- Proszę prowadzić.

Umundurowany mężczyzna wspinał się po skrzypiących metalowych schodkach, wiodących do wagonu, po czym odwrócił się i wyciągnął do pasażerki wielką opaloną rękę. Emma położyła na niej odzianą w białą rękawiczkę dłoń, drugą chwyciła brzegi ciężkiej wełnianej sukni podróżnej i weszła za nim do pociągu.

Pociąg, w którym będzie siedzieć obok piekielnego doktora, z Nowego Jorku do Nowego Meksyku.

Emmaline przysiadła sztywno na brzegu luksusowego, wyściełanego bordowym pluszem siedzenia, przesuając się tak blisko do okna, jak to tylko możliwe. Ułożywszy dłonie na kolanach, siedziała sztywno, jakby połknęła kij.

Czekała na charakterystyczny ciężki krok Digby'ego. Sztywniała, słysząc wchodzenie do pociągu kolejnych pasażerów.

Tylko spokojnie. Denerwowanie się nie przyniesie nic dobrego. Będzie przemierzała kraj w tym - jej spojrzenie omiotło małą sofę naprzeciwko i Emma głośno jęknęła - malutkim przedziale z Digbym, i to wszystko.

Powoli i głęboko oddychała, starając się uspokoić. Zaciskając mocno oczy, aby nie musieć przywitać doktora, kiedy w końcu tu dotrze, pochyliła się w stronę grubej brokatowej tkaniny, zasłaniającej okno. Uderzył ją zatechły zapach starego Materiału.

Wtedy go usłyszała: klap, krok, klap, krok...

- Jesteśmy na miejscu, doktorze Digby: Sześćdziesiąt dwa A.

Usłyszała, że coś łąduje na sofie naprzeciw niej. Widziała w myślach zniszczoną starą walizkę, leżącą na miękkich poduszkach.

- Dziękuję - powiedział Digby prawie bez tchu. - Mam nadzieję, że pański wnuk wkrótce poczuje się lepiej.

Wnuk? Czyżby ten idiota pytał pracownika pociągu o jego rodzinę? Emma jęknęła cicho, czekając, aż mężczyzna odejdzie, po czym uchyliła jedno oko.

Omijając ją, Digby sadowił się na swoim siedzeniu. Poczowała delikatny dotyk kolan doktora, odzianych w wełniane spodnie. Zanim zdała sobie sprawę, do czego jej towarzysz podróży zmierza, pochylił się w jej stronę i poklepał splecione dłonie Emmy.

Zesztywniała. Ludzie tak rzadko jej dotykali...

Jej towarzysz uśmiechnął się, błyskając białymi zębami.

- Czyż nie jest wspaniale? Czytałem kiedyś o...

Wdał się w kolejny monolog. Emma skrzywiła się. Czas najwyższy, aby się dogadać co do pewnych reguł.

- Ustalmy coś... - Kiedy pociąg szarpnął do przodu, poleciała w tył, uderzając głową w mahoniowe oparcie. W sekundę po ruszeniu pociąg znów się zatrzymał. Trzęsący się wagon wydawał z siebie szumiące i brzęczące dźwięki.

Emma poczuła znajomy ból w podstawie czaszki. Zamknęła oczy, przycisnęła dwa palce do skroni i usiadła wygodniej.

- Czy mógłby mi pan podać moją najmniejszą torbę?

Jej towarzysz w ogóle nie zareagował, więc niechętnie otworzyła oczy.

Digby siedział z nosem utkwionym w niechlujnym, pozaginanym egzemplarzu „Century Magazine”, datowanym na rok 1882. Emma stłumiła jęk. Tylko on potrafił zabrać ze sobą do czytania jedenastoletnią gazetę.



Odchrząknęła.

Naukowiec spojrział w jej stronę. Emma przekrzywiła głowę, aby dojrzeć tytuł artykułu: „Pielgrzymka aborygenów”.

Postanowiła nie zgadzać się na czytanie czegokolwiek przez niego zaoferowanego.

Czy mógłby mi pan podać moją najmniejszą torbę? Jaką torbę?

Tę, którą dałam panu na stacji. - Rozejrzała się po niewielkim przedziale. - Gdzie pan ją położył?

Nie zrobiłem tego. Ból głowy Emmy stawał się coraz bardziej uciążliwy.

- Nie zrobił pan czego?

- Nie położyłem pani torby.

- A więc co pan z nią zrobił?

- Nic.

Pociąg ruszył ponownie. Emmie zrobiło się słabo.

- Co to znaczy nic?

- To znaczy nic. Nie dotykałem jej w ogóle. Kobieta z krzykiem zerwała się na równe nogi. Pociąg znów ruszył gwałtownie, więc zachwiała się i upadła z powrotem na pluszowe siedzenie. Rzuciła okiem na ławkę za oknem i zobaczyła na niej starannie ułożone torby podróżne. Oparty o ławkę, stał jej kosztowny kufer z metalowym dnem. Skórzany identyfikator z jej nazwiskiem i adresem zwisał luźno z jednej strony.

Emma zakryła dłonią usta. Na krótką chwilę zaniemówiła, a potem krzyknęła co sił w płucach:

- Tragarz!

Pociąg ruszył szybciej. Usłyszała głośny pisk kół; pociąg zaczął się coraz bardziej rozpędzać.

Emma oparła dłonie na zimnej szybie i wyglądała na zewnątrz. Okno stawało się coraz bardziej zaparowane od jej oddechu, aż w końcu nie można było dojrzeć przez nie nic.

Na zewnątrz panowała atramentowa czerń nocy.

Zszokowana Emma stała bez ruchu. Desperacki szloch uwiązał Jej w gardle. Wszystko znajdowało się w tamtym kufrze. Wszystko, jej kuferek z przyborami toaletowymi, zestaw do manicure, małe lustro, jej ulubiona woda kolońska...

Ubrania. Słowo to pojawiło się w jej świadomości, wywołując falę mdłości. Do diabła z mydłem, kupi sobie inne w Albuquerque. Ale co, na miłość boską, na siebie włoży?

Odrzuciła się od okna i spojrzała na Digby'ego. Co on najlepszego zrobił? Zabrał tylko swój bagaż, a jej zostawił na pastwę losu?

- Jaki normalny człowiek odszedłby od bagaży, nie zapłaciwszy tragarzowi za ich zanieśnienie?

- Pani tak robiła.

Emma prawie straciła panowanie nad sobą.

- Przecież dałam panu moje bagaże!

- A ja ułożyłem je na ławce. Sądziłem...

- Ha!

Kobieta zdawała sobie sprawę, że jej głos brzmi histerycznie, lecz nic nie mogła na to poradzić. Jedyne, o czym potrafiła myśleć, to suknie, inne stroje i przybory, które tak starannie spakowała. Były symbolem jej wcześniejszego życia. A teraz nie miała nic. Nic...

- Nie poprosiła mnie pani, abym zaniósł je za panią do pociągu - rzekł rozsądnie, a Emma zapragnęła uderzyć go w twarz.

- Dama nie musi prosić dżentelmena, aby zaniósł jej rzeczy. On to po prostu robi.

- Tak?

Powoli opadła na siedzenie i nagle poczuła się stara i zmęczona.

- Oczywiście, że tak. Gdzie pan się podziewał przez całe życie? W jaskini?

Coś - być może ból albo zmieszanie - pojawiło się w jego oczach i zaraz zniknęło.

- Czy dżentelmeni naprawdę to robią? - zapytał z powagą. - Zawsze? Bez pytania o to?

Pomyślała, że nie odezwie się do niego ani słowem albo wprost przeciwnie - zacznie krzyczeć ile sił w płucach lub odmaszeruje. Ale jaki to miało sens? I tak nie odzyska swojego bagażu.

Poza tym to była jej wina. Przecież odeszła, nie zatroszczywszy się o kufer i torby. Spędzała w przeszłości tyle czasu w towarzystwie mężczyzn, takich jak Michael Jameson i Eugene Cummin, że zapomniała, iż galanteria nie jest wszechobecna.

A co gorsza, pozwoliła sobie na poleganie na Digbym. Jak mogła być tak głupia? Na Boga, zasłużyła na to, co ją spotkało.

- Kto tak mówi? - spytał nieoczekiwanie naukowiec. Emma zmarszczyła czoło, starając się przypomnieć sobie, o czym wcześniej rozmawiali.

- Kto mówi co?

- Kto mówi, że mężczyźni muszą biegać za kobietami i się upewniać, że ich bagaże zostaną załadowane do pociągu?

- Nie wiem. Przypuszczam, że kobiety.

- Och... - Wahał się przez chwilę. - Nie znam wielu kobiet.

- Nie dziwię się.

Larence pochylił się w jej stronę, aż przez krótką przerażającą chwilę myślała, że znowu jej dotknie.

- Na wszystkim było napisane pani nazwisko i adres, prawda?

- Tak.

- A więc w czym problem?

- Nie zrozumiałby pan.

- Proszę spróbować mi wytłumaczyć.

Emma westchnęła ciężko. Jaki to miało sens? Tylko ktoś, kto sam żył w ubóstwie, byłby w stanie zrozumieć wartość posiadanego dobytku.

- Proszę o tym zapomnieć, panie Digby. Wszystko, czego teraz chcę, to zasnąć. Może kiedy się obudzę, przekonam się, że to był tylko koszmarny sen.

- Tak, jestem pewien, że jutro wszystko będzie wyglądało lepiej.

- Tak, z pewnością. Jej sarkazm do niego nie dotarł.

- Panno Hatter...

- Proszę mówić do mnie Emmaline.

Otworzył szeroko oczy.

- Naprawdę?

Przewróciła oczami.

- Naprawdę. A jak ja mam do pana mówić? Larry?

- Nie - odparł ostro. - Po prostu Larence.

- W porządku. Jak chcesz. Czy mógłbyś zawołać kogoś z obsługi i kazać mu rozłożyć łóżka?

Naukowiec spojrział szybko w inną stronę.

- Czy coś jest nie tak? - spytała Emma, marszcząc czoło.

- To właściwie zależy od twojego punktu widzenia. To znaczy oboje jesteśmy dorośli i...

- O czym ty mówisz?

- Mój asystent, Ted... On jest naprawdę bystrym młodym mężczyzną i dobrym studentem; w każdym razie próbował kupić dla ciebie bilet z miejscem sypialnym, ale takich już nie było. Ten był ostatni. Wiedział, że chciałbym siedzieć obok ciebie... - Nagle urwał.

- I... - Emma zachęciła go do kontynuowania.

- I górne miejsce nie nadaje się do użytku. Mamy tylko łóżko, na którym właśnie siedzimy. Emma zeszywniała.

- Chcesz mi powiedzieć, że mamy tylko jedno łóżko na nas dwoje?

- Tak.

Wzrok Emmy pomknął w stronę mosiężnej gałki, osadzonej w mahoniowym drewnie nad jej głową. Ledwie można było uwierzyć, że za tą drewnianą fasadą ukryte jest łóżko. Ale jeszcze bardziej nie do pomyślenia było to, że mogło go tam nie być.

Zauważyła szerokie pęknięcie, ciągnące się wzdłuż drewna. Z poczuciem klęski przyjrzała się drugiemu miejscu do spania. Dwa siedzenia - jej i Larence'a - były do siebie zwrócone, tworząc przestrzeń metr na dwa. Kiedy przyjdzie pracownik pociągu, wypełni materacem lukę, rozłoży na nim prześcieradło i *voilà!* Pojawi się podwójne łóżko.

Jedno.

Skrzywiła się. Jedno łóżko. Dwa ciała.

I w dodatku nie jakieś tam ciało - doktorek we własnej osobie.

- Proponujesz mi więc dzielenie z tobą tego łóżka? - spytała nienaturalnie wysokim głosem.

- No cóż, właściwie to jest moje łóżko.

Emma zachłysnęła się ze zdumienia.

- Mówisz poważnie?

Larence prawie niezauważalnie uśmiechnął się.

- W książce Duffeya o dobrych manierach nie ma ani słowa o zrzekaniu się własnego łóżka.

Dopiero po chwili Emma zdała sobie sprawę, że się z nią drażni. Nie miała pojęcia, jak na takie zachowanie zareagować - od wielu lat nikt z nią nie żartował. Zeszywniała, starając się pozostać chłodna.

- Przypuszczam, że jest to zachowanie, które autor książki przyjmował za pewnik.

- A ja przypuszczam, że wy, wysoko urodzeni, po prostu znacie wiele niepisanych reguł.

Emma zbladła.

- Nie jestem wysoko urodzona - oświadczyła cicho. - Wprost przeciwnie.

Larence patrzył na nią z taką samą uwagą i koncentracją, z jaką wcześniej oglądał swoją gazetę. W zielonych oczach widniała zaskakująca inteligencja.

Emma zeszywniała. Nie podobał jej się sposób, w jaki ten człowiek na nią patrzył, jakby próbował dotrzeć do jej duszy w poszukiwaniu skrywanych tajemnic. A miała ich sporo.

Nie mówiąc ani słowa, wpatrywali się w siebie. W przedziale obok zakaszła jakiś starszy pan. Dźwięk ten wibrował w suchym, gęstym od tytoniowego dymu powietrzu.

- Chyba się tego domyślałem - rzekł wreszcie. Emmaline zeszywniała jeszcze bardziej, widząc, jak uważnie jest obserwowana. Nie podobał jej się kierunek, jaki przybierała ich rozmowa, i to bardzo. Robiła się zdecydowanie zbyt osobista.

- A więc - wyprostowała się i zaostrzyła spojrzenie - dostanę łóżko czy nie?

- Oczywiście, że tak.

Uzucie, jakie wywołało w niej to małe zwycięstwo, było naprawdę dziwne - Emma poczuła się prawie rozczarowana. Nie tak się zwykle czuła, gdy z kimś wygrywała. Gdzie ty będziesz spał?

Larence wzruszył ramionami, a ona nie miała wątpliwości, że jest to odpowiedź szczerą. Jego naprawdę nie obchodziło, gdzie będzie spał. Emma potrząsnęła głową z niedowierzaniem. Zdumiewało ją to, jak bardzo ten człowiek jest szczęśliwy tylko dlatego, że żyje.

Głupiec. Słowo to natychmiast przyszło jej do głowy, ale z jakiegoś tajemniczego powodu nie było w nim jadu.

Jej towarzysz podróży powrócił do przerwanej lektury, a Emma przyłapała się na tym, że uważnie obserwuje jego twarz.

Można było powiedzieć, że jest całkiem przystojnym mężczyzną, oczywiście jeżeli komuś się podoba chłopięcy typ urody. Miał w sobie coś. Ogromną radość życia, która sprawiała, że Emma czuła się trochę stara. A właściwie bardzo stara.

Trudno byłoby mu znaleźć miejsce do spania w tym zatłoczonym pociągu. Był przecież... Był wysokim mężczyzną, wyższym, niż myślała na początku, i musiałby się skulić niczym mały kociak, aby móc się przespać w jednym z foteli w salonie. Zakładając oczywiście, że byłby jakiś wolny.

Spróbowała zająć myśli czymś innym. Skarbami, pogodą, czymkolwiek. Ale wciąż wkradało się w nie słowo „kaleka”. Był kaleką. Zabierała łóżko niepełnosprawnemu człowiekowi. To było bardzo egoistyczne zachowanie, nawet jak na nią.

Jej wzrok niechętnie ześlizgnął się po długich nogach Larence'a do zdartych nosków jego butów. Lewa stopa ukryta była za prawą.

Rzadko myślała o innych ludziach, ich przyjemnościach i bólu. A teraz zdała sobie sprawę, że myśli o chorej kostce swego towarzysza podróży. O nim. Był naprawdę głupi, skoro nie narzekał na to, że kilka najbliższych nocy spędzi skulony na siedzeniu.

Do diabła z nim! Czuła się winna i samolubna - a bardzo nie lubiła myśleć o sobie inaczej niż w superlatywach. Było tylko jedno wyjście z tej sytuacji.

- Możesz dzielić łóżko ze mną.

- Ale...

- Nie mów nic - przerwała mu ostro. - Mogę się jeszcze rozmyślić, a nie chcę tego.

Uśmiech błyszczał w oczach Larence'a niczym pierwsze promienie sierpniowego słońca. Emma czuła jego ciepło w całym swoim ciele. Miejsca, które od lat były zimne i ciemne, poznały teraz powiew gorąca.

- To może być dla ciebie szansa, Emmaline.

Jego uwaga była dla niej jak policzek w twarz. Spojrzała mu prosto w oczy.

- Nie licz na to.

## 6

Emmaline wpatrywała się w łóżko. Na posłaniu rozłożone były białe prześcieradła. Ich wykrochmalone brzegi pokrywały się z obrzeżami równie białych koców. Wyglądało to jak gruba warstwa świeżego śniegu w gładkim mahoniowym pudełku.

Łóżko było bardzo małe. Jakimś sposobem, gdy siedziała naprzeciwko Larence'a - całkowicie ubrana - przestrzeń między nimi wydawała się wystarczająco duża na sklecenie sporego posłania. Teraz Emma ujrzała ją taką, jaka była naprawdę: jednoosobowy materac wielkości małego stołu.

Zerknęła ukradkiem na swego towarzysza i prawie wbrew sobie uśmiechnęła się. Jeśli to możliwe, wyglądał na jeszcze bardziej zakłopotanego od niej. Wpatrywał się w łóżko tak, jakby oczekiwał, że w

każdej chwili spod białych prześcieradeł może się wyślizgnąć jadowita kobra.

- Czy tak jest dobrze, doktorze? Pani Digby?

Mężczyzna z obsługi pociągu skończył rozścielanie.

- Tak, oczywiście. - Larence podał mu monetę. - To będzie wszystko, dziękuję panu.

- Dobrej nocy - rzekł mężczyzna i wyszedł. A oni zostali sami. Czas spać.

Odwrócili się do siebie twarzami. Cisza aż dzwoniła w ich uszach. Larence zakaszłał. Emma przygryzła dolną wargę. Oby dwoje robili wszystko, co w ich mocy, aby tylko nie patrzeć na łóżko. Żadnemu się to jednak nie udawało. Emma wiedziała, że to absurdałne czuć się tak nieswojo, ale nie mogła nic na to poradzić. Spanie z Digbym było ostatnią rzeczą, na jaką miała ochotę. Na samą myśl o tym czuła się jednocześnie zdenerwowana i poirytowana.

- Ładne łóżko...

- Wygląda na wygodne...

Wypowiedzieli te słowa w tej samej chwili, po czym w przedziale znowu zapanowała nienaturalna i niezręczna cisza. Emma wysilała umysł, aby powiedzieć coś dowcipnego, lecz nic nie przychodziło jej do głowy.

- Może wejdiesz do łóżka pierwsza i się przebierzesz - odważył się wreszcie Larence. - Poczekam tutaj.

Mało brakowało, a roześmiałyby się z ulgą. Zniknęła cała niezręczność sytuacji. Jego głupie słowa przywróciły poprzedni stan rzeczy. Poczuli się lepiej, wiedząc, że to ona panuje nad sytuacją. Spojrzała wymownie na swego towarzysza.

- Nie mam się w co przebrać.

- Przepraszam.

- To jest absurdałne - powiedziała ostro Emma. - Zachowujemy się jak dzieci. Nie zgadzam się, aby nasze zakłopotanie jeszcze pogarszało tę nieszczęsną sytuację. Sam powiedziałeś, że jesteśmy dorośli. Zachowujmy się więc tak, jak powinniśmy.

Przytaknął z widoczną ulgą, a na jego twarzy znów pojawił się idiotyczny uśmiech.

- To nie znaczy, że jesteśmy niewinną parą nowożeńców podczas miodowego miesiąca. Przecież oboje spaliśmy już z przedstawicielami przeciwnej płci - dodała Emma.

Larence przełknął głośno ślinę, aż poruszyło się jego jabłko Adama.

- No cóż, właściwie...

- Przestań! - Emma uniosła dłoń, aby powstrzymać go od dokończenia zdania. Zmieszany zamknął usta.

Emma w szoku wpatrywała się w swego towarzysza. Był o krok od wyznania, że nie spał jeszcze z kobietą. Nie miała wątpliwości, że właśnie to chciał powiedzieć.

Nie, to nie jest możliwe, pomyślała stanowczo. Kto wyjawiałby coś takiego, i to w dodatku całkowicie obcej osobie? Żaden z mężczyzn, których dotychczas poznała. Popatrzyła w jego prostoduszne zielone oczy i powoli potrząsnęła głową. Nie...

Muszą istnieć kobiety, które pociągają marzycielscy naukowcy. Przecież nawet Piotr Currie znalazł swoją Marię Skłodowską...

- Będę spała przy oknie - powiedziała wreszcie.

- W porządku.

A jeśli on naprawdę nie miał jeszcze kobiety? Czy niedoświadczony mężczyzna może być niebezpieczny w takiej sytuacji? A jeśli jego długo tłumione żądze ujawnią się w czasie, gdy ona będzie spała? Wyciągnęła z kapelusza dużą szpilkę - tak na wszelki wypadek - i przytrzymała ją przed sobą niczym miniaturową szablę.

- Oczekuję, że zachowasz przyzwoitą odległość.

- Co to jest?

Emma spojrzała na swoją dłoń.

- Szpilka z kapelusza.

- Nie, co to jest przyzwoita odległość?

Znów rozboleła ją głowa. Wyglądało na to, że kiedy on otwiera usta, ją niezawodnie zaczyna boleć głowa. Bez słowa chwyciła brzegi sukni i wdrapała się na posłanie. Na kolanach, zwrócona twarzą do Larence'a, chwyciła ciężką pluszową zasłonę, która odgradzała łóżko od przejścia.

- Po prostu mnie nie dotykaj - powiedziała. Po chwili zasunęła zasłonę i znalazła się sama. Bosko, cudownie sama. Wydała głośne westchnienie ulgi i zaczęła się rozbierać.

Godzinę później leżała sztywno i nieruchomo pod kocami, z głową na miękkiej poduszce. Nie była w stanie czegokolwiek dojrzeć. Gruba kotara odgradzała ją od tej części łóżka, na której spał Larence. Żaden promyk światła nie przedostawał się przez szparę pomiędzy dwoma kawałkami materiału. Zasłony na oknie

też nie przepuszczały ani odrobiny srebrnego księżycowego światła.

Zrelaksuj się, powiedziała do siebie Emma, po raz chyba już tysięczny. Ale nie była w stanie tego zrobić.

Tak naprawdę nigdy jeszcze nie spała z mężczyzną. Uprawianie seksu tak, spanie razem nie. Dawno temu, kiedy mieszkała na ciemnych, zimnych uliczkach i spała skulona pod zwisającymi okapami, śniła o tym, że śpi z mężczyzną i że rano budzi się wtulona w jego ramiona. Marzyła o przytuleniu się, ciepłe i wzajemnej trosce. Ale to było całe wieki temu, zanim jeszcze przestała snuć mrzonki o księciu z bajki.

Teraz wierzyła już tylko w siebie. Uprawiała seks, kiedy chciała, i to ona zawsze wybierała partnera. Aranżowała wszystkie, najmniejsze nawet, szczegóły. To był jedyny znany jej sposób, pozwalający zachować pełną kontrolę nad sytuacją.

Spędzenie nocy z kochankiem oznaczało nie chcianą przez nią bliskość i zaufanie, na które nigdy sobie nie pozwalała. Seks był prosty - szybki, szalony, bezosobowy. Ogólnie mówiąc, Emma lubiła go. Lecz bliskość to coś zupełnie innego.

Bliskość wymaga wrażliwości. Rezygnacji z tego, czego nigdy nie potrafiłaby się wyrzec - kontroli.

Pomyślała o tych wszystkich mężczyznach, łącznie z Eugene'em, którzy prosili ją o wspólne spędzenie nocy, i o sposobie, w jaki ich zbywała. Stanowczo i zimno.

A teraz znajdowała się tutaj, spędzając pierwszą wspólną noc ze szczerzącym się marzycielskim naukowcem, którego nawet nie lubiła. W bardzo, bardzo małym łóżku.

Poczuła mrowienie w całym ciele, spowodowane leżeniem bez ruchu. Nabrała głęboko powietrza i powoli zaczęła się odprężać.

Czuła ciepło leżącego obok męskiego ciała. Mimo że spał najdalej, jak to możliwe, po drugiej stronie łóżka, nie dzieliły i więcej niż trzy centymetry. Żar, który wytworzył się pomiędzy nimi, rozpałał prześcieradła i wywoływał ciarki na ciele. Poczuła krople potu w dołku między piersiami.

To było idiotyczne.

Zmusiła się do myślenia o czymś innym. Skarby. Po raz pierwszy zastanowiła się, czy mogą tam być naprawdę. Czy doktor rzeczywiście zaprowadzi ją do złota i uratuje jej życie?

- Larence? - odezwała się cicho.

Jej towarzysz spadł z łóżka z łomotem i jękiem, po czym wdrapał się na nie ponownie...

- T...tak?

- Czy znajdziemy skarby?

- Tak.

- Jak możesz być tego tak pewien?

Larence wzruszył ramionami.

- Może nie zabrzmi to bardzo naukowo, ale w głębi serca wiem, że tam są.

Emma zamknęła oczy. Podróżowała przez pół kraju z człowiekiem, który wiedział w głębi serca, że skarb istnieje. Myśl ta bardzo ją przygnębiła. Ze wszystkich organów w ciele właśnie serce było tym, na którym można najmniej polegać.

Wypuściła powietrze w długim westchnieniu. Była takim samym głupcem jak on.

- Dobranoc, Emmaline.

- Dobranoc, Larence.

Słyszała, że jej towarzysz przekręca się na bok, a po kilku minutach jego cichy, równomierny oddech zasygnalizował, że Larence zasnął. Potrafił zapaść w sen z łatwością małego dziecka. Palce Emmy, wciąż zaciśnięte wokół szpilki od kapelusza, powoli się rozluźniały. Wbiła ją w róg materaca.

Może ten człowiek zasypiał z taką łatwością, ponieważ potrafił w coś wierzyć.

Leżąc, zastanawiała się, jak by to było wierzyć w coś, i uznała, że być może właśnie taka wiara pomaga ludziom spać w nocy. A przynajmniej Digby'emu.

Miał tak wielkie marzenia.

Ona nie miała nawet jednego. Tego dnia, gdy ojciec popełnił samobójstwo, przestała pozwalać sobie na wiarę w cokolwiek, poza bezpieczeństwem gwarantowanym przez zimne, twarde monety.

A problemy z zasypianiem miała dużo wcześniej.

Larence rozłożył swoje papiery, pióra i taśmy na stoliku, który ktoś z obsługi rozstawił pomiędzy nim a Emmaline. Ostrożnie wyjął ze skórzanego etui nowiutki kompas i położył go obok przyborów do pisania. Potem bardzo delikatnie wyjął z walizki dziennik, umieszczony w specjalnej przegródce, otworzył go na pierwszej stronie i zaczął po raz kolejny sprawdzać zmierzone wcześniej odległości.

- Co robisz? - zapytała Emma, popijając poranną herbatę. Naukowiec wygładził mapę Nowego Meksyku, a jego wzrok przykuła zalesiona część terenu pomiędzy Cibolą a Malpais.

- Porównuję mapę, którą dostałem od Stanton, z punktami orientacyjnymi w dzienniku.

Emma odstawiała filiżankę i sięgnęła po kompas.

- Nie dotykaj go. Cofnęła rękę.

- Nie miałam zamiaru go ukraść.

Larence wyciągnął linijkę i narysował linię pomiędzy dwoma punktami, po czym spojrzął na swoją towarzyszkę.

- Przepraszam - powiedział z lekkim uśmiechem. - Czasami jestem przewrażliwiony na punkcie niektórych rzeczy. Oczywiście, że możesz obejrzeć kompas.

Popatrzyła na przyrząd i skinęła głową.

- Ładny.

- Michael podarował mi go na wyprawę. To najlepszy kompas dostępny na rynku. Odporna na rdzę obudowa, poręczne etui, ozdobna igła. - Przerwał, uśmiechając się. - Przypuszczam, że ten przyrząd niezbyt cię interesuje.

Emma stłumiła nieoczekiwany śmiech.

- Chyba masz rację.

- Może moglibyśmy porozmawiać o czymś innym.

Rozważyła przez chwilę tę propozycję, wyraźnie się wahając.

- Może...

Wyciągnął uwielbiany egzemplarz „Century Magazine”, ten z artykułem Franka Cushinga o jego podróżach po kraju Zuni.

- Chciałabyś obejrzeć...

- Nie, dzięki.

- A może moją mapę. Mógłbym ci pokazać...

- Nie sądzę.

Larence zmarszczył czoło.

- No cóż, może więc ty zaproponujesz coś, o czym moglibyśmy porozmawiać.

- Giełda? - zapytała z nadzieją. Jej towarzysz potrząsnął głową.

- Przepraszam. Może o roślinach?

- Nie. Ekonomia?

- Nieee. Historia?

Zapadła między nimi niezręczna cisza. Podczas gdy patrzyli na siebie, Larence słyszał ciche tykanie swego zegarka.

- No cóż... - wypowiedzieli te słowa jednocześnie. Mężczyzna zachichotał, widząc ich wspólne zakłopotanie.

- Myślę, że wrócę do mojej pracy - powiedział. Emma przytaknęła mu.

- Sądzę, że to doskonały pomysł.

- Dobrze.

- Świetnie.

Ona wyciągnęła starą gazetę finansową, którą znalazła w salonce, i zaczęła czytać. On skupił uwagę na mapie, zaznaczając punkty wodne i rzeki wzdłuż trasy.

Larence westchnął przez sen, przysuwając się bliżej do ciepłego ciała skulonego tuż obok. Coś go załaskotało. Poruszył nosem i odsunął z twarzy przeszkadzające mu kosmyki włosów. Poczł delikatny zapach róż.

Jego ramiona otoczyły ciasno ciało śpiącej kobiety, a noga i ułożyła się na jej udzie. Czł ciepło jej skóry nawet poprzez swoją długą piżamę. Emma przekręciła się. Ciepłe jędrne piersi dotykały jego klatki piersiowej.

Ten nagły kontakt sprawił, że Larence się rozbudził. Zamrugał kilkakrotnie, po czym otworzył szeroko oczy, widząc kobiece ciało.

Leżała wtulona w jego ramiona niczym zadowolony kociak. Twarz miała zwróconą w jego stronę, a ich usta dzieliło kilka zaledwie milimetrów. Równy, spokojny oddech ogrzewał jego twarz i usta.

Larence, przyglądając się długim, podwiniętym rzęsom, rzucającym cienie na blade policzki kobiety, poczuł nagłe, prawie obezwładniające pragnienie, żeby minimalnie przesunąć głowę, tak by dotknąć wargami jej ust. Aby przeżyć swój pierwszy pocałunek.

Potrzebował całej siły woli, aby pozostać w bezruchu. Serce biło mu szybko i głośno. W całym dotychczasowym życiu nie doświadczył chwili tak przepełnionej uczuciami: radosnym podnieceniem, strachem przed odkryciem, pożądaniem.

Spali razem już cztery noce, ale w jakiś sposób dopiero teraz przekroczyli granicę. Przynajmniej we śnie

odnaleźli coś wspólnego, strefę wygody i zadowolenia. Larence modlił się, aby potrafili odnaleźć coś takiego także w dzień, choć zdawał sobie sprawę, że nie jest to takie proste. Emmaline nie należała do osób szybko wzbudzających sympatię, nawet w nim. A ona z kolei nie lubiła nikogo.

Przyglądał się uważnie jej twarzy o nieskazitelnej cerze Jak z porcelany, tak łagodnej, uroczej i zarazem surowej. W ciągu ostatnich kilku dni widział w jej oczach uczucia, które go niepokoiły. Pojawiały się, gdy mówił coś pozornie błędnego - gdy na przykład pytał, czy ma jakąś rodzinę. Zauważał wtedy w jej oczach ból. Był krótkotrwały jak błyskawica, lecz tak silny i elementarny, że Larence prawie czuł jego siłę. Po upływie sekundy oczy Emmy znów stawały się takie jak zwykle. Lecz ból był czymś, co Larence potrafił rozpoznać bez trudu.

Nie była naprawdę taka, na jaką starała się wyglądać, tego był pewien. Uciekała od czegoś z przeszłości, czegoś bolesnego i wstydliwego. Uciekała, jak mogła najdalej.

Współczuł jej. Wiedział dobrze, jak to jest czegoś się bać.

Bezmyślnie odgarnął z twarzy kobiety niesforny, miękki lok. Westchnęła, a jej rzęsy zatrzepotały.

Dłoń Larence'a znieruchomiała. Ostatnią rzeczą, jakiej by sobie życzył, było przyłapanie go przez Emmę na wpatrywaniu się w nią. Przypuszczalnie uderzyłaby go w twarz. Zamknął mocno oczy i udawał, że głęboko śpi.

Budziła się powoli i niechętnie. Po raz pierwszy od lat spała spokojna. Prawie szczęśliwa. Żadne koszmary nie zakłócały jej snu. Czowała się tak, jakby miała milion dolarów.

Przeciągnęła się. I wtedy to zauważyła: jakaś noga leżała swobodnie przerzucona przez jej udo. Ciężka. Ciepła. Męska.

Otworzyła szeroko oczy. Nos Larence'a praktycznie dotykał jej twarzy. Jego dłoń, wplątana w jej włosy, spoczywała tuż obok głowy Emmy. Zamarła, bojąc się nawet odetchnąć, aby go nie obudzić.

Jęknęła w duchu. Proszę, niech się tylko nie obudzi i nie znajdzie mnie tak leżącej...

Poruszając się powoli i ostrożnie, uniosła jego dłoń. Kiedy trzymała ją już kilka centymetrów od swojej twarzy, pozwoliła sobie na ciche westchnienie ulgi. Jak dotąd nie jest źle.

Delikatnie wysunęła udo spod nogi swego towarzysza.

Nagle w korytarzu zabrzmiały głośnie kroki. Emma zamarła. Serce zaczęło walić jej w piersi. Proszę, niech się tylko...

- Następnym przystankiem Albuquerque! - zabrzmiał donośny głos konduktora.

Larence otworzył oczy. Przypatrywali się sobie przez chwilę, po czym rozpoczęła się samotna Emma przycisnęła kurczowo do szyi kołnierzyk koronkowej koszuli i się cofnęła. Jej muślinowa halka zrolowała się w połowie nagich ud. Kobieta patrzyła przerażona na swe odsłonięte nogi, po czym, łapiąc z trudem powietrze, pociągnęła koronkowy brzeg z powrotem w stronę kostek i odskoczyła jeszcze dalej, uderzając plecami w okno. Zasłona się przesunęła, a ostre słoneczne światło zaalało niewielki przedział. Larence, odskakując do tyłu, walnął plecami w twardą mahoniową ścianę, która aż zadrżała pod ich naporem.

Patrzyli na siebie, a ich szybkie oddechy brzmiały donośnie w ograniczonej pluszowymi zasłonami przestrzeni.

- Dobrze spałaś? - spytał nerwowo Larence.

Emma odkasznęła, starając się wyglądać tak, jakby się nic nie stało.

- Tak, a ty?

- W porządku. Jeśli podałaś mi moje spodnie i koszulę, to za minutę mógłbym zejść ci z drogi.

- Dobrze.

Emma chwyciła jego ubranie, leżące w nogach łóżka, i podała swemu towarzyszowi. Larence wciągnął je pod przykrycie i szybko się ubrał, po czym zsunął się z pościeli i stanął za kotarą, chcąc zapewnić Emmie choć odrobinę prywatności.

Zmarszczyła nos, spoglądając na ubranie, które nosiła, odkąd wyjechała z Nowego Jorku. Sięgnęła po gorset. Biorąc głęboki wdech, wcisnęła się w tę osławioną część garderoby, która - jak reklamowano - miała zapewnić jej idealny kształt klepsydry.

Emmie udało się go zasznurować. Miała wyraźne trudności z oddychaniem, gdy wkładała wygniecioną już koszulę, wełnianą spódnicę i żakiet sięgający bioder. Usiadła sztywno wyprostowana i nieruchoma. Kiedy minęły doskonale jej znane zawroty głowy, zręcznie upięła włosy w kok i włożyła kapelusz.

Ubrana, poczuła się lepiej. Teraz bardziej panowała nad sytuacją.

Co mi się stało - zastanawiała się z pewną irytacją. Od wielu lat skromność nie była jedną z jej cech, a tu nagle w ramionach doktorka rumieniła się jak uczennica.

To przeciwstawiało się wszelkim zasadom logiki. Potrząsnęła głową. Było w nim coś, co umykało jej uważnym obserwacjom. Wprawiało ją to w zakłopotanie i irytowało. Cokolwiek by to było, musiała być w przyszłości ostrożniejsza. Ciężko pracowała na swój chłód i opanowanie. Ostatnią rzeczą, której teraz

potrzebowała, był jakiś nierozgarnięty idealista z szerokim uśmiechem, wywracający jej troskliwie uporządkowany świat do góry nogami.

Na szczęście byli już w Nowym Meksyku i nie będą musieli więcej dzielić łóżka. Poradzę sobie z utrzymaniem Larence'a na odległość ręki.

A lepiej jeszcze dalej.

Larence przestępował nerwowo z nogi na nogę. Na zmianę zaciskał i rozluźniał pięści. Wyciągając szyję, po raz tysięczny starał się dojrzeć stację.

Bez powodzenia. Jedyne, co widział, to zadymiona żółto-brązowa masa poniżej jasnoniebieskiego nieba. Metalowe łączniki pod jego stopami podskakiwały i brzęczały, wagony stukotały, wiatr wiał mu prosto w twarz i kłuł w oczy, a łzy spływały po policzkach. Chwycił się mocniej zimnej mosiężnej poręczy. Wykonawszy chwiejny półobrót w stronę wąskich, trzęsących się drzwi wagonu sypialnego, wyrzwał przez zamglone prostokątne okno i dojrzał Emmaline stojącą w grupie pasażerów. Pomachała mu sztywno i ponuro i posłała w jego stronę równie zachęcający uśmiech.

Wezbrała w nim czysta, prawdziwa radość; miał kogoś, z kim Mógł dzielić ten spektakularny moment. Uśmiechając się szeroko, pomachał jej ręką, jak gdyby w geście powitania, Emma potrząsnęła mocno głową, jednocześnie przytrzymując ręką mały kapelusz.

W powietrzu zabrzmiał długi, wysoki gwizd. Larence obrócił się. Łączniki uderzyły o siebie, a nagle przekrzywiona metalowa Podłoga podskoczyła i się zatrzęsała. Mężczyzna mocniej ścisnął Poręcz, siłą woli utrzymując się w pozycji pionowej. Czarna chmura dymu kłębiła się obok wagonu. Pociąg z łoskotem boczył się na długi drewniany peron.

Był wreszcie w Albuquerque.

Emocje ścisnęły gardło Larence'a. Po latach czekania, modlenia się i wierzenia w końcu się tutaj znalazł. I teraz nic już nie mogło go powstrzymać przed odnalezieniem Ciboli.

Gorące, suche powietrze paliło mu płuca, przypominając z bolesną jasnością, że znajduje się właśnie tutaj, w Albuquerque, gdzie rozpocznie spełnianie swojego marzenia.

Emma poczuła w nosie pył, jeszcze zanim drzwi wagonu się otworzyły. Uwięziona w samym środku tłumu pasażerów, powoli przesuwiała się w stronę wyjścia. Podłoga pod jej stopami drżała tak, jakby wibrował cały pociąg. Zasłony w przedziałach sypialnych powiewały poruszane wiatrem. Otaczały ją różne zapachy: intensywna woń ludzi, którzy zbyt długo podróżowali przepełnionym pociągiem, charakterystyczny zapach starego kurzu, wszechobecny aromat perfum i dymu tytoniowego. Wszystkie te zapachy mieszały się, zaciskając się wokół jej gardła i nosa niczym pętla. Przecisnęła się przez wąskie drzwi i znalazła się na trzęsących się metalowych łącznikach między wagonami. Pod pachą ścisnęła parasol i torbę podróżną.

- Tutaj, Emmaline!

Przysłoniła dłonią oczy, zmrużywszy je w jaskrawym południowym świetle słonecznym. Larence stał na opustoszałym peronie i energicznie machał ręką. Twarz rozjaśniał mu uśmiech, po którym można by poznać tego człowieka nawet na końcu świata.

- Tutaj, tutaj!

Czy on naprawdę sądził, że mogłaby go nie zauważyć? Emma odetchnęła głęboko i w tym samym momencie poczuła się tak, jakby do jej płuc dostał się płonący pył. Zaczęła prychać i kasłać, a po chwili z trudem udało jej się płytko odetchnąć.

Powietrze! Na Boga, potrzebowała powietrza!

Zeszła na peron chwiejnym krokiem i się zatoczyła. Gorące powietrze ponownie uderzyło ją w twarz. Desperacko nabierała go haust po haście, starając się przywrócić oddechowi naturalne tempo.

Zaczęła się prostować i poczuła nagle zawroty głowy. Były tak silne, że nie wiedziała, czy zwymiotować, czy zemdleć. Jej kolana ugięły się.

Larence natychmiast znalazł się przy swojej towarzysze podróży.

- Dobrze się czujesz?

- Nie... mogę... oddychać.

- Spokojnie, odpręż się. Nabieraj mało powietrza. Ja będę liczył. Raz, dwa, trzy...

Emma poczuła nieodpartą pokusę, aby go kopnąć.

- J...jak to możliwe, że... ty możesz... oddychać? Powietrze jest... tak suche... i pełne kurzu i... - I czego?

Dłoń Larence'a przesunęła się uspokajająco wzdłuż jej pleców. Kobieta pomyślała o wyszarpieniu się, ale nie miała tyle siły. A poza tym jego dotyk był dziwnie kojący i odprężający. Po kilku minutach było jej już łatwiej oddychać.

- To ta wysokość. Pamiętaj, mówiłem, że Albuquerque znajduje się ponad półtora tysiąca metrów



powyżej poziomu morza.

Spojrząwszy Emmie w oczy, domyślił się, że nie przyszło jej do głowy, by zapamiętać tę cenną informację.

- Mówiłem ci, żebyś nie wkładała tego swojego gorsetu. Tego typu słowa w ustach Larence'a? Emma jęknęła.

- Myślałam... że jest to rada... natury estetycznej. Otoczył ramieniem talię swej towarzyszki, starając się ją podtrzymać. Przełknęła głośno ślinę na wspomnienie niedawnych mdłości.

Z herkulesowym wysiłkiem, bardzo powoli się wyprostowała.

- Czy wszystko...

- W porządku - wyrzeźbiła Emma. - Gdzie jest... Stanton?

- Spotkamy się z nim w San Filipe de Neri. - Larence Dojrzał na kieszonkowy zegarek. - Będzie tam za trzydzieści minut.

- Chodźmy. - Postąpiła mały krok do przodu. Jej żołądek skurczył się na ten ruch, a oddech ponownie stał się szybki i bolesny.

Larence znów znalazł się przy jej boku.

- Mogę przez chwilę przytrzymać się ciebie? Boli mnie kostka i czuję lekkie zawroty głowy.

Emma wydała ciche, bolesne westchnienie ulgi. Nie chciała jego wyrozumiałości, ale nie miała nic przeciwko - tylko ten jeden raz - przyjęciu jego pomocy. Nie poprosiłaby o nią, lecz bardzo jej w tej chwili potrzebowała.

- Pewnie. - Wyciągnęła ramię w jego stronę. Larence uśmiechnął się dziwnie szeroko jak na kogoś, kogo coś bardzo boli, ale Emma nauczyła się już jednego o swoim towarzyszu. Potrafił cierpieć w milczeniu. Nie tak jak ona.

Jego ramię wsunęło się pod jej wyciągniętą rękę. Ciepłe, zaskakująco silne palce ujęły jej dłoń i uściśniły ją mocno. Emma przysunęła się w jego stronę i lekko uśmiechnęła z ulgą.

- Gotowa? - zapytał. Przytaknęła, czując się już lepiej.

- Gotowa.

Chwytając drugą ręką brzeg ciężkiej wełnianej spódnicy, pozwoliła poprowadzić się przez stację. Przeszli przez ciemne, stosunkowo chłodne pomieszczenie i dotarli do podwójnych drzwi. Larence podszedł do nich pierwszy i otworzył je szarpnięciem.

Emma popatrzyła z pogardą na zabudowania, zauważając atrapy piętér, które sprawiały wrażenie, że budynki są wyższe niż w rzeczywistości. Na konstrukcjach tych namalowane były nawet okna, aby biedni przechodnie myśleli, że znaleźli się w metropolii, a nie w małym nędznym miasteczku.

Larence ponownie ścisnął jej dłoń.

- Pięknie, prawda?

Otworzyła usta. Czy patrzyli na to samo miasto? Obok nich przemknął wóz ciągnięty przez konia. Wielkie koła pozostawiały za sobą słup szarobrazowego kurzu, unoszącego się w powietrzu. Jeszcze więcej pyłu i piasku znalazło się w ustach i oczach Emmy. Nieskończenie małe ziarenka kłuły ją w oczy. Po jej twarzy spływały łyzy brązowymi zygzakowatymi strumieniami.

Już niedługo - powiedziała w duchu. Już niedługo odzyskam swoje pieniądze i będę w drodze na wschód.

Nie miała żadnych wątpliwości co do wyniku jej spotkania ze Stantonem: otrzyma z powrotem pieniądze. Nie było sposobu, w jaki ci dwaj naukowcy mogliby wyłudzić wydanie dziesięciu tysięcy dolarów na taką ekspedycję. Kilka celnych uwag na temat tego, gdzie budżet mógłby być obcięty, stalowe spojrzenie połączone z pięknym kobiecym uśmiechem, i *voilà*, będzie miała swoje pieniądze. A zaraz potem wyjedzie stąd. Do widzenia, brudna miłościno Albuquerque, witaj Wall Street.

Wcale nie chciała z powrotem całej sumy. Wszystko, czego potrzebowała, to kilka tysięcy dolarów. Larence wciąż miałby wtedy mnóstwo pieniędzy na odnalezienie swego upragnionego miasta, a ona posiadałaby wystarczająco gotówki, aby odbić się od dna.

Rozpocząć od początku. Te słowa były jak balsam na jej zbolałą duszę, stanowiły cel, o który warto było walczyć. Miała kilka dobrych, niezawodnych pomysłów. Te zamki błyskawiczne, które W.L. Hudson ostatnio opatentował, wyglądały bardzo obiecująco i warto byłoby w nie zainwestować. Także nowe dziecko Villarda i Morgana, General Electric Company, zapowiadało się niesłychanie interesująco...

Emma nie mogła się powstrzymać od uśmiechu. Dobrze było myśleć o pieniądzach i sposobach ich pomnażania.

Jej plan był doskonały. Jutro rano odchodził pociąg do Nowego Jorku - następny dopiero w przyszłym tygodniu - i miała zamiar znaleźć się wśród jego pasażerów. Razem ze swoimi odzyskanymi Pieniędźmi.

- Czy możemy już iść? - Pytanie Larence'a przerwało jej przyjemne rozmyślanie.

Wzięła wciąż płytki oddech.

- Jak daleko?

Złe pytanie. Z gorliwym uśmiechem Larence postawił na ziemi swą sfatygowaną walizkę, przykucnął i zaczął grzebać w jej przepastnym wnętrzu.

- Oto i mapa - rzekł, wyciągając starannie złożony arkusz. Zanim Emma zdołała wypowiedzieć choć słowo, rozłożył mapę Nowego Meksyku do jej pełnych rozmiarów - prawie metr na metr - i zaczął studiować ją z uwagą.

Zajrzała mu przez ramię.

- Jak daleko?

Wstając powoli, zaczął uważnie składać mapę.

- Larence?

- Kościół nie jest zaznaczony.

W jej głowie pojawiło się przerażające podejrzenie.

- Ale on jest w Albuquerque?

Larence przytaknął.

- Tak, jestem tego pewien. Na początku siedemnastego wieku zakonnik o imieniu...

- Wierzę ci - powiedziała szybko, chcąc zapobiec kolejnemu błyskotliwemu monologowi na temat historii.

Głośne brzęczenie mosiężnego dzwonka oznajmiło zbliżanie się konnego tramwaju. Emma prawie zasłabła z ulgi, gdy pojazd zatrzymał się tuż przed nimi. Trąciła swego towarzysza łokciem w bok.

- Spytaj się, gdzie jest to miejsce. - A w duchu dodała: i niech to lepiej będzie w Albuquerque, a nie w Atlancie.

- Proszę pana. - Larence zwrócił się do mężczyzny usadowionego na trójnogim taborecie z przodu tramwaju. - Czy jedzie pan do San Felipe de Neri?

Ten popatrzył na nich zmrużonymi oczami.

- Spieszycie się?

- Nie...

- Tak... - odpowiedzieli w tym samym momencie. Woźnica roześmiał się.

- No cóż, jeśli się nie spieszycie, to wskakujcie. A jeśli się spieszycie, to lepiej idźcie pieszo. Ja i Bullet mamy tutaj przerwę.

Larence uśmiechnął się do mężczyzny.

- Człowiek pokrewny mi duszą - rzekł, oferując Emmie ramię.

Mimo dziesięciu wolnych miejsc w tramwaju, Larence wcisnął się koło niej. Emma umieściła między nimi parasol, a na kolanach ułożyła torbę podróżną. Zaciśnięta odziane w rękawiczki dłonie na skórzanych rączkach i w takiej pozycji zastygła. Znudzona, przyglądała się miastu rozciągającemu się przed jadącym powoli tramwajem. Ulice były niczym więcej jak długimi, szerokimi pasami piasku i kurzu. Po obu stronach drogi znajdowały się budynki, stłoczone niczym domki budowane z dziecięcych klocków. Wszystkie były drewniane, tej samej wysokości, wszystkie miały fałszywe dobudówki i były jednakowo nudne.

Emma przycisnęła do ust dłoń, żeby ochronić się przed tumanem kurzu, wzbijanym przez duże kopyta, którymi powłóczył Bullet. Dzięki Bogu, nie będzie tutaj długo.

Larence przechylił się do przodu na twardym drewnianym siedzeniu i wyglądał zza sztywnych ramion swej towarzyszki. Albuquerque rozpościerało się przed jego oczami niczym miejsce z ponurych powieści Mayne'a Reida. Jego wzrok wędrował w górę i w dół ulicy, chciwie chłonąc widoki, aby przypomnieć je sobie później i delektować się nimi jak kawałkami czekolady najlepszego gatunku. Konne powozy i wozy ciągnięte przez woły przemieszczały się, wzbijając tumany duszącego kurzu.

Gdy mijali bar Biały Słoń, Larence pochylił się jeszcze bardziej, aby mieć lepszy widok. Frontowe drzwi baru były szeroko otwarte, pozwalając im dojrzeć ciemne, wypełnione dymem wnętrze. Można było także zauważyć cienie ludzi, chwiejące się i przesuwające w zamglonym półmroku. Do uszu przechodniów dobiegały zawodzące dźwięki niezbyt wprawnie używanego akordeonu i pianina.

Właśnie tego Larence się spodziewał. Doskonała przystań dla bohatera jakiejś ponurej powieści. Zamknął na chwilę oczy, wyobrażając sobie scenę wewnątrz baru. Dziesiątki nieogolonych, nieokrzesanych mężczyzn siedzących za masywnym drewnianym barem, pijących tani alkohol i rozmawiających donośnymi głosami o ich pracy. Ładne, skąpo odziane kobiety, podchodzące ze śmiechem do mężczyzn i składające propozycje.

Tramwaj posuwał się do przodu. Głośne odgłosy dochodzące z baru stopniowo cichły, aż stały się niesłyszalne.

Powoli w miejsce starej pojawiała się nowa część miasta. Miasteczko rodem z zachodniego pogranicza przeistoczyło się w starą, uroczą hiszpańską wioskę. Jasne gliniane budynki stłoczone były jeden przy drugim wzdłuż szerokiej ulicy. Zza małego placu wyłaniał się piękny, otoczony białym płotem park, który wyglądał niczym oaza pośrodku zakurzonej ulicy.

Ludzie chodzili po placu targowym. Ulicą w obu kierunkach szły konie, muły i osły. Ciężkim uderzeniom

ich kopyt towarzyszyły czasami świsty batów, dosięgających zakurzonych zadów, i zgrzyty zużytych, nienaoliwionych kół poruszających się wozów.

- Prr, Bullet!

Tramwaj się zatrzymał. Woźnica odwrócił się na taborecie, aby spojrzeć na dwójkę pasażerów.

- Jesteśmy na miejscu, przyjaciele. Stare miasto.

- A pozostała część to było nowe miasto? - zapytała z przekąsem Emma. Popatrzyła ze wstrętem na blade gliniane budynki i się skrzywiła.

Czoło Larence'a zaczynało się marszczyć, ale się powstrzymał od rzucenia jakiejś niemiłej uwagi. Nie postanowił stanowczo. Nie pozwolę, by jej ponuractwo zepsuło mi ten dzień. Szkoda, że nie potrafiła dostrzec panującego wokół piękna, ale to naprawdę tylko jej problem.

Emma podniosła się z siedzenia. Wsadziła pod jedno ramię parasol i torbę i popchnęła swego towarzysza w stronę przejścia.

- Chodźmy już.

Jej buty szybko i głośno stukały po podłodze, zanim zeszła na zakurzoną ulicę.

Larence wydał zmęczone westchnienie. Zmusił się do uśmiechu, chwycił swoją walizkę i podążył za Emma.

- Pospiesz się! - zawołała.

Popatrzył z respektem na jej oddalającą się sylwetkę. Znajdowała się około trzydziestu metrów przed nim i wciąż szła, i to szybko. Ze sztywno wyprostowanymi plecami, uniesionym nosem, z chmurą kurzu otaczającą jej stopy i spódnicę, wyglądała niczym generał zmierzający na pole bitwy. Nie dawała po sobie poznać, że może jej być niewygodnie. A musiała być przecież bardzo spocona pod warstwami wełny.

Nagle potknęła się i chwyciła kurczowo za bok. Parasolka, zaklinowana pod jej ramieniem, zachwiała się niebezpiecznie i przechyliła.

- Emma! - Larence rzucił się w jej stronę tak zwinnie, jak tylko pozwalała mu na to chora noga. Nie był wystarczająco szybki. Zanim dobiegł do niej, upadła na kolana, pochylając głowę nad zakurzonym chodnikiem.

Zbliżając się, słyszał świszczący, urywany oddech. Klęczała, zgięta w pół jak zepsuta lalka, i trzymała się za boki. Torba leżała na ziemi obok.

Zaciskając zęby z bólu, spowodowanego szybkim biegiem, Larence wreszcie znalazł się przy swojej towarzyszce.

- Dobrze się czujesz?

Emma wzięła kolejny świszczący wdech, po czym powoli chwyciła torbę i się wyprostowała. Spojrzała na niego, a w jej oczach był tak bezduszny niebieski chłód, że Larence poczuł dreszcze.

- Chodźmy - rzuciła, wsunęła parasolkę pod ramię i zaczęła torować sobie przejście wśród przechodniów. Zostawiony w tyle mężczyzna przyglądał się jej marszowi przez prowizoryczne targowisko, czując żal i jednocześnie jej współczując. Na moment nie zwracała uwagi. Tak naprawdę wątpił, aby w ogóle zauważała ludzi w tłumie, przez który się przepychała.

No cóż, pomyślał, wzruszając ramionami, nie potrafię jej zmienić. Ale ona jego również by nie zmieniła. To była jego wielka przygoda i miał zamiar w pełni się nią cieszyć.

Wsunął wolną dłoń do kieszeni i wesoło pogwizdując, szedł leniwie zakurzoną ścieżką.

- Larence... - najpierw usłyszał swoje imię, wypowiedziane zniecierpliwionym tonem, a zaraz potem szybkie kroki, których nie mógł nie rozpoznać. Obcasy Emmy stukały nieustannie, wznosząc obłok kurzu wokół jej wysoko zapinanych butów i spódnicy.

Pogwizdując trochę głośniejsze, Larence przykucnął obok starej Indianki, by podziwiać jej rękodzieła.

Emma zatrzymała się przy nim i zaczęła niecierpliwie przytupywać.

- Chciałabym znaleźć Stantoną jeszcze w tym stuleciu - zrzędziła.

Jej towarzysz podał starej kobiecie monetę i wstał. Kiedy znalazł się twarzą w twarz z Emma, posłał jej niewinny uśmiech i podsunął ramię. Przyjęła je z wyraźną niechęcią i wspólnie przeszli na drugą stronę ulicy.

Jego uśmiech stał się jeszcze szerszy, gdy zauważył kościół, który stał przy tym placu od prawie dwustu lat. Białe krzyże lśniły w ciepłym kwietniowym słońcu. Ignorując ból w kostce, Larence przyspieszył kroku. Był w pełni świadomy, że za nim podąży ledwo łapiąca powietrze Emma. Wiedział, że powinien zwolnić, dostosować się do niej, ale nie chciał. Nie tym razem. Ten jeden raz pragnął - potrzebował - być egoistą.

Jego podekscytowanie wzrastało. W każdej chwili zza rogu mógł wyłonić się Stanton, a wielka przygoda wreszcie naprawdę się rozpocznie.

Dostanę z powrotem moje pieniądze - ta i tylko ta myśl powstrzymywała Emmę od narzekania na rekordowo szybkie tempo marszu towarzyszącego jej mężczyzny. Z pochyloną głową, palcami zaciśniętymi

na jego ramieniu walczyła, aby dotrzymać mu kroku.

Jej stopy zaplątały się w długą spódnicę i się potknęła. Tylko to, że mocno się trzymała ramienia Larence'a, uchroniło ją przed upadkiem. Jej towarzysz szedł jednak coraz szybciej. Prawie niezauważalnie pochylała się w jego stronę. O dziwo, nie obchodziło jej, że wyglądała na słabą. A była słaba niczym kociak.

Zwrot pieniędzy. Zwrot pieniędzy. Zwrot pieniędzy. Te słowa były jej mantrą i ocaleniem. Rozbrzmiewały w uszach Emmy przy każdym kroku, przypominając bez końca, dlaczego się tutaj w ogóle znalazła.

Zwrot pieniędzy. Już samo myślenie o tym sprawiało, że czuła się lepiej i silniej.

- Stanton! - zawołał Larence. Uniosła głowę i zmrużyła oczy, starając się dojrzeć cokolwiek w ostrym, palącym słońcu. Wreszcie udało jej się rozróżnić ciemny cień; po drugiej stronie ulicy zobaczyła machającego do nich człowieka.

Boże, dopomóż mi, kolejny wariat, pomyślała z jękiem. Przygarbiony starszy mężczyzna podążał w ich stronę, z prawą ręką wyciągniętą na powitanie.

- Mój chłopcze, jak dobrze cię widzieć.

- Ciebie także, Henry - odpowiedział Larence, ściskając dłoń swego mentora. - Chciałbym, abyś poznał Emmaline Hatter.

Henry zwrócił się do kobiety.

- Nasz sponsor?

- Oczywiście - odpowiedziała.

Spojrzał z powrotem na Larence'a i uniósł pytająco siwą krzaczastą brew.

- Interesujące rozwiązanie.

- Prawda? Emma jest zafascynowana Cibolą.

- Zafascynowana - mruknęła sarkastycznie. - Proszę posłuchać, chciałabym porozmawiać z panem o...

- W pierwszej kolejności sprawy najważniejsze - odrzekł starszy pan i natychmiast się od niej odwrócił.

Emma zacisnęła zęby. Dżentelmen nie odwraca się plecami do mówiącej do niego kobiety. Co za typ? Odpowiedź nasunęła się natychmiast: ten sam, który pozostawia jej bagaż na peronowej ławce. Naukowcy, pomyślała ze wstrętem.

Potrząsając głową, chwyciła brzegi spódnicy i podążyła za nimi.

W połowie drogi do wozu z zapasami poczuła czyjeś spojrzenie. Ktoś ją obserwował. Rozejrzała się. Nie dalej niż trzydzieści metrów od wozu zobaczyła grupkę Indian. Śniadzi mężczyźni stali w półkołu, śmiali się cicho i rozmawiali.

Nie ma nic dziwnego w grupie gawędzących mężczyzn - powiedziała sobie zdecydowanie. A potem go zobaczyła.

Wysoki Indianin górował nad swoimi niskimi, przysadzistymi towarzyszami niczym stuletni dąb w otoczeniu młodych drzewek. Nie miał kapelusza ani koszuli, a jego brązowy umięśniony tors błyszczał w jaskrawym słonecznym świetle jak miedź. Jedyną ozdobą na jego ciele była szeroka zielona opaska, która otaczała najbardziej umięśnioną część jego ramienia. Indianin wpatrywał się prosto w Emmę.

Kobieta poczuła nieuzasadniony strach. Zacisnęła nerwowo palce na skórzanej rączce torby. Mężczyzna prawie niedostrzegalnie przechylił głowę w stronę Emmy. Powoli, jakby starając się ją przestraszyć, skrzyżował ręce na piersi i odchylił się do tyłu, wciąż bacznie ją obserwując. Zmrużone oczy wpatrywały się w nią, podążając za każdym jej ruchem. Poczuła emanujące z tego człowieka prawie namacalne zło.

Nie ma nic niepokojącego w tym, że przygląda ci się mężczyzna. Uspokój się. Niepotrzebnie pozwoliła rozszaleć się wyobraźni. Odwróciła wzrok od Indianina, a gdy tylko to zrobiła, poczuła się lepiej. Nie miało sensu martwienie się o coś, co jej nie dotyczyło. Ten mężczyzna był dla niej nikim.

- Oto twój koń, Larence - rzekł Henry, gdy Emma dogoniła naukowców. - Nazywa się Diabło. Nie był tani, ale wart jest każdego centa.

Tani! To słowo było niczym dar od Boga. Postąpiła krok do przodu.

- Właśnie o tym chciałam z panem porozmawiać...

- Piękne zwierzę, Henry. Dzięki - rzekł Larence. Emma popukała starszego pana w ramię.

- O tym, ile pan wydał...

- Cała przyjemność po mojej stronie. Kobieta zacisnęła zęby. Zachowywali się tak, jakby jej tutaj w ogóle nie było. Tak, jakby jej obecność się nie liczyła.

Zacisnęła powieki i cicho policzyła do dziesięciu. Nie chciała zrazić do siebie Henry'ego. Bez jego pomocy nie odzyska ani centa. Kiedy uspokoiła się, spróbowała jeszcze raz.

- Doktorze Stanton, zależy mi na...

Larence otoczył ją ramieniem i przyciągnął do siebie. Emmaline instynktownie zeszywniała.

- Zależy jej tak samo jak mnie na tym, aby jechać. Henry. Kiedy będziemy mogli wyruszyć?

- Wyjeżdżacie jutro o świcie. Zrobiłem dla was rezerwację w pensjonacie Armijo. Rozładujemy teraz

zapasy, a potem pójdziemy na obiad.

Emma prawie westchnęła z ulgą, gdy starszy pan zaczął rozładowywać wóz. Wreszcie zmierzali we właściwym kierunku. Jedyne, co musiała teraz zrobić, to uważnie obserwować, gdzie można zaoszczędzić pieniądze.

Henry podniósł z wysiłkiem trzy zamknięte skrzynki, leżące z tyłu wozu, i postawił je na ziemi.

- Oto twoje zapasy, Larence.

Emma parsknęła.

- Trzy małe skrzynki zjedzeniem kosztowały dziesięć tysięcy dolarów?

Henry uniósł brwi.

- Jakiś problem, panno Hatter?

Larence roześmiał się.

- Jeżeli chodzi o nią, Henry, to problemy są zawsze.

Emma zgromiła go spojrzeniem.

- Nieprawda, doktorze Stanton. Dopóki pana wydatki są... rozsądne, nie będzie najmniejszego problemu.

- To dobrze. Przez chwilę miałem wrażenie, że pani mnie przepytuje.

- Bo tak właśnie było - przyznała.

- Emmaline - rzekł Larence niskim, ostrzegawczym głosem. Emma nie poświęciła mu ani jednego spojrzenia.

- Zobaczymy, na co wydał pan moje pieniądze, doktorze Stanton. Możemy zacząć? - Ominęła go i zajrzała do najbliższej skrzynki. Od razu rzuciła jej się w oczy wystająca z pudełka strzelba. Emma lekko wzdrygnęła się na samą myśl o doktorki! używającym tej broni. Jeden po drugim, przeglądała wszystkie pudełka, katalogując w pamięci ich zawartość. Namiot, spiwory, garnki, liny...

Po przejrzeniu ostatniej skrzynki odetchnęła z ulgą. Henry nie mógł w ten sposób usprawiedliwić wydania dziesięciu tysięcy dolarów. Odwróciła się z uśmiechem wywiczonym podczas lat praktyki.

- Jak to wszystko może być warte dziesięć tysięcy dolarów?

- Nie jest.

Jej serce podskoczyło. Wyciągnęła dłoń w stronę starszego pana.

- To proszę zwrócić mi to, co zostało.

- Nic nie zostało.

- Nic? Trzy skrzynki pełne - Emma przechyliła się i wyciągnęła torbę z cukrem - jedzenia, a pan mówi, że nic nie zostało?

- Prawdę powiedziawszy, piętnaście dolarów musiałem dołożyć z własnej kieszeni. Larence i ja staraliśmy się, aby wydatki były jak najmniejsze.

Torba cukru, którą Emma upuściła, wylądowała na ziemi z głuchym odgłosem.

- Jakie wydatki?

Henry wyciągnął kopertę z kieszeni na piersi, otworzył ją i wyjął arkusz papieru. Rozłożył go i zaczął czytać:

- Cukier, mąka, płatki owsiane, suszone ziemniaki, suszona cebula, mięso...

- Postaraj się znaleźć coś, co kosztuje więcej niż pięć dolarów - przerwała mu niecierpliwie. Muszę przecież zdążyć na jutrzejszy pociąg, dodała w duchu.

- Diabło kosztował dwieście pięćdziesiąt.

- Aha! - Z całej siły powstrzymała się przed radosnym klaśnięciem. - To dużo więcej, niż się płaci za pełnokrwistego konia do powozu.

- To prawda - przyznał Henry. - Ale na tego typu wyprawę potrzebne jest specjalne zwierzę, a w tym przypadku specjalne oznacza drogie.

Emma sceptycznie spojrzała na wielkiego brązowego konia.

- Nie wygląda mi na zbyt specjalnego.

- Ale jest. Każdy jest w stanie na nim jechać. Także ktoś, kto wcześniej nigdy nie jeździł konno, na przykład Larence. W tych okolicach spokojny pustynny koń wart jest więcej niż narowisty ogier.

Uśmiech Emmy zdecydowanie zbladł. Jak mogła walczyć z tego typu argumentami?

- W porządku. - Poprawiła wilgotny kołnierz. - Koń jest uzasadnionym zakupem. Jedźmy dalej. Starszy pan zerknął na swoją listę.

- Juczny muł...

- Ile kosztował?

- Dwadzieścia dolarów.

- Proszę posłuchać, Henry, skończmy z tym. Mam proste pytanie, na które oczekuję prostej odpowiedzi. Wydał pan kilka tysięcy dolarów na zapasy, rozumiem to. Jedyne, czego chcę się dowiedzieć, to gdzie jest

reszta z moich dziesięciu tysięcy dolarów.

Jej pytanie zawisło w gorącym, suchym powietrzu. Emma czuła, jak z każdą sekundą coś zaciska się coraz mocniej wokół jej szyi.

- Kościół - rzekł wreszcie Henry.

Emma spojrzała na niego pustym wzrokiem.

- Słucham?

- Aby mieć dostęp do dziennika Estebana, musiałem ofiarować osiem tysięcy dolarów meksykańskimi zakonnikom, którzy go odnaleźli.

Kobieta z trudem łapała powietrze.

- Osiem... niemożliwych do odzyskania tysięcy?

Starszy pan zmarszczył czoło

Nadzieje Emmy rozwiały się w otaczającym ich kurzu. Wszystko poszło na mamę. Okropna podróż pociągami z jednego końca kraju na drugi, sprzedaż jej ostatniego wartościowego przedmiotu, znoszenie dobrego humoru Larence'a, chodzenie w tych samych ubraniach przez prawie tydzień...

Wszystko na nic. Powróci do Nowego Jorku tak samo biedna jak wtedy, gdy opuszczała to miasto.

Nie, Emma nie zgodziła się nawet na rozważanie możliwości porażki i powrotu do Nowego Jorku. Była już biedna i nie zgadzała się na ponowne znalezienie się na dnie. Zrobi wszystko, aby ponownie zbić majątek.

Myśl, Em. Do diabła, przecież jesteś w tym dobra!

Nie mogła otrzymać z powrotem swoich pieniędzy - to było boleśnie oczywiste. A więc co teraz?

Skarby! Ta myśl pojawiła się w jej głowie z oszałamiającą mocą, a Emma chwyciła się jej kurczowo. Skarby. Oczywiście. Była to jej ostatnia deska ratunku.

I na dodatek teraz wszystko zależało od Larence'a.

Poczuła ścisnięcie w żołądku. Bóg jeden wie, ile czasu minie, zanim doktorek odnajdzie skarb. A czas był tym, czego nie miała. Pięćdziesiąt dolarów, które otrzymała za zegarek, nie wystarczy na długo. Jeśli czegoś nie zrobi, i to szybko, wkrótce będzie zarabiać na życie, sprzedając przywiedle kwiaty na rynku, i pewnie z powrotem znajdzie się w Rosare Court.

Musiała mieć pewność, że Larence się pospieszy, a istniał tylko jeden sposób na uzyskanie jej. Przełknęła głośno ślinę, starając się nie czuć wstrętu, myśląc o swych zamiarach. Ale nie miała wyboru. Pojedzie z nim do Ciboli.

- Zaczniemy więc w końcu - rzekł Henry. - Co chciałbyś zrobić najpierw? Poznać mężczyzn, których zatrudniłem, żeby towarzyszyli ci podczas wyprawy?

Emma zmarszczyła czoło. Mężczyźni? Mężczyźni?! Zatrudnili mężczyzn jako eskortę? Na wyprawę w poszukiwaniu skarbów?

Potrząsnęła głową w niedowierzaniu. Jak ktoś - nawet ci dwaj nierozgarnięci doktorzy - mógł być tak głupi? Na miłość boską, Czy oni nigdy nie słyszeli o grabieżach?

No cóż, jedna rzecz była pewna: nikt nie pojedzie z nią i Larence'em do sekretnego miasta. Już jej w tym głowa. To była w równym stopniu jej wyprawa po skarby, co Larence'a. Nie mogła sobie pozwolić na utratę choćby grama złota. Doktorek może postrzegać świat jako szczęśliwą bajkę, w której marzenia się spełniają, a wszyscy ludzie są mili, ale ona nie. Emma miała pełną świadomość, że świat jest areną, na której człowiek potrafi zabić bliźniego za mamę pięć centów, nie mówiąc już o większych sumach.

Zdeterminowana, zacisnęła usta w cienką linię. Już miała zamiar się odezwać, by oznajmić swoją decyzję, gdy do jej uszu dobiegł cichy męski śmiech. Cichy i kpiący. Groźny.

Nagle sobie wszystko uświadomiła.

*Mężczyźni, których zatrudniłem, żeby towarzyszyli ci...*

## 8

Emma odwróciła się. Wysoki pólnagi mężczyzna wciąż się w nią wpatrywał. Widząc jej spojrzenie, przestał się śmiać. Nagle zapanowała cisza.

Kobieta stała bez ruchu, patrząc w jego ciemne, głęboko osadzone oczy. Brakło jej tchu, a serce biło szybko jak u królika. Usta miała zacisnięte w cienką linię. Poczuła na ciele dreszcze; pot spływał jej wzdłuż kręgosłupa, ale zmusiła się do patrzenia Indianinowi prosto w oczy. Za nic nie pozwoliłaby mu zobaczyć swojego strachu. Ani jemu, ani nikomu innemu.

Nie będę się bać. Nie będę się bać... Powtarzając w duchu te słowa, Emma poczuła się dużo silniejsza. Nie pozwoli temu człowiekowi, żeby ją przestraszył. Przerazone kobiety to słabe kobiety, a ona na pewno do nich nie należała.

Podeszła szybkim krokiem do Henry'ego i Larence'a, którzy myszkowali w skrzynkach z zapasami.

- Nie - powiedziała zdecydowanie.  
 Obydwaj mężczyźni odwrócili się, aby na nią spojrzeć.  
 - Co? - spytali zgodnie.  
 - Nie będę podróżować z tymi ludźmi. Henry posłał w jej stronę uśmiech, który prawie przyprawił ją o mdłości. Emma poczuła się tak, jakby głaskał ją po głowie.  
 - Rozumiem - rzekł tonem człowieka, który uważa, że zawsze wie wszystko najlepiej, a w szczególności to, co jest najlepsze dla kogoś innego. - Większość dam boi się Indian, ale pani naprawdę nie musi. Znam prawie wszystkich w tej grupie i każdemu spokojnie powierzyłbym życie własne lub mojej żony.  
 - To nie ma nic wspólnego z ich rasą. Kompletnie nic. Po prostu uważam... Chwileczkę, co ma pan na myśli, mówiąc, że zna pan prawie wszystkich?  
 - Ka-Neek... Widzisz tego dużego mężczyznę bez koszuli? To jedyny, którego nie znam.  
 - Jestem pewien, że świetnie się spiszą. Henry - powiedział szybko Larence, uśmiechając się.  
 Emma też by się roześmiała, gdyby to wszystko nie było tak diabelnie poważne. Czyżby ci przekłeci naukowcy nic nie wiedzieli o prawdziwym świetle? Połowa mężczyzn wyglądała na złodziei, a reszta na gwałcicieli. A Indianin zwany Ka-Neek mógł być jednym i drugim.  
 Wprostowała ramiona, przygotowując się do batalii.  
 - Oni nie jadą.  
 - Co takiego?  
 - Nie zgadzam się na spędzenie dwóch tygodni na zamartwianiu się, czy nie zostanę zabita, obrabowana lub... - zniżyła głos - coś jeszcze gorszego.  
 - Wszyscy ludzie tam stojący są uczciwi - rzekł Henry, marszcząc czoło.  
 - Wyglądają także na biednych. Może im pan powierzyć wszystko, co tylko pan chce. Ja nie muszę im ufać. I nie chcę z nimi podróżować.  
 - Larence, przemów tej pani do rozsądku. Nie możecie przecież sami jechać na pustynię.  
 - Dlaczego nie? - chciała wiedzieć Emma. Starszy pan zająknął się, jakby nie był pewien, od czego zacząć.  
 - Zabłądzicie.  
 Emma zwróciła się do Larence'a. - Potrafisz odczytywać kompas czy nie?  
 - Potrafię.  
 - Umiesz korzystać z mapy i znaleźć wodę?  
 Przytaknął.  
 Rzuciła Henry'emu triumfujące spojrzenie.  
 - A więc ustalone. Jedziemy sami.  
 Właśnie gratulowała sobie doskonałego wybrnięcia z nieprzyjemnej sytuacji, gdy Larence chwycił ją za ramię i powiodł w odosobnione miejsce, kilka metrów od wozu.  
 - Henry pracował bardzo ciężko nad tą wyprawą, Emmaline.  
 - Nie pojedę z nimi.  
 Jego przenikliwe spojrzenie skupiło się na jej twarzy. Emma opuściła głowę i wpatrywała się w czubki swoich butów. Nie chciała, aby zobaczył jej irracjonalny, upokarzający strach przed Ka-Neekiem.  
 - Co się dzieje, Emmaline? - Mówił cicho, ale stanowczo. Położył dłonie na jej ramionach. Ich ciepło przenikało poprzez gorący wilgotny materiał zakietu i wywoływało w ciele Emmy uczucie mrowienia. - Em? - Jego głos był miękki, łagodny i wywołał w niej nieoczekiwaną tęsknotę. Całe życie czekała, by usłyszeć kogoś wymawiającego jej imię w taki właśnie sposób.  
 Odepchnęła jego dłonie, walcząc o zachowanie przynajmniej pozorów, że panuje nad sytuacją.  
 - Czy jesteś głuchy? Nie jadę z nimi i już.  
 Palec wskazujący Larence'a wsunął się pod podbródek upartej kobiety. Palił jej skórę niczym płonąca pochodnia.  
 Emma zacisnęła powieki, bezskutecznie starając się zachować zimną krew. Nie pozwól, aby zobaczył twoją słabość. Nie daj mu nad sobą takiej przewagi - powtarzała w duchu.  
 - Otwórz oczy, Em. - Nie zareagowała, więc dodał: - Poczekam nawet do wieczora.  
 Z pewnością tak by postąpił. Niechętnie zrobiła to, o co ją prosił. Czują lekkie jak piórko muśnięcia ciepłego oddechu na policzku. Mądre oczy Larence'a sprawiły, że zabrakło jej tchu, a słowa uwięzły w gardle.  
 - Tak jest lepiej. A teraz powiedz mi prawdę. Czego tak bardzo się obawiasz?  
 Emma poczuła ogromne rozżalenie. Za wszelką cenę starała się nie ujawnić strachu, a on i tak w jakiś sposób go zauważył.  
 Te jego cholernie spostrzegawcze oczy przejrzały ją po raz kolejny. Teraz nie było już innego wyjścia, jak powiedzieć mu prawdę i mieć nadzieję, że nie użyje tego przeciwko niej.

- Proszę... Ja... - Wyznanie nie chciało jej przejść przez gardło. Patrząc bezradnie na swego towarzysza, potrzęsła głową. Nie potrafiła mu tego powiedzieć. Po tylu latach narzuconej sobie samokontroli i samotności przyznanie się do strachu było niemożliwe.

Zerknęła nerwowo w kierunku Ka-Neeke, by sprawdzić, czy Indianin wciąż na nią patrzy. Nadal się jej przyglądał. Wzrok Larence'a pomknął tuż za jej spojrzeniem. Odwrócił się, długo i twardo przyglądał się Indianinowi, po czym powoli przeniósł wzrok ponownie na twarz Emmy.

Wstrzymała oddech.

- W porządku - zdecydował. - Pojedziemy sami. W ten sposób przeżyjemy nawet większą przygodę.

Emma wypuściła wstrzymywane w napięciu powietrze. Dzięki Bogu... i Larence'owi.

Z niemałym wysiłkiem opanowała dygot dłoni. Była głupia, wiedziała o tym, ale ta wiedza jej nie pomagała.

- Powiedzmy o tym twojemu przyjacielowi - powiedziała, starając się, aby jej głos zabrzmiał pewnie.

- Emmaline?

Nie patrzyła na niego. Nie była w stanie, bo wiedziała, że ulga wciąż jest obecna w jej oczach. Jeśliby ją zobaczył, przekonałby się, jak bardzo przed chwilą była przerażona, a Emma dawno temu nauczyła się, że ujawnianie informacji o sobie jest błędem. To daje innym władzę nad człowiekiem, bo wiedzą, jak go zranić.

Już i tak dała mu wystarczającą broń. Byłaby niespełna rozumu, gdyby dała jej jeszcze więcej. Spędziłaby wtedy całą Wyprawę na zastanawianiu się, kiedy on użyje tej broni przeciwko niej.

Bez spoglądania na Larence'a chwyciła go za ramię i popchnęła w stronę wozu. Henry spojrział na nich wyczekująco.

- Nie będziemy potrzebować Indian - rzekł Larence.

- Ale przecież nie możecie jechać sami. To nie będzie bezpieczne.

- Bezpieczniejsze niż wyprawa razem z nimi - odpowiedziała Emma.

- W takim razie nie będzie to przyzwoite - dodał starszy pan ostrym, ojcowskim tonem.

- Akurat mnie to obchodzi - rzuciła.

- Ale klątwa...

- Jaka klątwa? - zapytała.

Henry zerknął niespokojnie w kierunku Indian, po czym ściszył głos.

- Podobno na poszukiwaczach zaginionego miasta ciąży klątwa. W ciągu minionych lat wielu próbowało odnaleźć Cibolę. Nikomu się nie udało, a większość zmarła...

- Bzdury. Larence i ja nie wierzymy w żadne głupie lokalne przesady, prawda?

- Prawda.

Henry westchnął ciężko i uniósł dłonie do nieba.

- W porządku, odeślę ich do domu. - Nie będą mieli nic przeciwko zapłacie za nierobienie niczego, ale nie mogę polecić...

- Zapłacie? Zapłacie? - powtórzyła Emma. - Oni nie otrzymają zapłaty, doktorze.

- Panno Hatter, proszę spojrzeć na to...

- Nie, doktorze. Nie jadą, a więc nie dostaną pieniędzy.

- Dostaną - oświadczył Larence. Głos miał łagodny, ale jednocześnie twardy jak stal.

Zdziwiona Emma zamrużyła. Jej towarzysz śmiał się z nią nie zgadzając! To było jak otrzymanie klapsa od świętego Mikołaja. Zmarszczyła czoło.

- Ale... Potrzęsła głową.

- To nie byłoby uczciwe. Czekają gotowi do drogi. W takiej sytuacji mogą zatrzymać pieniądze.

Poczuła nasilający się ból w tylnej części głowy. Widząc nieugiętą minę Larence'a, zrozumiała, że on zdania nie zmieni.

- Dobrze - prychnęła. - Wrzuć zapasy na wóz i ruszajmy wreszcie.

- Na wóz? - zapytali jednocześnie Larence i Henry. Emma poczuła wyjątkowo nieprzyjemny ucisk w żołądku.

- Sądziłem, że wspominałem ci o tym - powiedział Larence. - Do Ciboli można dotrzeć jedynie na...

- Nie. Nie. Nie!

- ...koniu.

Zacisnęła powieki. Na Boga, nie lubiła nawet obrazów przedstawiających konie.

- Jak długo będzie trwać podróż?

- Około tygodnia. W jedną stronę - odpowiedział starszy pan. - Oczywiście, zakładając, że nie będziecie iść pieszo. Emma szeroko otworzyła oczy.

- Pieszko?

- Nie uwzględniałem pani w planach, kiedy wyposażałem Larence'a. Jest więc tylko jeden koń. Musiałem



się udać aż do Santa Fe, żeby znaleźć wierzchowca odpowiedniego dla nowicjusza. Tutaj wszyscy jeżdżą na koniach. - Przyjrzał jej się uważnie. - Nie przypuszczam, aby była pani miłośniczką tych zwierząt.

Emma przypomniała sobie jedyny raz, kiedy próbowała pogłaskać konia; niewdzięczna bestia ugryzła ją wtedy w rękę. Posłała Henry'emu sarkastyczny uśmiech.

- Ja też nie przypuszczam.

- Mamy jucznego muła...

Wpatrywała się w starszego pana z niedowierzaniem.

- Nie, nie sędzę. - Zmarszczył na chwilę czoło, po czym wzruszył ramionami. - Myślę, że będzie pani musiała po prostu iść pieszo.

Nie raczyła nawet odpowiedzieć na taką sugestię.

- Mogłabyś wziąć mojego konia. - Propozycja została złożona tak cicho, że mało brakowało, a Emma by ją przeoczyła. Oblizła osuszone wargi i potrząsnęła głową.

- Nie byłbyś w stanie iść tak daleko...

- Zaczekajcie chwilę - przerwał im Henry. - Właśnie przyszło mi coś do głowy. Javi!

Krępy ciemnoskóry mężczyzna wyłonił się z grupy Indian i skierował w ich stronę.

- Tak, panie Stanton?

- Czy zgodziłbyś się sprzedać tej damie Tashee?

Javi zdjął z głowy sfatygowany słomkowy kapelusz. Jego ciemne brudne palce ścisnęły rondo, gdy wpatrywał się w naukowca.

- Nie wiem... moja Tashee jest bardzo mądra i dzieci ją kochają...

Emma westchnęła niecierpliwie.

- Ile?

Javi rzucił jej przestraszone spojrzenie.

- Słucham?

- Ile chcesz za swojego konika? - Rozejrzała się. - A gdzie on w ogóle jest?

- Chwileczkę, panienko, moja Tashee nie jest...

Henry położył bladą dłoń na szerokim ramieniu Indianina.

- Ta pani jest z miasta.

Javi spojrzał na kobietę z rezerwą.

- Aaa...

- Chodzi o to, Javi - perswadował łagodnie starszy pan - że moi przyjaciele potrzebują Tashee. Tylko na kilka tygodni. Może mogliby ją wypożyczyć?

Ciemnoskóry mężczyzna namyślał się przez chwilę, po czym powoli skinął głową.

- W porządku. Pożyczę ją za trzydzieści dolarów.

- Trzydzieści dolarów!

Henry mocno chwycił ramię Emmy.

- Odpowiada nam ta cena, Javi. Czy siodło jest w nią wliczone?

- Jasne, ale do mojej Tashee nie potrzeba siodła. Pójdzie za koniem jak owieczka.

- Dobrze. - Henry uśmiechnął się.

- Dziękujemy ci - rzekł miękko Larence. - Doceniamy twoją hojność.

Javi wyszczerzył zęby w uśmiechu i odszedł.

- Hojność. Ha! - parsknęła Emma. - Mogłabym kupić za to narowistego ogiera.

- Panno Hatter, tu jest Nowy Meksyk, a nie Nowy Jork - rzekł starszy pan. - Może pani spróbować...

- Niech pan nie nudzi - przerwała mu Emma, machając ręką. - Mężczyźni lepsi niż pan próbowali mnie zmienić. Ale ja lubię siebie taką, jaka jestem. - Powiedziawszy to, skrzyżowała ręce na piersiach i zmrużyła oczy przed oślepiającym blaskiem słońca. Niecierpliwie czekała na konia.

- Oto i ona - oznajmił Javi głosem napęczniałym dumą. Krzywiąc się, Emma otworzyła oczy. I zamarła.

- Nie ma mowy - wymamrotała, potrząsając głową i cofając się o krok. Larence popatrzył na nią zdziwiony.

- O co chodzi?

Głośny ryk przerwał ciszę. Do nosa Emmy dotarł kwaśny oddech. W jej stronę szczyrzyły się wielkie żółte zęby. Nie pojadę do Ciboli na osła.

## 9

Jechała przez pustynię na osła. Nie do wiary!

Dzięki Bogu, że to nie będzie długa wyprawa. Jedyne, czego chciała Emma, to dotrzeć do miasta, zabrać

złoto i szybko się stamtąd wynieść.

Zbyt niecierpliwa, aby robić coś innego, przyglądała się rozciągającemu się przed nią pustynnemu krajobrazowi. Jego pustka wywoływała w Emmie niepokój. W całym swym dotychczasowym życiu nie wystawiła nosa poza miasto...

Nie bądź głupia - uspokajała samą siebie. Jeżeli przetrwałaś w Rosare Court, potrafisz to zrobić wszędzie.

Uświadomienie sobie tego przyniosło oczekiwany spokój. Emma usadowiła się głębiej na dziwnej kombinacji drewna ze skórą, którą Javi określił jako siodło. Wzdychając z irytacją, wyciągnęła swój bardzo użyteczny zegarek kieszonkowy i sprawdziła ponownie godzinę. Była 5.45. Niedługo zacznie się robić gorąco. Henry powiedział, że wczoraj było wyjątkowo ciepło, ale nie było to niezwykle. Widząc minę Emmy, zaśmiał się i dodał, że żadna pogoda, począwszy od śniegu, a skończywszy na dwudziestu siedmiu stopniach, nie jest czymś niezwykłym w Nowym Meksyku w kwietniu.

Miała nadzieję, że nie zrobiła błędu, odmawiając przyjęcia zaoferowanych przez niego ubrań. Nie, powiedziała sobie. Podjęła właściwą decyzję. Czarny wełniany strój podróżny, który nosiła już od prawie tygodnia, był odpowiedni. Nawet jeżeli spódnica związała się wokół ud. W końcu nie było tu nikogo, kto zauważyłby jej odkryte nogi, zwisające po obu stronach grzbietu Tashee niczym dwa wahadła. Nikogo oprócz Larence'a, a była w stu procentach pewna, że jego to nie obchodzi.

Może i miała złą passę, ale nie była meksykańską wieśniaczką i nie zgadzała się na noszenie charakterystycznego dla nich stroju. Zacisnęła z dezaprobatą usta. Obcisłe bawełniane bluzki z odsłoniętymi ramionami, powiewające spódniczki, skórzane sandały... Ha! Nie pozwoliłaby, by ktokolwiek zobaczył ją w takim stroju. Nawet Larence.

Właśnie się odwrócił, by coś do niej powiedzieć.

- Myśle... - zaczął i ciężko spadł na ziemię. Wokół niego unosiła się chmura kurzu. Ze środka brązowego tumanu dobiegał głośny, radosny śmiech. Kaszląc i prychnąwszy, Larence odczekał, aż kurz opadnie, po czym się podniósł. Pierwsze, co ujrzała Emma, to biel jego uśmiechu.

- Mały upadek. - Tłumiony śmiech i wdychany wcześniej kurz zmieniły nieco jego głos.

Emma z trudem powstrzymała się przed jakąś ciętą ripostą. Na Boga, znajdowali się niecałe pięćdziesiąt metrów od Albuquerque, a jej towarzysz zdążył już spaść z konia. Wyciągnęła kieszonkowy zegarek i popatrzyła na surową, nieozdobioną żadnymi dekoracjami tarczę.

- Szósta. - Zatrzasnęła zegarek z powrotem. - Jedźmy dalej. Twój przyjaciel mówił, że około jedenastej przypuszczalnie zacznie się robić gorąco.

Larence otrzepał się z kurzu i powrócił do Diabła, który stanął nieruchomo, gdy jeździec spadł z jego grzbietu.

- Cześć, mały. Pewnie minie trochę czasu, nim się do siebie Przyzwyczaimy. Mam nadzieję, że mi w tym pomożesz.

Rozmawiał z koniem!

Diabło zarżał cicho i otarł szeroki pysk o nogę jeźdźca.

Emma przewróciła oczami.

- Masz zamiar na nim jechać czy go poślubić? Na miłość boską, ruszajmy.

Larence spojrział na nią z rozbawieniem, po czym niezdarnie wdrapał się na wierzchowca. Gdy znalazł się w siodle, Diabło ruszył klusem.

Tashee podążyła za nim i wtedy Emma zsunęła się z prowizorycznego siodła, lądując ciężko na kościstym grzbiecie osła. Lewą stopą uderzyła w duży kamień i poczuła ból promieniujący na całą nogę.

Zdusiła cisnące się na usta przekleństwo i przytrzymała się kurczowo dwóch skrzyżowanych ze sobą cienkich kawałków drewna, tworzących uchwyt siodła, podskakujący przy każdym kroku osła. Zacisnęła powieki, modląc się w duchu, żeby nie spaść.

Kłus przekształcił się w spokojny spacer. Emma westchnęła z ulgą. Udało jej się. Chwilę potrwało, nim otworzyła oczy, a kolejna upłynęła, nim zdała sobie sprawę, co przed sobą widzi. Wielki zad Diabła.

Zacisnęła ze wstrętem usta. Szarpnęła za lejce i spróbowała skierować Tashee w inną stronę. Zwierzę potrząsnęło łbem i wciąż posuwało się naprzód z mokrym, zasmarkanym czarnym pyskiem, trzymającym się ogona konia.

Pociągnęła za uzdę. Tashee parsknęła, odrzuciła łeb do tyłu i zrzuciła ją z siodła.

Emma upadła na ziemię szybciej, niż zdążyła zdać sobie sprawę z tego, co się dzieje.

- Larence! - krzyknęła, kaszląc w otaczającym ją pyłe. Diabło zatrzymał się, odwrócił łeb i popatrzył na nią. Prawie była w stanie odczytać myśli konia i prawdę powiedziawszy, wcale jej się nie spodobały.

Kąćki ust Larence'a podejrzliwie zadrżały.

- Potrzebujesz pomocy?

Spojrzała na niego wilkiem. Z trudem powstrzymywał się od śmiechu.

- Nawet się nie waż - powiedziała stłumionym głosem, czując piasek na języku.

- Ja? Nigdy.

I właśnie wtedy ciepły, mokry pysek dotknął policzka Emmy. Wilgotny język przesunął się po jej szyi. Z okrzykiem obrzydzenia odsunęła od siebie wielki łeb i spojrzała na muła, który ją obwąchiwał.

- Odejdź ode mnie.

Muł ustawił się z powrotem za Tashee. Emma powoli podniosła się, badając, czy nie jest zbyt poobijana. Otrzeпаła ubrania z kurzu, chwyciła brzeg spódnicy i ułożyła go między nogami, tworząc prowizoryczny strój do jazdy konnej. A potem znów wdrapała się na swoje miejsce.

Chwyając za uzdę, skinęła szorstko głową w stronę Larence'a. Ale on nie patrzył na jej twarz. Jego uwagę przykuwały łydki Emmy i... długie nogawki jej majtek. Jego wyraźnie zaintrygowane spojrzenie wędrowało wzdłuż całych nóg. Powoli.

Prawie z uznaniem.

Emma prychnęła i opuściła spódnicę najniżej, jak się tylko dało. Larence odwrócił się ze śmiechem.

- Jedziemy, Diabło.

I znów zaczęli powoli posuwać się naprzód.

Znudzona Emma rozejrzała się. Nowy Meksyk rozciągał się przed nią niczym zwój wielbłądziej wełny. Tu i tam kępy niskich szarozielonych krzaków stawiały opór bezlitosnemu słońcu, ale poza tym panowała tutaj pustka. Nie było ptaków fruujących w mglistym świetle poranka, węży prześlizgujących się między chłodnymi kamieniami, budynków, domów mieszkalnych ani biur, szumu czystego górskiego potoku.

Jedynym odgłosem był stukot kopyt, uderzających w drewniany most. A kiedy już przecięli rzekę, zanikł nawet i ten dźwięk.

Za każdym razem, gdy Emma patrzyła na zad Diabła - a doprawdy nie była w stanie uniknąć tego widoku - czuła narastającą falę urazy. Jechanie za Larence'em godziło w jej dumę. Jej miejsce było z przodu, obok niego. Ale dzięki tej zdrajczyni Tashee Emma jechała za swoim towarzyszem niczym

Posłuszna żona. Przez następny tydzień będzie oglądać tylko skały, kurz, brud i zad konia.

- Cudownie - wymamrotała do siebie. - Po prostu wspaniale.

- Prawda? - Entuzjastyczna odpowiedź Larence'a rozbrzmiała echem w pachnącym żywicą powietrzu. - Tak się cieszę, że zdecydowałaś się jechać ze mną. Wiedziałem, że kiedy już się tutaj znajdziesz, przekonasz się, jakie to wszystko jest cudowne. - Odwrócił się w siodle, aby na nią spojrzeć. - Założę się, że nigdy...

I znów wylądował na ziemi.

Diabło od razu stanął bez ruchu. Tashee zderzyła się z nim i odskoczyła do tyłu. Muł uderzył w zad oślicy, a ta w odpowiedzi wierzgnęła kopytami do tyłu. Emma zachwiała się i spadła, lądując z cichym plaśnięciem obok Tashee.

Zacisnęła pięści i uderzyła nimi w twardą ziemię, walcząc z przemożną ochotą, aby krzyknąć ile sił w płacach.

Szybciej byłoby iść pieszo.

Do diabła, czołganie się byłoby szybsze!

Słońce kontynuowało powolną, nieubłaganą wędrówkę po niebie. Coraz cieplejsze promienie spływały w dół na surowy, niegościnnie teren. Kolce i ciemię na tysiącach karłowatych krzewów połyskiwały zielono, a pył pod końskimi kopytami błyszczał niczym drobinki złota.

Jastrząb z czerwonym ogonem bez wysiłku zataczał ogromny łuk na bezchmurnym niebieskim niebie. Larence przechylił się w siodle i popatrzył w górę, zakłócając w ten sposób swoją i tak niepewną równowagę, spadł więc uderzając z hałasem o ziemię. Jego pierwszą reakcją był śmiech. Czysty, głośny odgłos ludzkiej radości rozbrzmiał w świeżym wiosennym powietrzu. Larence poczuł się jeszcze lepiej.

Życie wydało mu się takie piękne. Zwrócił się twarzą w kierunku porannego słońca, rozkoszując się ciepłem jego promieni. Łagodny wietrzyk rozwiewał mu włosy i przyjemnie chłodził. Nagle spokój Larence'a zakłóciło niewyraźne przekleństwo. Popatrzył na Tashee i ujrzał czarną plamę, a po chwili chmurę pyłu.

Emma spadła na ziemię tuż obok niego. Smugi szarobrazowego kurzu unosiły się w powietrzu, a drażniące drobinki wdzierały się do nosa i oczu Larence'a. Czekał, aż jego towarzysza zaśmieje się razem z nim. Sam nie wiedział, dlaczego się tego spodziewa - do tej pory w ogóle się nie śmiała, a spadła prawie tyle razy co on. Ale on wciąż na to czekał. Pragnął jej beztrzęsłego śmiechu. Zawsze tak było: oczekiwał, że ludzie będą się cieszyć życiem w takim samym stopniu jak on. Ale jeśli chodzi o Emmę, wciąż się mylił i był rozczarowany.

Zmienił pozycję, aby zmniejszyć ból w kostce, i zauważył obok siebie prawdziwy skarb. Kwitnący kaktus. Jego piękno bez mała pozbawiło go tchu. Obrócił się, aby lepiej mu się przyjrzeć, wyciągnął z kieszeni

mały, oprawiony w skórę notes i zaczął szkicować podziwianą roślinę.

Usłyszał, jak Emma się podnosi. Otrzeptała się energicznie i ponownie weszła na ośła. Ale w tej chwili nie zwracał sobie tym głowy. Wprawnymi ruchami szkicował na czystej kartce szarzielone kolce.

- Hej, Emmaline! - zawołał podekscytowany, gdy udało mu się perfekcyjnie odwzorować pierwsze pąki. - Chodź, popatrz na to.

Oczywiście, nie pojawiła się przy nim, ale nawet tego nie oczekiwał. Mimo to nie mógł się powstrzymać od złożenia przepelnionej nadzieją propozycji.

- Na miłość boską, Larence, to wygląda dokładnie tak samo jak te wszystkie karłowate chwasty, obok których zeskakiwałeś... albo raczej spadałeś i rysowałeś je, odkąd wyjechaliśmy z Albuquerque.

W zdumieniu potrząsnął głową. Jak można nie dostrzegać piękna otaczającego świata? Przyjrzał się uważnie swojej towarzyszkę podróży. Jak zwykle siedziała wyprostowana, trzymając nad głową rozłożoną parasolkę, która miała ją chronić przed słońcem. Czarna spódnica falowała wokół jej bioder i kolan niczym dwa identyczne balony, a poniżej jej brudnego brązowego skraju zwisały luźno nogi Emmy. Zakurzone czarne buty prawie sięgały ziemi.

Larence spojrzął na swój kieszonkowy termometr; przyrząd wskazywał dwadzieścia cztery stopnie. A ona siedziała sztywno w swoim kostiumie podróżnym, który musiał być morderczo ciepły. Wyglądała komicznie.

Larence nie śmiał się jednak. Miał na to ochotę, naprawdę z trudem się powstrzymywał, lecz za każdym razem, gdy zdał sobie sprawę, jak idiotycznie wygląda Emma, i zaczynał się uśmiechać, patrzył w jej oczy. I śmiech na jego ustach zawsze zamierał.

Była kobietą, która bardzo nie lubiła, gdy ktoś się z niej śmieje. To by go nie powstrzymało, lecz gniew nie był jedynym uczuciem malującym się w jej oczach, kiedy Larence robił sobie z niej żarty. Było coś jeszcze, coś krótkotrwałego i szybko tłumionego, co sprawiało jednak, że czuł się niepewnie. Miał wtedy wrażenie, że naprawdę ją zranił.

Przyglądał się uważnie jej profilowi, jak zwykle urzeczony klasyczną urodą tej kobiety. Emma patrzyła prosto przed siebie, najwyraźniej zafascynowana zadem Diabła. Tylko napięta linia jej szczęki i kurczowy zacisk dłoni na uździe zdradzały jej zniecierpliwienie.

Larence odkrył, że bardzo chce, by na niego spojrzała. Czasami, jak na przykład wtedy, gdy jej powiedział, że pojedą bez towarzystwa Indian, widział w jej oczach zupełnie inny wyraz. W takich chwilach było w nich coś, co sprawiało, że serce waliło mu w piersi, a oddech gwałtownie przyspieszał. Coś, co pragnął ujrzyć ponownie. Lecz chwile te były tak rzadkie, tak krótkotrwałe, że potem zastanawiał się, czy przypadkiem nie miał przywidzeń.

Westchnął. Gdyby tylko potrafiła się odprężyć. Jeśli jej wspaniałe włosy opadłyby na ramiona, jeśli nie byłaby ciągle tak sztywno wyprostowana i zaczęła się cieszyć ich wspaniałą przygodą... Mogłaby się bawić tak dobrze jak on. Wtedy dzieliliby radość.

- Larence...

Poprzez wir myśli usłyszał głos. Wiedział, że jest to głos jego babki, która w tak surowy sposób wymawiała jego imię.

- Larence, odejdz od tego okna. Nie ma sensu patrzeć, jak bawią się inni chłopcy. Ty nigdy nie będziesz mógł się do nich przyłączyć.

A jeśli nie odchodził od razu, babka zaczynała od początku. Ten sam ton, te same słowa, tym razem ostrzej wypowiedziane. Bardziej niecierpliwie.

- Larence... Do diabła, Larence...!

Na dźwięk głosu Emmaline powrócił z przeszłości. Jego policzki nagle zrobiły się gorące.

Dziesięć lat, które upłynęły od śmierci babki, spędził na odzyskiwaniu pewności siebie i uczeniu się miłości do świata, do życia. I nie pozwoli teraz tej kobiecie obrócić swoich marzeń w popiół. Nie pozwoli jej na to, by wysssała życie z jego duszy. Nigdy!

Wpychając ręce do kieszeni, Larence podszedł do Emmy. Siedząc okrakiem na małym ośle, prawie dorównywała mu wzrostem.

Odróciła się, aby na niego spojrzeć; gniewu w jej oczach nie można było pomylić z niczym innym.

Podszedł bliżej.

Zmarszczyła czoło i odchyliła się do tyłu, starając się utrzymać tak dla niej ważny dystans.

Zrobił kolejny krok w jej stronę.

Emma drgnęła. Larence słyszał jej głośny oddech.

Dobrze, pomyślał z nowymi zapasami pewności siebie, niech zastanawia się ona, co mam zamiar zrobić.

- Emmaline, chcesz wziąć kompas i mapę i zaprowadzić nas do Ciboli? - spytał.

Jej czoło zmarszczyło się jeszcze bardziej. Niepewność w oczach Emmy zastąpiła ostrożność.

- Nie.

- A więc czas na ustalenie podstawowych zasad. Zasada numer jeden: to jest moja ekspedycja. Ja tu decyduję. Kiedy Powiem, że jedziemy, to jedziemy. Kiedy każe się zatrzymać, to się zatrzymamy. Jeśli to ci się nie podoba lub nie jesteś w stanie się podporządkować, możesz zawrócić. Ponieważ nie będę poganiany ani przez ciebie, ani przez nikogo innego. - Zbliżył się do swojej towarzyszki na tyle, by dojrzeć maleńkie ciemnoniebieskie plamki w jej szafirowych oczach. - Zrozumiano?

Emma oblizła usta.

- Ale...

- Zrozumiano?

Przygryzła dolną wargę. Oddałaby teraz wszystko, by mieć decydujący głos w czasie tej wyprawy, by zabrać mapę i kompas i poprowadzić ich do Ciboli, ale nie byłaby w stanie tego zrobić. Oboje o tym wiedzieli. Żadne doświadczenia życiowe Emmy nie przygotowały jej do prowadzenia tej ekspedycji.

Po długiej chwili ciszy z trudem przełknęła ślinę.

- Zrozumiano.

Duszę Larence'a przepełnił triumf. Musiał się szybko odwrócić, by ukryć swój szeroki uśmiech. Oddalił się w stronę Diabła, czując się tak, jakby wyrosły mu u ramion skrzydła.

Pierwsze punkty. Teraz on rozdaje karty.

Nagle zapragnął, aby ta wyprawa nigdy się nie skończyła.

## 10

Znajdowali się w piekle. Emma uniosła wilgotną dłoń do jeszcze bardziej wilgotnego czoła i wydała długie westchnienie. Poniosła porażkę

Została ukarana za te wszystkie lata zaniedbywania obrządków religijnych. W swojej naiwności była przekonana, że tylko umarli mogą znaleźć się w piekle, ale teraz przekonała się, że takie myślenie było fatalnym błędem. Nie doceniała Boga. A dziś za to płaciła.

Wściekle promienie gorącego słońca przebijały się przez materiał modnej parasolki za dwa dolary i paliły twarz Emmy. Krople potu spływały po rozpalonych policzkach i zbierały się za sfatygowanym wysokim kołnierzem. Gorąca mokra bawełna ściśle przylegała do Jej szyi. Emma czuła słony zapach własnego potu.

Trzęsącą się dłonią - bez rękawiczki - odgarnęła lepkie blond loki przyklejone do czoła. Wysięk, jaki włożyła w ten gest, prawie do reszty pozbawił ją sił. Z trudem łapiąc oddech, sięgnęła do kieszeni na piersi po przeпоcony kawałek koronki, który kiedyś był ręcznie tkaną irlandzką chusteczką. Trzymała przez chwilę pomarszczony biały kwadrat, po czym przyłożyła go do spoconego czoła.

Materiał wchłonał niewiele wilgoci, pozostawiając resztę spływającą gorącymi strumyczkami po policzkach. Wzdychając po raz kolejny, Emma bezwładnie opuściła dłoń na kolana. Biała chusteczka z monogramem powiewała na tle czarnej wełnianej spódnicy niczym flaga człowieka kapitulującego. Emma popatrzyła na nią z otwartą wrogością. Ten maleńki kawałek materiału został z pewnością zaprojektowany przez mężczyzn dla kobiet, które „łsnia”.

No cóż, ona „łsnia” tego ranka do około dziewiątej. Od dziewiątej do jedenastej po prostu się pociła. A w ciągu każdej - przeraźliwie długiej - sekundy, która upływała od obiadu, ociekała potem, który można było zbierać wiadrami. Wannami. Korytami. Na jej skórze nie było nawet centymetra, który nie byłby mokry i nie swędział. W nieruchomym powietrzu unosiło się beztrudnie pogwizdywanie Larence'a. Emma zacisnęła zęby i starała się je ignorować. Kątem oka dojrzała coś zielonego. Przepełniła ją nadzieja, która dostarczyła energii niezbędnej do podniesienia głowy. Użyła rękawa do wytarcia potu z oczu. Mokra ostra wełna drażniła poparzoną od słońca skórę.

Drzewo. Czy to mogło być właśnie to drzewo? Wstrzymała na chwilę i tak już płytki oddech. Proszę, Boże - modliła się - niech on wybierze właśnie w to miejsce. Jedyne, czego w tej chwili pragnęła, to zsuniecie się z tego przeklętego osła, padnięcie twarzą na zapraszającą ziemię i spanie przez dziesięć godzin. Nie prosiła przecież o zbyt wiele...

Larence ominął drzewo bez najmniejszego wahania.

Jej ramiona przygarbiły się, głowa opadła z powrotem na piersi. Przełknęła z trudem resztki śliny, bezmyślnie marząc, aby chociaż mała część wilgoci spływającej po całym ciele znalazła się w jej gardle. Jedyne świadomość tego, że później musiałyby się udać za potrzebą, powstrzymywała ją przed sięgnięciem po bidon z wodą. Już raz dzisiaj kucała za krzaczkiem, podczas gdy jej towarzysz siedział na tym swoim głupim koniu nie dalej niż pięć metrów od jej prowizorycznej toalety i pogwizdywał. Ten raz w zupełności wystarczył.

Czuła się okropnie. W ustach miała tak sucho jak w wypalonym słońcem korycie rzecznym. Była

przepecona, zmęczona i połamana, i - co najgorsze - nie była w stanie dyktować swojej woli Larence'owi.

To, że ona, Emmaline Hatter, wspaniała i wzbudzająca respekt Szalona Hatter z Wall Street, musi jechać bez słowa za tym człowiekiem, było... było...

Pomyśl o czymś innym.

Tak. Musiała spróbować jakoś wykorzystać tę okropną sytuację. Nauczyć się - ścisnęło ją w gardle na samą myśl o tym - słuchać czyichś poleceń.

Larence przestał na chwilę gwizdać i coś do niej powiedział. Nie była w stanie dobrze zrozumieć jego słów i, prawdę mówiąc, nawet nie próbowała. Po co? Wszystkie jego komentarze były takie same: zniekształcona, zabarwiona śmiechem paplanina o tym, jak piękne jest coś albo jak wspaniale jest po prostu żyć.

Emma popatrzyła na niego z jękiem. W każdej chwili mógł się zsunąć z szerokiego grzbietu Diabła, chwycić ten swój przekłety notes i rozpocząć szkicowanie.

Wybełkotał coś, co zabrzmiało prawdopodobnie jak: „Popatrz! Skoczek pustynny!”

Zanim zdążyła zamknąć z rozpaczą oczy, jej towarzysza już nie było na koniu. Szedł w stronę małego, pokrytego futrem gryzonia.

Emma dojrzała w tym szansę dla siebie i natychmiast ją wykorzystała. Zsunęła się z grzbietu Tashee i wreszcie stanęła na twardej, suchej jak pieprz glebie. Bolące mięśnie ud krzyczały w proteście. Chwyliła się sztywnej grzywy oślicy i starała się zachować pozycję pionową, dopóki nie ustało bolesne mrowienie w nogach. Po kilku sekundach puściła grzywę zwierzęcia i odsunęła się kawałek.

Stała! Nareszcie stała! Poczła ulgę w całym ciele, ale także i w duszy. Dzięki Bogu. Nagle wiatr zawiął delikatnie i zmierzwił kręcone pasma jej włosów, które już dawno wymknęły się z ciasnego węzła na karku. Udała się chwiejnym krokiem w stronę muła.

- Co robisz? - spytał Larence.

Emma drgnęła. Do diabła! Miała nadzieję, że rysowanie Jakiegoś szczura potrwa znacznie dłużej. No cóż, w każdym razie musiała udzielić mu odpowiedzi.

- Sądziłam, że zatrzymamy się tutaj na noc.

Do jej uszu dobiegł głośny śmiech.

- Odwróć się, Emmo.

Zrobiła to, choć bardzo niechętnie.

- A więc sądziłaś, że rozbijemy tutaj obóz na noc? - Pytaniu temu towarzyszył pewny siebie uśmiech.

Emma oblizła suche wargi i skinęła potakująco głową.

- Tak.

Larence ruszył w jej stronę. Na widok sarkastycznego wyrazu jego oczu jej żołądek kurczył się z frustracji. Widziała już taki wyraz wcześniej, gdy zaferował jej kompas; to było spojrzenie z gatunku „pouczających”.

Myśl o otrzymaniu od doktora drugiej lekcji była prawie nie do zniesienia. Emma odsunęła się od niego kilka kroków i odkryła, że stoi tuż przy spoconym boku muła.

Gdy Larence podszedł bliżej i się zatrzymał, zmusiła się, by wytrzymać jego pewne spojrzenie. Podczas gdy mierzyli się wzrokiem, lekki wietrzyk zanikł zupełnie, ustępując przygniatająco gorącej ciszy. Jedyнным dźwiękiem słyszalnym w promieniu kilku kilometrów był cichy odgłos ich oddechów w nieruchomym powietrzu.

Napięte nerwy Emmy nie wytrzymały.

- Mówże wreszcie!

- Tylko ktoś, kto prowadzi wyprawę, może zdecydować, gdzie będzie rozbity obóz na noc.

Emmę świerzbili dłonie, aby uderzyć go w twarz. Zaciśnęła je w pięści.

- Dobrze. - Bez słowa odepchnęła swego towarzysza na bok i podeszła z powrotem do Tashee. Ponownie się na nią wspięła, patrząc przed siebie martwym wzrokiem.

Wciąż uśmiechając się w ten sam irytujący, nieznośny sposób, Larence ruszył leniwym krokiem do Diabła. Po chwili nad pustynnym krajobrazem ponownie unosiło się jego radosne pogwizdywanie.

Emma posłała mu groźne spojrzenie, a w jej głowie kłębiły się tysiące przekleństw.

Powinna była wziąć od niego ten cholerny kompas, kiedy miała taką szansę.

**Rozbijemy obóz tam, przy rzece.**

Słowa te wyrwały Emmę z odrętwienia. Uniosła głowę. Świat zaczął się obracać w szaleńczym tempie, a zad Diabła raz po raz pojawiał się, by za chwilę zniknąć.

Zamrugnęła, aby odzyskać jasność spojrzenia, lecz w tej samej chwili pożałowała, że to zrobiła. Czuła się tak, jakby papier ścierny przesuwał się po jej zbyt suchych gałkach ocznych. Zaciśnęła mocno powieki.

Chwytnąjąc uzdę, Emma przesunęła językiem po spękanej, suchej dolnej wardze i uniosła ponownie parasolkę, żeby zasłonić się przed zachodzącym słońcem. Wtedy dopiero z wahaniem otworzyła oczy.

Znajdowali się w wąskiej dolinie, na brzegu cienkiej falującej wstęgi wody. Brązowawy strumień cicho szumiał. Dziesiątki starych drzew porastały teren wzdłuż jego brzegu, a ich powyginane konary unosiły się do słońca niczym buntownicze pięści. Złoto-białe promienie światła przebijały się poprzez kopułę szeleszczących liści i pokrywały barwnymi plamkami piaszczystą glebę.

Emma zaniemówiła ze zdziwienia. Tu było... ładnie. Być może nie pięknie, ale w dziki, surowy sposób ładnie. Po raz pierwszy tego dnia zauważyła, jak niebieskie jest niebo, jak białe są chmury...

- A oto i jesteśmy. Nareszcie w domu. - Larence odwrócił się i posłał w jej stronę radosny uśmiech. - Taaa, wreszcie jesteśmy.

Taaa? - powtórzyła Emma w duchu. Taaa? Skąd on brał takie Wyrażenia? Z jakichś ponurych powieści?

Jej towarzysz zsiadł z końskiego grzbietu na piaszczyste Podłoże. Niski męski jęk czystej przyjemności towarzyszył każdemu jego ruchowi, gdy przeciągał się i pochylał.

Emma zamknęła parasolkę i cisnęła ją na ziemię, po czym osunęła się ze spoconego grzbietu Tashee. W momencie, gdy jej buty dotknęły miękkiego piasku, nogi zrobiły się drżące jak galareta. Upadła na kolana.

- Taaa. Otaczające piękno sprawia, że pragniesz paść na kolana i się modlić.

Emma była zbyt ogłuszona głupotą tej uwagi, aby coś odpowiedzieć.

- Czy mówiłem ci już, że niegdyś chciałem zostać księdzem? - spytał Larence.

Potrząsnęła głową z niedowierzaniem. Jej towarzysz wziął tę reakcję za odpowiedź i przytaknął.

- Naprawdę chciałem. Jedyńm problemem było to, że nie potrafiłem ograniczyć się do jednej religii. Każda jest jedyna w swoim rodzaju i ma tak wiele do zaoferowania. Na przykład buddyści...

Emma przestała go słuchać, w przeciwnym razie z pewnością nabawiłaby się bólu głowy, który zawsze towarzyszył jego wywodom. Szybko nabrała głęboko powietrza, chwyciła za grzywę Tashee i się podniosła. Po chwili, która wydawała się trwać wiecznie, poczuła znowu siły w nogach. Ostrożnie puściła ośłą grzywę i zrobiła eksperymentalny krok do tyłu.

Poczuła nagły ból w stawach. Zaciśnęła mocno zęby. Ból przesunął się w górę, po wewnętrznej stronie ud, aż do dolnej części pleców. Jeszcze mocniej zaciśnęła szczękę i zrobiła kolejny, pełen wahania krok.

Pod jej obcasem trzasnęła sucha gałązka. Hałas przestraszył Tashee; zwierzę szarpnęło łbem i uniosło nogę. Na stopę Emmy opadło ciężko kopyto.

- Au! - Podskoczyła, chwyciła bolącą stopę i w tym momencie, straciwszy równowagę, upadła na ziemię.

Larence natychmiast znalazł się przy swojej towarzysze.

- Wszystko w porządku?

- Wspaniale. Po prostu świetnie - wybełkotała, machając przed sobą ręką, by unoszący się kurz nie dostał się do nosa i ust.

Przez chmurę pyłu przebiła się wyciągnięta dłoń.

- Złap się mnie - rzekł Larence.

Pragnienie odrzucenia jej było bardzo silne, ale nie tak jak potrzeba przyjęcia pomocy. Chowając dumę do kieszeni, Emma chwyciła kurczowo jego rękę i pozwoliła mu podnieść się na nogi.

- Lepiej? - spytał.

Wyrwała mu się i pokuśtykała w kierunku wielkiego kamienia pod drzewem, po czym z jękiem ulgi opadła na jego gorącą, płaską powierzchnię.

- Co ty robisz? - zapytał Larence.

Oparła się o chropowaty pień i zamknęła oczy.

- Umieram. Okaż choć trochę szacunku.

Zaśmiał się, a w powietrzu uniół się ten sam miękki, radosny dźwięk, który Emma słyszała przez cały dzień. Zaciśnęła zęby i ponownie zapragnęła go uderzyć. Uniosła powieki tylko na tyle, aby zerknąć na swego towarzysza, lecz była to czynność całkowicie niepotrzebna. Nawet na nią nie patrzył. Stał obok Diabła, głaszcząc spoconą szyję tej starej zmęczonej bestii, i przeglądał głupawe rysunki w swoim notesie. I na dodatek się uśmiechał.

Im dłużej na niego patrzyła, tym bardziej się złościła. Jak mógł być taki... taki opanowany, skupiony i szczęśliwy? Na jego twarzy nie było ani kropli potu. W dodatku był czysty. Spadł z konia przynajmniej piętnaście razy, a wciąż wyglądał... doskonale.

Nawet jego zęby złościły Emmę. Jak mogły być tak białe? Jej zęby - odkryła to, przesuważąc po nich językiem - pokrywał kurz, i były tak szarobrązowe jak wszystko inne na tej zapomnianej przez Boga i ludzi pustyni.

Przyjrzała się uważnie dziwacznemu ubiorowi doktora. Nowusieńkie dzinsy obciskały jego długie nogi i znikwały w ozdornie Wszywanych, brązowych kowbojskich butach. Wielkie pasiaste, żółto-białe poncho przykrywało szerokie ramiona i spływało aż do bioder, całkowicie zakrywając bladoniebieską koszulę.

Wokół szyi zawiązał jaskrawoczerwoną chustkę. No i to nakrycie głowy! Boże, pomóż mi! Na głowie Larence miał miękki filcowy kapelusz z szerokim rondem, nasunięty głęboko na oczy.

Emma zauważyła nagle, że jej towarzysz widzi, iż mu się przygląda. Jego oczy lśniły spod czarnego ronda jak u egzotycznego kota, zielone i połyskujące. Zesztywniała oburzona, przygotowując się na jedną z jego idiotycznych, ale dziwnie spostrzegawczych uwag. Na coś zdecydowanie męskiego, na przykład: „I co, wszystko już obejrzałaś?”

- Powinniśmy rozłożyć obóz, zanim usiądziesz - rzekł.

- Może jeszcze nie zauważyłeś, ale ja już siedzę.

- Mam na myśli rozłożenie obozu, zanim rozsiądziesz się na dobre. Chodź. Wstawaj i zaczynamy.

Emma westchnęła ciężko, czując ból w każdym stawie, mięśniu i kości. Byli w drodze dopiero od świtu, a wydawało się, jakby miesiące upłynęły od momentu, gdy rano zwlokła się z łóżka. Gdy oparła się o drzewo, jej zmęczone oczy się zamknęły.

- Udajmy, że już to zrobiliśmy. Jesteś przecież w tym dobry. Po prostu powiedz mi, jak wygląda nasz obóz. - Czy zjedzenie kolacji także będziemy udawać?

Jedzenie. Kolacja. Żołądek Emmy zaburczał w odpowiedzi. Nie jadła nic od południa, kiedy to Larence dał jej ten obrzydliwy kawałek wysuszonej skóry. Uchyliła jedno oko.

- Znowu skóra?

- Nie. Prawdziwe jedzenie.

Emma podniosła się ze skały.

- W porządku, gdzie ono jest?

- Gdzie jest co?

Miała krótkotrwałą, ale przemożną ochotę, by mu przyłożyć. Przywołała jednak na usta coś w rodzaju uśmiechu.

- Jedzenie.

- Nie możemy jeszcze jeść - odpowiedział Larence, wyciągając z torby przy siodle kolejną książkę, i zaczął przerzucać jej zniszczone pożółkłe kartki.

Przykuśtykała do niego, gotowa ją chwycić i wyrzucić do rzeki. W tym momencie wzrok Emmy przykuł jej tytuł: *Poradnik przetrwania na amerykańskich terenach pustynnych*. Bardzo jej się ten tytuł nie spodobał.

Po chwili Larence puknął palcem wskazującym w jedną z kartek.

- Znalazłem. Jak rozbijać obóz. - Jego wzrok przesunął się w dół strony. - Po pierwsze, trzeba zsiąść z konia. Emma uniosła drwiąco brew.

- Kolejna książka za osiem tysięcy dolarów?

Nawet na nią nie spojrział.

- Następnie trzeba rozpakować muła, rozsiodłać inne zwierzęta i je napoić.

- Wszystko to możesz zrobić później. Na razie rozpakuj jedzenie i przygotuj mi coś. Umieram z głodu.

Spojrzał na nią ostro.

- Ja?

- Tak. Skoro już to ustaliliśmy, to może rozpalisz ognisko? Filiżanka kawy dobrze by mi zrobiła.

Emma cofnęła się w cień rzucany przez drzewo i usiadła na dużym płaskim kamieniu, starannie rozkładając wokół siebie pokrytą kurzem spódnicę. Była potwornie głodna. Zamknęła oczy i przywołała wspomnienie ostatniego posiłku, jaki spożywała w pociągu: cienko pokrojona pieczona wołowina, tłuczone ziemniaki, puree z kukurydzy, fasoli i śmietany, puszyste bułeczki...

Usłyszała kroki swego towarzysza i się skrzywiła. Nie miała ochoty go wysłuchiwać ani, co gorsza, oglądać bazgrołów przedstawiających jakiegoś ptaka. Jedyne, czego pragnęła, to dostać coś do jedzenia, po czym wczołgać się do śpiwora i przespać nawet cały miesiąc.

- Emmaline? - W cichym i spokojnym głosie Larence'a Pobrzmiwał powstrzymywany śmiech, ale i coś jeszcze. Było to coś nowego, twardego jak stal.

Emma otworzyła oczy, choć, szczerze mówiąc, nie miała ochoty tego robić.

- Co?

- Sądziłaś, że kto będzie gotował podczas tej wyprawy? - spytał, przykucnąwszy przy niej.

- Oczywiście, że ty.

Kąciki jego ust drgnęły.

- Czy wyglądam jak kucharz?

- Nie, ale nie wyglądasz także na poszukiwacza przygód, a proszę, gdzie się znaleźliśmy.

Larence uśmiechnął się szeroko.

- Pozory często mylą. Jestem poszukiwaczem przygód, ale z całą pewnością nie jestem kucharzem.

- Na szczęście przywoleś ze sobą do pomocy wszystkie te książki. Naukowcy mają jedną zaletę: szybko



się uczyć nowych rzeczy.

- Nie przywiozłem książki kucharskiej.

Emma lekko uniosła brwi.

- W takim razie jak ugotujesz kolację?

- Nie zrobię tego.

Poczuła pierwsze ukłucie niepokoju.

- Kiedy planowałeś wyprawę, nie wiedziałeś, że pojedę z tobą. Nie mogłeś więc oczekiwać, że to właśnie ja będę gotować.

- Pewnie, że nie oczekiwałem.

Odetchnęła z ulgą.

- A kto miał to robić?

Larence odchylił się na piętach i przypatrywał się jej. W jego oczach pojawiały się wesołe błyski.

- Indianie mieli gotować. Ale skoro nie ma ich tutaj...

Indianie? Emma otworzyła usta ze zdziwienia. Ludzie, których zwolniła, mieli być kucharzami? Potrząsnęła głową z niedowierzaniem.

- Taaa - rzekł Larence z kolejnym uśmiechem. - Henry zatrudnił ich do pomocy przy odnalezieniu miasta i do troszczenia się o nas podczas podróży. A teraz... - Wzruszył ramionami i na chwilę zapadła wymowna cisza. - Teraz jesteśmy sami. A więc chcesz zająć się gotowaniem czy wolisz zatroszczyć się o nasz inwentarz?

- Nie denerwuj mnie - warknęła. - Może jestem dobra na giełdzie, ale tego parszywego muła nie dotknęłabym nawet trzymetrowym kijem.

- Więc będziesz gotować.

Emma zdrząła. Wizja jej, gotującej coś, wystarczyła, aby głowa rozboleła ją jeszcze bardziej. Ale ktoś w końcu musiał ich nakarmić.

- Emmaline? - odezwał się Larence.

- Wygrałeś. Będę gotować.

- Tu nie chodzi o wygraną czy przegraną, Emmaline - rzekł, dotykając jej ramienia. - Życie nie jest... Gwałtownie odwróciła się od swego towarzysza.

- Tylko mi nie opowiadaj, czym jest życie, doktorze. Podczas gdy ty się przed nim kryłeś w swej wieży z kości słoniowej, ja po prostu nim żyłam. I uwierz mi, zawsze chodzi o wygraną lub przegraną. A więc gdzie jest ten cholerny piec?

Emma skrzywiła się, gdy tuż obok jej stóp wylądowało pudło. Z niedowierzaniem wpatrywała się w drewniany prostokątny pojemnik. To nie może być piec - powiedziała do siebie. Niektóre jej pudła na kapelusze były dużo większe.

Im dłużej na nie patrzyła, tym gorzej się czuła. Przycisnęła trzęsącą się dłoń do brzucha, czując wewnętrzny niepokój.

Gdyby tylko mogła się rozzłościć, a nawet wpaść w furję... Złość była stanem, który zawsze jej odpowiadał, który sprawiał, że podejmowała coraz większe wyzwania. To właśnie złość wyciągnęła ją ze slumsów i pozwoliła utrzymać się na powierzchni. Ale co dobrego mogło przynieść złość na samą siebie? Mimo że miała ogromną ochotę, by głośno krzyknąć i bić pięściami w ziemię, zdawała sobie sprawę, że takie postępowanie byłoby marnowaniem czasu i energii. Ta kłopotliwa sytuacja była tylko i wyłącznie jej winą. Sama zwolniła Indian i to ona powinna przejąć chociaż część ich obowiązków.

Popatrzyła na swoje spalone słońcem, popękane dłonie i głośno Jęknęła. Larence oczekiwał, że te ręce przygotują kolację. Ręce, które potrafiły tylko zarabiać pieniądze, teraz miały wziąć się za gotowanie.

- Emmaline, masz zamiar zabrać się wreszcie za obiad? Podskoczyła na te nieoczekiwane słowa.

- Och... Tak...

- To dobrze. Kiszki grają mi bardzo głośnego marsza.

Przewróciła oczami; znowu ta głupia gadka! Podniosła się z kamienia i otworzyła stojące przed nią pudło. Pierwszą rzeczą, którą zobaczyła, była srebrzysta pokrywka leżącego na boku dzbanka do kawy.

Kawa. Emma poczuła kolejny przypływ głodu. Gdy sięgała po naczynie, usłyszała za sobą ciche szuranie butów Larence'a. Zatrzymał się przy piecu i upuścił mnóstwo płaskich brązowych placków.

Popatrzyła na niego zdziwiona.

- Co...?

- Krowie odchody - rzekł, kucając obok niej, aby rozpalić ogień. - Henry zapakował nam ich tyle, aby wystarczyło, zanim dotrzemy do bardziej zadrzewionych terenów. Tu, przy rzece, też znalazłem kilka.

Emma z obrzydzeniem przyjrzała się ubitym plackom, ale nie zadała oczywistego pytania. Jeżeli mieli

gotować jedzenie nad krowim... łajnem, wołała o tym nie wiedzieć.

Jedzenie... Gotować... Wpadła w panikę. Co mogłaby zrobić na kolację? Jej żołądek głośno zaburczał, jak gdyby podkreślając to pytanie.

- Pewnie jesteś tak samo głodna jak ja - rzekł Larence, upuszczając zapaloną zapałkę na krowie placki i suchą trawę. Płomienie zaczęły przesuwając się po twardej powierzchni podpałki.

Nerwy Emmy były napięte do ostatnich granic.

Uspokój się. Jesteś przecież inteligentną kobietą. Potrafisz to zrobić. Musiała po prostu wysilić umysł i rozwiązać problem.

Zmarszczyła czoło. Najpierw sprawa najważniejsza: jakie jedzenie przygotowuje się nad otwartym ogniem?

Ostrygi na połowie muszli.

Rozpromieniła się. Tak. Jean-Claude, szef kuchni w Delmonico, powiedział jej kiedyś, że ostrygi smakują najlepiej, gdy gotuje się je nad otwartym płomieniem.

Sekundę później cały jej zapach opadł. Jasne, Em. Henry z całą pewnością zapakował świeże ostrygi na wyprawę przez pustynię!

Rzuciła szybkie spojrzenie na mały stos pudełek, toreb i puszek, które zawierały zapasy żywności. Prawdopodobnie nie było wśród nich ani jednej rzeczy, którą lubiła. Żadnego łososia w śmietanowym sosie, ozorków w galarecie ani cienko krojonej cielęciny, skropionej sokiem z cytryny, żadnych świeżych truskawek ani...

Przestań.

Musiała się skoncentrować, pomyśleć o czymś, co mogła przygotować, a co byłoby jadalne. Starła się przypomnieć sobie, co takiego w dawnych czasach gotowała jej mama. W dobrych czasach. Niestety, wspomnienia te albo się ulotniły, albo były zbyt głęboko ukryte w zakamarkach pamięci. Jedyne, co pamiętała, to ponure dni, które nastąpiły po tym, jak matka zmarła, a ojciec popełnił samobójstwo. W tym czasie była zmuszona żywić się sama, ale nawet wtedy nie gotowała. Nie miała zresztą z czego. Stara kromka chleba, lekko zgniłe jabłko, wyrzucona puszka sardynek...

Ciepłe, uspokajające palce dotknęły jej ramienia i je ścisnęły.

- Co powiesz na fasolę z puszki? - Gdzieś znad jej głowy dobiegł pewny, spokojny głos Larence'a. - Myślę, że mogłabyś ją po prostu podgrzać.

Emma poczuła niewypowiedzianą ulgę. Chociaż raz była wdzięczna za jego spostrzegawczość.

- Jeżeli tego właśnie chcesz... - Zmieszła się, słysząc drżenie w swoim głosie,

- Brzmi nieźle. Możesz już zacząć, a ja w tym czasie zajmę się zwierzętami.

- W porządku.

Emma zaczęła rozpakowywać pudło. Po chwili siedziała w otoczeniu sześciu kompletów sztućców, sześciu białych emaliowych kubków i talerzy, dzbanka do kawy, patelni, brytfanki, miski i trzech kociołków. Na końcu wyciągnęła ciężki piec i ostrożnie umocowała żelazny ruszt nad wesoło trzaskającym ogniem.

Po kilku minutach fasolka znajdowała się już w garnku, wysyłając w wieczorne powietrze nęcący podniebienie zapach. Emma zerknęła na swego towarzysza, by zobaczyć, czy zauważył, jak sprawnie rozpakowała naczynia i rozstawiła piec. Nie zwrócił na to uwagi. Emma z jakiegoś dziwnego powodu poczuła się rozczarowana.

Stał obok Diabła i zastanawiał się, w jaki sposób założyć bestii uzdę. Był to dla niego naprawdę ciężki orzech do zgryzienia. Właśnie miał zamiar cisnąć ją na bok, kiedy koń przełożył pysk przez otwór.

- Hej, Emmaline! Widziałaś to? Emma, o dziwo, uśmiechnęła się.

- Nie obraż się, ale zdaje się, że to zwierzę jest mądrzejsze od ciebie.

Odpowiedzią był głośny perlisty śmiech.

Niewiele brakowało, a roześmiałyby się razem z Larence'em. Poczuła się zadziwiająco dobrze. Wreszcie robiła coś ważnego. Być może nie było to wiele, nie coś tak trudnego jak, na przykład, prowadzenie interesów na giełdzie czy finansowanie ryzykownych przedsięwzięć, ale w każdym razie było to coś, czego - jak sądziła - dotychczas nie potrafiła zrobić.

Zerknęła na swego towarzysza.

- Kiedy masz zamiar zacząć jeść?

- Nie wiem. Najpierw muszę odkryć, w jaki sposób spętać Diabła.

- Po prostu połóż pęta na ziemi. Diabło cudowny koń prawdopodobnie sam wsadzi w nie kopyta i chwyci je zębami.

Radosny czysty śmiech Larence'a rozniósł się w wieczornym powietrzu.

Zadziwiająco uczucie satysfakcji przepełniło Emmę, gdy zapakowała garnki i talerze ponownie do drewnianego pudła. Fasola nie była zbyt smaczna, chłodna i rozgotowana na wierzchu, a w środku twarda, w dodatku miała posmak dymu - ale Emma i tak była zadowolona, że potrafiła coś „ugotować”.

To prawda, że odgrzanie fasoli z puszkii nie wymaga wielkich umiejętności kulinarnych, jednak Emma zrobiła podczas tej wyprawy coś, co miało znaczenie.

Nagle gdzieś za nią coś ciężkiego spadło na ziemię. Jednocześnie rozległ się śmiech.

Emma zamknęła pudło, powoli wstała i rozejrzała się po prowizorycznym obozowisku. Jej dobry humor prysł jak bańka Mydlana. W odległości około dwóch metrów od ogniska Larence zmagął się z rozkładaniem namiotu.

Nie - poprawiła się w myślach - zmaganie to zbyt łagodne określenie. To, co robił, wyglądało raczej na działania wojenne - na razie wygrywał namiot.

Chwyciła brzeg spódnicy i podążyła w stronę swego towarzysza.

- Co ty robisz?

Larence wraz z namiotem upadł na ziemię. Uśmiechnął się do niej. Białe zęby wyróżniały się w jego ciemnej twarzy.

- Nie mam pojęcia. Ale za to wiem, czego nie robię: nie rozstawiam namiotu.

Emma wyciągnęła do niego dłoń.

- Instrukcja.

Podał jej kawałek papieru. Chwyciła go i przykucnęła przy ognisku, aby przeczytać.

„Namiot firmy The Montgomery Ward jest ze wszystkich dostępnych na rynku niezaprzeczalnie najlepszym sprzętem do celów biwakowych.” Marszcząc czoło, przebiegła wzrokiem po kartce. „Składany, przestronny, łatwy do rozstawienia... wymagany tylko jeden maszt”.

Podniosła wzrok.

- To nie jest instrukcja.

- No więc właśnie.

Ból głowy zaatakował ją kolejny raz tego dnia. Przyłożyła dwa palce do skroni i westchnęła. Nagle uderzyło ją to, jak boleśnie i przeraźliwie jest zmęczona.

- Zawsze chciałem spędzić noc pod gwiazdami - rzekł jej towarzysz.

- Co? - Emma uniosła głowę. - Chyba żartujesz. Podnoś maszt i spróbuj jeszcze raz.

- Nie. Jestem zbyt zmęczony, żeby się skoncentrować. Jutro wieczorem wcześniej zacznę go rozstawiać. Dzisiaj jakoś damy sobie radę. Węże nie powinny...

- Węże? - Wskazała palcem na leżące nieopodal zwały białego brezentu. - Natychmiast rozstaw ten piekielny namiot!

- Nie. Jeśli tak bardzo chcesz, zrób to sama. Ja będę szczęśliwy, śpiąc pod gołym niebem. - Ominął ją i zbliżył się do ogniska. - Przeżyjemy dodatkową przygodę.

- Przygodę? - Emma chwyciła go za rękaw i odwróciła twarzą do siebie. - To jest wyraźnie zaproszenie dla robactwa i węży.

Larence na moment zmarszczył czoło, po czym wzruszył ramionami, jakby to, co słyszał, nie było w ogóle ważne.

- Szkoda, że nie mamy liny z włosia.

Popatrzyła na niego podejrzliwie.

- A niby po co?

- Węże nie przedostaną się przez zaporę z włosów.

Emma prychnęła z niedowierzaniem.

- No tak, to brzmi bardzo sensownie.

- To prawda. Czytałem o tym w *Niesamowitych przygodach Diamentowego Dicka*.

Zaciskając z frustracją pięści, podeszła do śpiworów, które rozłożył, jeden przy drugim, obok ogniska, i zaczęła wyciągać spinki z ciasnego węzła na karku. Rzuciła tęskne spojrzenie na stos brezentu.

Gdyby tylko sama potrafiła rozstawić ten namiot. Niestety, budowanie czegokolwiek znajdowało się na liście jej umiejętności daleko za gotowaniem.

- Spodoba ci się spanie pod gołym niebem, Emmaline. Naprawdę. To będzie zabawne, tak jak Diamentowy Dick...

- Zamknij się. - Zdążyła wyciągnąć z pół tuzina spinek z włosów, zanim się zorientowała, że jej towarzysz się w nią wpatruje. Odwróciła się i spojrzała na niego.

Natychmiast przykucnął obok swojego śpiwora i ściągnął buty. Pod jej baczny spojrzeniem wsunął się do jego wnętrza, przekręcił na bok i zaczął się przypatrywać małym szarym kamieniom otaczającym ognisko.

Emma szybko rozpięła wełniany żakiet i ułożyła go na kamieniu obok swych stóp. Liczne części garderoby łądowały po kolei nieopodal. Kiedy na ziemię upadł gorset, wzięła pierwszy tego dnia głęboki oddech. To było niebiańskie uczucie - mieć na sobie jedynie długie majtki i koszulę.

Przymknęła oczy, rozkoszując się uczuciem wolności. Nocny wietrzyk prześlizgnął się po jej odsłoniętych ramionach. I nagle w prawie namacalny sposób poczuła na sobie wzrok Larence'a. Był to bez mała dotyk. Powoli odwróciła głowę. Leżał wsparty na łokciach, z nogami ukrytymi w śpiworze. Wyglądał na zahipnotyzowanego widokiem Emmy w samej białej bieliźnie.

Ich oczy się spotkały. Ciepło jego spojrzenia sprawiło, że poczuła przebiegający przez całe ciało dreszcz. Nagle wydało jej się, że materiał bielizny jest dużo cieńszy, a nocne powietrze chłodniejsze.

- Odwróć się - poleciła.

Kiedy to zrobił, Emma zacisnęła zęby i wyrwała z głowy kosmyk włosów. Mimowolnie wydała cichy okrzyk bólu. Rzuciła szybkie spojrzenie na Larence'a, aby się przekonać, czy go usłyszał.

Niestety usłyszał. Zdziwienie widoczne na jego twarzy sprawiło, że poczuła się jak idiotka.

- Odwróć się - powtórzyła.

- Dlaczego wrywasz sobie włosy?

- Jeżeli już musisz wiedzieć, to mam zamiar zrobić z nich linę. Miał czelność się roześmiać. Ona tymczasem wyrwała kolejne pasmo.

- Śmieję się, ile chcesz, Larence. Ale jeżeli grzechotnik cię ukąsi, lepiej się módl, żeby Diamentowy Dick wyprowadzał pieski na spacer gdzieś w tej okolicy. Ja nie mam zamiaru wysać z ciebie ani kropli trucizny.

- Roześmiałem się, gdyż...

- Odwróć się!

Ignorując śmiech Larence'a, moszczącego się w swoim śpiworze, Emma ostrożnie rozłożyła pasma włosów wokół ich legowiska. Kiedy skończyła, wydała zmęczone westchnienie. Była taka zmordowana. Bolało ją całe ciało.

Z herkulesowym wysiłkiem wsunęła się do wodoodpornego, wyściełanego owczą wełną, ciepłego wnętrza śpiwora.

Kiedy się przeciągnęła, poczuła, jak odprężają się wszystkie jej mięśnie. Powieki stały się ciężkie niczym z kamienia i bezwiednie się zamknęły. Boże, wreszcie można zasnąć...

- Hej, Em - dotarł do niej cichy głos. - Popatrz na gwiazdy.

- Nie ma mowy. Dobranoc.

Usłyszała szelest jego śpiwora, gdy Larence siadał.

- Ale to nasza pierwsza noc pod gołym niebem. Myślałem...

- Nie myśl. Śpij.

- Ale legenda Ciboli tak doskonale odpowiada...

- Dobranoc, Larence.

Rozczarowany, opadł z powrotem na ziemię, wydając westchnienie. - Dobranoc.

Emma odetchnęła z ulgą. Dzięki ci. Boże. Ostatnią rzeczą, której miała ochotę wysłuchiwać, była bezsensowna paplanina o zaginionym mieście. Kogo obchodzi stare nudne legendy? Po chwili spała już głęboko i śniła o złocie.

Larence leżał wtulony w ciepły śpiwór i wpatrywał się w gwiazdy. Pustynne niebo było tak rozległe... Poczuli się tak, jakby nagle stał się jego częścią. Żałował, że nie ma nikogo, kto dzieliłby z nim ten moment. Szkoda, że Emmaline nie była typem kobiety, która leżałaby przy nim w chwili, gdy dzień zlewa się z nocą, wpatrywała się w gwiazdy i czuła to samo co on: bolesne, prawie religijne uczucie lęku. Nie było rzeczy, której pragnąłby w tej chwili bardziej, niż wyciągnąć rękę do leżącej obok kobiety i ująć jej dłoń.

W obozowisku nagle zawiał wiatr, chłodząc łagodnym powiewem policzki Larence'a. Ognisko zatrzeszczało i wypuściło w górę snop iskier. Liście nad ich głowami szeleściły. Ponad tym wszystkim unosił się delikatny szmer płynącego leniwie potoku.

Dźwięk ten był hipnotyzujący. Larence poczuł, jak jego równomierny rytm uspokaja wszystkie zmysły i wprowadza i go w stan pełnego relaksu. Uśmiechając się i marząc, zapadł w sen.

Nagle się przebudził. Otaczała go nicość, przytłaczająca i czarna jak smoła. W nocnym powietrzu wibrowało napięcie. Leżał sztywno w swoim śpiworze, nasłuchując.

Nie było w ogóle wiatru. Liście nad jego głową wisiały bez ruchu i szelestu. Nawet odgłos płynącej rzeki był przytłumiony, prawie niedosłyszalny.

Larence poczuł się otoczony i obserwowany. Strach zacisnął pętlę wokół jego szyi. Serce zaczęło mu bić w przyspieszonym tempie, wydając głuchy odgłos. Rozejrzał się dziko, szukając choćby odrobiny światła, które przepędziłoby złowrogą ciemność. Ale niczego nie był w stanie dojrzeć. Ognisko zgasło na długo

przed jego przebudzeniem. Gęsta, czarna jak węgiel chmura przysłoniła jasny księżyc i skradła całe jego światło.

Było tak ciemno. Tak przerażająco...

Przestań. Starał się zignorować coraz większy strach, myśląc w spokojny i logiczny sposób. Wsłuchał się w regularny rytm oddechu Emmaline. Dźwięk ten był dla niego w ciemności niczym lina ratownicza, której trzymał się z całą siłą tonącego człowieka.

Gdyby tylko mógł jej dotknąć. Kiedy był dzieckiem i nękały go koszmary, zawsze wierzył, że jeśli kogoś by dotknął, poczuł ciepło człowieka, straszdyła powróciłyby tam, skąd przybyły. Wszystko, czego potrzebował, aby je zwalczyć, to poczucie bezpieczeństwa płynące od kogoś drugiego. Ale, niestety, nigdy nie doznał niczyjego kojącego dotyku, nie był więc w stanie sprawdzić swojej teorii. Aż do teraz.

Wyjął ze śpiwora rękę i wyciągnął ją w stronę leżącej obok kobiety.

- Emmaline? - Głos zabrzmiał w ciemności, a jego echo pozostało bez odpowiedzi. Zaczęły napływać wspomnienia stare, ale niemożliwe do wyrzucenia z pamięci. Czy kiedykolwiek będzie w stanie o tym wszystkim zapomnieć - zastanawiał się z rosnącym przerażeniem.

Różne obrazy, czerpiące siłę ze strachu Larence'a, przesunęły się przed oczami jego duszy. Poddał się im, a po chwili jeden z nich pojawił się w jego świadomości z oślepiającą siłą.

Mały ciemnowłosy chłopiec leży skulony na twardym jednoosobowym tapczanie. Jego drobne palce są mocno zaciśnięte w spocone pięści. Desperacko stara się powstrzymać od płaczu - z powodu rodziców, których stracił, z powodu nękającego go bólu w nodze, pustki w duszy, w której kiedyś mieszkała radość.

*Babciu, jest tak ciemno...* Ale ona nie słucha słów ani jęków, przedostających się przez szczelinę zamkniętych drzwi do pokoju chłopca.

*Babciu...*

*Przestań się nad sobą, rozczulać. Larry, i idź spać.*

To właśnie wtedy, podczas tych przepełnionych bólem nocy, narodziły się jego marzenia o wielkiej przygodzie. Stworzył to marzenie i kurczowo trzymał się go trzęsącymi palcami, aż nęcąca obietnica jego spełnienia koła ból w duszy. Wtedy, i tylko wtedy, z marzeniem izolującym go od rzeczywistości, nauczył się spać sam.

Ale tak naprawdę nigdy na dobre nie wyzbył się lęku przed ciemnością. Ten strach ukrywał się w zakamarkach duszy Larence'a, gotowy wyrwać go ze spokojnego snu albo w ogóle nie pozwolić zasnąć. Zawsze istniał, zawsze czekał.

Udało ci się. Jesteś w Nowym Meksyku. Nic cię nie może zranić... Czuł, jak powoli się odpręża. Jego palce rozluźniały się, oddech się uspokajał.

Chmura zakrywająca księżyc podniosła kotwicę i przesunęła się w bok. Blade światło rozlało się po płaskim pustynnym krajobrazie, oświetlając korony rosnących nieopodal drzew.

Larence wypuścił powietrze w długim westchnieniu. Batalia została stoczona i wygrana. Tym razem.

Powieki mu opadły; skoncentrował się na równomiernym oddychaniu, aż strach całkowicie go opuścił. Dzisiejszej nocy nie był w stanie dotknąć Emmaline, ale może następnym razem mu się poszczęści. Być może którejś nocy ujmie jej dłoń i znajdzie dość odwagi, aby utrzymać ciemność i strach na dystans.

Myśl ta przyniosła spokój i po kilku minutach Larence ponownie znalazł się w objęciach Morfeusza, śniąc o tłumach indiańskich dzieci, które pewnego dnia będą się uczyć o świetności swoich Przodków.

W niewielkiej odległości od ich obozowiska paliło się małe ognisko. W świetle płomieni pełzały wijące się cienie, które tańczyły na posępnych twarzach trzech Indian, zgromadzonych wokół źródła ciepła.

Najstarszy mężczyzna, szeroki w ramionach, z siwymi włosami, orlim nosem i zwężonymi oczami, wsadził kij do ogniska. Iskry uniosły się w stronę czarnego nieba i po chwili zniknęły.

- Upadający ze Śmiechem nie znajdzie tego, czego szuka.

Ka-Neek podniósł się.

- Nie można być tego pewnym - odrzekł w języku zuhi. Jego odziane w mokasy stopy wybijały wściekły rytm, gdy przechadzał się przy ognisku tam i z powrotem.

- Siadaj - polecił mu najstarszy Indianin. - Od twojego chodzenia kręci się nam w głowach.

Ka-Neek natychmiast się zatrzymał. Powrócił do ognia, przyklęknął na jedno kolano przed starym mężczyzną, który był ojcem jego ojca.

- To nasza powinność. Jeżeli istnieje choć szansa... - Zawiesił głos w tonie ostrzeżenia, wyraźnie dźwięczącego w roziskrzonym powietrzu.

Stary mężczyzna nic nie odpowiedział. Gdy jego laska upadła na ziemię, popatrzył, jak ląduje w tumanie kurzu, po czym uniósł fajkę. Dłubał głęboko w wiekowej fajce z bawolej kości, która należała do ojca, i do ojca jego ojca, i wpatrywał się w ognisko. Po chwili jego pomarszczone, naznaczone piętnem czasu usta uchylały się prawie niezauważalnie. Dym wspinał się po jego zaciemnionej twarzy, po czym dryfował w stronę

ognia. Szara mgła tworzyła niezliczone mnóstwo magicznych, mistycznych kształtów, unoszących się w nocne niebo.

Przyglądał się im przez chwilę, a w kącikach jego ust czał się ledwie widoczny, smutny uśmiech. Powoli się odwrócił, aby spojrzeć na siedzących przy nim dwóch mężczyzn. Wpatrywały się w niego dwie pary ciemnych oczu - wyraźnie czuł na sobie niewidzialny ciężar ich spojrzeń. Bez trudu potrafił odgadnąć myśli obu Indian.

Upłynęły długie milczące minuty, nim przemówił.

Spadający ze Śmiechem i Skrzywiona Twarz są tacy sami jak ci inni szaleni biali ludzie, którzy przybywali tu przed nimi i będą przybywać po nich. Nie uda im się. To, co ma pozostać ukryte, nigdy nie zostanie odnalezione. Ka-Neek pochylał się w stronę starego mężczyzny.

- Ale...

Starzec podniósł sękatą dłoń, nakazując ciszę.

- Moja wola jest właśnie taka. Nie powstrzymamy ich na razie. Zaczekamy. I będziemy ich obserwować.

Ka-Neek skrzywił się, lecz milczał. Wiedział, że z przywódcą lepiej się nie kłócić. Jakiegokolwiek słowa protestu byłyby marnowaniem czasu, a poza tym oznaczałyby brak szacunku. Poczekają. Ale kiedy nadejdzie polecenie powstrzymania intruzów - a tak się stanie na pewno - będzie gotowy.

Gdzieś niedaleko zagruchał gołąb. Dźwięk ten wibrował o świcie w nieruchomym, chłodnym powietrzu.

Słoneczne światło pieściło opuszczone powieki Larence'a, nawołując go delikatnie do przebudzenia. Ziewnął leniwie i odetchnął głęboko najczystszy powietrzem, jakie kiedykolwiek gościło w jego płucach. Odepchnął od siebie pozostałości głębokiego snu i otworzył oczy. Zmarszczył natychmiast czoło, czując ukłucie rozczarowania. Ominął go wschód słońca. Postanowił, że już więcej nie popełni takiego błędu. Wyciągnął ramiona i zaczął się przeciągać. Wszystkie mięśnie w jego ciele zaprotestowały. i Larence uśmiechnął się i kontynuował rozciąganie, nie zwracając i uwagi na ból, który towarzyszył każdemu ruchowi.

Chociaż raz w życiu sam zapracował na ból. Cierpiał nie z powodu powozu, który wyrzucił się zbyt dawno, by o tym pamiętać, ale dlatego, że zmusił się wczoraj do za dużego wysiłku. Czuł się świetnie, mając tego świadomość.

Uniósł się na łokciach, jeszcze raz głęboko odetchnął i się rozejrzał. Pustynia wokół potyskiwała w świetle rzeńskiego poranka. Wszystko wydawało się ostrzejsze, wyraźniejsze, bliższe.

Szron przemienił świeżą wiosenną trawę w posłanie z błyszczących srebrnoszarych kolców. Delikatny szum przyciągnął spojrzenie Larence'a w stronę potoku. Przyglądał się urzeczony, jak opadły liść wiruje w płynącej spokojnie wodzie i wreszcie znika w oddali.

Uniósł wzrok i to, co zobaczył, pozbawiło go na moment tchu. Nad jego głową znajdowało się największe, najbardziej niebieskie niebo, jakie kiedykolwiek dane mu było ujrzeć. Bezchmurne i wibrujące, nie rozpoczynało się od wierzchołków gór ani nawet czubków drzew. To bezkresne niebo Nowego Meksyku brało swój początek u stóp Larence'a i zatapiało świat w nieskończonym morzu bladego błękitu.

Przepętniła go radość pomieszana z respektem. Z wyjątkiem słońca, nic nie stało pomiędzy nim a Bogiem. Uświadomienie sobie tego przyniosło najgłębszy spokój, jakiego kiedykolwiek doświadczył. Właśnie tutaj, na trakcie wiodącym do Ciboli, odnalazł kościół, którego szukał przez całe życie.

Wyczołgał się ze śpiwora. Przy każdym ruchu warstwa białego szronu pokrywająca jego posłanie trzeszczała i pękała. Trzęsąc się, rozcierał dłonie. Powietrze wydostawało się z jego ust w postaci białej pary. Podniósł buty i już miał je włożyć, gdy przypomniał sobie, jak to Diamentowy Dick w drodze do Taos znalazł w swoim bucie grzechotnika. Larence ostrożnie przechylił obydwa i zajrzał do środka. Na szczęście nie było w nich węża. Zadowolony z własnej pomysłowości i przezorności, włożył kowbojskie obuwie na odziane w skarpety stopy, po czym poczłapał w stronę popiołu, stanowiącego pozostałość po wczorajszym ognisku. Uklękł i zaczął je rozpalać.

Po chwili w cichym do tej pory powietrzu rozległo się echem trzaskanie ognia. Larence poczuł zapach unoszącego się dymu.

Emma z każdym oddechem odzyskiwała świadomość. Mężnie starała się ignorować trzaskanie ogniska i cichy dźwięk melodii, gwizdanej przez siedzącego przy ogniu mężczyznę. Jedyne, czego w tej chwili pragnęła, to zakopać się jeszcze głębiej w ciepły śpiwór i spać przez następną dobę.

- Która godzina? - wymamrotała.

Usłyszała klik otwieranego zegarka. Larence przestał gwizdać na chwilę wystarczającą, by jej odpowiedzieć.

- Piąta czterdzieści pięć.

Emma jęknęła.

- Obudź mnie o ósmej.

- Wczoraj do ósmej były już dwadzieścia cztery stopnie. A trzydzieści dwa po dziewiątej.

Jęknęła ponownie. Boże, pomóż mi. To był prawdziwy koszmar.

Coś zadźwięczało. Po chwili usłyszała trzask, syk i ponownie trzask. A później poczuła to: zapach smażonego bekonu. Jej żołądek zaburczał głośno, gdy odpinała część śpiwora, by usiąść. Gdy tylko się poruszyła, z jej ust wydobył się okrzyk bólu. Larence uniósł głowę i uśmiechnął się do swojej towarzyszki.

- Dzień dobry. Dobrze spałaś?

Emma zacisnęła powieki. Był zbyt wczesny poranek, aby patrzeć na Larence'a. Jego dobry humor dziecka, które się znalazło w sklepie ze słodyczami, był wystarczająco irytujący w ciągu dnia. O tej porze sprawiał, że zastanawiała się nad zamordowaniem swego towarzysza z zimną krwią.

Każdy sędzia na tym świecie uniewinniłby ją...

- Bo ja tak - dodał Larence i na nowo rozległo się wesołe pogwizdywanie. *My Darling Clementine*.

- Jeżeli już musisz robić taki hałas - zrzędziła Emma - to gwizdź chociaż coś odpowiedniego.

- To znaczy co?

- Na przykład marsz pogrzebowy.

Odpowiedział jej głośny, perlisty śmiech. Skrzywiła się.

Powstrzymując kolejny jęk bólu, przekręciła się na lewy bok i powoli się podniosła.

- Co powiesz na kubek kawy? - zapytał Larence. Emma oblizwała z niecierpliwością wargi.

- Byłoby wspaniale.

- To dobrze. Ja też tak uważam.

Na ziemię koło niej upadł dzbanek do kawy. Otworzyła szeroko oczy.

- Ja przygotowuję bekon. Musi być sprawiedliwość - odparł Larence na pytanie zawarte w jej spojrzeniu.

Nienawidziła go, gdy miał rację. Przyglądała mu się spod zmrużonych powiek wzrokiem pełnym urazy, gdy podnosił się i podążał w stronę zwierząt.

Dlaczego on nie czuł bólu? Powinien przecież być w stanie jedynie się czołgać, a nie iść spokojnie, jak gdyby nic na tym świecie go nie obchodziło.

Emma zmarszczyła czoło. Musiał czuć taki sam ból jak ona. Po prostu musiał.

Larence przykucnął i zaczął rozplątywać pęta na przednich nogach Diabła.

- Kawa jest obok pieca - oznajmił, nie patrząc na nią. Kawa. Ślinka napłynęła Emmie do ust. Najwyższy czas, by wstać. Krzywiąc się, spróbowała się podnieść. Poczowała ból w mięśniach, o których nawet nie wiedziała, że je w ogóle ma, i zaczęła oddychać w przyspieszonym tempie. Po upływie kilku bolesnych sekund dziki ból w nogach znacznie się zmniejszył, ale nie zanikł całkowicie. Odczekała kilka minut, po czym się ubrała.

Podniosła z ziemi dzbanek. Gdy zrobiła pierwszy krok, ból przeszedł od pięt aż do pachwin. Zacisnęła zęby, tłumiąc okrzyk.

- Boli jak diabli, prawda?

Skrzywiła się w odpowiedzi. Niech tam sobie przyznaje się do bólu, ale ona jakoś wytrzyma. Ignoruj go. Wciąż zaciskając zęby, powoli udała się do potoku, napełniła dzbanek i wróciła chwiejnym krokiem do ogniska. Krok po pełnym bólu kroku.

Larence, odebrawszy dzbanek z jej rąk, ustawił go na ruszcie znajdującym się na wierzchu pieca. Z westchnieniem ulgi Emma opadła na swój śpiwór. Wilgoć pochodząca z roztopionego szronu wsiąkała w grubą wełnianą spódnicę i przyprawiała o gęsią skórkę.

Uniosła nogi, objęła je rękami i oparła podbródek na kolanach. Gdzieś w odległym zakątku jej umysłu zaświtało, że musi wyglądać okropnie. Jej niezwiązane niczym włosy opadały potarganymi falami na plecy. Kurz sprawił, że bosa stopy i skraj sukni zdecydowanie zmieniły kolor. Nie miała też wątpliwości, że ma pod oczami worki wielkości piłek do tenisa.

Oczywiście, nie znaczyło to, że przejmuje się swoim wyglądem. Czy był na tym pustkowiu ktoś, na kim chciała wywrzeć dobre wrażenie? Z pewnością nie jej towarzysz. Jedyne, co w tej chwili obchodziło Emmę, to wypicie kilku łyków kawy, zjedzenie paru plasterków bekonu i siedzenie w całkowitym bezruchu.

Larence podał jej niebieską puszkę i spokojnie odszedł.

Trzymała ją w spękanych, spalonych słońcem dłoniach. Na puszcze było napisane: „Maxwell House Coffee”. Obracała ją na wszystkie strony w poszukiwaniu jakichś instrukcji, ale, niestety, nie znalazła nawet najmniejszej wskazówki dla niedoświadczonego kucharza, a właściwie kucharki. Najwyraźniej producent uważał, że skoro się nie wie, w jaki sposób zaparzyć kawę, to nie powinno jej się w ogóle pić.

Dlaczego nigdy nie obserwowała pani Sanducci podczas jej pracy w kuchni?

Emma rzuciła ukradkowe spojrzenie w kierunku Larence'a, który był zajęty zwijaniem śpiworów. Wciąż pogwizdywał i wyglądał na podejrzanie szczęśliwego. Wydawało się, że jego gwizdanie lada chwila

przemieni się w głośny śpiew.

Nie było mowy, aby poprosiła go o pomoc. Jeżeli doktorek potrafił zrobić kawę wczoraj wieczorem, to ona dziś rano też sobie poradzi. Chwyciła sporą garść gruboziarnistej mieszanki i wrzuciła ją do gotującej się wody. Na powierzchni pojawiły się białe bąbelki. Przyjrzała się im pytająco, po czym dorzuciła jeszcze garść.

Lubiła mocną kawę.

Pół godziny później Emma poczuła się prawie jak człowiek. Wycesała większość kołtunów i liści z włosów i zwinęła je na karku w całkiem profesjonalnie wyglądający węzeł. Poza tym umyła twarz i zęby.

Za jej plecami podskakiwała i stukiała przykrywką od dzbanka z kawą. Kłęby pary wydostawały się spod niej i rozplywały w coraz cieplejszym powietrzu.

- Bekon gotowy! - Larence nałożył kruche plastry na dwa cynowe talerze i uśmiechnął się do swojej towarzyszki.

Emma przyczołgała się do ogniska i sięgnęła ochoczo po dzbanek. Z prędkością światła Larence wysunął przed siebie rękę i chwycił jej dłoń.

- Au! Do diabła, Lare...

- Dzbanek jest gorący - rzekł, puszczając ją. - Masz, użyj tej szmatki, żeby go zdjąć.

Jej policzki stały się momentalnie czerwone. Uratowana przez Larence'a... Niestety, znowu.

- Wiedziałaś o tym.

- Oczywiście, że wiedziałas - rzucił z uśmiechem. Wyjęła z jego rąk spraną biało-niebieską ścierkę do naczyń i oplotła nią uchwyt dzbanka. Ostrożnie, aby nie uronić ani jednej cennej kropli, napełniła dwa kubki smolistoczną cieczą i podała jeden Larence'owi.

- Dzięki. - Podsunął jej talerz z czterema plasterami chrupiącego bekonu.

Emma zamknęła oczy i głęboko wdychała jego apetyczny zapach. Usłyszała, jak siedzący obok mężczyzna sięga po kubek i pociąga łyk kawy.

Szybko go odstawił. Otworzyła więc oczy i popatrzyła na niego pytająco.

- Wszystko w porządku?

- Pewnie.

- To dobrze. - Sięgnęła po kawałek bekonu.

- Chcesz łyżkę? - spytał.

Jej ręka zatrzymała się w połowie drogi do ust.

- Nie, dzięki. Nie jadam bekonu łyżką.

- A zupę? Czy zupę jesz łyżką?

- Oczywiście. Ale co to ma wspólnego...

Spojrzał znacząco na kawę.

- Lepiej weź łyżkę.

## 12

Do jedenastej temperatura wzrosła do trzydziestu dwóch stopni, a kurz wzbijany przez wielkie kopyta Diabła był nawet gorszy niż poprzedniego dnia.

Emma siedziała na grzbiecie Tashee prosto, jakby połknęła kij. Kiedyś barwna, a teraz poszarzała parasolka zwisała bezwładnie z jej ramienia, a jej brudna biało-niebieską kopuła stanowiła niewielką ochronę przed oślepiającym słońcem. Osioł szedł ostrożnie po upstrzonej kamieniami równinie. Z trudem przetykając ślinę, Emma próbowała usunąć przywierający do języka i zębów kurz.

Kiedy chmura przesłoniła słońce, dając krótką chwilę wytchnienia, Emma chciwie pociągnęła z bidonu kilka łyków wody. Gorący, metalicznie smakujący płyn sparzył jej usta i wypalił szlak do pustego już żołądka. Wzdychając, otarła wierzchem dłoni popękane wargi i odłożyła bidon na miejsce. Przebiegła wzrokiem po zadrapaniach i pęknięciach na dłoniach, marszcząc czoło na ten niewesoły widok. Bardzo bolały ją ręce, jak zresztą wszystko. Czuła się jak skopany Pies, pozostawiony w przydrożnym rowie, by zdechł. Przełknęła głośno ślinę, zdegustowana torem, jakim biegną jej myśli.

Zaczynała się rozklejać. I nie chodziło tu o cierpienie fizyczne - potrafiła znieść te kilka siniaków i zadrapań. Przerażało ją to, co ta wyprawa robi z jej umysłem.

- Spójrz, Emmaline, kaktus w pełnym rozkwicie. Zaciśnięta mocno oczy i starała się ignorować ciągły bełkot swego towarzysza. W odległym zakątku świadomości usłyszała ciche uderzenie jego butów o brudną ziemię.

- Tam, popatrz! - wykrzyknął po chwili Larence. Doskonałe miejsce na obóz? - przyszło jej do głowy.



- Tam jest szczur workowaty. To torbacz, tak jak kangury. Emma zacisnęła dłonie na uździe i próbowała zwalczyć wzrastającą w niej falę rozczarowania. Powoli i niechętnie otworzyła oczy, odwracając się od mężczyzny, który kucał, szkicując coś obrzydliwego i małego. Starła się o czymś myśleć - o czymkolwiek - co oderwałoby ją od irytującej rzeźkości i radości jej towarzysza, a także od własnego bólu i niewygody.

- Złoto - wyszeptła gorączkowo, a dźwięk tego słowa podziałał na nią niczym kojący balsam.

Złoto.

Każda okropna, zbyt gorąca sekunda tej podróży przybliżała ją do złota. Oto, czego musiała się trzymać i czerpać z tego siłę. Larence był nieważny, a jej niewygoda to błażostka. Istotne było złoto. A dla tego kruszcu Emma była gotowa stawić czoło wszystkim trudnościom i niewygodom, którymi karmił ją Nowy Meksyk. Nawet dwóm tygodniom z Larence'em. Wkrótce dotrą do legendarnego miasta i będzie mogła cała obsypać się złotem, zaciskać palce wokół chłodnych, metalicznych... Coraz głośniejsze gwizdanie *Joannie z jasnokasztanowymi włosami* sprawiło, że torbacz popędził w podskokach w kierunku najbliższej skały.

Złoto. Zabierze swoje złoto i wyniesie się jak najdalej od tego zapomnianego przez Boga i ludzi miejsca. I od tego doktora.

Po kilku niekończących się minutach Larence zamknął notes i wsiadł na koński grzbiet. Ruszyli dalej, przemierzając pustynię w ślimaczym tempie. Stopniowo gorąco pozbawiło Emmę wszystkich sił. Zamknęła oczy, poddając się łagodnemu kołysaniu kroków Tashee. Sen kusił ją, obiecując chłód ciemności. Powolne, bolesne dyszenie przekształciło się w rytmiczny, spokojny oddech. Jej podbródek opadł na kołnierz żakietu i Emma zapadła w sen.

Powoli się budziła. Mrugając, rozejrzała się w oszołomieniu. Tuż przed nią rozciągała się otoczona czerwonymi skałami dolina. Cicha, pusta, w jakiś nieokreślony sposób czujna. Włosy na karku Emmy stanęły dęba. Miała wyraźne uczucie, że ktoś lub coś za nimi podąża. I obserwuje...

Coś zafurkotało w powietrzu nad jej głową. Natychmiast popatrzyła w górę. Na ciemnym, zasnętym chmurami niebie jastrzęb zataczał bez wysiłku wielkie koła. Jego skrzek przerywał ciszę i odbijał się echem od widocznych w oddali ciemnych wzniesień. Nagle ptaszysko dało spiralnego nura w jej kierunku.

Emma instynktownie schowała głowę w ramionach i zamknęła oczy. Uderzenie jednak nie nastąpiło. Wielki cień przeciął jej twarz; uniosła głowę. Wpatrywały się w nią czarne okrągłe jak paciorki oczy. Owiał ją podmuch powietrza, wywołany przez potężne skrzydła jastrzębia.

Ptak przeciął powietrze i odfrunął. Emma przyglądała się, jak staje się małą brązową kropką na tle zakrytego chmurami nieba.

Potrząsnęła głową, starając się przywołać na twarz uśmiech. Najwyraźniej musiała zbyt długo przebywać na słońcu. Jastrzębie nie zabijają ludzi, a oprócz nich nie było w dolinie nikogo. Była głupia, myśląc, że ktoś ich obserwuje lub za nimi podąża. Znajdowali się na tym pustkowiu zupełnie sami. Od rana wspinali się miarowo. Nie była to stroma, zapierająca dech w piersiach wspinaczka, lecz raczej powolne, jednostajne wznoszenie się coraz wyżej. Smagana wiatrem i słońcem równina, której centrum stanowiło Albuquerque, ustępowała miejsca skalistemu, otoczonemu wzniesieniami płaskowyżowi, na terenie którego drzemały wulkany.

Po niebie przesuwali się w szybkim tempie chmury, tworząc na pokrytej kamieniami ziemi wciąż zmieniający się kalejdoskop wzorów. Gra cieni zafascynowała Emmę. W ciągu trzech dni, odkąd opuścili Albuquerque, widziała najwyżej cztery obłoki podczas każdego popołudnia. Ale dzisiaj niebo robiło się coraz ciemniejsze, pokryte niezliczonymi szaro-białymi chmurami, które dawały miłe wytchnienie od zbyt gorącego słońca.

Diabło nieoczekiwanie przyspieszył. Emma w porę chwyciła się siodła. Tashee podążyła klusem za swoim przewodnikiem.

Powietrze przeciął jakiś odgłos, daleki i głuchy. Na początku był łagodny niczym cichy jęk rodzącej kobiety, stopniowo jednak przekształcał się w lamentującą pieśń żalobną. Nisko nad ziemią wiatr poruszał się tysiącami małych wirów, po czym zawył i trzykrotnie zwiększył prędkość. Tumany kurzu wzbiły się w powietrze, jeszcze bardziej przyciemniając niebo.

Emma mocno trzymała się siodła, a i tak podskakiwała na grzbiecie osła niczym worek kartofli. Parasolka ciężko obijała się o jej ramię. Diabło nagle się zatrzymał, Tashee zderzyła się z jego zadem, po czym natychmiast cofnęła się o krok. Emma starła się szybko uchwycić siodła, ale było za późno - spadła na ziemię niczym tona kamieni. Jej towarzysz odwrócił się. Jego wzrok spoczął na pustym grzbiecie Tashee, a po chwili ześlizgnął się na ziemię.

- Co ty robisz tam na dole?

Popatrzyła na niego, chociaż raz wdzięczna za to, że kurz wypełnia jej usta i uniemożliwia udzielenie odpowiedzi.

- Coś się dzieje! - krzyknął. - Musimy pędzić, by schronić się za najbliższą skałą.  
Jedno słowo zaskoczyło Emmę. Pędzić. Będą pędzić? Galopem? Potrząsnęła odmownie głową.  
- Wsiadaj na Tashee! - zawołał Larence. Ponownie potrząsnęła głową.  
- Emmaline, nie zmuszaj mnie, abym zszedł i ci pomógł.

Podniosła się i wsiadła na oślicę. Zdażyła jeszcze głębiej odetchnąć, gdy jej towarzysz zakrzyknął: „Dalej!”, a Diabło ruszył z kopyta.

Spóźnili się pięć minut. Gwałtowny podmuch wiatru uderzył w nich niczym rozpędzona lokomotywa parowa. Larence we pchnął kapelusz głębiej na głowę i pochylił się do przodu. Emma skuliła się i wsparła podbródek na piersi. Włosy oblepiały jej twarz i opadały na oczy. Wiatr z piaskiem smagał po twarzy i wyrwał parasolkę z mocnego uścisku. Instynktownie sięgnęła po nią. Niesiony wiatrem kurz kłuł ją w oczy niczym rozgrzane iskry. Po skroniach Emmy spłynął potok ciepłych łez i zniknął we włosach powiewających wokół twarzy. Porwana przez wiatr parasolka wylądowała na jakimś spłaszczonym kaktusie.

Tysiące ostrych jak brzytwa drobinek uderzało w policzki i czoło Emmy i kłuło w odkrytą szyję. Kurz wypełniał nos i oczy. Ledwie cokolwiek widząc, zmrużyła oczy, starając się dojrzeć Larence'a w ciemnym, szybko poruszającym się powietrzu. Był jedynie dużą mroczną plamą przed nią.

Emma pochyliła się do przodu i przywarła do grzbietu Tashee, zaciskając blade, trzęsące się dłonie na uchwycie od siodła. Wyobraziła sobie, co by się stało, gdyby spadła właśnie teraz. Larence nie zauważyłby tego i by się nie zatrzymał. Leżałaby w jakiejś kupie piasku na zapomnianej przez wszystkich pustyni, zmęczona, spragniona, obolała. Ale nie to byłoby najgorsze. Zanim jej towarzysz by ją odnalazł, wiatr zmieniłby ją w niewielki stos wypalonych słońcem kości. Jeśli oczywiście kiedykolwiek zostałaby znaleziona.

Zmusiła się, aby wyrzucić ze świadomości te makabryczne wizje. Zwijając się na grzbiecie Tashee tak mocno, jak to było możliwe, wpatrywała się w swoje brudne dłonie tak długo, aż w jej umyśle pozostała tylko uspokajająca pustka. Czas stracił wszelkie znaczenie. Nic nie miało sensu oprócz utrzymania się w siodle.

Tak naprawdę nie była nawet świadoma, że się zatrzymali, kiedy Larence objął ją w talii i lekko ścisnął. Poczła ciepły, bojący dotyk i przez jej ciało przebiegł dreszcz. Podniosła ciężką głowę i popatrzyła na swego towarzysza smutnymi oczami.

Wokół wciąż hulał wiatr, rozwiewając ich włosy i ubrania smagając po twarzach.

- Już dobrze - rzekł Larence.

Emma zjechała z grzbietu Tashee prosto w jego uspokajające ramiona i nawet nie zaprotestowała. Zarzuciła mu ręce na szyję i ukryła twarz w pokrytej kurzem flaneli.

Przycisnął ją mocniej i ruszył poprzez burzę piaskową. Po chwili znaleźli się w wąskim schronieniu w kształcie litery U, które znajdowało się poza granicą burzy. Posadził Emmę delikatnie na ziemi, obok ułożył swój kapelusz, po czym zakrywając ramieniem oczy, cofnął się po zwierzęta.

Emma wychyliła się za nim. Nie odchodź! - chciała zawołać. Zostań ze mną!

Ale oczywiście nie zrobiła tego. Patrzyła tylko, jak znika w tumanach kurzu. Trzęsąc się, oparła się o szorstką skałę z piaskowca i podciągnęła kolana do piersi. Dreszcze przybrały na sile; łyzy wypełniły jej oczy. Zacisnęła powieki i ukryła twarz w dłoniach.

- Wszystko w porządku?

Emma odsunęła ręce do twarzy. Obok niej siedział Larence. Białe zęby błyskały w ciemnej brudnej twarzy, gdy się pochylił, by jej dotknąć. Jego dłoń, ciepła i silna, dotknęła jej ramienia i zaczęła zataczać powolne, uspokajające koła.

- Brzydka wichura, prawda?

Czując jego dotyk, przypomniała sobie, jak dobrze było znajdować się w jego ramionach.

I nagle z upokorzenia ścisnął się jej żołądek. Boże, pozwoliła się nieść tak, jakby była bezradnym dzieckiem. Przepelnił ją wstręt do samej siebie. Lecz nawet teraz, widząc współczucie i troskę w oczach Larence'a, pragnęła zapomnieć o dumie i skulić się przy jego boku.

Do diabła! - pomyślała. Do diabła z gorącem, kurzem, wiatrem i bólem! Ale przede wszystkim do diabła z nim! Co w nim było takiego, że przemieniało ją w bezwolną, wdzięczącą się uczennicę? Jej uczuciowy pancerz pękł najwyżej trzy razy w ciągu piętnastu lat noszenia go. A teraz, w towarzystwie doktorka, drżał co dziesięć minut.

Odsunęła się od swego towarzysza i wstała.

- Emmaline?

Nie patrz na niego. Oparła się o ścianę z piaskowca chroniącą ich przed wichurą. Skuliła się i przyglądała wścieklej burzy. Wiatr szalał obok ich ukrytego azylu. Przez dolinę przetaczało się głuche wycie, które odbijało się od skał.

Boże, cóż to było za nieszczęsne miejsce: dręczący upał, niekończący się kurz, pot, węże, robaki, a teraz jeszcze to - wiatr pędzący szybciej niż pociąg i niszczący wszystko na swojej drodze.

Ale prawdziwym niebezpieczeństwem, o czym Emma dobrze wiedziała, nie była pogoda. Był nim Larence, który tylko czekał, aż ona się rozpadnie, by podnieść kawałki jej duszy i je skleić.

Gdyby tylko mogła być pewna, że naprawdę je poskleja, byłaby w stanie się odprężyć. Być może nawet na tyle, że potrafiłaby z nim normalnie rozmawiać. Ale nie miała tej pewności. W tym zapomnianym przez wszystkich miejscu niczego nie mogła być pewna. A w szczególności własnych sił.

Przynajmniej udało mi się przetrwać dzisiejszy dzień - pomyślała tępo. A co może być gorsze niż taka wichura?

I wtedy właśnie na ziemię spadła pierwsza kropla deszczu.

### 13

Emma tuliła się do zimnej skały. Policzek miała przyciśnięty do wilgotnego szorstkiego piaskowca. Krople deszczu spływały na jej głowę, wybijały monotony rytm na ułożonych obok zwierząt zapasach. Ubita ziemia zmieniła się w płytką kałużę wypełnioną mazistym mułem. Zapach mokrej zwierzęcej sierści, końskich odchodów i wilgotnej ziemi unosił się ciężko w otoczonym skałami schronieniu.

Wyjątkowo duża kropla wylądowała na lewym oku Emmy. Zamrugła i wytarła ją przesiąkniętym wilgocią rękawem. Powinna była wziąć od Larence'a jego kapelusz, gdy go proponował. Głupia duma!

Poruszyła się lekko, odsuwając policzek od mokrej skały. Unosząc minimalnie głowę, spojrzała na swego towarzysza, który siedział przy drugiej skalnej ścianie, około półtora metra od niej. Jego postać stanowiła niewyraźną plamę, składającą się z żółtych i białych pasków. Emma zamrugła, aby pozbyć się wciąż napływającej do oczu wody. Kiedy to nie pomogło, wytarła krople deszczu wierzchem dłoni i przetarła oczy rękawem.

Larence, podobnie jak ona, leżał skulony przy ścianie, ale, w przeciwieństwie do niej, wyglądał na ułożonego względnie wygodnie i zdecydowanie bardziej suchego. Kolana miał podciągnięte do piersi, a całe ciało okrywało to idiotycznie wyglądające poncho. Woda spływała po grubym nieprzemakalnym materiale i gromadziła się na ziemi wokół. Nasunięty głęboko na czoło kapelusz chronił przed kroplami deszczu twarz i oczy. Woda spływała cienkim, srebrnym strumyczkiem z ronda nakrycia głowy i tworzyła coraz większą kałużę pomiędzy butami Larence'a.

Powinna była wziąć od niego poncho, kiedy jej to zaproponował. Teraz nie wyglądało już tak idiotycznie, co więcej - było bardzo praktyczne. Emma westchnęła na myśl o własnej głupocie i ponownie oparła głowę o skałę. Boże, była taka zmęczona. Tak przeraźliwie i wyczerpująco zmęczona.

Więc dlaczego nie mogła zasnąć? Rzuciła zazdrosne spojrzenie na swego towarzysza. To nie było sprawiedliwe, że on sobie spokojnie drzemał, podczas gdy ona była całkowicie przytomna, mokra i nieszczęśliwa.

Gdy w oddali zawył jakieś zwierzę, przerażona uniosła głowę i zaczęła szybciej oddychać. Siedziała sztywno, choć całe jej ciało się trzęsło. Wzrok miała przykuty do wejścia do kryjówki.

Zwierzę zawył ponownie. Emmie wydało się, że widzi parę dzikich oczu, połyskującą w ciemności.

- Uspokój się, Em - powiedziała do siebie, szcękając zębami. - Tutaj nic nie ma.

Zmusiła się do zamknięcia oczu i wymazania wszystkiego ze świadomości. Koncentrując się na każdym płtykim, szybkim oddechu, powoli odzyskała część samokontroli.

Była tak bardzo skupiona na sobie, że chwilę potrwało, zanim zauważyła zmianę. Zrobiło się cicho. Ostrożnie otworzyła najpierw jedno oko, a po chwili drugie. Nie przesłyszała się! Deszcz ustał. Odprężona jak po wypiciu magicznego eliksiru, ponownie oparła policzek o skałę, lecz tym razem nie zwracała uwagi na maleńkie ziarenka piasku, drażniące skórę. Zamknęła oczy i po kilku minutach już spała.

Przebudziła się pół godziny później. W pierwszej chwili myślała, że śniły jej się pełzające po niej mrówki, ale po chwili odkryła prawdę. Wilgotna wełna przykleiła się do ciała. Gdy zaczęła wysychać, nitki przebijały się przez jej cienką bieliznę i drażniły skórę.

Zwinęła dłonie w trzęsące się blade pięści. Jednego była pewna: tej nocy już nie zaśnie.

Spójrz, tam na wschód. Jastrząb z czerwonym ogonem...

Emma jak zwykle nie słuchała; nie była w stanie. Robiła wszystko, co w jej mocy, aby siedzieć wyprostowana na grzbiecie Tashee i nie zasnąć. Lekko pochyliła się do przodu, przytrzymując się prowizorycznego uchwytu, gdy zwierzę zaczęło się wspinać po kamienistym zboczu. Karłowate krzewy, pokryte ostrymi jak brzytwa kolcami, zahaczały o spódnicę i kłuły w nogi.

Zamknęła oczy i jeszcze mocniej złapała się siodła. Kiedy się wspięli i znaleźli na równym terenie,

odprężyla się. Dwa dni, które upłynęły od wichury, były najdłuższymi czterdziestoma ośmioma godzinami w jej życiu. Obojętnie, czy na grzbiecie Tashee, czy siedząc ze skrzyżowanymi nogami przy ognisku, albo się pocila, albo drapała i próbowała powstrzymać od głośnego krzyku. Dni ciągnęły się bez końca. Było goręcej, niż musiało być w piekle. A noce były nawet gorsze. Podczas chwil między kolacją a pójściem spać cisza otaczała ją niczym zatęchła aksamitna zasłona. Tak ją dusiła, że czasami chęć rozmowy, kontaktu z człowiekiem - nawet z Larence'em - była na tyle silna, że Emma już otwierała usta. Na szczęście nic się z nich nie wydobyło. Od dwóch dni nie odezwała się do swego towarzysza ani słowem.

Dwa dni temu kierowała nią uparta, sznurująca usta duma. Teraz był to instynkt samozachowawczy. Emma obawiała się, że jeżeli otworzy usta - chociaż raz - zacznie krzyczeć niczym przerażony skazaniec na widok szubienicy i nie będzie w stanie przestać.

Wszystko przez tę diabelską burzę - pomyślała tępo. Tamtej nocy, siedząc skulona z twarzą przy skale, wyczerpana i obolała, poczuła pierwsze ukłucia strachu, który potem towarzyszył jej przez cały czas. Siedział na ramieniu Emmy niczym sęp, czekający cierpliwie na moment, w którym rzuci się na nią i pożre. Z każdą sekundą tej wyprawy, z każdą przebytą milą coraz trudniej jej było trzymać uczucia i emocje na uwierzy. Potrzebowała pełnej koncentracji, aby panować nad gniewem i frustracją.

Więc trzymała usta zasznurowane. Dopóki była cicho, mogła podtrzymywać iluzję godności.

Gdybym tylko mogła zasnąć - pomyślała po raz chyba już tysięczny. Gdyby była w stanie zasnąć chociaż na kilka cennych godzin, odzyskałaby siłę do walki. Ale ten błogi stan wymykał jej się z rąk. Dłonie bez względu na to, jak długo wyciągała je w jego stronę, zawsze pozostawały puste. Mała drzemka od czasu do czasu pozwalała organizmowi Emmy jakoś funkcjonować, ale w nocy, kiedy sen był sprawą nadrzędną, jej oczy pozostawały szeroko otwarte i boleśnie suche.

Naciągnęła brzydko niemodny kapelusz głębiej na spocone czoło i od razu poczuła minimalną, ale jednak ulgę od gorącego słońca. Dzięki Bogu, że Larence zabrał ze sobą dodatkowe nakrycie głowy. Gdyby tego nie zrobił, jej twarz byłaby teraz popękana i czerwona niczym homar. Zmęczona, rozejrzała się. Górzysty teren, pełen wygasłych wulkanów, wydawał się należeć do innej planety. Minęły spokojne dni, podczas których Emma mogła tylko swobodnie siedzieć na grzbiecie Tashee. Teraz bez przerwy albo się wspinali, albo schodzili w dół, klucząc pomiędzy skalistymi, porośniętymi kaktusami urwiskami, które tak bardzo przerażały. Teren był nieurodzajny, pusty i spalony słońcem. W pewien sposób złowrogi.

Na linii horyzontu widoczne były góry - garby w stalowym kolorze na tle niebieskiego nieba, nieprzyjemne i czujne. Wielkie ściany czerwonych piaskowców wyrastały z porośniętej krzakami ziemi, a pomiędzy nich wystawały szarawe szpiczaste kaktusy niczym sędziwe oskarżycielskie palce.

Nic na tym obszarze nie było normalne lub przynajmniej choć trochę znajome. Nie można było nawet ufać temu, co się widzi. dwóch dni miarowo zbliżali się w stronę największego z tutejszych płaskowyżów. I nie byli wcale bliżej niż w momencie rozpoczęcia tej trasy. Ten diabelski teren wydawał się oddalać w takim samym tempie, w jakim go przemierzali.

To skutek rozrzedzonej atmosfery. Larence tłumaczył w ten sposób fakt, iż wydawało się, że góry się poruszają.

- Popatrz, Emmaline, karłowaty kaktus...

Przewróciła oczami. Czy możliwe, by wierzył, że ją to cokolwiek obchodzi? Zwracał się do niej od samego świtu, wskazując co kilka minut na jakiś okaz fauny lub flory, który miał siłę przetrwać w tym palącym słońcu, tak jakby jego towarzyszka naprawdę miała ochotę poznać nazwę każdego zakurzonego liścia stąd do Arizony.

Kiedy przestała się do niego odzywać, przez jakiś jeszcze czas odwracał się do niej, sądząc, że mu nie odpowiadała, gdyż nie dostyszała jego słów. Ale potem nawet i doktorek zrozumiał. Zdał sobie sprawę, że Emma celowo go ignoruje. Już od kilku godzin ani razu nie odwrócił się w jej stronę.

Na szczęście nie schodził już z konia, aby zmierzyć każdą zmianę kierunku wiatru. Strome kamieniste urwiska skutecznie go do tego zniechęciły. To był jedyny dobry aspekt tej części Nowego Meksyku.

Emma westchnęła i spróbowała znaleźć dla siebie wygodniejszą pozycję na kościstym grzbiecie Tashee, Odgłos bogatego w szczegóły monologu Larence'a wyraźnie ją usypiał. Wyczerpana, opuściła ramiona. Jej powieki ważyły tony. Bez względu na to, jak często lub z jaką siłą starała się unieść, wciąż opadały.

Boże, była tak przeraźliwie zmęczona...

Po chwili zasnęła.

Dziesięć minut później Tashee podążała za Diabłem po kamienistej skarpie. Śpiąca Emma podskakiwała przy każdym kroku zwierzęcia. Nagle długa, ostro zakończona łodyga zaczepiła o wełnianą spódnicę i przytrzymała ją. Emma spadła na ziemię z głuchym odgłosem, uderzając głową w gorący, płaski kamień. Zobaczyła nagle gwiazdy i poczuła ogarniające ją młdłości. Tashee minęła ją z mokrym czarnym nosem przytkniętym do ogona Diabła.

Emma otworzyła usta, aby krzyknąć na Larence'a, lecz połknęła tylko garść kurzu. Nie mogła wydobyć z gardła głosu.

Juczny muł przeszedł spokojnym krokiem obok niej, bez wysiłku wspinając się na skarpę. Jego ogon smagnął ją po twarzy. Z każdym uderzeniem kopyta o ziemię do nosa i ust Emmy wdzierał się duszący szarobrazowy kurz, który mieszając się ze śliną, tworzył na języku gęstą, mazistą papkę. Suchy, urywany kaszel wydostawał się z jej płuc i sprawiał, że gardło miała kompletnie suche.

- Spójrz, Emmaline - dobiegł do jej uszu pogodny głos Larence'a. - Kolejny mały królik.

Zatrzymaj się, proszę, zatrzymaj... Próbowała krzyżeć, ale ani jeden dźwięk nie wydostawał się z suchego jak pieprz gardła. Emmę ogarnęło przerażenie; serce zaczęło jej walić w szalonym tempie. Spróbowała podczołgać się w górę skarpy, wpijając palce w sycki piasek, ale im szybciej się wspinała, tym więcej piasku osypywało się pod nią. Wreszcie w tumanie duszącego kurzu osunęła się z powrotem w dół.

Z oczami mokrymi od łez, kaszląc, zaczęła wspinać się ponownie. Piasek osadzał się pod jej paznokciami, wypełniał nos i oczy. Kolce krzewów przyczepiały się do ubrania, kłując wrażliwą, ukrytą pod nimi skórę. Po kilku minutach, które wydawały się godzinami, Emmie udało się wdrapać na szczyt skarpy. Ciężko dysząc, wpatrywała się w bezgłośnym przerażeniu w zad muła. Stawał się coraz mniejszy - wszystkie zwierzęta coraz bardziej się oddalały. Mała karawana pozostawiała za sobą tuman unoszącego się wysoko kurzu. Ich równomierne kroki odbijały się echem od suchej gleby, a dźwięk ten łączył się z melodyjnym pogwizdywaniem Larence'a.

- Larence! Zatrzymaj się! - Słowa te wydostawały się ze spieczonych i popękanych warg w formie zdyszanego skamlenia. Emma desperacko próbowała unieść się na łokciach, lecz głowa Jej opadła, a mdłości stały się silniejsze. Osunęła się z powrotem na piasek niczym szmaciana lalka.

Jak długo tak leżała, półprzytomna, opuszczona i samotna, stanowiło dla niej zagadkę. Jedyne, czego była pewna, to nagłego Pobudzenia. Wyteżyła słuch, by dosłyszeć miarowe uderzenie kopyt o ubitą ziemię albo chociaż idiotyczne pogwizdywanie Larence'a, lecz nic nie dotarło do jej uszu; żaden dźwięk nie mieszał się z delikatnym szeptem wiatru. Otaczało ją tylko rozgrzane, suche powietrze.

Emma zamrugnęła, a widok, który przed sobą ujrzała, przeraził ją. Odjechał. Używając całej siły, jaka pozostała w jej ciele i duszy, zaczęła się czołgać po gorącym piasku. Pustynia jednak okazała się silniejsza. Upał, kurz i ból połączyły się przeciwko kobiecie, pozbawiając ją resztek siły woli.

Wreszcie upadła, walcząc o oddech. Gdy gorące łzy zaczęły spływać po jej policzkach, nawet nie próbowała ich powstrzymać. Przecież obok nie było nikogo, kto ujrzałby jej słabość. Słone strumyczki wsiąkały w gorącą ziemię.

Nikt, nawet ta zdrączytni Tashee, nie zauważył jej nieobecności. Boże, dlaczego nie odzywała się do Larence'a? Gdyby zrobiła to chociaż raz, może odwróciłby się w siodle, aby coś do niej powiedzieć, może zauważyłby, że jej nie ma. A tak...

Dreszcz przeniknął Emmę na samą myśl o tym. Spróbowała wyrzucić ją ze świadomości, lecz wciąż powracała - głśniejsza, silniejsza i niemożliwa do zaprzeczenia. Jak długo potrwa, nim Larence zda sobie sprawę, że spadła? I jak daleko odjedzie do tego czasu? Zbyt daleko, aby jej pomóc...

Ogarnęły ją rozpacz i poczucie porażki. Przez całe życie walczyła. I co jej to przyniosło oprócz pustego apartamentu i złamanego serca? Boże, była już tym wszystkim zmęczona. Może nadszedł czas, aby powiedzieć: „Wystarczy”. Czas odejść...

- Larence... - Przepełniona świadomością całkowitej porażki, wyszeptęła imię swego towarzysza. Czy naprawdę odezwanie się do niego kosztowało ją tak wiele? W odpowiedzi z gardła Emmy wyrwał się ostry śmiech, wyrażający potępienie dla własnej osoby. Milczenie kosztowało ją zdecydowanie więcej.

Ułożyła twarz na twardym podłożu. Gorąca ziemia parzyła jej policzek; czuła jałowy zapach pustyni.

Próbowała wykrzesać kroplę śliny do zwilżenia wysuszonego gardła. Niestety, w jej ustach nie było ani odrobiny wilgoci.

Szkoda, że razem z nią nie spadł bidon. Wtedy być może miałyby jakąś szansę. A tak...

Po jej ciele przesunął się duży cień. Emma uniosła głowę i spojrzała w niebo; ogromny ptak z brązowymi skrzydłami zataczał koła kilka metrów nad jej głową. Wpatrywały się w nią małe czarne oczka; ostry żółty dziób połyskiwał w słońcu.

Sęp? Już? Emma poczuła, jak ogarnia ją niemożliwe do opisanego przerażenie. O Boże...

Larence usłyszał jakiś dźwięk i przestał gwizdać. Obrócił lekko głowę i nasłuchiwał.

To było dalekie, zawodzące lamentowanie jastrzębia. Wysoki dźwięk odbijał się echem od odległych skał, rozbrzmiewając w ciężkim powietrzu.

Larence uśmiechnął się, przypomniał sobie majestatycznego jastrzębia z czerwonym ogonem, który kołował nad nimi dziś rano. Żałował, że nie ma wystarczającego talentu, aby uwiecznić to na papierze.

Jego wzrok przyciągnęło coś znajdującego się na ziemi. Szarawozielona roślina. Przyjrzał się jej uważnie i zaparło mu dech. To był wspianały egzemplarz *Agave parryi*. Doskonały.

Zatrzymał Diabla i zsiadł na ziemię, pospiesznie udając się w stronę zbitej kępki sztywnych, przypominających łopaty liści. Końcówka każdego z nich - niebezpieczny kolec - połyskiwała w gorącym popołudniowym słońcu niczym kropelka srebra. Gwiżdżąc, przykucnął przy kaktusie i zaczął szkicować w notesie.

Dopiero po pięciu minutach zdał sobie sprawę, że coś jest nie tek. Zmarszczył czoło. Ale co?

Emmaline. Nie słyszał jej poirytowanego, niecierpliwego westchnienia. Nie odzywała się do niego od dwóch dni, więc me spodziewał się, że usłyszy jej głos, ale zawsze, kiedy się zatrzymywał, aby coś narysować, dawała wyraz swojej niechęci krótkimi, zniecierpliwionymi westchnieniami.

Zerknął pospiesznie za siebie i zamarł. Siodło na grzbiecie Tashee było puste.

- O mój Boże! - Upchnął notes i ołówek do kieszeni i niezdarnie pobiegł w kierunku konia. Wskoczył na grzbiet, zawrócił go, poczekał, aż osioł i muł pójda w ich ślady, po czym mocno ścisnął piętami boki swego wierzchowca.

Diablo poruszał się szybkim klusem. Larence przywarł do siodła, ciężko na nim podskakując. Tylko jego stopy, tkwiące mocno w strzemionach, i silny uścisk dłoni na uchwycie siodła pozwalały mu utrzymać się na końskim grzbiecie. Za każdym razem, gdy uderzał ciężko pośladkami o siodło, czuł w żebrach wibrujący ból. Wnętrznosci jeźdźca podskakiwały i trzęsły się, a z jego ust wydobył się mimowolny jęk. Zaciśnął zęby i jechał dalej, choć raz wdzięczny losowi za to, że musiał się nauczyć życia z bólem.

Gdzie ona spadła? I dlaczego, do diabła, nic nie powiedziała ani nie dała w jakiś sposób o tym znać? Może nie była w stanie? Larence zadrżał.

To była jego wina. W ciągu ostatnich dwóch dni dał swej towarzyszce zdecydowanie zbyt dużo swobody. Nie, powinien był jej w ogóle pozwolić na to dziecinne milczenie. Trzeba było zmusić ją do tego, by brała aktywny udział w wyprawie, by z nim rozmawiała, zamiast pozwolić na chowanie się coraz głębiej w swojej skorupie.

Kiedy ją znajdzie, wszystko się zmieni. Będzie z nim rozmawiała, wykonywała swoją część obowiązków. Nauczy ją śmiać się, najpierw z samej siebie.

Jeśli ją odnajdzie...

Ponownie ścisnął Diabla piętami; koń jeszcze bardziej przyspieszył.

Ciche powietrze przeciął przenikliwy, głośny skrzek. Larence uniósł głowę i się rozejrzył; w oddali dostrzegł jastrzębia zataczającego małe kółka. Nie miał pojęcia, jak daleko znajduje się ptak. Rozrzedzona atmosfera uniemożliwiała ocenę odległości.

Serce zaczęło mu bić szybciej. Wielkie ptaszysko fruwało nisko nad ziemią, zataczając coraz mniejsze kółka. Wiedział, że to irracjonalne, ale w jakiś sposób był pewien, że jastrząb wskazuje mu drogę...

Szarpnął za uzdę i skierował konia w lewo w stronę ptaka. Diablo szybko pogalopował, ciężko uderzając kopytami o ziemię.

Godzinę później Larence dojrzał wreszcie pierwszy niewyraźny zarys leżącego bezwładnie ciała, nad którym jastrząb zataczał niewielkie koła. Postać Emmy była stosem czarnej wełny, białej bawełny i blond włosów.

Z bijącym szybko sercem i spoconymi dłońmi Larence uniósł się na piętach i patrzył na nią znad konia.

Proszę, Boże, niech będzie z nią wszystko w porządku...

Jastrząb wydał długi przenikliwy skrzek i odfrunął. Larence chwycił bidon i zeskoczył z konia. Gdy jego stopy uderzyły o ziemię, ugięły się pod nim kolana. W chorej nodze promieniował ból. Nie zwracając na niego uwagi, podbiegł do Emmy i upadł przy niej na kolana.

Leżała rozciągnięta na gorącej ziemi. Jedną rękę miała ułożoną przy boku, a druga zasłaniała policzek. Pasma brudnych jasnych włosów powiewały wokół spalonej słońcem twarzy i ginęły w jasnobrązowym piasku. Usta miała popękane i pozbawione wszelkiego koloru.

Larence ciężko przełknął ślinę. Gardło zaciśnęło mu się ze strachu. Z wahaniem dotknął Emmy. Jego palce przesuwają się badawczo po jej szyi. Była tak gorąca...

I wtedy poczuł delikatne pulsowanie życia.

- Emma? - odezwał się, odetchnąwszy z ulgą.

Nie zareagowała. Ostrożnie przekręcił ją na plecy i wsunął jedno ramię pod szyję. Leżała bezwładnie w jego ramionach. Otworzył bidon i go przechylił; kilka cennych kropli wody spłynęło mu na palce, gromadząc się wewnątrz dłoni. Po chwili, uważając, aby nie poruszyć Emmą zbyt gwałtownie, zanurzył dwa palce w wodzie i przejechał nimi po jej spieczonych ustach. Zrobił to kilka razy, zanim wargi kobiety się rozchyliły. Miał ochotę skakać z radości.

- Dalej, Em, właśnie tak. Liź moje palce.

Jej język wysunął się i zlizywał chłodny płyn z palców Larence'a. Dziwny dreszcz przebiegł mu przez ciało, gdy poczuł jej wilgotny język.

Kiedy spiła już całą wodę, z jej spękanych ust wydobył się niski bolesny jęk. Larence objął ją mocno i zaczął przemawiać jak do małego dziecka. Mówił miękkim, delikatnym głosem o wszystkim, co mu tylko przyszło do głowy. O słońcu, pogodzie, Ciboli.

Po kilku minutach Emma przesunęła językiem po nabrzmiałej, szorstkiej powierzchni ust. W jej gardle zabulgotało, gdy z trudem przełknęła ślinę. Otworzyła oczy. Ostre popołudniowe światło sprawiło, że zaczęła mrugać. Larence ściągnął z głowy kapelusz i użył go do osłonięcia jej oczu.

- Cześć, Em.

Otworzyła lekko usta, ale nie wydobył się z nich żaden dźwięk. Mimo to jej towarzysz odgadł, że próbuje wypowiedzieć jego imię.

- Oczywiście, że to ja. - Pogłaskał ją po policzku. Emma zamknęła oczy i utonęła jeszcze głębiej w jego ramionach.

- Proszę - rzekł po chwili Larence. - Wypij to - polecił, przytykając bidon do jej ust.

Otworzyła szeroko oczy, chwyciła oburącz naczynie i wyjęła z jego rąk. Przechyliła je i chciwie przełykała gorącą wodę. Mokre strumyczki spływały po jej szyi i obu stronach twarzy, wsiąkając w gruby drelch jego spodni.

- Hej, nie tak szybko - nakazał, odebrał jej bidon i odstawił na ziemię.

Wtedy spojrzała na swego wybawcę. Ujrzała w jej oczach bolesną, bezgraniczną rozpacz. I dużo więcej niż tylko cień porażki. Były to uczucia, które dobrze znał. Ale zobaczenie ich w oczach tej kobiety, w jej niezwykłym dotąd spojrzeniu, było czymś dużo gorszym niż ujrzanie ich u siebie. Poczul nagle silną ochotę, by sprawić, że w jej oczach pojawi się radość. Nauczyć ją uśmiechać się.

- Przyszedłeś - powiedziała bezgłośnie Emma. Coś ścisnęło go za serce. Czy ona naprawdę sądziła, że pozwoli jej tu zostać i czekać na śmierć?

- Oczywiście, że przyszedłem. - Zastanawiał się, czy usłyszała drżenie jego głosu.

Spróbowała się uśmiechnąć, ale wypadło to bardzo żałośnie.

- Dzięki.

Larence zmusił się do milczenia. Wieczorem, kiedy Emma będzie bardziej odprężona, zacznie atakować mur, który musiała budować przez lata. Ale nie w tej chwili, kiedy była tak bliska całkowitego załamania.

- *De nada* - odpowiedział lekkim tonem. - Oto, co Diamentowy Dick zawsze mówił do swojego towarzysza, Jednookiego Johna. „Nie ma za co”.

Emmaline jęknęła i przewróciła oczami.

Larence uśmiechnął się. Przycisnął ją do siebie jeszcze mocniej i podniósł się. Zdziwiło go, jak niewiele wysiłku go to kosztowało. Jego babka nie miała racji: był w stanie wnieść kobietę na rękach po schodach lub przenieść przez próg. Być może nawet dalej.

- Larence?

Twarz Emmy była tak blisko, że mógł dojrzeć ziarenka piasku, które wciąż miała przyczepione do ciemnych rzęs. Jej niebieskie oczy wydawały się olbrzymie na tle ciemnej, spalonej słońcem skóry. Patrzyła na niego szeroko otwartymi oczami, na których choć raz nie było fałszywej zasłony. Larence czuł się tak, jakby zaglądał prosto do jej duszy, tak samo przerażonej i podatnej na zranienia jak jego.

- Jest za co - odezwała się jego towarzysza suchym, łamliwym głosem. - Dzięki.

Jakieś uczucie, którego Larence nigdy jeszcze nie doświadczył i którego nie potrafił nazwać, sprawiło, że serce zaczęło mocno walić mu w piersi. Czuł ciepły oddech Emmy i równomierne bicie jej serca.

Zaprzagnął powiedzieć coś lekkiego i mało ważnego.

- Skoro już doszłaś do siebie, to może pojedziemy kawałek dalej i rozbijemy obóz w jakimś nieco ładniejszym miejscu?

Nieoczekiwanie uśmiechnęła się. Oblizwała wysuszone wargi i rzekła słabym jeszcze głosem:

- Chyba powinniśmy to zrobić.

Uśmiechnął się szeroko. Ledwie ta kobieta powróciła znad krawędzi śmierci, a już wydawała rozkazy. Postawił ją na ziemi i pokuśtykał w stronę Diabła. Między nim a Emmą wytworzyło się poczucie koleżeństwa, coś nowego i kruche, i Larence postanowił za wszelką cenę nie dopuścić do ulotnienia się tej więzi. Więc kiedy przepakował bagaże tak, aby na końskim grzbiecie znalazło się miejsce dla dwóch osób, rzekł:

- Następnym razem, kiedy zdecydujesz się na chwilę odpoczynku, Em, może poprosisz o mój notes. Byłbym ci teraz bardzo wdzięczny za szkice piasku, na którym leżałaś.

Grudka ziemi uderzyła go w plecy. Przez chwilę udawał zdziwionego, po czym oboje zaczęli się śmiać.

Emmie trudno było uwierzyć w to, że się śmieje. W jakiś nieznany sposób wydostawał się z niej ten

dźwięk, który był nieproszony i niechciany, lecz mimo to dziwnie potrzebny. Tak jakby stanowił substytut krzyku.

Lecz w tej chwili śmiech był ostatnią rzeczą, jaka przychodziła jej do głowy. Siedząc na Diabłu za Larence'em, z policzkiem przyciśniętym do ciepłego materiału jego poncho, z rękami trzymającymi go w pasie, Emma desperacko chciała płakać. Potrzebowała całej siły woli, całego samozaparciu, aby powstrzymać upokarzające łzy. Próbowała odwrócić myśli od tego, co się wydarzyło, ale nie była w stanie. Wciąż widziała siebie, leżącą na pustyni samotną i zapomnianą.

Zaczęła cicho szczękać zębami. Zacisnęła mocno usta, lecz sama nie wiedziała, czy po to, by powstrzymać to szczekanie, czy aby nie dopuścić do krzyku. Zresztą już ją to nie obchodziło. Jedyne, co miało teraz znaczenie, to zachowanie chociaż reszty godności. A to oznaczało powstrzymanie za wszelką cenę łez.

Słone, gromadzące się krople parzyły jej oczy. Narastała w niej potrzeba pozbycia się ich, która wywołała pulsujący ból głowy. Dlaczego teraz, kiedy było już po wszystkim i nic jej nie groziło, zbierało jej się na płacz?

Nie potrafiła odpowiedzieć na to pytanie. Jedyne, czego była w pełni świadoma, to zwiększającej się z każdą chwilą potrzeby otworzenia tamy i dania ujścia zbyt długo skrywanym uczuciom.

Larence wyczułby wilgoć na swoich plecach. Ta myśl była dla niej niczym wiadro zimnej wody. Nie mogła pozwolić sobie na takie upokorzenie. A poza tym co by to dało? Płacz jest niepotrzebnym marnowaniem energii. Czy jej ojciec nie płakał przez kilka dni, zanim się zastrzelił?

Tyle dobrego przyniosły mu łzy...

Emma zacisnęła mocno powieki. Gniew z powodu bezsensownej śmierci ojca zagłuszył jej strach. Prawie natychmiast ustało drżenie w jej ciele, serce zaczęło bić wolniej, a łzy obeschły. Powróciła samokontrola.

Emma westchnęła i prawie się uśmiechnęła.

Znowu wygrała.

Kawałek dalej na wschód głośno zaskrzeczał jastrząb, po chwili złożył wielkie brązowe skrzydła i usadowił się na najwyższym konarze drzewa. Gałąź zachybotła się, a na piaszczystą glebę opadły zielone igły.

Ka-Neek skinął głową, wskazując na ptaka, po czym skierował uwagę z powrotem na dwóch siwowłosych mężczyzn, siedzących ze skrzyżowanymi nogami przy ognisku.

- Jak długo jeszcze będziemy czekać? Są blisko. Zbyt blisko. Tajemnica...

- Wystarczy. - Słowo to zostało wypowiedziane cicho, a jedynym jego podkreśleniem było spokojne uniesienie spalonej końcem dłoni. Wódz zapalił fajkę.

Ka-Neek oderwał się od drzewa i zaczął pakować. Kurz unosił się wysoko spod znoszonych skórzanych podeszew jego mokasyńców.

- Nie mogę stać obok i się przyglądać, jak ci przekłęci biali ludzie niszczą to, co nasza rodzina ochrania od pięciu wieków. Mówię...

- Dobrze wiemy, co chcesz powiedzieć, synu - ostro przerwał Inu Melik. - Ale nie ty o tym decydujesz. - Odwrócił się, aby spojrzeć na siedzącego obok niego starego mężczyznę. - A jak ty sądzisz, ojcze? Nie można zaprzeczyć, że podeszli blisko do Zakazanego Miejsca. Być może zbyt blisko.

Starzec wypuścił z ust ostatnie kółko szaro-białego dymu i zgasił fajkę. Iskry syczały głośno i ulatywały w powietrze niczym maleńkie uwolnione jęczyczki ognia.

W oczach wodza odbijały się jasne pomarańczowe płomienie. Cienie tańczyły na zapadłych, pomarszczonych policzkach. Z wielką uwagą odgarnął z twarzy pasmo siwych włosów i schował je za uchem.

- Ka-Neek ma rację - powiedział wreszcie z niechęcią. - Nadszedł odpowiedni czas.

## 14

Larence stał nad brzegiem rzeki i głęboko wdychał pachnące żywicą powietrze. Strumień srebrzystej wody kontrastował z ciemnobrązowym piaskiem i odbijało się w nim coraz ciemniejsze niebo. Cienie pełzały po brzegu rzeki i skradały się w stronę cicho szumiących liści na rosnących nieopodal topolach. Woda płynęła leniwie, sitowie cicho szeleściło.

Twarz Larence'a owiał lekki wiaterek, a chłodne powietrze targało jego włosy. Popatrzył w górę na ciemniejące coraz bardziej niebo i znieruchomiał urzeczony jego pięknem. Słońce z rażącej w oczy kuli przekształciło się w bladożółtą masę, wysyłającą przytłumione światło. Niebieskie chmury o zachodzie stanowiły ukoronowanie dla widocznych w oddali srebrzystych szczytów gór.

Ten widok był tak uroczy. Emmaline powinna go zobaczyć...



Odwrócił się w jej stronę i uśmiech zniknął z twarzy Larence'a. Jego towarzyska siedziała w całkowitym bezruchu. Wzrok miała utkwiony w ognisku, a palce zaciśnięte mocno wokół kubka z dawno już wystygłą kawą. Była sztywna, jakby połknęła kij. W czarnym stroju, ze spódnicą rozłożoną wokół nóg, przypominała mu pogrążoną w smutku wdowę nad świeżo wykopanym grobem męża. Od prawdziwej wdowy odróżniał ją jedynie całkowity brak łez.

Larence podszedł do ogniska i ukląkł naprzeciwko Emmy.

Nawet nie mrugnęła okiem. Dalej siedziała niczym marmurowy posąg. Nie wiedział, co zrobić, jak do niej dotrzeć. Z każdą przebytą dzisiaj milą czuł, jak umacnia się mur lodowatej obojętności, który zbudowała wokół siebie, widział, jak coraz bardziej i bardziej zamyka się w sobie. Nagle uniosła głowę.

- Przestań się na mnie gapić.

- Dlaczego? Westchnęła z irytacją.

- Nie musisz przypadkiem rozpakować bagaży, żebym mogła zacząć robić kolację?

- Martwisz się o wygodę zwierząt, Emmaline? - drażnił się z nią Larence.

- Zostaw mnie w spokoju.

Uśmiech zniknął z jego twarzy, a głos przeszedł prawie w szept.

- Nie mogę tego zrobić, Em. Nie tym razem.

Ich spojrzenia spotkały się. Jej twarz nagle pobladła. Emma otworzyła usta, by coś powiedzieć, po czym je zamknęła i z powrotem utkwiała wzrok w ognisku. Kubek w jej dłoni zaczął się trząść.

Larence uważnie się jej przyglądał. Resztkami sił panowała nad sobą, żałośnie starając się wyglądać na niezwykioną. Ale on potrafił przejrzeć ją przez tę sztuczną fasadę. Ta przerażona samotna kobieta poruszała jego serce, przypominała mu o małym chłopcu skulonym na twardym zimnym łóżku i starającym się powstrzymać płacz. Strach i bolesne osamotnienie były czymś, co doskonale potrafił zrozumieć.

Rozpознаwał sygnały wysyłane nieświadomie przez Emmę. Lata całe sam ukrywał ból i gniew, starał się udawać, że te uczucia w ogóle nie istnieją, że jest od nich silniejszy. Ale na dłuższą metę nigdy się to nie sprawdzało. Prędzej czy później przedostawały się przez mur, który zbudował, by trzymać je w zamknięciu.

Emma bała się swoich uczuć tak jak on przed laty. Niestety; jedynym sposobem na poznanie własnej siły jest znalezienie się na dnie i uświadomienie sobie, że można przetrwać. Zalała go fala prawie bolesnej czułości. Narastała w nim potrzeba pochylenia się w stronę siedzącej naprzeciwko kobiety i ujęcia jej dłoni. Pragnął wziąć ją w ramiona, przekonać, że to nic złego się załamać, być zwykłym, słabym człowiekiem. Chciał jej pokazać, że przynajmniej raz nie jest sama.

- Em... - Między nimi zawisł dźwięk jej imienia, wypowiedzianego delikatnie i miękko.

Powoli podniosła wzrok. Larence ujrzał w jej oczach nieśmiałość, wahające się światełko nadziei. Jej uroda prawie pozbawiła go tchu. Serce zaczęło bić mu w piersi w przyspieszonym tempie.

- Jesteś taka... - Dalsze słowa utknęły mu w gardle. Czyż kogoś takiego jak Emmaline mogło obchodzić to, że on uważa ją za piękną? Mężczyźni lepsi od niego z pewnością mówili jej to tysiące razy. Powiedział więc to, co przyszło mu do głowy - ...zmęczona. Chciałabyś już pójść spać?

Nikły uśmiech pojawił się w kącikach jej ust. Uniosła kpiąco jedną brew.

- Składasz mi propozycję, Larence?

Tak, może składam. Kiedy sobie to uświadomił, na chwilę zaniemówił. Patrzył na nią i gorączkowo myślał nad tym, co odpowiedzieć. Coś błyskotliwego, światowego, coś, co zwałoby ją z nóg. Ale nie przychodziło mu do głowy nic oprócz: „Tak, może składam...”

- Nie kłopotz się odpowiadaniem. - Emma roześmiała się gorzko i ostro. - Doskonale wiem, co do mnie czujesz.

- To nie...

Przerwała mu ruchem dłoni.

- Nie kłopotz się. Rozpakuj rzeczy i nakarm zwierzęta, a ja przygotuję kolację. - Nie musisz dzisiaj gotować.

- Chcę pomóc. Najwyższy czas na to. A poza tym jestem ci coś winna za to, że po mnie wróciłeś.

Larence poczuł się tak, jakby otrzymał cios w brzuch.

- To nie była transakcja wymienna, Em - rzekł cicho, Zbladła.

- Jest mi... łatwiej myśleć o tym w ten właśnie sposób. Rozumiem takie interesy: długi i spłaty nie są mi obce. - Ich spojrzenia się spotkały. - Wszystko inne... - Wzruszyła ramionami, zmusiła się do kolejnego nikłego uśmiechu i nie dokończyła rozpoczętego zdania.

Larence poczuł przyływ nadziei. To była najbardziej - do licha, to była jedyna - osobista rzecz, którą kiedykolwiek mu powiedziała. Pochylił się w jej stronę, zdając sobie sprawę, że jego zapał jest zbyt widoczny, ale nie chciał i nie próbował go zamaskować.

- Emmaline, ja...

Coś uderzyło go w tył głowy z przyprawiającym o mdłości odgłosem. Poczul ból w czaszce, w uszach rozległ się echem dźwięk wciągniętego gwałtownie przez Emmę powietrza.

Nagle wszystko zwolniło tempo. Miał wrażenie, że jest wciągany w długi ciemny tunel. Gdzieś w odległym zakątku świadomości zanotował kobiecy krzyk, wysoki skrzek wielkiego ptaka i ciche szuranie stóp. Miał w głowie tylko jedną powracającą myśl: Emmaline. Desperacko walczył o zachowanie przytomności. Nie udało się. Po chwili otoczyła go ciemność. Z rozdzierającym jękiem upadł twarzą na brudną ziemię.

Emma usłyszała zbliżające się w jej stronę kroki. Krzyknęła głośno, za wszelką cenę starając się dojrzeć cokolwiek poprzez aksamitną ciemność, która spowijała obozowisko. Ogarnęło ją przerażenie. Zaczęła się przedzierać do tyłu, przeszukując anonimową ciemność, panującą poza nikłym obszarem oświetlanym przez niewielkie ognisko. W połowie drogi zatrzymała się.

Larence pomógł jej, kiedy znalazła się w tarapatkach. Do diabła! Prawie żałowała, że to zrobił. Teraz ona musiała zatroszczyć się o kogoś, a to nigdy nie należało do jej mocnych stron.

Niepewnie uklękła i przeczołgała się do miejsca, w którym, zwrócony twarzą w dół, leżał jej towarzysz. Obok zauważyła gruby klocek drewna umazany krwią. Zadrżała na ten widok. Ktoś tam był, ukryty w ciemnościach nocy. Obserwował ich. Czekał. Ktoś, kto chciał im zrobić krzywdę - i wiedział, w jaki sposób.

- Larence? - Emma podskoczyła na odgłos swego szeptu i rozejrzała się nerwowo.

Leżący mężczyzna nie ruszał się. Jej instynkt samozachowawczy krzyczał, aby uciekać i ratować życie, lecz została. Chociaż ten jeden raz. Z wahaniem zbadała ciemną maź, pokrywającą tył głowy jej towarzysza. Śliska ciepła krew skapnęła z jej palców. Emma poczuła mdłości.

Zacisnęła mocno oczy, walcząc z odruchem wymiotnym. Do jej ust napłynął ostry, metaliczny smak żółci. Przyciskając drżącą dłoń do brzucha, poczekała, aż mdłości miną, po czym zmusiła się do zrobienia tego, co powinno zostać wykonane.

Rozwiązała chustkę omotaną wokół szyi Larence'a i przycisnęła ją do rany na głowie. Z jego gardła wydobył się niski, podobny do jęku dźwięk.

- Dzięki Bogu - odetchnęła Emma. - Larence?

Wtedy coś usłyszała. Poruszenie delikatne niczym lot motyla, zawirowanie powietrza bardziej minimalne niż dźwięk wydawany przez człowieka. Nagle pojawiła się przed nią para odzianych w mokasyne stóp. Przerazona, głośno wciągnęła powietrze. Jej dłoń powędrowała instynktownie w kierunku szyi.

- Larence - wysyczała.

Przed jej twarzą pojawiła się strzelba. Emma przełknęła ciężko ślinę, wpatrując się w błyszczącą metalową lufę. Wielka brązowa dłoń zacisnęła się na drewnianej kolbie. Zimna stal dotknęła szyi Emmy.

- Podnieś się, kobieto.

W ustach miała tak sucho, że nie była w stanie wypowiedzieć ani słowa. Gdyby mogła, to błagałaby, krzyczała albo zrobiła czegoś innego. Wszystko z wyjątkiem tego, co robiła w tej chwili - wędzenia niczym bryła lodu. Ale czuła się tak, jakby jej nogi Mieniły się w zimny marmur, a gardło straciło zdolność wydawania jakichkolwiek dźwięków. Serce pompowało krew tak szybko, że słyszała jego głośne bicie.

Chwyliła ją wysuwająca się z ciemności ręka. Zimne bezlitosne palce zacisnęły się wokół jej ramienia i zmusiły do podniesienia się. Emma z trudem powstrzymała okrzyk bólu i wpadła na nagą męską pierś. Duża okrągła muszla przecięła jej policzek. Ciepłe strumyczki krwi spłynęły na szyję Emmy.

- Spójrz na mnie - usłyszała.

Chciała odmówić, ale nie śmiała. Z wahaniem, starając się pokonać strach, zrobiła to, co jej kazano. I spojrzała w wąskie, smoliste czarne oczy Indianina z Albuquerque - Ka-Neeka.

Indianin odciągnął ją od ogniska. Potknęła się, gdy szarpnął nią niczym nieposłusznym dzieckiem.

- Lare...

Indianin pociągnął ją i, jęcząc z bólu, wpadła na jego twarde jak skała ciało. Zatrzymał się, gdy dotarli do Tashee. Emma, czując znajomy bok osła, doznała ulgi. Ka-Neek rozluźnił bolesny uścisk i po chwili znalazła się na grzbiecie zwierzęcia. Indianin związał jej dłonie i przytwierdził je do uchwytu siodła. Zaczęła się wić, starając się uwolnić. Te żalose próby wywołały u jej prześladowcy tylko niski złowrogi śmiech.

- Spróbuj tylko zsiąść, a cię zastrzelę. Emma nie wątpiła, że mówił prawdę. Miała wręcz niejasne wrażenie, że napastnik chce, by spróbowała uciec...

- Jedź naprzód - powiedział dziwnie spokojnym głosem, który sprawił, że ciarki przeszły po jej sztywnych plecach. Jego oczy dodały: „Daj mi powód, abym mógł cię zastrzelić”.

Nad ich głowami zaskrzeczał jastrząb. Słyszając ten dźwięk, Emma poczuła jeszcze większy strach. Zebrała się na odwagę i rzekła bez tchu:

- Mój towarzysz... proszę, on potrzebuje...

Ka-Neek chwycił za uźdę Tashee i zmusił zwierzę do ruszenia z miejsca. Po krótkim, niechętnym

drobieniu w miejscu osioł poddał się i poczłapał w stronę okazałego rumaka, stojącego niedaleko Diabla. Indianin wskoczył na jego grzbiet i ruszył.

Powoli. W pewien sposób właśnie to było najbardziej przerażające ze wszystkiego. Jechali powoli. Nie galopowali, nie cwałowali, nawet nie kłusowali. Wydawać się mogło, że Ka-Neek chce, aby zostali dogonieni. Albo był pewien, że tak się nie stanie.

Myśl ta sprawiła, że do oczu Emmy napłynęły łzy. Zaciśnęła palce na uchwycie siodła, czując w dłoni ciepłą krew Larence'a.

Proszę, Boże, modliła się, miej go w swojej opiece... Nie modliła się za siebie. Bóg ani razu jej nie wysłuchał i nie oczekiwała, że zrobi to teraz. Jak zwykle była zdana na siebie.

Tępe walenie odbijało się rykoszetem w głowie Larence'a. Każde uderzenie wywoływało w jego czaszce kolejną falę bólu. Zmarszczył czoło, czując w ustach coś metalicznego. Trzęsącą się ręką niepewnie odgarnął z twarzy włosy. Coś ześlizgnęło się z tyłu jego głowy i upadło w tumanie kurzu tuż przed jego nosem. Próbował skupić się na tym czymś, ale nie był w stanie. Niewyraźnie widział tylko coś krwawoczerwonego.

Pulsowanie w głowie nasiliło się, a wraz z nim zwiększył się ból.

Cholerni sąsiedzi, pomyślał z niechęcią. Kto wali młotkiem o takiej porze?

Nagle przypomniał sobie wszystko i zerwał się na równe nogi. Momentalnie zakręciło mu się w głowie. Poczłapał w pustym żołądku. Zgiął się wpół i obiegł wzrokiem obozowisko. Był zupełnie sam.

Emmaline. Ktoś ją zabrał. Ogarnęło go przerażenie silniejsze i bardziej zbijające z nóg niż kiedykolwiek dotychczas. W głowie miał przygniatającą pustkę. Osłupiały wpatrywał się w kawałek czerwonego materiału, który spadł mu z głowy. Z trudem łapał oddech.

Uspokój się, Larence. Myśl.

Mdłości powoli ustępowały, a oddech wracał do normy. Kawałek czerwonego materiału okazał się jego, wyraźnie pocieszne złożoną, chustką. Na trzymającej ją dłoni czuł lepką, wciąż ciepłą krew.

Emma opatrzyła mu ranę. Aż osłabł z ulgi. Żył więc. Ale gdzie się w takim razie podziewała?

Wcisnął bandanę do kieszeni spodni i ponownie spróbował wstać. Znowu poczuł mdłości, silniejsze nawet od poprzednich. Zwalczył je, zginając się wpół i skupiając się na każdym oddechu, po czym niepewnie ruszył w stronę Diabla i muła.

- Teraz wszystko zależy od ciebie, chłopie - wyszeptał do konia.

Zwierzę zarżało w odpowiedzi, podczas gdy Larence chwycił linę przyczepioną do szyi muła, owinął ją wokół siodła i wspinał się niezdarnie na koński grzbiet.

- W porządku, chłopie - rzekł, sapiąc z wysiłku. - Znajdź ją.

Diabło ruszył szybkim kłusem. Dłonie Larence'a zaciśnęły się na uździe, tak że kłykcie zbieleły z wysiłku. Przełknął ciężko ślinę, starając się nie zwracać uwagi na pulsujący w głowie ból.

Nie przynosiło to żadnego rezultatu. Przy każdym uderzeniu końskich kopyt podskakiwał w siodle. Kolejny raz ogarnęły go mdłości.

Diabło potknął się lekko, jeździec wychylił się do przodu i w tej chwili przegrał walkę z mdłościami. Zdążył się tylko przechylić na bok i zwiłtował.

Kiedy nudności minęły, od razu poczuł się lepiej. Silniej. Nawet ból głowy znacznie zmalał, stając się możliwą do zniesienia niedogodnością.

Zresztą Larence wytrzymałby każdy ból, gdyby musiał. Nic nie powstrzymałoby go przed ocaleniem Emmaline. Nic.

Pogonił konia i mknął dalej.

Dwie godziny później wreszcie ich dogonił. Od jakiegoś czasu słyszał niemożliwe do pomylenia odgłosy dwóch poruszających się zwierząt, ale dopiero teraz był w stanie coś dostrzec. Dwie wolno posuwające się czarne kropki na horyzoncie, chwilami oświetlane przez zamglone srebrne światło księżyca.

Jeźdźcy przed nim zatrzymali się.

Larence zatrzymał Diabla w odległości około pięćdziesięciu metrów od nich. Ukryty przed ich wzrokiem w gaju karłowatych drzew, zsiadł z konia tak cicho, jak to tylko było możliwe, i spętał zwierzęta. Z torby przytwierdzonej do siodła wydobyl specjalnie wyposażoną lunetę i cicho ruszył w stronę drzewa rosnącego na skraju zagajnika.

Zamarł, gdy coś trzasnęło pod jego stopą. Napiął się każdy mięsień w jego ciele. Ciszę przerywał jedynie odgłos jego nierównego oddechu. Po kilku minutach pozwolił sobie na odprężenie; przestał kurczowo zaciskać dłonie. Przyklęknął bezszelestnie na chłodnej brudnej ziemi, po czym się położył. Unosząc się na łokciach, podniósł lunetę do oczu i skierował ją w stronę prowizorycznego obozowiska. Porywacz kucał,

odwrócony plecami do Larence'a. Po chwili zapłonął jasny ogień, oświetlając pochylonego mężczyznę bladym światłem.

Grube pasma czarnych włosów zakrywały twarz wroga, opadając miękko na jego potężną, umięśnioną, niczym nie osłoniętą klatkę piersiową. Cienie błdziły po jego twarzy, nadając mu złowrogi, ponury wygląd.

Obserwując przeciwnika, Larence poczuł ukłucie strachu, ale szybko się z nim uporał. Nie będzie w stanie pomóc Emmaline, jeżeli będzie się bał.

*I tak jej nic nie pomożesz, dobiegł do niego sarkastyczny głos babki. W takiej sytuacji potrzebny jest prawdziwy mężczyzna, a nie kaleka, namiastka bohatera.*

Nie, pomyślał ze zdeterminowaniem, potrafię ją ocalić. Zrobię to. Tylko jak?

Ułożyć plan działania. Tak, właśnie tak. Potrzebował jakiegoś planu, pomysłu na uratowanie Emmy. Zdecydowanie nie była to sytuacja, do której przygotowały go studia na Harvardzie. Nic w dotychczasowym życiu nie przygotowało go do odegrania roli romantycznego bohatera...

Nagle przypomniał sobie o Diamentowym Dicku. W jego najnowszej powieści była scena porwania; z pewnością mogła stanowić inspirację. Larence cicho zerwał się na równe nogi i bezszelestnie ruszył w stronę Diabła. Pogrzebał w torbach w poszukiwaniu *Niebezpiecznych przygód Diamentowego Dicka*.

Wreszcie znalazł upragnioną książkę, oparł się o pień niewielkiego drzewa i zapaliwszy zapałkę, zaczął wertować pozaginane żółtawe strony.

Szybko odnalazł to, czego szukał, i zaczął czytać.

*Czarny Bart wsłuchiwał się w stłumiony kobiecy płacz. Jego usta wykrzywiły się w okrutnym uśmiechu. Dzisiejszego wieczoru zamierzał się zabawić. Jak za starych dobrych czasów.*

*Podniósł się i przeciął chwiejnym krokiem obozowisko, idąc w kierunku kobiety, którą pojmał kilka godzin temu.*

*- Wstawaj - rzekł do niej chrapliwym głosem. Kobieta skuliła się jeszcze bardziej i potrząsnęła głową.*

*- Proszę, nie...*

*Szarpnął ją do góry i przytknął wielki nóż do jej szyi. Słyszając jej urywany oddech, poczuł jeszcze większe podniecenie. Wsunął ostrze noża pod górny guzik bluzki kobiety i przeciął nitki. Guzik spadł na brudną ziemię.*

*- Co robisz, Bart?*

*Bart rozpoznał głos Diamentowego Dicka i zamarł. Odsunął kobietę na bok i się rozejrzał.*

*- Nie twoja sprawa, Dick. Dick nie poruszył się.*

*- Masz moją kobietę. Chcę ją z powrotem.*

*- Dick! - krzyknęła, biegnąc w jego stronę. Kiedy do niego dobiegła, Bart wyciągnął broń i wycelował w nią.*

*- Uspokój ją Dick, inaczej ja to zrobię. Jej miauczenie doprowadza mnie do szału.*

*- Zabij go! - krzyknęła, przywierając do ramienia Dicka. - Zabij go!*

*Dick zamknął jej usta pocałunkiem. Kiedy skończył, odepchnął ją powoli, szepcząc:*

*- Licz do trzech i padnij na ziemię.*

*W tej samej sekundzie, gdy znalazła się na brudnej ziemi, strzelił. Kula trafiła Czarnego Barta między oczy. Upadł nieżywy.*

Larence zamknął książkę. To zadziała, pomyślał. Może zagrać tak, jakby Emmaline była jego kobietą, i zażądać jej zwrotu. Może nawet zaoferować pieniądze, jeśli będzie trzeba. Niewiele już im ich zostało.

Jedynie, co musiał zrobić, to zagrać odważnie i przekonywająco. Miał nadzieję, że Indianin nie powali go jedną kulą.

Emma zauważyła samotnego mężczyznę wcześniej niż Ka-Neek. W pierwszej chwili jej serce podskoczyło z nadzieją, po czym zamarło.

To był Larence. Przybył, by ją ocalić.

Nich Bóg ma w opiece ich oboje.

## 15

Larence nadał swojej twarzy złowrogi, bezlitosny wygląd. A przynajmniej sądził, że mu się to udało. Nie mógł być przecież tego pewien. Jego oczy były zwężone tak, że stanowiły jedynie wąską szczelinę; usta miał zaciśnięte w cienką linię. Próbował zmarszczyć czoło, ale nie potrafił tego zrobić, nie czując się jak idiota.

A powinien się przecież czuć jak niebezpieczny morderca. Mężczyzna, z którym nikt nie chciałby zadrzeć.

Przełożył kciuki przez szlufki spodni, a reszta palców swobodnie zwisała wzdłuż dżinsów. Wreszcie ruszył w kierunku małego ogniska. Dubeltówka wsadzona pod pachę wydawała mu się beużyteczna i nie na miejscu. Pomyślał przelotnie, że wolałby mieć zamiast niej parę koltów. Sprawiałyby przynajmniej groźniejsze wrażenie.

Nagle wdepnął w niewielki dołek. Noga wykręciła mu się w kostce i poczuł potworny ból. Wciągnął głęboko powietrze, podczas gdy ból zaczął promieniować na całą nogę. Zagryzł dolną wargę, aby powstrzymać okrzyk. Jego usta wypełnił metaliczny smak krwi. Wierzchem dłoni wytarł z wargi ciepłe krople, po czym się zmusił, by iść dalej. Nie mógł jednak przestać myśleć, że nie potrzebuje żadnego przeklętego pistoletu, tylko zdrowej nogi. Każdy krok przypominał mu o ułomności, mszczącej jego wizerunek i sprawiającej, że wyglądał słabowicie i nędznie. Diamentowy Dick nie kuśtykał przez ani jeden dzień w życiu, nawet kiedy przeciwnik ugodził go nożem w udo. Tego dnia Dick przebył całą drogę do Ogalala i nie zrobił nawet jednego chwiejnego kroku.

Larence postanowił nie rozczulać się nad sobą; zawsze przecież tym pogardzał. Jako dziecko co noc modlił się o to, by następnego dnia obudzić się zdrowym, a nie z ułomną nogą, która skazywała go na zamknięcie w ciemnym domu babki. Nawet już jako dorosły czasami marzył o uwolnieniu się od bólu i zajątkowania, spowodowanego brakiem całkowitej sprawności. Ale nigdy, nawet podczas tych długich samotnych nocy, kiedy skręcał się z bólu, nie pragnął być zdrowym i w pełni sprawnym tak desperacko, tak żarliwie, jak w tej właśnie chwili.

Od bohaterów oczekuje się, by byli okazami zdrowia...

Nie. Nie wolno mu było o tym myśleć. Gdyby poświęcił swoim wątpliwościom chociaż chwilę uwagi, pochłonęłyby go całego i przekształciły w mężczyznę beużytecznego. Wiedział o tym doskonale, gdyż nie po raz pierwszy znajdował się w takim punkcie. Zanim zaczął szukać pozytywnych aspektów życia, ugrzązł w negatywnych.

Nie tym razem - przyrzekł sobie solennie. Teraz będzie silny i zapanuje nad sytuacją. Dla Emmaline.

Emmaline. To imię dodało mu sił. Starając się zachować ponury i niebezpieczny wyraz twarzy, szedł dalej w kierunku światła.

Jakby wyczuwając obecność trzeciej osoby, Indianin uniósł głowę. Pozbawione emocji czarne oczy zlustrowały badawczo mroczny teren wokół małego obozu.

To był Ka-Neek. Włosy na karku Larence'a stanęły dęba. Na Jego czole pojawił się śwędzący pot. Opanował go strach, uniemożliwiający dalszy ruch. Emmaline miała rację - Ka-Neek chciał im zrobić krzywdę.

Larence wpatrywał się w broń, leżącą na skrzyżowanych nogach Indianina. Po metalowej lufie prześlizgiwało się światło i, ogniska i cienie, które sprawiały, że broń wyglądała jak pełzający wąż. Nie miał żadnych wątpliwości co do tego, że przeciwnik potrafi się nią posługiwać.

Przełknął z trudem ślinę, starając się zignorować strach. Jesteś Diamentowym Dickiem. Potrafisz to zrobić. Kiedy już prawie w to uwierzył, przybrał wyćwiczoną wcześniej pozę i wyłonił się z ciemności.

- Larence! - Emma popędziła w jego stronę.

- Przestań - wysyczał.

Ich oczy się spotkały i nawet w tak nędznym świetle Larence dojrzał w jej spojrzeniu strach. Modlił się, aby zauważyła i zrozumiała ciche ostrzeżenie, które wysyłał jej wzrokiem. Zaczęła iść wolniej, po czym się zatrzymała. Stała sztywno niczym posąg, kierując szeroko otwarte oczy to na Larence'a, to na Ka-Neeka.

Proszę - bądź cicho, pomyślał - muszę się skoncentrować...

Nie odezwała się ani słowem.

Wziął głęboki oddech i spojrzał na porywacza. Indianin również wpatrywał się w niego

Larence starał się dodać sobie odwagi. Kropla potu spłynęła po jego twarzy.

- Zabrałeś moją kobietę. - Dziwne, ale jego głos był spokojny i silny. Być może nawet złowrogi. Ten mały sukces dodał mu odwagi. - Chcę ją z powrotem.

W kącikach ust Ka-Neeka pojawił się kpiący uśmiešek. To była jedyna oznaka, że usłyszał, co do niego mówiono.

- Jeżeli chcesz pieniędzy... - kontynuował Larence.

- Nie! - krzyknęła nieoczekiwanie Emma. - To nie twoje...

Posłał w jej kierunku bezkompromisowe spojrzenie.

- Zamilcz, Em. Natychmiast.

Urwała i wciągnęła głęboko powietrze. Po chwili usłyszał jej pospieszne kroki.

- Nie mamy dużo złota, ale może... - zwrócił do Ka-Neeka.

- Nie!

- Do diabła, Emmaline, zamknij się!

Kiedy do niego podeszła, jej twarz miała dobrze znany mu wyraz, który nakazywał podporządkowanie się jej woli.

- Ty nie masz pieniędzy, Larence. Ja je mam. A ja się nie zgadzam, aby dać je temu aroganckiemu, wstrętnemu śm...

Larence przyciągnął do siebie zaskoczoną kobietę i przycisnął ją do piersi.

Emma wytrzeszczyła na niego oczy.

- Co do dia...

Wtedy ją pocałował. Wciągnęła powietrze i próbowała się uwolnić z jego objęć, ale był dla niej zbyt szybki. Dłoń Larence'a przesunęła się po jej zeszywniałej szyi i zanurzyła w gęstych włosach. Miał zamiar zrobić to szybko, jak Diamentowy Dick, Tak by tylko zamknąć jej usta, jednak w chwili, gdy poczuł na ustach miękkość jej warg, nie potrafił przestać, nie był w stanie się od niej uwolnić. Spodziewał się, że Emma go spoliczkuje. Dopiero po chwili przypomniał sobie, że jej ręce są związane - nie mogła nic zrobić.

Zachowywał się podle, wykorzystując to, że nie jest w stanie się bronić. Zdawał sobie z tego sprawę, mimo to nie potrafił się powstrzymać. Ten pocałunek był tak cudowny...

Jeszcze tylko jedną sekundę...

Wszystko dokoła niego zwolniło tempo. Już nie ścisnął jej tak mocno, raczej ją obejmował. Wypełniła wszystkie jego zmysły, czuł ciepło jej ciała. Krew pulsowała mu szybciej w żyłach; załapała go fala gorąca. Zniknęły gdzieś wszystkie myśli o Diamentowym Dicku. Teraz był tylko Larence'em i trzymał w ramionach kobietę, która prześladowała jego myśli w dzień i w nocy od momentu, gdy zobaczył ją po raz pierwszy.

Coś go uderzyło w klatkę piersiową. Dopiero po chwili zdał sobie sprawę, że to ona wali w nią związanymi pięściami, i to mocno. Odsunął się i natychmiast poczuł na ciele chłodne powietrze. Uświadomił sobie, że pocałunek się skończył.

Emma patrzyła się na niego, ciężko oddychając. Jej lodowato zimne oczy przepełniało obrzydzenie. Krew Larence'a momentalnie ostygła, jego szerokie ramiona opadły. Wcześniej przez krótką chwilę sądził, że spotkało ich coś wyjątkowego. Nie - uświadomił sobie wyraźnie. Nie ich, tylko jego i jak zwykle był w tym osamotniony.

- Jak śmiałeś - wysyczała. - Żaden pocałunek nie zamknie mi ust. A nie mam zamiaru dać temu śm... Położył dłoń jej na ustach. Oczy Emmy zwężiły się i ciskały błyskawice.

- Chcę, żebyś była cicho - rzekł i zdjął rękę z jej ust.

- Dlaczego ty...

- Zły ruch. - Wyjął z kieszeni spodni bandanę, po czym zakneblował swoją towarzyszkę, zanim ta zdążyła wypowiedzieć chociaż jedno słowo.

Wytrzeszczyła oczy.

- A czego się spodziewałaś? - wyszeptał. - Nie możesz, ot tak sobie, nazywać ludzi wstrętnymi śmieciami. Zwłaszcza nie takich, co mają broń. Nie dałaś mi...

Uderzyła go pięścią w klatkę piersiową tak mocno, że wstrzymał oddech. Wyprostował się.

- To nie było... - Przerwał, bo kopnęła go w goleń.

Larence jęknął i cofnął się o krok. Z jej gniewem poradzi sobie później, kiedy się uspokoją. Teraz miał ważniejsze sprawy do załatwienia. Wziął głęboki oddech, przybrał groźny wyraz twarzy i odwrócił się Ka-Neeka.

Indianin zniknął, podobnie jak jego koń.

Larence zmarszczył czoło, podszedł do ogniska i przykucnął przy nim. Jego palce przesunęły się po piaszczystym podłożu w poszukiwaniu jakiegoś znaku obecności porywacza. Nie znalazł niczego, nawet ubitych grudek ziemi. Żadnego śladu mężczyzny, który siedział tutaj jeszcze przed chwilą...

Co się tu, do diabła, działo? Z pewnością Ka-Neek nie był tylko ich wyobrażeniem. Położył dłoń na udzie i zaczął się podnosić.

Nagle coś przykuło jego uwagę. Podniósł to z ziemi i przysunął bliżej do wysyłanego przez ognisko światła. Było to doskonale uformowane koło z farbowanej skóry. Zaciekawiony Larence odwrócił je na drugą stronę i ujrzał czarno-czerwony symbol.

Na chwilę zabrakło mu tchu. Jednym uchem dosłyszał, że zbliża się do niego Emmaline, ale się nie odwrócił. Nie był w stanie. Kucał znieruchomiał.

Teraz zrozumiał, dlaczego Ka-Neek porwał Emmaline. Nie chciał ich okraść lub zabić, tylko przekazać tę wiadomość.

Emma przykucnęła obok niego. Jednym uchem usłyszał kilka niewyraźnych słów, ale je zignorował.

Szturchnęła go łokciem. Ten nieoczekiwany ruch pozbawił Larence'a i tak już niepewnej równowagi. Chwytał się Emmy, aby ją odzyskać, ale było za późno.

Upadł z łomotem na ziemię. Emma wylądowała obok niego, a związane nadgarstki uniemożliwiały jej

podniesienie się. Zaczęła przesuwac się do tyłu, w stronę ogniska. Larence złapał ją i przytulił z powrotem. Kiedy skończył, leżała tuż przy nim, a jej twarz i włosy znajdowały się w odległości kilku milimetrów od jego głowy.

Wpatrywał się w nią, był jednak zbyt pochłonięty myśleniem, aby ją zauważyć. Co to miało oznaczać? Czy Indianin miał zamiar ich zabić? Czy też może starał się ich chronić, przekazując ostrzeżenie?

Emma odchrząknęła i położyła związane nadgarstki na jego piersi. Rozplatał w roztargnieniu skórzane więzy. Uwolniona, rozwiązała bandanę i wypluła ją.

- Zakneblowałeś mnie! - krzyknęła.

Larence spojrział na nią zbity z tropu. Czy ona coś powiedziała? Nie mógł sobie przypomnieć - jego umysł wypełniony był obrazem krwawego symbolu oznaczającego niebezpieczeństwo.

- Zakneblowałeś mnie! Jak śmiałeś! Nigdy w całym moim dotychczasowym życiu nie przeżyłam takiego upokorzenia. Dlaczego? Powinieneś...

Larence podskoczył na odgłos jej głośnych krzyków.

- Słuchaj, Emmaline, ja...

- Tylko mi nie próbuj rozkazywać, ty... ty...

Zaczęła go boleć głowa. Nie mógł się skupić, słysząc jej jazgot, a właśnie teraz musiał się skoncentrować.

Zamknął jej usta w sposób propagowany przez Diamentowego Dicka.

Emma spoliczkowała go z całą siłą, na którą potrafiła się

zdołać. Głośne uderzenie rozległo się echem w ciemności. Zanim Larence wypowiedział chociaż słowo, odsunęła się do tyłu.

- Em... - Wyciągnął do niej rękę.

Odsunęła się jeszcze dalej i podniosła. Stojąc nad nim, poczuła histeryczną potrzebę śmiechu. Dźwięk ten wypełniał jej wnętrze, w każdej chwili gotowy do wydostania się. Emma przycisnęła do ust dłoń, odwróciła się od swego wybawcy i odeszła obojętnie od ogniska.

Larence skierował się w jej stronę.

Czując, że się do niej zbliża, jeszcze bardziej się cofnęła. Nie chciała z nim rozmawiać, nie chciała, aby znalazł się przy niej zbyt blisko. Wspomnienie dotyku jego ust, tak delikatnych i czułych, sprawiło, że poczuła się, jakby ktoś wylał na jej głowę wiadro lodowato zimnej wody. Nie chciała o tym myśleć. Nie teraz. Najlepiej nigdy.

Odwróciła się w jego stronę z zamiarem nakazania mu, aby trzymał się od niej z daleka, ale zobaczyła w oczach Larence'a coś takiego, że słowa te nie chciały jej przejść przez gardło. Z wahaniem cofnęła się o krok, miętosząc w dłoniach spódnice.

- Nie podchodź do mnie - powiedziała, zła na samą siebie za wyraźnie słyszalną słabość w głosie.

Brzmiała jak kobieta, która przed chwilą była całowana - kobieta, która pragnęła, by ją pocałowano jeszcze raz. Rozgniewało ją to jeszcze bardziej.

Wściekła uniosła podbródek. Jak śmiał sprawić, że czuła się w ten sposób? Jak śmiał zabrać ją na zapomnianą i opuszczoną przez wszystkich pustynię, wsadzić na osła i prowadzić tak, jakby była małym dzieckiem, w kierunku jakiegoś miasta, w którego istnienie nawet nie wierzyła? Nagle wszystko jeszcze raz do niej dotarło: wichura, deszcz, możliwość śmierci, a teraz jeszcze to. Została porwana przez półnagię barbarzyńcę i wleczone przez pustynię tylko po to, aby zostać ocalona i pocałowana przez doktora. Tego już było zbyt wiele,

- Nie zbliżaj się do mnie. - Jeszcze bardziej się cofnęła.

Larence podszedł bliżej. Jej dłonie zwinęły się w pięści - tak na wszelki wypadek.

Nie zawahał się i dalej szedł w jej stronę w tym samym powolnym tempie. Każdy jego krok odbijał się w jej głowie echem, tak jakby młotek uderzał w mocno ubitą ziemię. Emma drgnęła, starając się nie dopuszczać do siebie tego odgłosu.

Larence wyciągnął w jej kierunku dłoń.

Zapatrzyła się w nią. Niespodziewanie ogarnęła ją fala tęsknoty. Boże, jak dobrze byłoby położyć rękę na jego dłoni, pozwolić spleść się ich palcom...

Uciekaj! Natychmiast! Zanim rozpadniesz się na milion kawałków.

Emma zagryzła dolną wargę i odskoczyła od niego. Ominęła ognisko i podbiegła do drżącej krawędzi wysyłanego przez nie światła. Tam się zatrzymała. Niepewność sprawiła, że kąci jej ust i dłonie zatrzęśły się. Przed nią rozciągała się ciemność, która obiecywała anonimowość i miejsce, gdzie mogła pobyć sama. Ale nie była w stanie uczynić kolejnego kroku. Jej stopy tkwiły bez ruchu w szarobrazowym kurzu.

Bardziej poczuła, niż usłyszała, że za jej plecami pojawił się Larence.

- Emmaline?

Otulił ją jego głos, tak głęboki i serdeczny. Przez ciało Emmy przebiegł dreszcz. Skrzyżowała ręce na

piersiach niczym tarczę ochronną. Czuli się tak, jakby stała nad wielką przepaścią, a jej stopy wystawały poza jej krawędź. Poniżej znajdowała się ciemna otchłań. Upadek skrzyłby jej kark i złamał duszę.

Zaczęła z przerażenia szcząkać zębami. Jej smutny wzrok przesunął się błyskawicznie z prawej strony do lewej, z góry do dołu. Musiało być przecież jakieś miejsce, do którego mogła uciec i się schronić. Obawiała się, że jeżeli się nie ruszy - i to w dodatku szybko - wzrastająca w niej panika eksploduje. A co pozostałoby z niej po takim wybuchu? Co?

Jego dotyk był tak delikatny, że w pierwszej chwili Emma nie zwróciła na niego uwagi. Po chwili palce Larence'a dotknęły jej sztywnych ramion i delikatnie ścisnęły.

- Emmaline?

Odrpężyła się na ułamek sekundy, po czym ponownie zeszywniała. Jednym szybkim obronnym ruchem odwróciła się i podniosła dłoń, aby jeszcze raz uderzyć go w policzek.

W połowie drogi jej dłoń została zatrzymana. Palce Larence'a zacisnęły się mocno na jej nadgarstku. Wydały jej się gorące niczym pochodnie.

Przeszył ją jego wzrok, który sprawił, że nie była w stanie się poruszyć. Ogarnęło ją przerażające uczucie, że on potrafi zobaczyć, co się dzieje w jej wnętrzu, dojrzeć jej strach, histerię i słabość.

Panika wywołała w niej determinację. Z dzikim wzrokiem szukała drogi ucieczki. Ucieczki od Larence'a, od tej diabelskiej pustyni i od siebie samej...

- Emmaline - powiedział miękko Larence. - To nic złego bać się.

*To nic złego bać się.* Słowa te przedostawały się do jej wnętrza przez szpary w pancerzu stanowiącym jej ochronę przed światem, przepływały przez jej układ nerwowy niczym rozpuszczone masło. Powoli jej dłonie przestały drżeć, ustało szcząkanie zębów.

*To nic złego bać się.*

Wątpa iskierka nadziei zamigotała w ciemności strachu Emmy. Czy naprawdę? - zastanawiała się. Czy naprawdę nie ma nic złego w przyznaniu się do tego, że się boi?

Przesunęła językiem po dolnej wardze i przełknęła głośno ślinę, po czym powoli podniosła głowę. Wpatrywały się w nią błyszczące, w żaden sposób nie potępiające zielone oczy. Wydawało jej się, że dosięgają ją promienie ciepła, ofiarujące pomocną dłoń.

Stała niczym wrośnięta w ziemię, obawiając się poruszyć, a nawet odetchnąć. Przez całe życie czekała na tę chwilę. Czekala na kogoś, kto powie: „Obchodzisz mnie”. A teraz ten moment nadszedł - prawdopodobnie nadszedł - a ona bała się w to uwierzyć. Niech Bóg ma ją w swojej opiece, jeżeli wyciągnie rękę po ofiarowywane światło, a później okaże się, że jest to tylko iluzja. Nie sądziła, żeby była w stanie przetrwać coś takiego. Jedyną rzeczą, która sprawiła, że żyła dalej po śmierci rodziców, była jej uparta niezależność. Od tamtej pory nic ani nikt nie był dla niej ważny. Nie była słaba jak jej ojciec...

Dopóki nie spotkała Larence'a, który zaoferował jej coś, o czym nigdy nawet nie marzyła: bezpieczną przystań. Miejsce, gdzie może być słaba i zalękniona.

*To nic złego bać się.*

Poczuła w oczach palące łzy. Pojedyncza kropla spłynęła po twarzy i zniknęła w kąciku jej ust. Słona wilgoć prześlizgnęła się po języku, a smak jej własnych łez przywołał obraz tak wyraźny, tak nieoczekiwany, że prawie się skrzywiła.

Stała przy ciele swego nieżyjącego ojca. To był bożonarodzeniowy poranek, dwa dni przed jej jedenastymi urodzinami. Jego głowa opadała na koślawy drewniany stół kuchenny. Nawet teraz Emma słyszała, jak jeszcze ciepła krew ojca kapie na drewnianą podłogę. Przerażona, wyciągnęła rękę, drżącą i bladą w tym skąpym świetle. Tatusiu...

- Emma?

Głos Larence'a wyrwał ją z przeszłości. Wytarła z twarzy upokarzające, zdradliwe łzy, lecz za chwilę spłynęła następna kropla i jeszcze jedna. Szybciej, niż je była w stanie wycierać, skapywały z rzęs i spływały po policzkach. Płakała, na miłość boską! Płakała!

Wyciągnęła z kieszeni pogniecioną brudną chusteczkę i uniosła jej do twarzy, lecz Larence chwycił jej dłoń.

- Popłacz sobie, Em. Zaopiekuję się tobą.

Te proste słowa sprawiły, że zabrakło jej tchu. Nigdy wcześniej nikt czegoś takiego do niej nie powiedział i nie miała żadnej nadziei, że to kiedykolwiek usłyszy. Po raz pierwszy pomyślała o stojącym przy niej mężczyźnie. O sposobie, w jaki pozwolił jej skorzystać ze swego ramienia na stacji kolejowej i zachować godność, udając, że to on potrzebuje wsparcia; o tym, jak się do niej uśmiechał, tak jakby ją naprawdę lubił; o tysiącach małych rzeczy, które zrobił, żeby lepiej zniosła tę wyprawę.

*To nic złego bać się.* Powoli słowa te nabierały nowego znaczenia, dawały Emmie nadzieję. Może z Larence'em okaza się prawdziwe - pomyślała.



Larence objął ją.

Zamknęła oczy i pochyliła się tak, że jej czoło oparło się na jego podbródku. Poczwała ukłucie jednodniowego zarostu, który przypominał jej dawne czasy, kiedy żył ojciec.

Na to wspomnienie uleciała gdzieś reszta jej samokontroli. Westchnęła głęboko i nie próbowała już powstrzymać łez. A spływały niepohamowanie. Płakała z powodu strachu, niepewności i bólu, który towarzyszył tej wyprawie, z powodu biedy, ojca marzyciela, zbyt słabego, aby żyć bez ukochanej żony, z powodu dziecka, które włóczyło się po ciemnych slumsach w poszukiwaniu jedzenia, zamiast kulić się w ramionach matki.

Emma zdrzała. Ramiona Larence'a zacisnęły się jeszcze mocniej wokół jej trzęsącego się ciała. Jego ciepło wypędzało chłód z jej duszy i przypominało, że są w Nowym Meksyku, daleko od sprzedawcy jabłek i jego tłustych wstrętnych rąk.

- Już dobrze... - Larence wciąż powtarzał te słowa. Wiedziała, że powinna się poczuć głupia i dziecinna, a tymczasem czuła się bezpieczna i otoczona troską. Po raz pierwszy w życiu ktoś o nią dbał.

Przysunęła się jeszcze bliżej do jego piersi, okrytej bawełną koszuli, mokrą i słoną od wsiąkających w nią łez.

Stopniowo przestała drżeć. Poczwała ciepło, przyjemność i...

Coś ulotnego, coś, czego nie znała.

Spokój, uświadomiła sobie Emma. Starła się przypomnieć sobie czasy, kiedy się nie bała, nie czuła się samotna i opuszczona, otoczona przez ciemność i pustkę. Pomyślała, że być może dawno temu, zanim bieda zabiła jej matkę, a słabość ojca, czuła się w ten sposób przez cały czas. Oczywiście, nie mogła być tego pewna. To było tak dawno...

- Em?

Zesztywniała nagle, bojąc się spojrzeć na swego towarzysza. Przepęniała ją niepewność. Nikt jej nigdy nie widział w takim stanie, przestraszonej i potrzebującej opieki. Jak powinna się zachować? Co powiedzieć?

Larence wsunął palec wskazujący pod jej podbródek i zmusił do podniesienia głowy. Gdy spojrzała w jego ciemnozielone oczy, w których nie dostrzegła nawet śladu potępienia, jej duszę otuliło coś niesamowitego.

Spróbowała się uśmiechnąć; jedynym rezultatem jej wysiłku było pełne wahania poruszenie ust.

- Dzięki. - Gula w gardle sprawiła, że nie była w stanie wypowiedzieć niczego więcej, mimo że przychodziło jej do głowy kilka innych słów wartych przekazania.

- Cała przyjemność po mojej stronie - odrzekł Larence z uśmiechem, który promieniował ciepłem. - Bóg jeden wie, jak bardzo moja koszula potrzebowała prania.

Emmie zachciało się śmiać. Zaskoczona własną reakcją, już podnosiła dłoń, aby powstrzymać wydobywający się z ust dźwięk, gdy pomyślała: A co mi tam...

Była tak samo zdziwiona jak Larence, słysząc swój dźwięczny śmiech. Minęło tyle czasu, odkąd śmiała się tak po raz ostatni... Larence przyłączył się do niej i ich wspólny śmiech, odbiwszy się echem od wysokich skał, popłynął daleko w nocnym powietrzu.

Emma przyjrzała się swemu towarzyszowi. Oświetlało go bladoniebieskie światło księżyca; lekki wiaterek rozwiewał mu włosy. Wciągnęła powietrze. Śmiech zamarł w jej gardle, a zastąpiło go ciche, pełne zachwyty westchnienie. W tym właśnie momencie zdała sobie bowiem sprawę, jak bardzo przystojny jest Larence. Jego oczy nie były po prostu zielone, lecz miały kolor zmoczonych deszczem liści magnolii.

Chwila ta zdawała się trwać wiecznie. Nastąpiła pełna napięcia cisza. Chmura zastoniła tarczę księżyca, któremu niewiele brakowało do pełni. Otuliła ich, odgradzając od reszty świata, aksamitna czerń.

Zanim Emma zdała sobie sprawę z tego, co robi, dotknęła twarzy Larence'a. Odsunęła z jego oczu kosmyk niesfornych włosów, a później jej dłoń przesunęła się po wyrazistej, prostej linii kości policzkowych.

Przez jej głowę przemknęły słowa, dziesiątki słów, ale żadne nie przeszło jej przez gardło. Co mogła powiedzieć człowiekowi, który uratował ją nie raz, a dwukrotnie, który przywrócił na jej twarz uśmiech i sprawił, że głośno się roześmiała?

Ciszę przerywały jedynie odgłosy ich oddechów. Czarna chmura zakrywająca księżyc przesunęła się, a zacienioną pustynię okrył falujący biało-niebieski całun. Po obozowisku błąkał się lekki wiatr, podsycając płomień prawie już wygasłego ogniska. W ciemnościach zamigotało światło.

A oni tak stali. W ciszy, zadowoleni.

Czar przysł za sprawą Larence'a. Jego dłonie przesunęły się po ramionach Emmy i zwiły luźno.

- Lepiej pójde po Diabla i muła. Na pewno potrzebują wody i ziarna.

Cofnął się o krok, lecz Emma chwyciła go za ramię.

- Nie odchódź!

W chwili, gdy wypowiedziała te słowa, pożałowała, że to zrobiła. Przecież mogła zostać sama przez kilka minut. Była sama przez całe życie. Ale nie chodziło o to, że się tego boi. Po prostu nie chciała więcej samotności. Coś wytworzyło się między nimi dzisiejszej nocy, coś szczególnego, i nie chciała tego stracić; nawet na chwilę. Mogła już wtedy tego nigdy nie zyskać.

Larence uniósł jedną brew w niemym pytaniu. Pragnęła powiedzieć coś w zdecydowany, sarkastyczny sposób, żeby

wiedział, jaka jest silna i jak panuje nad sytuacją. Ale nic takiego nie przyszło jej do głowy. Ani jedno słowo.

- Zaraz będę z powrotem - rzekł, ściskając ze zrozumieniem jej dłoń.

Emma zmusiła się do niepewnego uśmiechu. Oczywiście, że zaraz wróci - powtórzyła w duchu. To, co wytworzyło się między nimi, nie było cienką nitką, która odfrunęłaby łatwo, niczym pajęczyna. To była gruba lina, lina ratunkowa. Coś silnego i trwałego.

I właśnie wtedy zmusiła swój umysł do zmiany sposobu myślenia. Nie będzie już dłużej podczas tej wyprawy egoistką. Od tej chwili będą partnerami dzielącymi między sobą obowiązki.

Ta decyzja zdjęła z jej ramion ogromny ciężar. Po raz pierwszy od śmierci rodziców poczuła nadzieję. Od tej chwili będzie nowym człowiekiem. Lepszym.

- Nie - rzuciła twardo. - Ja pójdę. Wiem, że chodzenie sprawia ci ból.

Larence zaoferował jej swoje ramię.

- A co sądzisz o pójściu razem?

*Razem...* Poczuli się tak, jakby usłyszała to słowo po raz pierwszy w życiu.

- Pewnie - odpowiedziała, podając mu rękę. Dziwne, ale czuła, że trzymanie jego dłoni jest czymś oczywistym. - Pójdziemy razem.

Emma pomogła swemu towarzyszowi napić i nakarmić zwierzęta, a później rozstawić namiot. I zrobiła to wszystko z uśmiechem.

Larence, wciąż zdziwiony, potrząsnął głową. Siedział najedzony kolacją złożoną z fasoli z puszki i rozgotowanego ryżu i przyglądał się, jak wkłada do pudła ostatni umyty garnek. Na ten widok ponownie się uśmiechnął.

Pomarańczowo-żółte płomienie trzaskały, syczały i wypełniały ciemność swoimi odgłosami. Iskry złościły nocne powietrze. Zwierzęta stały cicho z opuszczonymi nisko łbami. Księżycowe światło przebijało się przez liście drzew i biało-niebieską powłoką opadało na zacienioną ziemię.

Larence pochylił się do przodu, owinął ścierką do naczyń ubrudzony sadzą uchwyt dzbanka, zdjął go ostrożnie z pieca i napełnił dwa kubki parującym mlekiem. Do każdego dodał szczyptę cynamonu i cukru, po czym podał jeden Emmie.

Bez słowa wzięła gorące naczynie, otoczyła palcami i podniosła. Niewielki obłoczek pary owiał delikatnie jej usta. Zamknęła oczy tak, jakby delectowała się ciepłem.

Larence, korzystając z tego, że jego towarzyszka ma zamknięte oczy, uważnie się jej przyjrzał. Dzisiejszy wieczór zmienił ją. Wydawało się, że zanim pozwoliła sobie na szczery płacz, była człowiekiem niepełnym. Kiedyś, nie wiadomo dlaczego, ubzdurzyła sobie, że płacz jest oznaką słabości, a ta jest czymś złym i niewłaściwym. Starła się więc być silna. Silna w sposób obsesyjny i destruktywny.

Aż do dzisiejszego wieczoru. Dzisiaj wreszcie zrzuciła z siebie stalowy pancerz i pozwoliła sobie na chwilę słabości.

Emma nagle otworzyła oczy i przyłapała go na tym, że się nią wpatruje. Wstrzymała na chwilę oddech. Larence czekał, aż odwróci wzrok, ale nie zrobiła tego. Siedziała wyprostowana. Poczuli, że serce na chwilę przestaje mu bić, potem znów zaczyna Jak szalone.

Po raz nie wiadomo już który uderzyło go jej piękno. Zawsze uważał, że uroda Emmy jest bez skazy, że przypomina mu marmurowy posąg. Ale teraz, kiedy z jej oczu zniknął ból, a na ustach pojawił się delikatny uśmiech, była Madonną - niestłuchanie piękną i uroczą kobietą z krwi i kości. I to właśnie on - Larence Alexander Digby - pomógł usunąć z jej oczu ból i sprawił, że zaczęła się uśmiechać.

Uświadomienie sobie tego spowodowało, że po raz pierwszy w życiu poczuł się... potrzebny. Wyjątkowy.

Ponownie zawiął lekki wiatr i poruszył włosami Emmy. Ich kosmyki przywarły do jej nosa i ust. Odgarnęła je, ułożyła za uszami i przesunęła językiem po dolnej wardze, pozostawiając na niej lśniący ślad.

Coś się w sercu Larence'a zacisnęło. Zwilgotniały mu dłonie.

Miłość. Słowo to pojawiło się ni z tego, ni z owego, przemierzając jego świadomość z prędkością lokomotywy. Całkiem możliwe, że zakochał się w Emmaline. Nigdy nie sądził, że otrzyma dar miłości. Tysiące razy powtarzał sobie, że miłość nie przytrafia się mężczyznom takim jak on.

Aż zjawiła się nagle, otaczając go niczym trzepoczący skrzydłami motyl. Nawet teraz czuł, jak o jego serce ocierają się jej skrzydełka, delikatne niczym płatki kwiatów.

Zakochanie się bywa niebezpieczne i doskonale o tym wiedział. Bardziej nawet niebezpieczne niż ta wyprawa, ponieważ Emma nigdy nie odwzajemni jego miłości. Przywiązanie - tak. Być może szacunek. Ale miłość? Nigdy.

Kobiety jej pokroju nie zakochują się w takich mężczyznach.

Nie, jeżeli się zakochał, to będzie w tym osamotniony. Bez wzajemności.

I co z tego? Czyż nie czekał przez całe życie na szansę, aby poczuć to co inni mężczyźni? Czy nie to właśnie było powodem, dla którego tak zaciekle walczył o swoją wyprawę? Chciał być przecież taki jak inni.

Nie ucieknie od możliwości zakochania się. Nawet jeżeli miałyby to oznaczać, że jego uczucie nie będzie odwzajemnione i zostanie zraniony. Pomijając wszystko inne, przez całe życie był sam, a dawno temu nauczył się radzenia sobie z bólem, zarówno fizycznym, jak i psychicznym. Z całą pewnością był w stanie poradzić sobie z bólem związanym z ewentualną utratą Emmy.

Lepiej jest kochać i stracić...

Larence uśmiechnął się. Jakoś sobie z tym poradzi. Ale w tej samej chwili, gdy to pomyślał, wiedział, że istnieje też inna możliwość...

- Larence? Czy wiesz, gdzie my w ogóle jesteśmy?

Dźwięk głosu Emmy był tak nieoczekiwany, że Larence prawie podskoczył. Przejechał dłonią po potarganych włosach i potrząsnął głową.

- Nie. Ale nie martw się, wyliczę to. Wiem, że się spieszysz, i nie chciałbym...

- Już nie.

Odwrócił się w stronę Emmy, a kiedy spojrzał jej w oczy, zaschło mu w gardle. Poczuł się tak, jakby właśnie dostał wspaniały prezent od świętego Mikołaja. Ochota, prawie konieczność dotknięcia jej przebiegła przez całe jego ciało.

Niebezpieczne - pomyślał ponownie. Bardzo niebezpieczne...

Tej nocy Larence nagle przebudził się i usiadł wyprostowany.

W pierwszej chwili pomyślał, że obudził go jakiś senny koszmar. Przetarł oczy.

Wtedy sobie przypomniał: znak. Jak mógł o nim zapomnieć?

Ze strachu zaczęło mu walić serce. Oddychał szybko i tak głośno, że można to było słyszeć w małym namiocie.

Uspokój się. Uspokój się.

Powoli się położył i oparł głowę na poduszce, którą stanowiły jego zwinięte spodnie. Obok spokojnie spała Emma.

Zacisnął mocno oczy, żałując, że nie może tak po prostu zasnąć i zapomnieć o Ka-Neeku i jego złowrogiej wiadomości. Leżał rozbudzony, wpatrując się bezmyślnie w ciemność. Nie wierzył w to, że istnieje jakieś prawdziwe niebezpieczeństwo. Gdyby Indianin chciał ich zabić, już by nie żyli.

Prawdziwe niebezpieczeństwo stanowiła reakcja Emmaline. Jeżeli przestraszyłaby się lub nie zaufała instynktowi Larence'a, z pewnością chciałaby zawrócić. Dla niej wyprawa już by się skończyła.

Poczuł, jak boleśnie skręca mu się żołądek. Na myśl o utraceniu jej teraz, gdy byli tak daleko i przeszli razem tak wiele, poczuł mdłości. Więż, jaka się między nimi wytworzyła, była zbyt nikła, niczym cienka nitka, zbyt łatwa do zerwania.

Jest jedna rzecz, którą mógłbyś zrobić, aby ją zatrzymać...

Poczuł niesmak za samo rozważanie takiej możliwości. Mimo to nie potrafił się powstrzymać. Istniał pewny sposób zatrzymania

Emmy - jeżeli potrafi ją okłamać. Jedno maleńkie kłamstwo ocaliłoby wyprawę. I to nawet nie prawdziwe kłamstwo, po prostu zwykłe niedopowiedzenie. To, o czym nie będzie wiedziała, nie przestraszy jej.

Musiał przyznać, że brzmi to nieźle.

Ale nie mógł jej tego zrobić. Była kobietą inteligentną, która zasługiwała na to, by znać wszystkie fakty. Jeżeli się zdecyduje - modlił się, żeby do tego nie doszło - opuścić jego i zrezygnować z wyprawy, będzie to tylko jej wybór.

Ranek nadszedł świeży i przejrzysty. Promienie słońca przenikały przez biały brezent namiotu, a Larence wciąż leżał rozbudzony. Czekał. Z każdą upływającą minutą, z każdą sekundą czuł, że wokół jego szyi zaciska się pętla. Emma cię zostawi...

- Dzień dobry, Larence - powiedziała cicho. Wzdrygnął się, patrząc prosto przed siebie.

- D...d...dzień dobry.

- Czy coś się stało? Wyglądasz, jakby cię coś trapiło.

Ze zmęczonym westchnieniem przewrócił się na bok i odkrył, że wpatruje się prosto w oczy Emmy. Był tak blisko, że widział maleńkie linie powstałe w czasie snu, które drobną siecią pokrywały jej policzki. Poczul obezwładniające pragnienie, aby wziąć ją w ramiona i trzymać bardzo mocno, okłamać ją i udawać, że nic się nie zmieniło.

Sięgnął do kieszeni spodni, wyciągnął z niej kawałek skóry i rzucił na jej torbę.

Emmaline podniosła go i uważnie mu się przyjrzała. Po chwili ze zmarszczonym czołem zerknęła na swego towarzysza.

- To jest symbol ciboliański - odpowiedział na nieme pytanie widoczne w jej spojrzeniu.

- Skąd go masz?

- Ka-Neek zostawił go przy ognisku.

- Co oznacza?

Larence poczuł się tak, jakby ogromny ciężar przygniatał mu płuca. Kiedy wreszcie się odezwał, prawie nie rozpoznał własnego głosu.

- To starożytny symbol oznaczający niebezpieczeństwo. Emma znieruchomiała, jakby w ogóle przestała oddychać. Z jej twarzy powoli odpływała krew.

- To ostrzeżenie czy groźba?

- Nie wiem.

Podniosła na niego wzrok. Wydawało się, że upłynęły wieki, nim przemówiła.

- Gdyby Ka-Neek chciał widzieć nas martwych, już byśmy nie żyli. Ale to i tak nie ma znaczenia, prawda? Jedziemy dalej.

Larence dopiero w tej chwili zdał sobie sprawę, że przez cały ten czas wstrzymywał w napięciu oddech.

- To może być niebezpieczne. Emma roześmiała się.

- Do diabła! Straciłam cały majątek, prawie umarłam sama na pustyni i na dodatek zostałam porwana. I to wszystko wydarzyło się w ciągu kilku dni.

Uśmiechnął się niesamowicie z niej dumny; miała odwagę lwicy.

- Nie sama, Em - powiedział cicho. - Już nigdy sama.

Po śniadaniu Larence wyciągnął ze schowka dziennik, mapę i kompas. Właśnie się zabierał za obliczenia, gdy podeszła do niego Emma.

- Wiesz - odezwała się swobodnym tonem - właśnie myślałam o...

- O czym? O Głównych Zakładach Energetycznych?

Uśmiechnęła się.

- O tym wielkim wzniesieniu za nami. Wiem, że nie jestem odkrywcą, ale wygląda na wystarczająco duże, aby znaleźć się na mapie.

Larence podniósł głowę i obejrzał się przez ramię. Nagle cała krew z jego twarzy odpłynęła.

- O mój Boże! - Zerwał się na równe nogi, wylewając kawę na spodnie, i przyjrzał się wzniesieniu. Zrobił parę wolnych kroków, potem ruszył szybciej, aż zaczął biec.

- Larence!

Gdzieś w odległym zakątku świadomości zarejestrował, że Emma go woła, ale jej słowa brzmiały niewyraźnie i nie wydawały mu się ważne. Pędził tak szybko, jak tylko mógł. W końcu zabrakło mu powietrza, zatrzymał się i rozejrzał. Teraz był w stanie dojrzeć wszystko.

Wzniesienie wyrastało z trawiastej równiny niczym ogromny, płaski stół zbudowany z czerwonej skały. Niebo za nią było bezchmurne i intensywnie niebieskie. Larence z respektem upadł na kolana.

Podniebne Miasto. To musiało być ono, mimo że było większe, niż to sobie kiedykolwiek wyobrażał.

Wstał, ignorując ból wywołany tym nagłym ruchem, i poczuł poranne zapachy świeżej żywicy, niebieskiego łubinu i nieznanych mu dzikich roślin, ale nie zwrócił na nie uwagi. Nie tym razem. Jedyne, co w tej chwili zauważał, to miasto, o którym czytał już w dzieciństwie. Acoma. Podniebne Miasto. Całkiem prawdopodobne, że była to najstarsza osada w kraju.

W jasnym porannym słońcu coś pobłyskiwało na szczycie wzniesienia. Larence'a ogarnęło podekscytowanie. Uniósł dłoń, by osłonić oczy przed jaskrawymi promieniami, i zmrużył je, starając się dojrzeć coś więcej. Może było to światło odbijające się od ostrza noża, może srebrny kolczyk lub...

Usłyszał cichy odgłos miarowych kroków Emmy i poczuł prawie oslepiającą radość, że jest tutaj razem z nim. Obecność kogoś, z kim mógł dzielić ten moment, była spełnieniem wszystkich jego chłopięcych marzeń.

Chwycił jej dłoń i przyciągnął do siebie, wskazując jednocześnie na wzniesienie.

- To jest Acoma.

- A co?

- Acoma. Podniebne Miasto.

Emma zmrzyła oczy.

Miasto? - powtórzyła z powątpiewaniem. Larence przytaknął z entuzjazmem.

- Tam jest miasto, pełne ludzi. Niektórzy twierdzą, że zostało założone już na początku siódmego wieku.

- Poczekaj chwilę, chcesz powiedzieć, że to jest to miasto, którego szukamy?

- Nie - odpowiedział ze śmiechem. - Ka-Neek nie był aż tak miły. Prawdopodobnie sądził, że odciągnął nas wiele mil od naszego szlaku, ale tak naprawdę przyprowadził nas do miejsca, w którym dziennik ma swój początek. Tutaj, w Podniebnym Mieście rozpoczęła się opisaną przez Estebana wędrówka.

- Acoma. - Emma powtórzyła to słowo kilka razy, tak jakby starała się przypomnieć sobie, gdzie je słyszała. Po chwili potrząsnęła głową i wymruczała: - Bezużyteczna książka.

- Jaka książka?

- Uczyłam się historii z podręcznika zatytułowanego: *Historia Stanów Zjednoczonych opowiedziana najprostszymi słowami*. Zdawałam sobie sprawę, że jest to pewne... uproszczenie, ale nie sądziłam, że aż tak ogromne.

Larence zachichotał.

- Bo nie jest, przynajmniej w porównaniu z innymi książkami. Ludzi, którzy je napisali, obchodziła tylko historia białego człowieka. Ale rozejrzyj się, Em. W tym miejscu narodziło się nasze państwo. Jego prawdziwy rdzeń. Starożytne plemiona żyły i budowały tutaj, podczas gdy Europejczycy mieszkali na płaskim kontynencie otoczonym przez fikcyjne morskie potwory.

Jego słowa poruszyły Emmę. Zdała sobie sprawę, że udziela jej się podekscytowanie towarzysza. Po raz pierwszy miała wrażenie, że wie, o co chodzi w całej tej wyprawie. I co to oznacza.

- Moglibyśmy udowodnić to światu - powiedział cicho. - Pokazalibyśmy wszystkim, że Jamestown nie było pierwszą zamożną osadą w tym kraju.

- W jaki sposób?

Ujął dłoń Emmy i popatrzył jej w oczy.

- Cibola. Pomyśl o tym, Em. Ja i ty możemy zmienić historię.

Jeśli odnajdziemy Cibolę, świat będzie musiał uznać istnienie starożytnych Indian. Wszyscy się dowiedzą, że pierwsi Amerykanie byli wspaniałymi artystami i wielkimi budowniczymi, tak jak Egipcjanie i Rzymianie. A poza tym, i to jest nawet ważniejsze, indiańskie dzieci zobaczą dowód wielkości swoich przodków i będą mogły chodzić z dumnie podniesionymi głowami.

Emma poczuła w oczach łzy, które zamazywały jej widok. Czy kiedykolwiek obchodziło ją coś poza wszechmocnym dolarem? I co dała od siebie światu z wyjątkiem złotych monet?

Nagle powrócił jej zdrowy rozsądek. Bezlitośnie zdusiła w sobie zdradzieckie uczucia, które zagrażały wszystkiemu, w co do tej pory wierzyła, wszystkiemu, na co pracowała przez całe życie. Do diabła, oszukał ją, oszukał swoimi oczami małego psiaka i pełnym tęsknoty głosem. A ona była tak łatwą zdobyczą. Została zwiedziona pięknymi słówkami i imponującymi marzeniami...

O czym jak o czym, ale o bajkach miała pojęcie. Słyszała ich tysiące z ust ojca; przez lata nawet w nie wierzyła. Miała około siedmiu lat, kiedy zetknęła się z rzeczywistością bardzo surową. Obudziła się wtedy wcześniej, przemarznięta i głodna. Otulając drżące ciało starym dziurawym kocem, rozejrzała się po pokoju i w mrocznym porannym świetle wreszcie dostrzegła, co to za miejsce - nie tymczasowy dom Kopciuszka, lecz ciemna, wilgotna, ponura rudera.

Od tamtej pory patrzyła na świat oczami własnymi, a nie swojego ojca. Przestała czekać na księcia, który ocali ją od chłodu panującego w domu, i przestała wierzyć w pomysły ojca, mające przynieść im bogactwo. Nigdy więcej nie miała bezużytecznych, nierealnych marzeń. Aż do teraz.

Spojrzała na Larence'a. Poczuła się zdradzona. To przez niego pozwoliła sobie na sentymenty; chciał, by obchodzili ją jacyś dawno nieżyjący ludzie i ich losy. Oto, dlaczego opowiedział jej całą historię. Na szczęście jego łzawa opowieść o kilku indiańskich dzieciach nie podziałała na nią. Nie pozwoliłaby na to.

Owszem, będzie się zachowywać przyzwoicie wobec swego towarzysza. Może czasami ugotuje kolację lub zwinie śpiwory, może nawet pozwoli sobie na zaprzyjaźnienie się z Larence'em. Ale na tym koniec. Być lepszym człowiekiem nie oznacza od razu być biednym. Nie ma mowy!

Nigdy nie zmieni się jej sposób postrzegania pieniędzy. Nie mogła sobie na to pozwolić. Tak jak nie mogła sobie pozwolić na uwierzenie w wizję Larence'a. Marzenia to bezużyteczne marnowaniem czasu.

On może zmieniać świat, jeżeli tak bardzo tego chce. Tacy jak on zawsze to robili. Ludzie, którzy nigdy nie byli biedni, mogą przeznaczać pieniądze na cele dobroczynne i spać z czystym sumieniem. Ale tych, którzy jedli na ulicy i spali w ciemności i na zimnym chodniku, nie obchodzi zbyt duma kilku małych dzieci.

Zmianianie historii nie było marzeniem Emmy i nigdy nie pozwoliłaby dać się ponieść kuszącej mocy marzeń swego towarzysza. Jechała po złoto. Wspaniałe, lśniące złoto. Połowa należała do niej. Indiańskie dzieci czy nieindiańskie, do połowy miała prawo i zamierzała je wygzekwować.

## 17

Tego dnia Emma wreszcie jechała obok Larence'a jak równy z równym. Uniosła dłoń, żeby poprawić rondo słomkowego kapelusza, aby dawał choć odrobinę więcej cienia. Zerknęła przy tym na swego towarzysza; siedział w siodle dumny i wyprostowany.

Potrząsnęła głową zadziwiona, wciąż nie mogąc uwierzyć w zmianę, jaka nastąpiła pod wpływem paru wyszeptanych słów Larence'a. Przez ostatnie kilka dni próbowała zmusić Tashee, aby porzuciła swoje ulubione miejsce tuż za ogonem Diabła: kopała, krzyczała, prosiła uparte zwierzę, ale wszystko na nic.

Larence tymczasem wyszeptał coś do ucha Tashee i pogłaskał ją po szyi. Szept i głaskanie - to wszystko! Oślica momentalnie znalazła się przy boku Diabła, tak jakby to było miejsce, które chciała zajmować od samego początku.

Może stanowiło to jakąś lekcję...

Wokół panowała cisza. Co jakiś czas Larence wskazywał i podawał nazwę jakiejś rośliny lub zwierzęcia. Zaskoczona Emma odkryła, że naprawdę go słucha.

Teraz jednak milczał. Bezlitosne słońce sprawiało, że Emma chwiała się leniwie z boku na bok, a myślami błądziła gdzieś daleko.

Była tak zrelaksowana, że dopiero po dłuższej chwili zorientowała się, że coś się zmieniło. Usłyszała jakiś dźwięk.

Wyprostowała się, nasłuchując. Był coraz głośniejszy, coraz bliższy.

Spojrzała w dół i nie mogła uwierzyć własnym oczom. Ptak - prawdopodobnie najbrzydszy, jakiego w życiu widziała - biegł obok nich. Biegnął! Jakby zdając sobie sprawę, że jest obserwowany, podniósł łepkę. Paciorkowate oczy spojrzały w oczy Emmy i przez chwilę myślała, że się do niej uśmiecha.

- Larence, popatrz!

Ptak spuścił łepkę i popędził dalej, zbaczając ze swej trasy niczym pijany żeglarz. Po chwili zniknął w oddali.

Larence nie poświęcił ptakowi nawet jednego spojrzenia. Z pewnym siebie uśmiechem patrzył na Emmę.

- Zauważamy otaczającą nas przyrodę, tak? - spytał przeciągając głoski. - Zaraz dam ci mój notes...

Nie mogła się powstrzymać od śmiechu. Boże, czuła się tak... dobrze. Tyle lat minęło - a może nawet całe życie - odkąd potrafiła być tak odprężona i gotowa do śmiechu.

A to wszystko dzięki Larence'owi. Przy nim czuła się niczym nieskrępowana. Potrząsnęła głową z niedowierzaniem. Kto by pomyślał, że coś takiego jest możliwe? W ciągu tych wszystkich lat, kiedy znała Eugene'a, ani razu nie czuła się w jego towarzystwie tak swobodnie.

Swobodna. To słowo wywoływało w jej świadomości zwyczajne obrazy, których zepchnięcie w najdalszy zakątek świadomości zajęło jej wiele lat. Trzymanie rąk. Szepty. Śmiech. Spacerowanie w niedzielę po parku. Przytulanie się...

Obrazy, które już tak jej nie przerażały. Zaczęła się zastanawiać, jak mogła tak długo żyć w strachu przed takimi prostymi uczuciami. Może gdyby nie martwiła się tak bardzo, że skończy jak ojciec...

Ale właśnie to ją przerażało. Bała się, że będzie potrzebować kogoś tak desperacko, że nie przeżyje, gdy ten ktoś odejdzie. Strach był tak silny, że nie pozwalał jej normalnie żyć. Sprawiał, że nie wychodziła nigdy ze swego uczuciowego pancerza i nawet nie zastanawiała się nad tym, co traci.

Aż do teraz. Razem z prostym zdaniem: „To nic złego bać się”, Larence zaoferował jej światło. Wyjście z ciemności. Dziękowała Bogu, że go nie odrzuciła.

Zatrzymajmy się, żeby coś zjeść.

Emma jęknęła z ulgą. Jechali już od wielu godzin. Pociągnęła za uzdę i ześlizgnęła się z Tashee, zanim zwierzę na dobre się zatrzymało.

- Za sekundkę przygotowuję coś do jedzenia, Larence - powiedziała, idąc chwiejnym krokiem w stronę drzewa. Padła w cieniu jego najniższych gałęzi i dodała: - Daj mi tylko sekundę, żebym mogła w spokoju umrzeć.

Zamknęła oczy i oparła głowę na pniu drzewa. Na jej twarz i szyję spadł deszcz szarozielonych igieł. Poczowała ostry, odświeżający zapach. Roztargnionym ruchem strząsnęła igły. Postanowiła odpocząć tylko kilka minut, a zaraz potem wstać i zrobić, co do niej należy.

- Obiad gotowy.

Zerwała się i mrugając, sztywno usiadła.

- Zasnęłam? - zapytała z poczuciem winy w głosie. Larence popatrzył na nią znad kubka z kawą.

- Nic się nie stało - rzekł cicho. - Lubię patrzeć, jak śpisz.

Emmie zaschło w gardle. Jego oczy były pełne obietnic, zapraszające. Zaufaj mi, mówiły, uśmiechnij się. I właśnie to robiła.

- Co dziś jemy?

- Gulasz z puszki.

- Znowu? - jęknęła. Larence roześmiał się.

- Nie przesadzaj, nie jest w końcu taki zły. Poza tym miałem nadzieję, że jeśli będę ci go wciąż serwował, to może pewnego dnia mi się poszczęści.

Spojrzała na niego podejrzliwie.

- Co masz na myśli?

- Może ugotujesz prawdziwy gulasz. Mamy masę suszonej wołowiny. - Jedyne, czego potrzebowałabyś, to trochę ziół. Emma podeszła do ogniska i usiadła obok Larence'a.

- Na kogo ja wyglądam? Na żonę pioniera? Nie odróżniłabym ziół od zwykłych chwastów.

- W torbie przy moim siodle jest książka, z której dowiedziałabyś się wszystkiego, co potrzebne. Emma wyobraziła sobie siebie, „polującą” na zioła, i się roześmiała.

- Przypuszczalnie zaserwowałabym smakowitą mieszankę trujących grzybów i uśmierciłabym nas oboje.

Wieczne niebo miało barwy ciemnego różu i kanarkowej żółci, kiedy Emma zauważyła w dali małą chatę.

- Popatrz, Larence. Tam!

Jej towarzysz zatrzymał Diabła i zaczął grzebać w torbie przy siodle w poszukiwaniu mapy. Ostrożnie rozwinął pożółkły papier i uważnie przyjrzał się punktom naniesionym przez doktora Stantona.

Po długiej chwili potrząsnął głową.

- Nie mam pojęcia. Na mapie nic nie jest zaznaczone. Zastanawiam się, czy nie zboczyliśmy ze szlaku.

Emma jęknęła. Jechali już od tak wielu godzin... Jeżeli zmierzali w złym kierunku...

- Nie - powiedział Larence bardziej do siebie niż do niej. - Jestem pewien, że dobrze jedziemy.

- Mam taką nadzieję - odrzekła Emma. Uśmiechnęła się, ona odwzajemniła uśmiech.

- Sprawdźmy, czy ktoś tam jest.

Pół godziny później znaleźli się przed wejściem do chaty. Na ziemi zaczęły się kłaść coraz większe cienie.

Drewniana prymitywna chata, przy której stała niska czerwona ławka, wyglądała na opuszczoną. Ze zbudowanego z cegieł komina nie unosił się ani obłoczek dymu, a przez zamknięte okno nie przedostawało się zapraszające światło.

- Wygląda na to, że nikogo tu nie ma - stwierdził Larence, Emma usłyszała w jego głosie rozczarowanie.

Nagle poczuła ciepły zapach palącej się tabaki. Wyprostowała się, wachając, nasłuchując i obserwując.

Przy zachodniej ścianie zachwiał się jakiś cień, a po chwili zachrząściły drobne kamyczki.

Emma wyprostowała się i wzmogła czujność.

- Kto tam jest? - rzuciła.

Z ciemności wyłonił się stary Indianin, opierający się ciężko na wygiętej lasce. Larence zeskoczył z konia i ochoczo ruszył w stronę mężczyzny, wyciągając na powitanie dłoń.

- Dzień dobry. Jestem doktor Larence Digby, a to moja towarzysząca, Emmaline Hatter.

Stary mężczyzna przez chwilę wpatrywał się w wyciągniętą dłoń, po czym powoli - i, jak pomyślała Emma, niechętnie - wysunął bardzo wychudzoną rękę.

- Witam. Jestem Pa-lo-wah-ti - odezwał się głosem, który brzmiał niczym skrzypienie bardzo długo nieużywanego koła. - Nie mam w chacie wiele jedzenia, lecz mogę się z wami podzielić tym, co mam.

- Dziękuję, ale... - powiedziała szybko Emma.

- Z przyjemnością skorzystamy z twojej gościnności - dokończył za nią Larence.

Pa-lo-wah-ti podniósł latarnię. Gdy przytknął zapaloną zapałkę do knotu, jego sylwetkę zalało światło. Pierwszą rzeczą, którą zauważyła Emma, były jego oczy. Przełknęła głośno ślinę, walcząc z dreszczem strachu przebiegającym jej po plecach. Były jednocześnie niebieskie i nieniebieskie. Miały barwę morskiej wody zmaconej przez pianę i były bardzo blade.

Ślepy, uświadomiła sobie nagle.

W końcu odwróciła wzrok od dziwnych niewidzących oczu Indianina i zwróciła uwagę na jego równie dziwne odzienie. Miał gołą głowę, a jego siwe włosy obcięte były nad brwiami w nonsensowny schodek, natomiast z tyłu były ściągnięte w ciasny węzeł. Po obu stronach wychudzonej twarzy mężczyzny zwisały dwa pasma, które sięgały aż do ramion. Miał czarną koszulę i czerwone bawełniane pantalonek, obcięte pod kolanami, tak że ukazywały chude jak ołówki łydki i odziane w mokasy stopy.

Na szyi wisiało kilka sznurów koralików; głowa starca pochylała się niemal pod ich ciężarem.

Odwrócił się i zniknął we wnętrzu chaty, bez słowa. Dopiero później Emma zaczęła się zastanawiać, w jaki sposób ślepiec wiedział, że Larence wyciągał do niego rękę.

Larence nie mógł uwierzyć w ich ślepy traf. Wpuścił zwierzęta do małej zagrody, po czym udał się za Pa-lo-wah-ti do chaty. Światło latami rozjaśniło pomieszczenie, ukazując zniszczony koślawy stół i zardzewiały żelazny piec. Z grubych krokwi zwieszały się worki z kukurydzą, która roztaczała miły domowy zapach. W bladym świetle księżycy okno wydawało się kwadratową taflą matowego srebra. Pa-lo-wah-ti wskazał na jedno z drewnianych krzeseł.

- Usiądźcie.

Larence posłuchał go, lecz jego towarzysza stała w drzwiach, nerwowo splatając dłonie. Wyglądała tak, jakby się wahała, czy w ogóle wejść.

Larence odwrócił się, wbijając w nią nieugięty, twardy wzrok.

- Siadaj. Pa-lo-wah-ti zaprosił nas na wspólny posiłek. - Czekał, aż Emma się ruszy. Po chwili dodał: - To dla nas zaszczyt. Usiądź.

Niechętnie weszła do chaty, zamiatając spódnicą podłogę z desek i wzbijając tumany szarego kurzu. Rozklekotane krzesło zaczęło niebezpiecznie trzeszczeć pod jej ciężarem. Siedziała sztywno z rękami ciasno splecionymi na kolanach.

Pa-lo-wah-ti położył na stole grube paski bezbarwnego mięsa, owinięte w duże, cieniutkie placki kukurydziane. Larence nie mógł się powstrzymać od szerokiego uśmiechu. Oto znajdował się na szlaku do Ciboli, dzielił stół z mężczyzną, który mógł być bezpośrednim potomkiem pierwszych prawdziwych Amerykanów, i jadł swój pierwszy w życiu prawdziwy indiański posiłek.

Nagle coś ukuło go w bok. Roztargniony uniósł głowę znad talerza pełnego parującego jedzenia i zobaczył wpatrującą się w niego Emmę. Pierwszą rzeczą, na którą zwrócił uwagę, była nienaturalna bladość policzków. Na jej ustach widniał napięty grymas, kojarzący się z Wall Street. Zmarszczył czoło.

- Czy wszystko w porządku? - Pa-lo-wah-ti podniósł głowę znad swojego talerza.

- Tak. - Emma rzuciła starszemu mężczyźnie poirytowane spojrzenie, po czym skupiła całą uwagę na Larence. Jej wzrok spoczął na talerzu zjedzeniem, a po chwili z powrotem na jego twarzy. W jej oczach widniało nieme pytanie.

- Co? - spytał. Przysunęła się bliżej.

- Co to jest? - wyszczała. Larence wzruszył ramionami.

- A kogo to obchodzi? Jest pyszne.

Zniecierpliwiona Emma westchnęła.

- Mnie obchodzi. Nie mam zamiaru...

- Wąż - usłyszeli z drugiego końca stołu chropowaty głos Pa-lo-wah-ti.

- Wąż? - Widelec Emmy upadł z hałasem na stół.

- Naprawdę? - Larence włożył do ust kolejny kęs, rozkoszując się jego smakiem przypominającym kurczaka. - Powinnaś spróbować, Em. To jest naprawdę dobre.

- Nie mam co do tego wątpliwości - odpowiedziała, popychając swój talerz na środek stołu. - Gadzie mięso zawsze należało do moich ulubionych przysmaków.

W chacie zapadła cisza. Kilka razy Larence próbował nawiązać rozmowę, ale Indianin wydawał się bardziej zainteresowany wpatrywaniem się - o ile można było tak powiedzieć w wypadku ślepca - w niego i Emmaline niż mówieniem. W końcu Larence zaakceptował to, że stary mężczyzna jest samotnikiem, i po prostu się nie odzywał.

Po posiłku i umyciu kilku brudnych naczyń Pa-lo-wah-ti oznajmił:

- Jest tylko jedna sypialnia. Wy będziecie spać na zewnątrz.

- Oczywiście - odparł Larence. - Czy moglibyśmy tylko gdzieś się umyć? Jesteśmy w drodze od dłuższego czasu i zdążyliśmy się porządnie ubrudzić.

- Przy tym wysokim paliku jest prysznic. Możecie z niego skorzystać.

Larence szybko podziękował, chwycił swoją torbę i wyszedł z chaty.

Emma została sama z Indianinem. Powtarzała sobie w duchu, że to niemądre odczuwać lęk przed starym ślepyim człowiekiem. Przecież było z nim wszystko w porządku - z pewnością nie należał do ludzi niebezpiecznych. Ale nie była w stanie całkowicie w to uwierzyć. Gdy tylko jego mętne niewidzące oczy zwracały się ku niej, wzdłuż kręgosłupa Emmy przebiegał nieprzyjemny dreszcz. Panująca w pomieszczeniu napięta cisza wydała jej się krępująca, więc zakaszła.

- Czy jest coś, co mogłabym zrobić, aby pomóc...

- Wyjechać.



To nieoczekiwanie wypowiedziane słowo sprawiło, że wyprostowała się zdziwiona.

- Wyjechać? Chcesz, żebyśmy...

Indianin nagle się odwrócił. Jego wąskie oczy spoczęły na twarzy Emmy.

- Żartowałem, oczywiście. Wybaczcie zgrzybiałemu, staremu człowiekowi gadanie od rzeczy. Jestem szczęśliwy, mogąc gościć ciebie i twojego mężczyznę.

Zanim Emma zdążyła zaprotestować i wyjaśnić, że Larence nie jest jej mężczyzną, Pa-lo-wah-ti przeszedł przez pokój wszedł do swojej sypialni, zamykając za sobą drzwi.

Emma wpatrywała się w nie w zamyśleniu. Zgrzybiały? - pomyślała zaciskając usta. Akurat. Do opisanego tego starego mężczyzny można użyć wiele określeń, ale na pewno nie słowa „zgrzybiały”.

Chciał, żeby wyjechali. Może nie miał zamiaru tego powiedzieć, ale z pewnością miał to na myśli.

Pytanie, czy chodziło mu o to, by opuścili jego dom, czy może Nowy Meksyk?

Emma wyszła na dwór, zamykając za sobą cicho drzwi.

Kojące nocne powietrze otuliło ją aksamitnym ciepłem. Skrzyżowała ręce na piersi i niedbale oparła głowę o drzwi, rozkoszując się delikatnym powiewem wiatru. Cienki materiał jej halki zaczął powiewać i oblepiać nogi.

- Cześć, Em!

Głos Larence'a wmiszał się w inne nocne odgłosy i sprawił, że się uśmiechnęła. Zapominając o swoim niemądrym strachu przed starcem, uniosła głowę i zaczęła mu machać. Jej ręka zamarła w powietrzu. Słowa utknęły jej w gardle.

Stał obok czegoś, co trochę przypominało damską przebieralnię, z tą jednak różnicą, że u góry zawieszona była drewniana beczka. Księżyc znajdował się wysoko na nocnym niebie, przypominając kosę wykonaną z najczystszej złota.

Na półnogie ciało Larence'a padało blade światło. Stał wysoki i dumny, a jego nogi okrywały ciasne, ociekające wodą spodnie.

Spojrzenie Emmy natrafiło na ostatni guzik przy jego dzinsach. Był rozpięty. Zapraszająco rozpięty. Przełknęła głośno ślinę i zmusiła się do podniesienia wzroku. Jej oczy przesunęły się po mokrej, owłosionej i umięśnionej klatce piersiowej, po czym zatrzymały się na twarzy.

Uśmiechając się, Larence zmierzwił dłonią mokre włosy i potrząsnął głową. Krople wody spłynęły po jego policzkach i skapnęły na ramiona. Odbijające się w nich światło przemieniło je w diamentowe drobinki. Emma patrzyła zauroczona, jak pojedyncza kropla spływa zygzakiem po jego klatce piersiowej, przemykając się między porastającymi ją włosami. Prześlizgnęła się po jego płaskim brzuchu i zniknęła we wnętrzu niedbale rozpiętych spodni.

Coś irytująco przypominającego pożądanie sprawiło, że oddech Emmy stał się dziwnie szybki. Przycisnęła do szyi trzęsącą się dłoń.

- Chodź, Em. Woda jest świetna.

Jej stopy zamieniły się w głązy. Stała nieruchomo przez chwilę, która zdawała się trwać i trwać, z dłonią przy szyi i wzrokiem wbitym w oczy Larence'a. Tylko oczy.

Posłał jej prowokujący uśmiech.

- Chcesz, żebym cię schwytał i tutaj przyprowadził?

- Nie! - Emma uniosła wysoko podbródek, chwyciła brzeg spódnicy i przeszła przez podwórko. Z każdym krokiem wydawało jej się, że Larence robi się coraz wyższy. I bardziej nagi. Jej kroki nie były już takie pewne. Kiedy zbliżyła się do niego, przewiesił sobie przez ramię wilgotny ręcznik.

- To jest prysznic. Możesz w to uwierzyć? Może nie jakiś wyjątkowo nowoczesny, ale prysznic.

Kolejna kropla spadła na jego klatkę piersiową i spłynęła w dół. Emma przełknęła ślinę i czmychnęła do kabiny, zatrzaszkując za sobą drzwi. Czując się bezpieczna, wydała głośne westchnienie i oparła czoło o chłodne wilgotne, drewniane drzwi.

A więc Larence pociągał ją fizycznie. Niewiarygodne.

Zamknęła oczy i starała się uspokoić szalone bicie serca. Byli przyjaciółmi, na litość boską. Nie kochankami.

To wszystko przez ten celibat, pomyślała. Zbyt długo żaden mężczyzna nie gościł w jej łóżku. Uśmiechnęła się, spoglądając na umieszczoną nad jej głową beczkę z deszczówką. Tak, zimny prysznic był właśnie tym, czego teraz potrzebowała.

Zdjęła bluzkę i spódnice i odłożyła je na bok. Gdy pozbyła się okropnego gorsetu, wydała długie, niczym nie ograniczone westchnienie ulgi. Narzędzie tortur spoczęło na wierzchu jej zwiniętej garderoby.

Gdy zaczęła rozpinać guziki od koszulki, zauważyła, że na stojącej przy niej ławce leży małe brązowe zawiniątko. Podniosła je i obróciła w dłoniach.

- Larence, coś tutaj zostawiłeś! - krzyknęła.

- To dla ciebie!

Unosząc brwi, Emma rozwiązała sznurki i zdjęła brązowy Papier.

Zaskoczona, wstrzymała oddech. To była spódnica i bluzka, którą proponował jej doktor Stanton.

Przepeliła ją wdzięczność dla Larence'a za jego troskliwość. Myślenie o jej wygodzie było dla niego typowe - nawet tam, Albuquerque, kiedy była wobec niego taka złośliwa. Potrafiła sobie wyobrazić, w jaki sposób to się odbyło. Kiedy ona podniosła wysoko głowę i poinformowała doktora Stantona, że „Emmaline Amanda Hatter nie będzie ubierać się jak meksykańska wieśniaczka”, Larence z pewnością wyszeptał do swojego przyjaciela: „Daj mi to, Henry, może zmieni zdanie...”

Uśmiechnęła się. Ostrożnie odłożyła na bok bluzkę - jak ją nazwał doktor Stanton, *camisa* - i spódnicę i pociągnęła za uchwyt od pokrywy beczki. Chłodna woda spłynęła na twarz i przykleiła do ciała Emmy brudną bawełnianą koszulkę i halkę.

Oczyściła ubranie z najmniejszych nawet drobinek brudu, po czym zdjęła mokrą, przyklejającą się bieliznę i położyła ją na wełnianej spódnicy. Stojąc dokładnie pod znajdującym się w beczce otworem, odchyliła do tyłu głowę. Woda opryskała jej twarz i szyję, spłynęła po piersiach i ramionach.

Emma stała, aż na jej ciele pojawiło się mrowienie i poczuła się naprawdę czysta i odświeżona. Boże, zdążyła już zapomnieć, jak to cudownie jest być po prostu czystym.

W końcu niechętnie zasłoniła otwór w beczce i wytarła się. Sięgające pasa włosy zaplotła w warkocz, przerzuciła go przez ramię i podniosła *camisę*. Była bawełniana, w kolorze blado-niebieskim, z długimi, szerokimi rękawami i wiązanym dekoltem. Od góry do dołu ciągnął się rząd małych złotych guziczków. Wzdłuż ramion i szyi przyszyta była bladozłota tasiemka, która łączyła się, tworząc na środku małą kokardę.

Emma przełożyła ręce przez rękawy. Po chwili bluzka znalazła się na miejscu. Pociągnęła za sznureczki przy dekolcie i ku swojej konsternacji odkryła, że góra rękawów kończy się na środku jej ramion. Cała szyja i okolice obojczyka były odsłonięte, tak jak kawałek piersi. Ponieważ nie miała pod spodem żadnej bielizny, brodawki wyraźnie się odznaczały.

Emma zdrząła. Lekko wilgotny materiał ściśle przylegał do jej nagich piersi. Dotyk wilgotnej bawełny na gołym ciele był dziwnie erotyczny.

Bluzka odkrywała zdecydowanie zbyt wiele, lecz nie mogła na to nic poradzić - jedynym wyjściem byłoby nałożenie z powrotem brudnych, przepoconych ubrań. A na to akurat nie miała najmniejszej ochoty.

Włożyła spódnicę i opuściła prowizoryczną kabinę prysznicową. Kiedy znajdowała się w połowie drogi do ogniska, dostrzegł ją Larence.

Ich oczy się spotkały. W jego spojrzeniu było coś, czego Emma nie widziała wcześniej. Wywołało to w jej ciele lodowato-gorące drżenie. Zatrzymała się, nagle przenikliwie świadoma własnej nagości pod spódnicą i bluzką. Zawiał delikatny wiatr, który rozburzył jej włosy wokół twarzy. Poczuła lekki chłód. Jej brodawki błyskawicznie zareagowały: stwardniały i jeszcze bardziej sterczały pod cienką bawełną. Emma poczuła się zadziwiająco... pociągająca.

Larence zakaszał i uciekł spojrzeniem w bok.

Emma skrzyżowała ręce na piersiach, uniosła podbródek i zdecydowanym krokiem podeszła do ogniska.

Siedzieli przy nim przez długi czas, każde pogrążone we własnych myślach. Larence wpatrywał się w migotanie rozproszonych po niebie gwiazd, Emma przyglądała się płomieniom liżącym kawałki drewna w ognisku.

Zastanawiała się, o czym myśli jej towarzysz.

On zastanawiał się, o czym myśli ona.

Ale żadne z nich nie wyrzekło ani słowa. Siedzieli wsłuchani w cichy odgłos własnych oddechów i łagodne trzaskanie ognia.

Drzwi od chaty otworzyły się, a po chwili z trzaskiem zamknęły. W ich stronę zbliżyły się wolne, szurające kroki.

Emma instynktownie zeszywniała i przysunęła się bliżej do Larence'a, podczas gdy starzec nieomylnie podążał w ich kierunku.

- Przyłączę się do was - oznajmił bez pytania.

- Oczywiście. - Larence wskazał mu kamień naprzeciwko nich, tak jakby Indianin był w stanie go dojrzeć.

Pa-lo-wah-ti usiadł. Skrzyżował żylaste nogi, otworzył skórny worek z tytoniem, a z kieszeni wyjął kawałek papieru.

Szybkimi, pewnymi palcami zwinął go w podłużny papieros, wsadził jeden koniec do swych wąskich ust, a do drugiego przytknął zapaloną zapałkę. Jego twarz otoczyły obłoczki dymu. Oczy jeszcze bardziej mu się zwężyły i spoczęły na twarzy Larence'a.

- Co cię tu sprowadza?

Słowa te zostały wypowiedziane w sposób niedbały, ale było w nich coś tak lodowatego, że Emma poczuła

dreszcz. Być może sprawił to ton głosu Indianina - zwodniczo niski, lecz jednocześnie ostry - a może całkowity brak znaku zapytania na końcu zdania. Nie wiedziała. Ale coś nie dawało jej spokoju...

Larence pochylił się do przodu.

- Cibola.

W powietrzu zabrzmiał ostry śmiech, w którym nie było ani odrobiny radości.

- Legenda. Mit.

- Nie, to coś więcej.

Pa-lo-wah-ti wyjął papierosa z ust i strzepnął go. Na zacienionej ziemi pojawiły się odrobinki szarawego popiołu. On także pochylił się do przodu, aż twarze obu mężczyzn prawie się dotykały.

- Niejeden próbował odnaleźć to miejsce. Nikomu się nie udało. Wielu zginęło.

- Ja jestem w innej sytuacji.

Kolejna porcja ostrego śmiechu.

- Jak to?

- Mam dowód.

Stary mężczyzna mocno się zaciągnął, by po chwili wypuścić chmurę szarawego dymu.

- Nie ma żadnego dowodu.

W tym momencie Emma spojrzała w oczy Larence'a i przypomniała sobie ich pierwsze spotkanie. Kolejny raz jego spojrzenie przepełnione było podekscytowaniem człowieka głęboko w coś wierzącego.

Larence powoli zaczął swą opowieść.

- Trzysta lat temu zakonnik zwany Fray Marcos de Niza wyruszył z kilkoma innymi zakonnikami i mauretańskim niewolnikiem o imieniu Esteban, aby odnaleźć osławione Siedem Miast Ciboli. Gdy tak przemieszczali się na północ od Meksyku, wioska za wioską, napotykanii Indianie opowiadali im o Siedmiu Miastach i o niewyobrażalnych bogactwach: złocie, srebrze i drogich kamieniach. Emma drgnęła, słysząc słowo: „złoto”.

- Fray Marcos wysłał Estebana pierwszego na zwiady. Nakazał mu, aby dał im znać, jeżeli w Siedmiu Miastach znajdzie coś cennego. Miał im przesać „biały krzyż wielkości dłoni Marcosa”, jeżeli odkryje spore bogactwo; większy krzyż, jeśli to bogactwo będzie naprawdę wielkie, a jeszcze większy w sytuacji, gdy znaleziska będą mogły konkurować ze skarbami Azteków. Kilka tygodni później Esteban przysłał pierwszy krzyż.

- Jak duży? - spytała Emma bez tchu.

- Dźwigało go dwóch mężczyzn i muł.

- E tam. - Pa-lo-wah-ti machnął kościstą ręką. - Dziecinne bajki.

- Z całym szacunkiem nie zgadzam się. Gniew pojawił się w bladych, niebieskich oczach starego mężczyzny.

- Fray Marcos był kłamcą. Twierdził, że widział miasto na własne oczy, lecz kiedy meksykański rząd wysłał żołnierzy, aby przywieźli złoto z Ciboli, nie było żadnego miasta. Nic.

- To prawda - odpowiedział zwięźle Larence.

- Fray Marcos twierdził, że widział miasto? - spytała Emma, marszcząc czoło. - A co z Estebanem?

Larence uśmiechnął się.

- I właśnie o to chodzi. Esteban wysłał dwa krzyże, dwa, a potem zniknął. Książki mówią, że został zabity podczas bójki w jednej z pobliskich wiosek, ale nikt nie widział jego ciała. Po Prostu... zniknął. Nikt nigdy więcej go nie widział.

Pa-lo-wah-ti splunął w ognisko. Ślina zasyczała i w górę uniół się niewielki obłoczek szarej pary.

- Ty myślisz, że Esteban, ciemny poganin, jest ważną postacią w tej historii?

- Tak - odpowiedział krótko Larence. - On i jeszcze jeden człowiek, młody Hiszpan zwany Diego Parroquin de Escobar, odnaleźli miasto. A ja znalazłem ich dziennik.

Pa-lo-wah-ti w zamyśleniu zaciągnął się dymem, a jego niewidzące oczy spoczęły na skierowanej ku ziemi twarzy Larence'a. Pomiędzy nimi wiał lekki wietrzyk, który poruszał złoto-czerwonymi płomieniami, aż zaczęły drgać. Ostro zapach dzikości połączonej z cierpkim aromatem papierosowego dymu sprawiał, że ciemność wydawała się jeszcze bardziej niepokojąca niż zwykle.

- Słowa nieżyjącego człowieka nie zaprowadzą was do miasta. To, co pragnie pozostać ukryte, nigdy nie zostanie odnalezione.

Larence gwałtownie uniół głowę. Utkwił wzrok w oczach Indianina. Siedzieli tak bez ruchu przez długą, pełną napięcia chwilę. Ogień syczał, wysyłając w nocne powietrze czerwono-złote drobinki. Emma poczuła, jak między dwoma siedzącymi naprzeciw siebie mężczyznami przeskakują iskry energii.

- Nie potrzebuję dziennika, aby odnaleźć miasto - rzekł wreszcie Larence cichym, lecz pewnym siebie głosem. - To tylko dowód, którego potrzebowałem, aby zdobyć pieniądze na wyprawę. Prawdziwa mapa jest

tutaj. - Poklepał się po lewej stronie klatki piersiowej. - Tysiące razy widziałem miasto w moich marzeniach i snach.

Po raz pierwszy Pa-lo-wah-ti wyglądał na skonsternowanego. Pomiędzy jego krzaczastymi siwymi brwiami pojawiła się głęboka bruzda. Spojrzał ostro na Larence'a, a Emmie wydało się, że z oczu starca wyparowało zmętnienie, a na jego miejscu pojawiły się dwa lodowato niebieskie sople lodu.

- Wizja miasta? - Głęboko się zaciągnął. Wokół jego twarzy pojawiły się kłęby dymu. - Opisz więc je.

- Ulice pokryte złotem, srebrne drzwi, turkusowe okiennice, basen koloru najczystszej nefrytu...

- Cibola - wymknęło się z ust starca. Powoli potrząsnął głową, tak że popiół opadł na jego skrzyżowane nogi. - Taka wizja pojawiła się w twojej głowie, gdy spałeś?

- Tak, w snach.

Pa-lo-wah-ti wyjął papierosa ze swoich pomarszczonych ust i strząsnął do ognia trochę szarego popiołu. Nie spuszczał przy tym oczu z twarzy Larence'a.

- Ty nie jesteś taki jak ci wszyscy inni biali ludzie, którzy poszukiwali miasta. Ty w nie głęboko wierzysz.

- Tak.

Emma nie potrafiła dłużej powstrzymać podekscytowania.

- Ulice pokryte złotem? Srebrne drzwi? Czy mogłoby to być srebro najwyższej próby? I turk...

- Emmo - rzucił Larence z pełnym rozczarowania westchnieniem. - Czy nie dostrzegasz żadnej wartości historycznej?

Pa-lo-wah-ti potrząsnął głową, a jego oczy wypełniły się osobliwym smutkiem.

- Ty nie jesteś taki jak inni biali ludzie, którzy tu przybywali, niszczyciele ziemi i gwałciciele przeszłości. Ale ona jest.

- Jedyne, co zrobiłam, to zadałam proste...

- Wyjedź. - Emma urwała w połowie zdania słysząc to ostre, zimne słowo. Stary mężczyzna popatrzył na nią swymi niesamowitymi, niewidzącymi, ale jednak wszystko zauważającymi czarni. - Natychmiast. Kiedy jeszcze możesz.

Następnego ranka Emma obudziła się dość późno. Przez pół nocy nie mogła zasnąć, żalując, że nie mogła uciec, niczym złodzieje, z tego domostwa, które wyglądało na opuszczone. Tylko świadomość tego, że Larence wyśmiałby jej obawy i podejrzenia, powstrzymywała ją od wyznania mu ich. Cierpliwie więc czekała przez całą długą, bezseną noc. Już prawie świtało, gdy wreszcie zapadła w płytki, niespokojny sen.

Ale teraz nadszedł już świt i czas był wyruszyć w dalszą drogę. Uniosła się na łokciach i odgarnęła z oczu pasma niepokornych włosów. Miejsce, gdzie powinien leżeć śpiwór Larence'a, było Puste. Klęknęła zmęczona i poczołgała się w stronę powiewającej w lekkim porannym wietrzyku, uchylonej nieznacznie poły namiotu. Wsunęła przez nią głowę i natychmiast zmrużyła oczy. Poranek był rześki, a niebo tak jasne, że aż kłuło w oczy.

Odwróciła się i z powrotem wczołgała do namiotu. Jej postać otulił ochronnie błady gruby brezent. Podniosła swoje starannie złożone rzeczy i poczuła nagłą radość. Nowe ubrania!

Spomiędzy spódnicy i bluzki wysunął się gorset. Upadł na zielony materiał śpiworu niczym flaga człowieka, który się poddaje.

Emma jęknęła. Myśl o wbijaniu się w to narzędzie tortur sprawiła, że jej żołądek boleśnie się kurczył.

Dlaczego mam się tym dręczyć - pomyślała niespodziewanie. Co dobrego mogło to przynieść tutaj, na tym pustkowiu? Kształt klepsydry nie miał żadnego znaczenia, jeśli nie była w stanie głęboko oddychać. A przecież tak było, odkąd przyjechała do tego zapomnianego przez Boga stanu. Ukryła nieszczęsną część garderoby we wnętrzu śpiwora.

Czując się dużo lepiej niż w ciągu ostatnich kilku tygodni, Emma włożyła czystą bieliznę i nowe ubranie. Wyczołgała się z namiotu, szybko zwinęła śpiwór i złożyła namiot, po czym wcisnęła go do brezentowego pokrowca.

Po zrobieniu tego wszystkiego wstała i przeciągnęła się, wdychając świeże poranne powietrze. Nowa spódnica ocierała się delikatnie o jej nogi, a wiatr przedostawał się przez cienki materiał bluzki i lekko muskał jej ciało. Po raz pierwszy od wejścia do pociągu w Nowym Jorku Emma poczuła się swobodnie. W końcu mogła naprawdę oddychać.

Było jej tak dobrze, że prawie zapomniała o straszonym starcu i sposobie, w jaki na nią patrzył.

*Wyjedź. Natychmiast. Kiedy jeszcze możesz.*

Po wymówieniu tych mrozących krew w żyłach słów stary Indianin popatrzył na nią. Nie, to nie było właściwe określenie. On popatrzył w nią. Poczuła, jak te niesamowicie przenikliwe oczy przewiercają ją i wywołują drzenie całego ciała. W jednej chwili Emma odczuwała zimno i gorąco, i - co było najbardziej szalone - strach. Nie przed starym mężczyzną, i to właśnie czyniło go tak niesamowitym. Bała się siebie. I o

siebie.

Wyraz jego pomarszczonej, ciemnej od słońca twarzy był niedwuznaczny. Zajrzał głęboko do jej duszy i nie znalazł tam nic wartościowego.

Spojrzała niespokojnie na zamknięte drzwi chaty. Z małego komina nie unosił się dym. Miejsce wyglądało na tak samo opuszczone jak wtedy, gdy tu przyjechali.

Westchnęła głęboko, czując wielką ulgę, że Indianin jeszcze się nie obudził. Chwyciła brzeg spódnicy, przeszła przez niewielkie podwórko i podążyła w stronę zagrody, gdzie Larence właśnie kończył pakowanie i siodłanie zwierząt.

- Cześć - powiedziała Emma, podnosząc z ziemi torby i podając mu je. Odwrócił się, wyciągając po nie ręce.

- Dzięki, ja... - Spojrzał na nią, a dalsze słowa zamarły mu w gardle. Spuścił wzrok. Ona popatrzyła w górę. Żadne z nich nie wymówiło ani słowa.

Cisza wydawała się przepelniona niewidocznymi iskrami.

Larence lustrował Emmę, zaczynając od odsłoniętej szyi, po czym jego wzrok zatrzymał się na krągłości piersi, aby po chwili przesunąć się dalej aż do jej stóp. Zawiał wietrzyk, który przykleił cienką bawełnę do jej skóry. Słońce wydało się nagle jaśniejsze i bardziej gorące. Emma poczuła mrowienie w całym ciele. Przypomniała sobie, że nie ma gorsetu.

Dotknij mnie. Te dwa słowa świeciły się w jej głowie niczym płonące pochodnie. Instynktownie przysunęła się minimalnie i uniosła głowę.

Larence zastygł w bezruchu. Palce świerzyły go, aby jej dotknąć, aby poczuć bicie jej serca. Zaciśnął je w pięści i przycisnął do ud.

Tylko mnie nie dotykaj, pomyślał z desperacją, lekko odsuwając się od jej kuszących ust. Jeśli mnie dotkniesz, to Boże, Pomóż mi, zrobię z siebie wielkiego głupca...

Za nimi uchyliły się drzwi. Długi, jęczący pisk rzadko używanych zawiasów przeciął poranne powietrze niczym zardzewiałe, przesuwające się po metalu ostrze. W ich stronę kierowały się niespieszne kroki. Emma zaciśnęła szczękę, a jej kręgosłup momentalnie zeszytniał. Znikło gdzieś napięcie w powietrzu.

- Tutaj, Pa-lo-wah-ti, przy wysokim słupie! - zawołał Larence. Emma obejrzała się. Stary mężczyzna szedł w ich stronę. Wokół jego odzianych w ciemne mokasyny stóp wzbijał się kurz, który unosił się aż do chudych, żyłastych łydek, wystających spod czerwonych nogawek spodni. Nad jego głową jastrząb zataczał niewielkie kołka.

Indianin zatrzymał się obok Larence'a.

- Witaj.

Larence zmarszczył czoło.

- Czy dobrze się czujesz, Pa-lo-wah-ti? Wyglądasz na zmęczonego.

- Starzy ludzie często bywają zmęczeni. Takie już jest życie.

- Może zostalibyśmy jeszcze jeden dzień, by ci pomóc?

- Nie. - Starzec popatrzył na Larence'a, unosząc podbródek. W jego niewidzących, niebieskich oczach pojawił się smutek, który przypominał Emmie o porażce. - Zawróć, Larence. Nie odnajdziesz tego, czego szukasz. Brakuje ci czegoś...

- Wskazówki? - ostro spytała Emma. - Skąd możesz wiedzieć? Na twarzy Indianina pojawił się wyraz irytacji, a Emma odniosła wrażenie, że poczuł odrazę, gdy przypominała mu o swojej obecności. Nie trudząc się, aby na nią spojrzeć, odpowiedział:

- Ty możesz sądzić, że jest to „wskazówka”.

Emma jęknęła. Ponieważ moja inteligencja jest oczywiście równa intelektowi pełzającego po ziemi robaka - pomyślała.

Larence położył dłoń na ramieniu starca, a Pa-lo-wah-ti uśmiechnął się do niego. Uśmiechnął!

Emma przewróciła oczami. Jej stopa wybijała niecierpliwy rytm pod cicho szeleszczącymi fałdami spódnicy.

- Zawróć, Larence - powtórzył stary mężczyzna, tym razem jeszcze łagodniej. - Czuję... niebezpieczeństwo czyhające na ciebie w dalszej podróży.

Emmie wydawało się, że minęły tygodnie, nim Larence zdecydował się na odpowiedź. Jej stopa uderzała coraz szybciej o ziemię. Wokół niej unosił się kurz, który osiadał na brzegu spódnicy.

- Nie mogę - rzekł wreszcie Larence. Pa-lo-wah-ti zamknął oczy.

- To też wiem. To znaczy, że będziesz szukał, ale nie znajdziesz. Lub nie zatrzymasz. Przykro mi.

- Na miłość boską, Larence, jedźmy wreszcie. On nie wie o tym przeklętym mieście niczego więcej od ciebie. A ta jego paplanina irytuje mnie.

Pa-lo-wah-ti zadziwiająco szybko odwrócił się w jej stronę.

- Jesteś mu zupełnie niepotrzebna podczas tej wyprawy. Nie potrafisz nawet dosłyszeć szeptów zmarłych i ich bóstw, nie mówiąc już o wsłuchiwaniu się w nie. Jedź więc i szukaj swego drogiego skarbu. I zapłać wysoką cenę za swoją chciwość.

Zanim Emma zdążyła wypowiedzieć choć jedno słowo, stary mężczyzna odwrócił się do niej plecami i serdecznie uściśnął dłoń Larence'a.

- Zostańcie razem w mieście - wyszeptał. - Koniecznie. Kobieta parsknęła i ściągnęła lejce Tashee ze słupka. Wdrapała się na nią i rzekła:

- Jedźmy, Larence. Natychmiast.

Pa-lo-wah-ti cofnął się o krok, puszczając dłoń Larence'a.

- Tak. Jedźcie.

Kiedy Larence wsiadł na Diabła, popatrzył w dół na starego Indianina.

- Zobaczymy się jeszcze, prawda? W kącikach ust starca pojawił się cień uśmiechu. Skinął uroczyście głową.

- Za trzydzieści dni.

- Dzięki, ale może nie - powiedziała ostro Emma. - Za trzydzieści dni będziemy z powrotem w domu. Przeszyło ją jego niesamowite niebieskie spojrzenie.

- Będziecie? Być może. Ale grozi wam duże, duże niebezpieczeństwo.

Ale jak ciebie znaj... Nie martw się, Larence. To ja was odnajdę.

Jechali już od ponad piętnastu minut, gdy Emma odwróciła się, aby spojrzeć na chatę Pa-lo-wah-ti.

Uważnie przyglądała się małemu domostwu. Coś było nie w porządku, ale nie mogła odgadnąć co.

Miejsce wyglądało na opuszczone, prawie... niewyraźne. Przyłożyła dłoń do brzegu kapelusza i zmrużyła oczy w oślepiającym słońcu.

Co było nie tak?

W końcu się poddała. Coś się zmieniło, ale ona nie była w stanie tego rozpoznać. A poza tym i tak nie miało to żadnego znaczenia. Wzruszyła ramionami i z powrotem skierowała wzrok na rozciągającą się przed nimi pustynię.

Później - i nigdy już nie była całkiem pewna, jak dużo później - odwróciła się jeszcze raz.

Chata zniknęła.

Emma zamrużyła przekonana, że to słońce stroi sobie z niej żarty.

Ale to nie było ostre, słoneczne światło. Bez względu na to, jak długo bądź intensywnie wpatrywała się za siebie, nie było mowy o pomyłce. Chata zniknęła.

Może ja śnię, powiedziała sobie w duchu.

A może chata skryła się za skalnym wzniesieniem...

Jakkolwiek mocno starała się przekonać siebie lub całkowicie to zignorować, myśl o chacie wciąż do niej powracała.

A może ta chata nigdy nie istniała.

## 18

Emma umościła się wygodniej w siodle, głowa opadła jej w dół. Ciepły pot spłynął po wilgotnych włosach przyklejonych do policzków, a potem do rowka pomiędzy piersiami. Otarła wilgoć z ramion i szyi, używając do tego celu pogniecionej białej koszulki, którą przedarła na pół podczas postoju.

Jej zmęczony wzrok spoczął na rozciągającej się przed nimi rozległej, wijącej się rzece skamieniałej czarnej lawy. Tu i ówdzie z jej szczelin i pęknięć wyrastały kępki wyjątkowo odpornej na niekorzystne warunki trawy. Poza tymi oznakami życia teren pomiędzy wzniesieniami w kolorze jasnego piasku był pusty i martwy.

Tylko Esteban i Diego widzieli to miejsce. Wydeptali ścieżkę wiodącą przez to pustkowie, znajdując po drodze źródła wody. A teraz zza grobu wskazywali im drogę.

- Spójrz! - zawołał nagle Larence.

Emma zmrużyła oczy w oślepiająco jasnym świetle słonecznym. Przed nią rozciągał się pusty krajobraz. Po prawej zobaczyła ogromne wzniesienie zwane Cebollitą.

Przeklęta fatamorgana. Emma potarła oczy i ponownie spojrzała przed siebie.

Znowu zobaczyła Cebollitę, która wydawała się nieruchomą, wieczną ścianą skalną. Jarząca się w oddali zasłona gorąca powoli nieruchomiała. Jeden po drugim kolory powracały na linię horyzontu: żółty, brązowoczerwony, zielony. Czerń nareszcie zniknęła.

Emma poczuła ogromną ulgę, która sprawiła, że na jej ustach pojawił się drżący uśmiech. „O, mój Boże...”

- to wszystko, co w tej chwili była w stanie pomyśleć lub powiedzieć.

Uświadomiła sobie, że jeszcze przed chwilą myślała, iż zginą gdzieś po drodze, zupełnie sami na terenie zwanym Malpais, czyli zła ziemia.

Larence uśmiechnął się do niej, ale nie był to jego normalny, chłopięcy uśmiech. Po raz pierwszy Emma dostrzegła delikatną sieć linii pod jego oczami oraz bruzdę przecinającą czoło. On też niepokoił się o ich szansę.

- Udało nam się - rzekł i głęboko odetchnął. Wyciągnął rękę w jej stronę. Twardy, zgrubiały czubek jego palca wskazującego musnął jej mokry od potu policzek. Ten nieoczekiwany dotyk sprawił, że poczuła gorący dreszcz.

- Oczywiście, że nam się udało. Razem jesteśmy w stanie zrobić wszystko. *Razem.*

Emma wciąż myślała o tym prostym słowie, gdy kucała przy niewielkiej sadzawce i myła naczynia po kolacji.

*Razem.*

Zanurzyła w wodzie garnek, rozkoszując się jej chłodem. Na niebie chmury właśnie ustąpiły z drogi księżycowi, a na lustrzanej powierzchni sadzawki pojawiły się smugi niebiesko-białego światła. W księżycowej poświacie metalowy garnek w dłoni Emmy połyskiwał niczym najwyższej próby srebro.

*Razem.* Zamknęła oczy, myśląc o tym słowie i jego tak nieoczekiwanym użyciu. *Razem.* Ty i ja.

Nie słyszała, jak zbliża się Larence. Zauważyła go dopiero, gdy przykucnął obok niej.

- Podaj mi kociółek. Wytrę go.

Kilka dni temu odmówiłaby mu dla zasady, ale dzisiejszego wieczoru taka myśl nawet nie pojawiła się w jej głowie. Bez słowa podała mu garnek.

Ich palce otarły się o siebie, a dotyk ten uświadomił Emmie pełne znaczenie tego, co robili. Zmywanie razem naczyń było w pewien sposób bardzo osobiste. To była jedna z tych codziennych czynności, której nigdy nie dzieliła z innym człowiekiem. Zanim zbiła fortunę i mogła sobie pozwolić na gospodynię, zmywała naczynia sama, w ciszy i samotności. Zawsze w pojedynkę.

Jej rodzice zawsze wspólnie wykonywali prace domowe. Każdego wieczoru po kolacji stawali przy zardzewiałym wyszczerbionym zlewie w malutkim przedsionku. Mama zmywała, a tata wycierał. Ich cichy śmiech często dolatywał do rogu pokoju, w którym znajdowała się Emma, i nie pozwalał jej zasnąć. Leżała skulona na swym wąskim łóżku, przykryta wysłużonym kocem, i przyglądała się im. Otulała ją promieniująca z nich miłość i radość z bycia razem. To była jej kołysanka. Tysiące razy zasypiała, marząc o mężczyźnie, który pewnego dnia pokocha ją tak bardzo, jak jej tata kocha mamę.

Jej gardło zacisnęło się. Gorące łzy zaczęły palić zmęczone oczy. Kiedy przestała wierzyć, że taki mężczyzna, taka miłość są jej przeznaczone?

Oczywiście doskonale wiedziała kiedy. Znała godzinę, minutę i sekundę, w której jej marzenia umarły. Ósma trzydzieści, bożonarodzeniowy poranek. Wtorek...

Od tamtego dnia była tak twarda, zimna i obojętna, jak tylko była w stanie. Nikt nigdy nie wypełnił pustki, jaką Pozostawiła śmierć rodziców. Nigdy nikomu nie pozwoliła na zbliżenie się na tyle, aby mógł odkryć, że taka pustka w ogóle istnieje.

Dopiero Larence to zauważył. W jakiś sposób, gdy nie patrzyła, pokonał jej mury obronne i sprawił, że zdała sobie sprawę, że w Jej życiu czegoś brakuje. Czegoś ważnego, szczególnego, czegoś, o co warto walczyć. Uwierzył w nią, więc ona też zaczęła wierzyć w siebie.

Na jej ustach pojawił się uśmiech. Eugene miał rację. Naprawdę była zimna. Niewrażliwa. A kosztowało ją to więcej, niż sądziła, że jest to możliwe. Narzucona sobie izolacja studziła jej duszę, kawałek po kawałku, aż nie było w niej nic poza lodem.

Zawsze chciała wyciągnąć rękę do ludzi. Boże, jak tego pragnęła. Ale tak bardzo, przeraźliwie bała się, że jest taka jak jej ojciec. Że głęboko wewnątrz, zbyt głęboko, aby to zobaczyć lub dotknąć, ale wystarczająco, aby poczuć, jest na tyle słaba, by pewnego dnia się zabić.

Więc uciekała. Przed samą sobą i przed ludźmi.

W końcu dotarła do Albuquerque i nie miała już dokąd uciekać. Aż wreszcie, z Larence'em przy boku, nie było powodu, by uciekać. *To nic złego bać się...*

- Ten talerz nie może być już czystszy, Em - rzekł Larence ze śmiechem.

Odzwajemniła uśmiech, pochyliła się - w stronę swego towarzysza i podała mu talerz. Byli dla siebie podporami. Obydwoje wspierający się, ale i potrzebujący wsparcia. Bycie przy jego boku było takie przyjemne. Takie oczywiste.

*Razem.*

Jakiś czas później Emma siedziała przy wesołym trzaskającym ogniu i popijając herbatę z cynamonem, przyglądała się Larence'owi.

Nie mogła nic na to poradzić. Co rusz jej spojrzenie wędrowało w jego kierunku, prawie wbrew jej woli. Bała się trochę, że jeżeli odwróci się do niego plecami - chociaż na ułamek sekundy - okaże się, że to wszystko było kłamstwem. Że Larence i przyjaźń, którą jej ofiarował, byli niczym innym, jak iluzją stworzoną przez jej samotną duszę.

Emma wyprostowała się. Oczywiście, że ofiarował jej przyjaźń, nie miała co do tego żadnych wątpliwości. Tysiące drobiazgów były tego dowodem. A czy ona w jakikolwiek sposób odwzajemniła się? Czy dała mu taki sam bezmierny dar? Czy po prostu zachowywała się tak jak zawsze - brała i brała, nie dając w zamian niczego?

- Au! - Larence głośno jęknął i zachwiał się, gdy brezentowy worek z namiotem wysunął mu się z rąk. Krzyknął i sięgnął po niego, ale worek uderzył o ziemię z głuchym odgłosem.

- Larence! - Emma natychmiast zerwała się na równe nogi i pobiegła szybko w jego stronę. Dotarła do niego w chwili, gdy się przewrócił.

Upadła obok niego na kolana i instynktownie wyciągnęła rękę. Nagle jej dłoń na ułamek sekundy zatrzymała się. Niepewność sprawiła, że zagryzła dolną wargę.

Nie bądź tchórzem, nie tym razem. Pokaż mu, jak bardzo cię obchodzi...

Dotknęła go.

Czując jej dotyk, Larence podskoczył, po czym zamarł. W panującej nocą ciszy jego szybki oddech brzmiał niczym uderzenie młotka o twarde drewno. Emma poczuła, że jego ciało drży pod jej dłonią.

Trzymał głowę pochyloną.

- Odejdź.

Powiedział to w sposób, w jaki mogła to zrobić zupełnie obca osoba. Jego głos był szorstki i udręczony. Sprawił, że Emma poczuła w sercu ukłucie.

Przepęłniło ją poczucie bezużyteczności. Co mogła zrobić - albo powiedzieć - aby mu pomóc?

Nie miała bladego pojęcia. Od śmierci ojca nigdy nie musiała nikogo pocieszać. A i przedtem niewątpliwie nie była w tym dobra. Jeśli byłoby inaczej, to ojciec z pewnością nie popełniłby samobójstwa.

Emma odepchnęła od siebie znajome wątpliwości i skupiła się na swoim instynkcie. Na uczuciach. Przełknęła głośno ślinę i zaczęła gładzić plecy Larence'a, zataczając dłonią niewielkie koła. Słowa - pomyślała z desperacją - mów coś do niego. Pokaż mu, że nie jest sam. Tylko jedno zdanie przychodziło jej do głowy: „To nic złego...” Urwała. Poczuła gorąco na policzkach.

Głupia. Idiotka. Nie można kogoś pocieszać jego własnymi słowami.

Larence nieoczekiwanie uniośł głowę. Ich oczy się spotkały. W jego spojrzeniu był ból, który marszczył mu czoło i sprawiał, że usta zaciskały się w cienką linijkę. Ale nawet w takim przepęlnionym bólem momencie w jego oczach można było dojrzeć współczucie i zrozumienie wobec frustracji Emmy. Wymamrotał coś.

Pochyliła się jeszcze bardziej w jego stronę. Łagodny mydlany zapach jego włosów zmieszał się z aromatem kawy i ogniskowego dymu. Emma zanurzyła palce w kasztanowych włosach Larence'a, które opadały mu na oczy, i odgarnęła je.

- Co powiedziałaś?

W kącikach jego ust widoczne było napięcie. W oczach widniał wstyd.

- Czuję się zakłopotany, że widzisz mnie w takim... stanie.

Emma poczuła, jakby wielka dłoń zaciskała się na jej sercu. Jej oczy wypełniły się łzami, które sprawiły, że widziała wszystko niewyraźnie.

- Och, Larence. - Jej głos zdrzął. - Widziałeś mnie w moich najgorszych chwilach i pomogłeś mi. Pozwól mi odwdziżyć się w ten sam sposób. Proszę.

- Nikt nie może mi pomóc, Em. To jest - jego głos zniżył się do zawstydzonego szeptu - defekt.

Emma przełknęła kulę w gardle i zmusiła się do bladego uśmiechu.

- Powinieneś wiedzieć, że lepiej nie zadzierać z Szalona Hatter z Wall Street.

Używając swego ciała jako podpory, Emma powoli pomogła swojemu towarzyszkowi podnieść się na nogi. Razem skierowali się, krok po kroku, w stronę ogniska. Gdy w końcu dotarli do niewielkiego ognia, twarz Larence'a pokryta była sztywną maską bólu. Oddychał szybko i płytko, a jego czoło zrosiły krople potu. Nic nie powiedział, ale jego milcząca siła poruszyła Emmę bardziej niż jakiegokolwiek słowa.

Opadł obok ogniska, ciężko wzdychając.

- Dzięki - powiedział unikając jej spojrzenia. Emma uklękła przy nim. Wpatrywała się w jego profil, pragnąc, by na nią spojrział, by użył tych swoich przesywających oczu do odczytania tego, co było ukryte w jej sercu. Jego spojrzenie wciąż było utkwione w blasku ognia. Emma skierowała swoją uwagę na zakurzony



czubek jego buta.

Zrób to... Chociaż raz w życiu daj coś z siebie... Przesuwała się do tym tak długo, aż znalazła się na równi z jego stopami. Z wahaniem wyciągnęła rękę. Larence wyszarpnął nogę z jej uścisku.

- Co ty robisz?

Ich spojrzenia się spotkały. Wokół jej serca strach zacisnął swe zimne palce.

- Nie powstrzymuj mnie, Larence - rzekła głosem tak cichym, że wiedziała, że będzie musiał się pochylić w jej stronę, aby go dosłyszeć. - Proszę...

Przez dłuższą chwilę wpatrywali się w siebie. Żadne z nich nie poruszyło się ani nic nie powiedziało.

- Proszę - wyszeptala jeszcze raz. Powoli, bardzo powoli stopa Larence'a przesunęła się w jej stronę po zakurzonej ziemi, a potem znów się odsunęła.

- Nie chcę twojej litości. - W jego oczach zabłyśł gniew. Gniew i coś jeszcze. Coś, co sprawiło, że Emma poczuła się maleńka niczym krasnoludek.

Upokorzenie.

- Nie rób tego - powiedziała łagodnie. - Daj mi tę nogę. - Chwyła jego zwichniętą kończynę i delikatnie, lecz stanowczo łożyła ją z powrotem na swoich kolanach. Wpatrywała się w nią przez dłuższą chwilę, zauważając w niej niekontrolowane drżenie Palców.

Proszę, Boże, nie pozwól, abym go przez przypadek skrzywdziła.

Czubki jej palców zaczęły zataczać małe, ledwie wyczuwalne kółka na jego chłodnym ciele: wzdłuż bladej skóry aż do palców, po czym powoli z powrotem aż do tydki. Ostrożnie unikała dotykania opuchniętej bladej kostki. Jej palce poruszały się dalej, masując, aż drżenie jego palców powoli zniknęło.

Gdy poczuła, że się odprężył, zerknęła na niego. Głowę miał odrzuconą do tyłu, a oczy zamknięte. Siateczka zmarszczek wokół jego ust zniknęła, a policzki znowu się zaróżowiły.

To działa, uświadomiła sobie. Opuściła wzrok z powrotem na stopę Larence'a. Przełknęła ślinę i zdecydowała się delikatnie spróbować: dotknęła kostki. Jej dłoń przylgnęła do uszkodzonej kości, ogrzewając ją.

W masowaniu jego bolącej stopy Emma odnalazła spokój, którego nigdy nie doznała. Niespodziewanie sprawianie mu ulgi spowodowało, że poczuła się szczęśliwa i potrzebna. Jak wiele upłynęło czasu, odkąd ktoś potrzebował Emmaline Amandy Hatter do czegoś innego niż do złożenia podpisu na czeku?

- Uśmierzyłaś ból - rzekł Larence zdumionym głosem. Emma poczuła dumę. Impulsywnie uściśnęła jego palce, po czym spojrzała w górę. W jego oczach zobaczyła to samo zaskoczenie, które było obecne w jego głosie, i które ponownie napełniło ją dumą.

- Nikomu się to jeszcze nie udało. Nie sądziłem nawet, że jest to możliwe. Dzięki. Emma przełknęła ślinę.

- Nie ma za co.

- Chodź tutaj - powiedział cicho, wyciągając w jej stronę dłoń. - Usiądź przy mnie i popatrz na gwiazdy. Pokażę ci konstelacje.

Emma nie miała siły, by mu się sprzeciwić. Przysunęła się bliżej. Razem położyli się i wpatrzyli w rozgwieżdżone niebo.

Długo tak leżeli, patrząc na gwiazdy i rozmawiając niczym para najlepszych przyjaciół. Dyskutowali zarówno o sprawach mało w życiu istotnych, jak i o tych bardzo ważnych. O pustyni w nocy, o Ciboli, o ekonomii i krachu na giełdzie oraz o wszystkim, co im przyszło do głowy.

- Michael mówił mi, że sama zbiłaś swoją fortunę - rzekł wreszcie Larence. - Kiedy po raz pierwszy cię spotkałem, pomyślałem, że odziedziczyłaś pieniądze i że byłaś na tyle inteligentna, aby je wielokrotnie pomnożyć. Ale ty zaczynałaś z niczym. Jak to zrobiłaś?

Emma przymknęła w ciemności oczy, wracając pamięcią do dość już odległych czasów.

- Początek nie wróżył nic dobrego. Ukradłam maszynę do pisania. Ćwiczyłam na niej dniem i nocą, aż byłam w stanie pisać bez patrzenia na przyciski. Wtedy pewnego dnia wzięłam ją pod pachę i poszłam na Wall Street. Udałam się do największego domu maklerskiego i starałam się o spotkanie z prezesem. Oczywiście nikt nie traktował mnie poważnie, zresztą dlaczego mieli to robić? Szesnastoletni dzieciak w brudnej postrzępionej sukience. Ale ja rozsiadłam się na środku korytarza i nie zgadzałam się stamtąd ruszyć. Siedziałam tam przez sześć godzin, aż wreszcie nadszedł pan Lyndeman. Spojrzał na mnie i rzekł: „Dziewczyno, jeśli jesteś chociaż w połowie tak dobra w pisaniu na maszynie, jak w działaniu ludziom na nerwy, to masz u mnie pracę”. - Emma uśmiechnęła się na to wspomnienie. - Pracowałam tam przez dziesięć lat. Pan Lyndeman nauczył mnie wszystkiego, co sam umiał, i pozwolił mi grać na giełdzie. Na szczęście dla mnie okazałam się w tym dobra.

- Czy potrafiłabyś żyć bez pieniędzy?

Nawet przez ułamek sekundy nie wahała się nad odpowiedzią.

- Nie. Ale podczas tej wyprawy nauczyłam się kilku rzeczy. Nie zrobiłabym tego ponownie w ten sam

sposób. Tym razem chce bym zwolniła. Może starałabym się zdobyć kilkoro przyjaciół.

- Dotychczas ich nie miałaś? Nie. Byłam zbyt zajęta osiągnięciem tego, czego chciałam - i utrzymywaniem tego - aby kiedykolwiek obchodziło mnie spoufalanie się z kimkolwiek, kto nie mógł mi w żaden sposób pomóc. Nigdy nie miałam czasu ani ochoty na szukanie przyjaźni.

Ramię Larence'a otuliło ją i przyciągnęło jeszcze bliżej.

- Aż do teraz - rzekł.

- Tak - wyszeptała z uśmiechem. - Aż do teraz.

Ciemność zamykała się wokół Larence'a, otulała jego twarz niczym czarny aksamitny całun. Gęsta. Bez powietrza. Zwodniczo miękka. Wdzierała się do jego nosa, ust i płuc, dusiła go. Niewidzialne dłonie przytwierdzały jego ciało do ziemi. Oddech miał szybki i urywany.

Jęczał cicho przez sen i walczył. Zawsze walczył. Kolejny raz był małym chłopcem skulonym na twardym zimnym łóżku. Ból pulsował w jego stopie, promieniując na całą nogę. Piekące łyzy zbierały się w jego oczach.

*Babciu...*

Natychmiast się obudził i usiadł sztywno wyprostowany. Walcząc o oddech, odgarnął z oczu wilgotne od potu włosy i dziko rozejrzał się wokół siebie, starając się coś dojrzeć - cokolwiek.

Otoczała go nicość bombardująca jego umysł i karmiąca dziecięce lęki. Dezorientacja pozbawiła go jasności myślenia. Gdzie on jest? Gdzie?

W głowie nie zaświtała mu żadna odpowiedź. Równie dobrze mógł się znajdować w grobowcu, pogrzebany żywcem. Świat był czarną pułapką w środku pustkowie, bez księżyca, ogniska ani latami, które mogłyby dać choć odrobinę światła.

Gardło Larence'a zacisnęło się ze strachu. Poczul ogarniająca go panikę. Serce biło jak szalone, z głuchym odgłosem obijając się o zebra. Każdy oddech stawał się gorącą jak ogień masą powietrza.

Nagle z ciemności dobiegł jakiś dźwięk. Najpierw cichy, stopniowo stawał się coraz bardziej wyraźny. Wydawało mu się, że to odgłos wody spływającej delikatnie na ciepły piasek.

Oddychanie. To było oddychanie.

Emmaline!

Pamięć powróciła do jego przepełnionej strachem świadomości. Znajdował się w namiocie podczas wyprawy do Ciboli, a obok spała Emma. Nie był sam. Jedyne, co musiał zrobić, to wyciągnąć rękę i jej dotknąć.

Tym razem zrobi to. Będzie w stanie wygrać z koszmarami sennymi, być może nawet raz na zawsze.

Jego dłoń przesunęła się po szorstkim, nierównym materiale śpiwora, zbliżając się do jej pogrążonego we śnie ciała.

- Emma? - Larence wstrzymał oddech. Przepełniała go nadzieja. Proszę, obudź się...

- Larence? - Jej głos był słaby i dezorientowany, ale był to najśłodszy dźwięk, jaki kiedykolwiek słyszał. - Co się stało?

- Dotknij mnie. - Zamrugał, gdy z jego ust wymknęły się te słabe niemęskie słowa. Chciałby być w stanie je odwołać, śmiać się z nich, ale nie potrafił. Nie tym razem i być może nigdy. Jego potrzeba była tak silna, a strach taki prawdziwy...

Emma przez chwilę przekręcała się w śpiworze, po czym niespodziewanie Larence poczuł jej palce dotykające jego ramienia.

Gdy to zrobiła, strach zniknął - wślizgnął się z powrotem w ten sam czarny dół, z którego przybył. Przerazająca ciemność ustąpiła, stając się do zniesienia. Było więc tak, jak zawsze Przypuszczał: to samotność była pożywieniem dla strachu, stanowiąc zarazem jego początek. Po prostu samotność. Ale już nie był sam.

Dłoń Emmy opadła na jego klatkę piersiową. Larence przykrył ją swoją. Wreszcie ulotnił się ostatni ślad jego dziecięcego lęku. Ale jego miejsce zajęło zakłopotanie. Po uzewnętrznieniu swoich obaw poczuł się niezręcznie i słabo. Roześmiał się niepewnie.

- Pewnie myślisz...

- Ja nie myślę w środku nocy, Larence - powiedziała cicho Emma, splatając swoje palce z jego palcami i zaciskając je. - A teraz idź spać.

Zadziwiająco, ale zrobił to.

jego nosa dolatywał apetyczny aromat gotującej się kawy. Rozpiął śpiwór i usiadł.

Emmaline obudziła się pierwsza - i przygotowała śniadanie! Wygramolił się ze śpiwora i poczołgał w stronę wyjścia z namiotu, po czym wystawił na zewnątrz głowę. Emma, przykucnięta przy ognisku, wbiła właśnie widelec w smażący się na patelni plaster bekonu. W garnku obok gotowała się owsianka.

- Dzień dobry! - krzyknął w jej stronę. Emma zachwiała się i rzuciła mu przez ramię szybkie spojrzenie.

- Dzień dobry. Śniadanie już prawie gotowe.

Na te słowa żołądek Larence'a głośno zaburczał. Szybko uwinął śpiwór i wyczołgał się z namiotu, zapinając po drodze spodnie.

Gdy znalazł się na zewnątrz, spróbował powoli wstać. Na jego twarzy pojawił się grymas bólu, gdy jak każdego ranka ogień ogarnął jego kostkę i promieniował wyżej na całą nogę.

I jak zwykle szybko minął. Larence chwycił wiszącą na czubku namiotowego masztu koszulę, zaczął ją wkładać, po czym zdecydował, że na razie tego nie robi. Był taki wspaniały dzień - ciepły, ale jeszcze nie upalny. Poranny wietrzyk delikatnie słodził jego płaski brzuch.

Owinął koszulę wokół talii, a rękawy związał. Wyblakły pognieciony materiał zwisał aż do kolan, bezszelestnie poruszając się, gdy Larence szedł w kierunku ogniska.

Emmaline podniosła na niego wzrok. Jej spojrzenie zatrzymało się na krótką chwilę na jego klatce piersiowej, a na kobiecych policzkach wykwitł rumieniec. Mimo to nie odwróciła wzroku.

Zaskoczony Larence przyglądał się jej zaróżowionej twarzy i szyi. Nagle poczuł się boleśnie i jednocześnie radośnie świadomy własnej nagości.

Wreszcie powolny, pewny siebie uśmiech pojawił się na jego twarzy i zabłysł w oczach. Larence wcisnął dłoń do kieszeni i odchylił się na piętach do tyłu.

- Śniadanie prawie gotowe - powiedziała szorstko Emma i skierowała całą uwagę na bekon. - I włoż koszulę.

Tej nocy iskry fruwały nad ogniskiem niczym tańczące pomarańczowe muchy. Ciemność wypełniał monotony trzask palących się kawałków drewna. W powietrzu unosiła się wciąż wyraźnie wyczuwalna woń kawy wymieszana z aromatem żywicy, igieł i spalonego kurzu, tworząc specyficzny pustynny zapach.

Emma ułożyła na boku dzbanek do kawy i zamknęła drewniane pudło. Nigdy jeszcze nie czuła się tak całkowicie odprężona. Oparła się na łokciach i wyciągnęła przy ognisku z prawie kocią przyjemnością. Skierowała wzrok w górę. Na granatowym niebie migotały miliony gwiazd.

- Popatrz, Larence, tam jest duża kareta.

Jego łagodny śmiech był muzyką dla jej duszy. Ogarnęło ją zadowolenie, które ogrzało jej stopy i sprawiło, że śmiała się razem z Larence'em.

- Wielki Wóz - rzekł.

- Oj, nieważne - odpowiedziała, machając niefrasobliwa dłonią. Nie miało znaczenia to, że się pomyliła, lecz fakt, że wreszcie w ogóle zauważała gwiazdy. Od zeszłej nocy wprost rozsadała ją energia. Tak jakby uświadomienie sobie, że życie jest dobre, że ona jest dobra, w jakiś sposób odmłodziło jej duszę. Przez cały dzień poruszała się, wręcz tańcząc, i prawie bez przerwy się uśmiechała.

Przekręciła się na bok i popatrzyła na Larence'a. Siedział ze skrzyżowanymi nogami i pochylał się nad leżącym na jego kolanach blokiem rysunkowym. Do jej uszu dobiegał odgłos przesuwającego się po papierze ołówka. Zdziwiona, uświadomiła sobie, że pragnie, aby spojrzał na nią, podszedł i usiadł obok.

- Czy chciałbyś zagrać w pokera?

- Nie bardzo.

Po chwili zrobił coś osobliwego. Zmarszczył czoło. Ten grymas wyglądał na jego twarzy tak obco, że Emma poczuła się zaintrygowana. Wstała i spojrzała na niego z góry.

- Co rysujesz?

- Podejdź i zobacz.

Splotła z tyłu dłonie i okrążyła ognisko.

- Sama nie wiem, dlaczego mnie to w ogóle interesuje - rzekła, podchodząc do Larence'a. - Zdażyłam już zobaczyć wystarczająco dużo kaktusów i kwia... - Nagle wciągnęła powietrze.

Rysunek przedstawiał ją i był dopracowany w najmniejszym szczególe.

Niepewnie uklękła obok swego towarzysza i z cichym westchnieniem odwróciła się w jego stronę. Larence spoglądał na kartkę papieru, wciąż marszcząc czoło, podczas gdy jego ołówek biegle odtwarzał piękną aksamitną suknię, którą Emma miała założoną, gdy spotkali się po raz pierwszy.

- Och, Larence... - Tylko te słowa były w stanie wydostać się z jej ust. Rysunek, wspomnienie, które reprezentował, sprano, że poczuła gorąco w całym ciele.

Ołówek zatrzymał się i zawisł milimetr nad kartką papieru.

Ich oczy spotkały się. Każdy oddech muskający jej usta był dla Emmy niczym wyszeptana obietnica.

Uświadomiła sobie nagle, że gdyby pochyliła się do przodu, nie więcej niż dwa centymetry, to ich usta zetknęłyby się. Chłodny dreszcz przebiegł po jej plecach. Miała dziwne uczucie, że znajduje się bardzo blisko czegoś magicznego, czegoś, na co czekała przez całe życie...

- Podoba ci się? - zapytał cicho.

Zahipnotyzowało ją powolne zmysłowe poruszanie się jego ust i dopiero po chwili zdała sobie sprawę, że coś do niej powiedział.

Dwa razy - dwa! - wymówił jej imię, podczas gdy ona gapiła się jak idiotka na jego usta. Poczła się niezręcznie i głupio.

- M...masz całkiem dobrą pamięć - powiedziała, czując niechęć do swego dyszącego, niepewnego głosu.

Larence położył na wierzchu następną czystą kartkę.

- Do niektórych rzeczy. - Jego ołówki ponownie zaczęły szybko się poruszać. - Na przykład do tego...

Kilka pewnych ruchów ołówka i na kartce zaczęły pojawiać się drzwi. To były drzwi do jej mieszkania w Ósmej Alei, tuż pod pękniętym oknem.

Emma nie mogła w to uwierzyć.

- To było minimalne pęknięcie. Ledwie sama potrafiłam je dojrzeć, a przecież to przeze mnie pękły. Jak, na miłość boską, potrafisz zapamiętać takie szczegóły?

Larence uśmiechnął się.

- Wiele można zauważyć, gdy coś jest zatraskiwane przed twoim nosem.

Poczła, jak z policzków odpływa jej cała krew. Zacisnęła zawstydzona oczy.

- Ja... - Coś zaciskało się wokół jej szyi i uniemożliwiało swobodne mówienie. - Nie powinnam była tego zrobić.

Larence delikatnie unióś jej podbródek i zmusił, aby na niego spojrzała.

- Otwórz oczy.

Potrząsnęła głową.

- Otwórz oczy. Natychmiast.

Niechętnie zrobiła to i odkryła, że się jej przygląda. Oczywiście wybaczenie widoczne w jego oczach sprawiło, że odetchnęła ulgą.

- Odbierasz wszystko tak poważnie, Em. Odpręż się. Baw się życiem. Staraj się pamiętać o dobrych rzeczach, a o złych szybko zapominać. Pamiętasz, jak stałem na twoim dywanie? Szkoda, że nie widziałas wyrazu twojej twarzy...

Jego uśmiech był tak zaraźliwy, że Emma nie mogła się powstrzymać. Jej usta drgnęły.

- To był tylko stuletni dywan.

- A moje buty były po prostu ubłocone, mokre i niemodne.

- Biały stuletni dywan... - Wybuchnęła śmiechem.

Larence przyłączył się do niej, a odgłos ich radosnego śmiechu odbijał się echem od otaczających ich gór.

Potem zapanowała przyjazna cisza. Długo jeszcze siedzieli przy ognisku, rozmawiając i śmiejąc się.

Gdzieś koło północy, wkrótce po tym, jak księżyc skrył się za gęstą szarą chmurą, Larence objął Emmę i przyciągnął do siebie. Oparła się o silne, twarde ramię i opłótła ręką jego talię. Jej policzek spoczął wygodnie na bawełnianej koszuli.

Wydawało się to najbardziej naturalną rzeczą pod słońcem.

Następnego ranka jechali już od pół godziny, gdy Larence zauważył pierwszy wspaniały okaz przyrody. Emma wiedziała, że powinna jęknąć, kiedy usłyszała znajome: „Spójrz na ten doskonały bla bla bla”, ale jednak tego nie zrobiła. Tak naprawdę uśmiechnęła się nawet, gdy jej towarzysz podróży ruszył ochoczo w stronę jakiegoś kwiatka.

Kucając przy nim, pomachał w jej stronę.

- Chodź tutaj, Em. Popatrz na niego. Jest piękny.

Rzeczywiście roślina wyglądała całkiem ładnie. Może zejdzie choć ten jeden raz. Rozejrzała się tak, jakby się bała, że ktoś ją zobaczy, po czym zeskoczyła z grzbietu Tashee i niespiesznie podeszła do Larence'a.

- Co to jest? - spytała tak mało zainteresowanym tonem, jaki tylko była w stanie przybrać.

Nie było w nim wystarczająco mało zainteresowania. Larence spojrzał w górę zdziwiony bardziej, niż gdyby usłyszał wystrzał armatni. A ona doskonale wiedziała dlaczego. Od momentu opuszczenia Albuquerque setki razy prosił ją o przyłączenie się do niego i obejrzenie jakiejś głupiej rośliny czy zwierzęcia. Ani razu nie raczyła nawet odpowiedzieć, nie wspominając o spełnieniu jego prośby.

Przestąpiła z nogi na nogę, wciąż znajdując się pod jego zdziwionym i zarazem baczny spojrzeniem.

- Nie narysujesz wiele, patrząc na mnie. Na twarzy Larence'a pojawił się powolny, zdecydowanie

zmysłowy uśmiech. Emma z trudem się mu oparła.

- Masz rację - powiedział, wyciągając notes i kierując uwagę z powrotem na kwiat. - Usiądź sobie.

Uklękła przy nim. Jego ołówek tańczył niestrudzenie po kartce papieru niczym nastolatka na swoim pierwszym balu. Wpatrywała się jak urzeczona w jego silne, brązowe od słońca palce, zaciśnięte wokół srebrnej skuwki ołówka.

Poczuła gorąco. Po chwili z kolei chłód. Nieproszenie w jej głowie pojawiła się fantazja z tymi samymi palcami w roli głównej, przesuwanymi się po jej nagiej skórze z identyczną naukową precyzją i uwagą skupioną na szczegółach. Przez ciało Emmy przebiegł dreszcz. Poczuła, że na jej ramionach pojawia się gęsia skórka.

Przełknęła głośno ślinę i skupiła się na rysunku. Na papierze zaczął pojawiać się piękny, podobny do stokrotki kwiatek.

- Zaczekaj, to nie jest dobrze. - Słowa te wymknęły się z jej ust, zanim nawet pomyślała.

Ołówek zawisł w powietrzu. Larence odwrócił się, aby na nią spojrzeć. Ich twarze znajdowały się tak blisko, że Emma była w stanie dojrzeć maleńkie złote plamki połyskujące w jego zielonych oczach. Na policzkach czuła jego oddech, delikatna mieszanina proszku do mycia zębów i kawy. Jasne poranne światło złociło mu włosy, sprawiając, że miały kolor melasy. Kolejny raz pomyślała, że gdyby pochyliła się choć odrobinę do przodu...

- A co jest z tym nie tak?

Przełknęła ślinę i próbowała zmusić twarz i oczy do przybrania swego zwykłego wyrazu. Miała jednak okropne przeczucie, że nie bardzo jej to wyszło, gdyż kąciki ust Larence'a zadrżały w przelotnym uśmiechu.

- Środek powinien być ciemniejszy - powiedziała szybko. Zamrugła, słysząc zmysłowy ton swego głosu, zerwała się na równe nogi i odeszła. Jej buty miażdżyły dziesiątki wczesnowiosennych kwiatków, ale nie zwracała na to uwagi.

Kiedy już była bezpieczna przy boku Tashee, głęboko odetchnęła. Sięgnęła po bidon z wodą i zamarła, wpatrując się z przerażeniem w swoje palce.

Cała drżała. Drżała!

Uświadomienie sobie powodu takiego stanu było dla niej niczym grom z jasnego nieba.

Larence pociągał ją fizycznie. Larence...

Potrząsnęła głową w niedowierzaniu. Nie...

Niewiarygodne. Nie do pomyślenia.

Niezaprzeczalne.

I nie chodziło tu o to, że zbyt długo nie miała w łóżku mężczyzny. Taka odpowiedź byłaby zbyt prosta. W Nowym Jorku nawet mogłaby w to uwierzyć, ale tutaj, na tym pustkowiu, nie potrafiła okłamywać samej siebie.

- Masz rację, Em. Wtedy za bardzo przypominał stokrotkę.

Dopłynęły do niej jego słowa i nagle uderzyła ją cała ironia tej sytuacji. Wybuchnęła śmiechem.

Znajdowała się pośrodku całkowitego pustkowia bez żadnej przyzwoitki, za to z mężczyzną, który pociągał ją fizycznie. Wydawać się mogło, że jest to sytuacja idealna.

Z wyjątkiem tego, że ten mężczyzna był - całkiem prawdopodobnie - jedynym żyjącym prawiczkim.

Musiła przyznać, że los spletał jej niezłego figla.

Tej nocy Emma długo nie mogła zasnąć. Leżała wyciągnięta, wpatrując się w pochyły brezentowy dach namiotu, który w blasku księżyca w pełni miał barwę bladego połyskującego bursztynu.

Niewielką przestrzeń wypełniał regularny, cichy oddech Larence'a. Dźwięk ten powinien być dla niej uspokajający. Powinien. Ale nie był. Nie dzisiejszej nocy. Jego każdy oddech, najmniejszy nawet odgłos, który wydawał, przypominał Emmie o jego atrakcyjności.

Przebyła długą drogę od swojej okropnej inicjacji seksualnej. Nie pogardzała seksem i nie bała się go. Już dawno temu stał się lękiem możliwym do przezwyciężenia. I udało jej się z nim wygrać. Teraz seks stanowił zaledwie niewielką część jej życia. Był czymś, co robiła, gdy miała na to ochotę. To był miły sposób na spędzenie wieczoru. A jeżeli pozostawało jej potem uczucie frustracji i tęsknoty za czymś - nawet nie wiedziała za czym - to traktowała je po prostu także jako część swego życia.

Pragnęła Larence'a. Fakt ten wciąż ją zadziwiał, ale nie była jedną z tych osób, które okłamują siebie. Fakty były faktami. Pragnęła, aby Larence znalazł się w jej łóżku.

Dlaczego? Tak naprawdę nie miał jej nic do zaoferowania. Nie był w stanie dać jej wskazówek dotyczących giełdy, pomóc jej wyszukać tej jednej doskonałej inwestycji ani przedstawić „właściwym” ludziom.

Ale było w nim coś, co sprawiało, że wszystkie jej dotychczasowe kryteria dotyczące mężczyzn wydawały

się nieważne i niewłaściwe. Tysiącami małych gestów Larence'owi udało się doprowadzić do tego, że zaczęła zastanawiać się, czy może - tylko może - seks jest czymś więcej niż zwykłą przyjemnością.

Normalnie, oczywiście, nie miałyby żadnych problemów ze zwabieniem mężczyzny do łóżka. Ale w kontaktach z Larence'em nic nie było normalne.

Jednego była całkowicie pewna: on nie uczyni pierwszego kroku.

W jakiś sposób było to nawet podniecające. Stanowiło większe wyzwanie.

Ponieważ on nie zrobi pierwszego kroku, będzie to musiała uczynić ona.

Nie działało na niego nic.

Emma siedziała na niskiej skale. Wyprostowała się jeszcze bardziej, starając się zwrócić na siebie jego uwagę. Nic. Żadnej reakcji.

Larence siedział przy ognisku ze skrzyżowanymi nogami i czytał po kolei każdą stronę tego przeklętego dziennika tak, jakby zawarty był w nim sekret wiecznego życia. Co rusz mamrotał coś pod nosem, ale poza tym nie odezwał się do niej od kolacji ani słowem. Emma powstrzymała zirytowane westchnienie. Potrzebowała całej swojej koncentracji, aby utrzymać ponętny wyraz twarzy - szczególnie że od piętnastu minut nawet na nią nie spojrział.

Nie pozwoli, aby jego naukowa mania ją pobiła. Nikt nie był w stanie wyprowadzić Emmaline Amandy Hatter w pole, kiedy uparła się, że musi coś - lub kogoś - posiadać. A zdecydowanie zapragnęła Larence'a. I to jeszcze dzisiaj wieczoru.

Rozłożyła bladoniebieską spódnicę dookoła nóg i opuściła jedno ramię. *Camisa* zsunęła się, odkrywając kusząco kawałek piersi. Czekwała, aż mężczyzna przy ognisku to zauważy. Na próżno. Następnie spróbowała wydać niskie, zmysłowo brzmiące westchnienie.

Nic.

Zirytowana, powtórzyła całe to działanie. Tyle że tym razem podniosła i opuściła prawe ramię tak gwałtownie, że prawie straciła równowagę. Zamachała rękami i dla uniknięcia upadku chwyciła się rosnącego tuż obok małego drzewka.

Larence popatrzył na nią.

- Bądź ostrożna, Em. To już drugi raz, kiedy o mały włos nie spadłaś.

Emma posłała w jego stronę błady, ponury grymas imitujący śmiech. On z kolei uśmiechnął się do niej szeroko i natychmiast Powrócił do swojej lektury.

Skrzyżowała ręce na piersi i wściekała się cicho. On nawet nie zwrócił uwagi na zapraszający sposób, w jaki jej bluzka opadała z ramienia...

Niespodziewanie Larence spojrział na nią, a Emma tak się zdziwiła, że prawie spadła ze skały. Na szczęście pochylił się do przodu i w porę ją złapał.

- Lepiej zejdziesz na dół.

To było najlepsze, co mogło jej się przytrafić. Jej dekolt - to znaczy to, co z niego pozostało bez gorsetu - znajdował się na wprost jego twarzy.

- Z tobą? - zamruczała.

Wyglądał na zwyczajnie zmieszanego.

- Oczywiście.

Walcząc z ochotą przewrócenia oczami, Emma spróbowała jeszcze raz.

- Wyglądasz na... podeksycytowanego.

- Bo jestem.

Jej serce mocniej zabiło. Pochyliła się jeszcze bardziej w jego stronę.

- Naprawdę?

Przytaknął gorliwie.

- Jutro czeka nas Cibola. Czuję to w kościach.

- Cibola - powtórzyła drewnianym głosem i potrząsnęła głową z niedowierzaniem. Marnowała tylko czas, próbując uwieść Larence'a - nie miała co do tego wątpliwości. Tymczasowo poddała się, zsunęła ze skały i wylądowała obok niego w tumanie kurzu. Oparła podbródek na dłoniach i wydała niechętnie, zmęczone westchnienie.

- Zróbmy coś - powiedział nieoczekiwanie Larence. - Jest mi zbyt gorąco, aby pójść spać.

Gorąco? Emma natychmiast się wyprostowała. Może jej pomysł nie był wcale taki zły, może po prostu obrała złą taktykę. Być może uczciwość i szczerłość zadziałają lepiej niż subtelne insynuacje. Poza tym Bóg jeden wiedział, że subtelność i tak nigdy nie należała do jej najmocniejszych stron. Nie była też chyba cnotą Larence'a.

Właściwie tak sobie pomyślałam, że...

Zagrajmy w pokera, na którego zawsze tak mnie namawiałaś.

W pokera?

Z przytwierdzonej do siodła torby wyciągnął talię kart i zaczął je niezdarnie tasować.

Emmę przepełniła irytacja. Nie mogła być przecież tak mało pociągająca. Mężczyźni zawsze jej pożąдали. Co jest nie tak?

Odpowiedź nadeszła tak szybko jak pytanie: Larence. To z nim było coś nie tak. Nic związanego z jego osobą nie było proste, normalne ani takie, jak by się oczekiwało. Musiała być bardziej przebiegła, sprytniejsza. Musiała znaleźć jakiś niezawodny sposób na zwabienie go do łóżka. Może powinna spróbować go dotknąć?...

Karta uderzyła ją prosto między oczy.

- Oj, przepraszam - powiedział z chichotem. Emma popatrzyła na niego.

- Nie chcę grać w pokera - oświadczyła.

- Pozwolę ci wygrać.

Pozwoli jej wygrać? Czemu, do wszystkich...

Kolejna karta wylądowała na jej kolanach. Emma westchnęła ze zniecierpliwieniem i przewróciła oczami. Nikt, ale to nikt nie będzie wydawał Emmaline Hatter zezwoleń na cokolwiek.

Wyszarpnęła od niego karty i zaczęła tasować je z wprawą hazardzisty. Potem przykryła swoje gołe ramię i zaczęła rozdawanie.

W porządku, doktorku, zagrajmy w pokera.

Do czasu, kiedy zakończyli grę, Emma „wygrała” Diabła, Tashee, muła, namiot i praktycznie wszystko, co miało większą wartość. Była tak zadowolona z siebie, że całkowicie zapomniała o seksie z Larence’em.

Co jak co, ale wygrywać Emma potrafiła, i to od lat. Złożyła karty i odchyliła się, opierając leniwie plecy o pień średniej wielkości drzewa. Boże, czuła się tak dobrze. Była taka

Satysfakcjonowana.

- No to byłoby na tyle. Nie zostało już nic, o co moglibyśmy zagrać.

Larence powoli i w zamyśleniu pociągnął łyk świeżo zaparzonej kawy.

- A może o przygodę?

Emma rzuciła mu podejrzliwe spojrzenie.

- Co masz na myśli?

- Namiot - odpowiedział lekko, biorąc kolejny łyk. - Jeśli ty wygrasz, to śpimy w namiocie. Wygram ja, śpimy pod gwiazdami.

- To bez sensu, Larence. Nic nie wygrasz przez cały wieczór.

Uniósł jedną brew.

- Boisz się?

- Nie bądź niemądry. - Chwyciła karty i zaczęła je tasować. - Pięć kart?

- Stoi.

Palce Emmy zadrżały. Miękki, kuszący ton jego głosu sprawił, że na moment zamarła, a przez jej ciało przebiegł dreszcz oczekiwania. Spojrzała ostro na swego towarzysza!

Uśmiechał się do niej niewinnie niczym młodociany ministrant.

Nie, pomyślała, potrząsając głową. Niemożliwe, żeby się nią bawił. Nie Larence.

Wprawnie rozdała karty, po czym zerknęła na te, które jej przypadły. Para króli.

Od razu się odprężyła. Larence przez całą noc nie miał takich dobrych kart.

- Stawiam noc pod gwiazdami - rzekł Larence, przeciągając wyrazy.

Emma posłała mu pewny siebie uśmiech.

- Przyjmuję twój zakład i go podbijam. Przegrany robi śniadanie i zmywa.

- Przyjmuję ten zakład i go podbijam. Żadnej liny z włosów.

- Żadnej suszonej wołowiny na śniadanie - odparowała Emma.

- Licytuj.

- Licytuj sam. - Rozłożyła swoje karty. - Dwa króle.

Uśmiech Larence’a zbladł, natomiast ona się rozjaśniła. Odgłosy nocy zamarły, pozostawiając świat dziwnie cichy. Emma pochyliła się do przodu, wpatrując się bacznie w wydrukowane tłustym drukiem znaki na odwrotnej stronie jego kart.

Wreszcie położył je na ziemi. Trójka. Dama. Walet. Emma uśmiechnęła się oczekująco. Dwójka. Dziewiątka.

Dopiero po chwili zdała sobie sprawę, że wszystkie karty są kierami.

Jej uśmiech zamarł.

- Dobra gra, Em. - Larence powoli wstał i się przeciągnął. - Do diaska, ależ się cieszę, że przez całą noc będę czuć to świeże powietrze.

A po chwili mrugnął do niej. Mrugnął!

Emma siedziała jak skamieniała. Wpatrywała się w swego towarzysza, który szedł w kierunku bagaży. Do jej uszu doleciało ciche, wesołe pogwizdywanie.

Poczuła wobec Larence'a niechętny szacunek i uśmiechnęła się. A jednak się nią bawił. W końcu złowił ją na swój haczyk niczym umykającą ciągle rybę.

Kto by pomyślał, że jest do czegoś takiego zdolny?

Emma w roztargnieniu zebrała rozrzucone na ziemi karty i zanotowała w myślach, aby przestać go nie doceniać.

## 20

Larence przeciągnął się w śpiworze. Jego ciało otulała miękka ciepła wełna. Westchnął z zadowoleniem, gdy układał głowę na splecionych dłoniach, by popatrzeć na niekończące się nocne niebo.

Stanowiło ono atramentową pelerynę pokrytą tysiącami tysięcy mrugających białych gwiazd. Po raz nie wiadomo już który Larence leżał urzeczony bezkresem nieba w Nowym Meksyku i jego niesamowitym pięknem. Tuż przy nim drzewa cicho szeptały między sobą, szeleszcząc w nocnej ciszy. Poczul słodki, lekko waniliowy zapach szyszek pomieszany z cierpką, ostrą wonią spieczonej słońcem ziemi i trawy. Wciągnął głęboko to aromatyczne powietrze i zamknął usta. Przez ułamek sekundy, gdy gorące powietrze znajdowało się w jego płucach, Larence poczuł się tak, jakby w jego wnętrzu znalazł się cały Nowy Meksyk.

Niechętnie wypuścił powietrze i poczucie jedności ze wszechświatem zniknęło.

Powoli stał się ponownie świadomy obecności Emmy. Stała wyprostowana przy ognisku, a jej ciało otaczała aureola rozrzedzonego, tańczącego światła wysyłanego przez dogasające płomienie. Była odwrócona do niego plecami, a uwagi Larence a nie umknęło drzemające w nich napięcie.

- Emma?

Podskoczyła.

- T...tak?

- Nie idziesz do łóżka?

Nic nie odpowiedziała; stała jeszcze przez chwilę bez ruchu. Następnie uniosła podbródek i jeszcze bardziej wyprostowała ramiona. Larence miał niejasne wrażenie, że właśnie podjęła jakąś ważną decyzję. Po chwili powoli - nienaturalnie powoli - odwróciła się twarzą w jego stronę.

Nawet w nikłym świetle dostrzegał błądliwość jej skóry i niewielkie zmarszczki, które przecinały jej czoło. Emma sztywno podeszła do niego; jej splecione dłonie sygnalizowały zdenerwowanie, a oczy utkwione były w ziemi.

Z każdym jej krokiem Larence czuł, jak wzrasta jego zdezorientowanie. O co jej chodziło? Wyglądała na... zdenerwowaną. Może nawet onieśmiałoną.

Emma? Nieśmiała? Odrzucił od siebie taką ewentualność. W takim razie pozostało zdenerwowanie. Ale czym, na Boga, mogła się denerwować? To przecież on musiał ukrywać swoje prawdziwe myśli i uczucia. To on był zakochany bez wzajemności. Wyciągnął dłoń w jej kierunku.

- Co ci jest?

Emma nie odpowiedziała.

Zamachał ręką, aby zwrócić jej uwagę.

- Em?

Niechętnie podeszła do niego. Wyciągnęła dłoń, wciąż wpatrując się w ziemię. Ich palce zetknęły się. Przez chwilę Larence myślał, że odepchnie jego rękę, ale po chwili splótła swoje palce z jego palcami.

Poczuł, że Emma trzęsie się. Natychmiast pomyślał, że to pewnie z odrazy. *Żadna kobieta nie chciałaby cię dotknąć, Larry.*

*Nie z twoim... defektem.*

Skrzywił się, przypomniawszy sobie złośliwość słów babki, przynajmniej raz nie zasmuciły go one, nie otoczyły ciasno jego duszy swą palącą zjadliwością. Ta stara kobieta nie miała nad nim władzy. Emmaline masowała jego ułomną kostkę - i zrobiła to z uśmiechem, który nawet teraz miał moc ogrzania jego duszy.

Wymamrotała coś, co zabrzmiało jak: „Teraz albo nigdy, Em”. Potem puściła jego dłoń.

- Emma, co...

- Mam zamiar się rozebrać. Żołądek Larence'a fiknął koziołka.

- D... dobrze.

Nie odeszła ani się nie odwróciła. Stała wyprostowana, a kontury jej ciała wyraźnie odznaczały się w



nikłym świetle powoli dogasającego ognia. Wyciągnęła dłoń w stronę złotej tasiemki przy dekolcie. Pociągnęła za jej jeden koniec; kokarda bez najmniejszego problemu rozwiązała się. Dekolt bluzki natychmiast się obniżył, ukazując jasne półkule piersi.

Larence poczuł, że zaschło mu w gardle. Wiedział, że powinien odwrócić wzrok, ale nie był w stanie. Jego spojrzenie spoczywało na zacienionej dolinie pomiędzy piersiami Emmy. Na gładkich niczym jedwab zaokrągleniach mlecznobiałego ciała, znikających poniżej wycięcia bluzki.

Emma poruszyła jednym ramieniem i *camisa* zsunęła się aż do łokcia. Jej palce zwinnie przechodziły od jednego guzika do następnego, a z każdym ich ruchem ukazywało się coraz więcej nagiego ciała. Niespodziewanie bluzka opadła w dół, lądując na zielonym śpiworze.

Emma stała bez ruchu i wpatrywała się w swoje stopy. Jej nagie piersi podnosiły się i opadały w rytm szybkich, płytkich oddechów. Wydawało się, że przyciśnięte do boków dłonie walczą z przemożną ochotą zakrycia nagości.

Larence nie mógł oderwać od niej wzroku. Jego gardło było już całkowicie suche. Miał ochotę uszczypnąć się, by przekonać się, czy to wszystko dzieje się naprawdę, ale postanowił tego nie robić. Jeżeli to nie była rzeczywistość, to wołał tego nie wiedzieć.

Boże, jaka ona jest piękna...

Następnie przyszła kolej na spódnicę. Emma odpięła pasek, a niebieski muślin zrolował się u jej stóp. Teraz miała na sobie jedynie cienką białą halkę.

Kopnęła spódnicę i postąpiła krok w stronę Larence'a.

Jego oddech przyspieszył. Pewnie Emma nie zdawała sobie sprawy z tego, że tak uważnie jej się przygląda i że pochodzące z ogniska światło tak dobrze oświetla jej ciało.

Serce Larence'a biło w szalonym tempie. Musi natychmiast odwrócić wzrok. Natychmiast. Musi zmienić bieg wydarzeń. Jeżeli tego nie zrobi, jeżeli wciąż będzie przyglądał się jej ciału i pragnął go tak bardzo, że aż boli, robi z siebie głupca.

Nie może, po prostu nie może uczynić wobec niej żadnego ruchu. Bez względu na to, jak bardzo, jak desperacko pragnie dotknąć jej ciała, nie może. Ryzyko było zbyt duże, a hazard nigdy go nie pociągał. Jego tkwiące w śpiworze dłonie zacisnęły się w pięści. Lecz nawet wtedy palce drżały mu z pragnienia dotknięcia Emmy.

Ale nie pozwoliłby sobie na to. Nie mógłby.

Kiedy zastawiłaby go - a zrobiłaby to na pewno, nie miał co do tego wątpliwości - pozostałyby mu tylko wspomnienia. W jego głowie znajdowały się teraz obrazy wspaniałych, wypełnionych śmiechem dni na pustyni w Nowym Meksyku, które spędził z ukochaną kobietą. Miłe wspomnienia dla zrównoważenia tych wszystkich nieprzyjemnych. Nie mógł ryzykować ich utraty po tym, jak zostałyby spoliczkowane bądź też - co byłoby jeszcze gorsze - wyśmiane. Jedno parsknięcie, nieważne, jak szybko zatuszowane, zaprzepaściłoby na zawsze wizerunek Emmy w jego świadomości. A wtedy utraciłby i ją, i związane z nią piękne wspomnienia. Ryzyko było zbyt duże.

Larence przekręcił się na bok. Ziemia pod jego policzkiem była chłodna i sucha. Noc wydawała się nienaturalnie cicha: żadnego wiatru poruszającego liśćmi ani wycia zwierząt w oddali. Starał się uspokoić oddech.

Serce biło mu tak głośno, że dopiero po chwili zorientował się, że Emma wypowiedziała jego imię.

- Larence?

Drgnął. Do diabła!

- Larence?

Ostrożnie przekręcił się na plecy i oparł na łokciach. Starał się, aby jego twarz miała normalny wyraz, lecz wystarczyło jedno spojrzenie na nią, a puls gwałtownie mu przyspieszył.

Emma stała w odległości nie większej niż półtora metra, odziana jedynie w cieniutką halkę. Światło padające od strony ogniska i przejrzystość tkaniny sprawiały, że doskonale było widać zarys jej kształtnych nóg. Dokoła jej twarzy i ramion łagodnie powiewały złote pasma włosów. Jej piersi wydawały się miękkie, blade i delikatne.

Larence przełknął ślinę, starając się pomyśleć o czymś, co odwróciłoby jego myśli od tej bolesnej potrzeby ogarniającej całe jego ciało.

- M...może chciałabyś jeszcze raz posłuchać opowieści o Ciboli?

Potrząsnęła głową. Uśmiech pojawił się na chwilę w kącikach jej ust.

- Nie, Larence. Chcę ciebie.

Jej miękki, uwodzicielski głos pozbawił go resztek silnej woli. Zadrżał w odpowiedzi. Bezwiednie odepchnął ciężki śpiwór i niezręcznie wstał.

Przy pierwszym kroku wykręcił sobie nogę w kostce. Momentalnie poczuł ból w całym ciele. Potknął się i

zachwiał. Krzywiąc się, z trudem odzyskał równowagę. Ale nie był w stanie podnieść głowy, aby zobaczyć odrazę w oczach Emmy...

- Wszystko w porządku, Larence. Nie masz się czego bać. Uniósł podbródek i napotkał jej spojrzenie. To, co zobaczył, sprawiło, że straciły znaczenie te wszystkie trudne lata. Jego dusza była obnażona i gotowa do uwierzenia w to, co ofiarowywała mu Emma.

Ujrzał w jej oczach pożądanie. Prawdziwe pożądanie. Do niego. Bojąc się w to uwierzyć, ale jednocześnie bojąc się nie uwierzyć, chwycił jej wyciągnięte dłonie. Stał tak przez chwilę, dotykając jej i zarazem nie dotykając, pragnąc być bliżej, ale i bojąc się tego.

Jej dłonie się uniosły, by otoczyć jego szyję. Larence poczuł, jak przyciąga jego głowę w swoją stronę, jak wspina się na palce, aby się z nim zrównać.

Przesunął nieśmiało dłońmi po jej plecach. Jej ciało było ciepłe i jedwabście gładkie. Zadrzała i przysunęła się bliżej. Słyszał jej przyspieszony oddech i poczuł na policzkach jego delikatny powiew.

Przyłgnęła ustami jego warg. Początkowo delikatnie niczym muśnięcie skrzydłami motyla, a po chwili mocniej i pewniej.

Larence zamknął oczy, delektując się dotykiem jej ust. Byli w miejscu, gdzie oprócz ich dwojga nie było nikogo i niczego.

Język Emmy prześlizgnął się przez uchylone usta Larence'a i złączył z jego językiem. W tym momencie przez jego ciało przebiegł silny dreszcz. Z gardła wydobył się chrapliwy, zniekształcony jęk.

Jak właściwie powinien się zachować? Myśl ta przeraziła go i przypomniała z wielką ostrością, że w przeciwieństwie do Emmy on jest zupełnie niedoświadczony.

Niezdarny dureń. Głupiec. Zrób to właściwie. Te przesładujące słowa pojawiły się w jego myślach. Pragnął zrobić to właściwie. Bardziej niż cokolwiek innego na tym świecie. Sprawić, aby ona poczuła się tak samo wspaniale jak on. Ale jak? - zastanawiał się desperacko. Jak może stawać w zawody z tymi wszystkimi doświadczonymi, światowymi mężczyznami, których Emma niewątpliwie знаła wcześniej?

Ogarnęły go wątpliwości, które sprawiły, że poczuł się bezyteczny, słaby i bezradny. Powoli oderwał usta od jej warg.

Emma nie odwróciła wzroku. Wpatrywały się w niego niebieskie zdziwione oczy. Delikatny nocny wiatr rozwiewał włosy wokół jej twarzy. Larence'a poczuł zapach mieszaniny kurzu, nagrzanego słońcem bawełny i czegoś jeszcze, czegoś należącego wyłącznie do niej.

Sądził, że zacznie na niego krzyczeć, że zwymyśla go za niezdarność i brak doświadczenia. Ale ona nie wypowiedziała śni jednego słowa. Po prostu stała bez ruchu, ze wzrokiem utkwionym w jego twarzy.

Przepętniła go przyprowadzająca o zawroty głowy nadzieja. Może - tylko może - ona też to czuła. To niesamowite poczucie Zlizania się do długo szukanego domu.

Przesunął palcami po jej ciepłej szyi. Emma zadrzała pod jego dotykiem i zamknęła oczy, pochylając się w jego kierunku.

- Em... - Wiatr porwał to słowo, a Larence nie wiedział, co jeszcze mógłby rzec.

Emma otworzyła oczy i położyła drżący palec na jego ustach.

- Nic nie mów. - Wspięła się na palce i pocałowała go.

Tym razem był to „prawdziwy” pocałunek. Nie krótki wyraz nadziei i pożądania, lecz prawdziwy, szczery i podnoszący temperaturę całego ciała.

Przyłgnęła do Larence'a. Jego kolana lekko się ugięły, ale wyprostował się, ignorując rwący ból w kostce. Ramiona Emmy zacisnęły się mocniej wokół jego szyi, a jej dotyk sprawił, że ból stopniowo ustąpił. A kiedy to się stało, poczuł się dziwnie spokojnie.

Jej gotowość i dobre chęci dodały mu pewności siebie, a ta zapewniła z kolei więcej śmiałości. Jego ręce błądziły swobodnie w górę i w dół jej nagiego ciała. Z ust Emmy wyrwało się ciche westchnienie.

Język Larence'a drażnił jej usta, nakłaniając do rozchylenia się. Zareagowała ochoczo, a on wsunął do środka język. Smakowała niczym rozpuszczony miód i polne kwiatki, jak wszystkie te rzeczy, których pragnął, a nigdy nie udało mu się ich zdobyć. Aż do tej chwili nawet nie śmiał marzyć, że je kiedyś posiadzie.

Nagle trzymanie jej w ramionach wydało mu się niewystarczające. Pragnął poczuć każdy centymetr jej ciała. Jego dłonie zsunęły się na pomarszczony materiał halki i objęły pośladki Emmy. Kiedy zetknęli się, jego ciało ogarnęła gorączka i potrzeba silniejsza, niż wszystkie, których dotąd doświadczał.

Instynkty wzięły górę. Larence zaczął się powoli, delikatnie poruszać. Jego biodra napierały i ocierały się o nią. Emma natychmiast dopasowała się do jego ruchów, aż obydwójce zapragnęli więcej.

Wtedy nagle się od niego oderwała.

Larence poczuł lodowate ukłucie strachu. Zacisnął mocno powieki, starając się uspokoić przyspieszony oddech. Było już po wszystkim. Teraz go uderzy. Albo wyśmiej go, albo...

- Połóżmy się.

Otworzył oczy. Uśmiechnęła się do niego niczym zbyt gorliwa uczennica i zdjęła halkę.

- Chodź - powiedziała, biorąc go za rękę i pociągając za sobą w stronę śpiworów. Ruszył za nią niepewnym krokiem.

Emma wyciągnęła śpiwory i ułożyła je jeden przy drugim, po czym odwróciła się i uklękła na ich środku.

- Usiądź - rzekła, klepiąc miejsce obok siebie.

Larence nie był w stanie się poruszyć. Potrzebował chwili, aby podelektować się jej widokiem w tym właśnie momencie. Zapamiętać każdy szczegół tak, że później, kiedy będzie samotny i opuszczony, będzie mógł odświeżyć te wspomnienia tak jak ulubione fotografie i wpatrywać się w nie. I przypominać sobie...

Boże, była taka piękna. Gdy tak siedziała na ciemnym zielonym materiale, a złociste długie włosy spływały na jej kremowe ciało, wyglądała niczym zesłany na ziemię anioł.

A teraz - a przynajmniej dzisiejszej nocy - należała do niego. Nie wiedział dlaczego i nie obchodziło go to. Wiedział jedynie, że Bóg zesłał mu dar, a on miał zamiar go przyjąć. Nawet jeżeli jutro odbierze mu go szatan.

Uniósł dłoń i delikatnie, pełen nadziei dotknął policzka Emmy.

- Chodź bliżej - wyszeptał. Zrobiła to.

Otoczył ręką jej szyję i przyciągnął do siebie. Ich spojrzenia się spotkały. Teraz nadszedł czas na powiedzenie prawdy. Okropnej, upokarzającej prawdy. Przełknął głośno ślinę, czując, że gorąco wypelza na jego policzki. Mimo że chciał tego, nie odwrócił się, nie wybrał rozwiązania godnego tchórza.

- Wiesz, że ja nigdy...

Emma pocałowała go, a ten krótki pocałunek powiedział mu wszystko, co pragnął wiedzieć. Wiedziała, że jest prawiczką, nie przeszkadzało jej to.

- A wiesz, że ja tak?

Larence ujął jej twarz i delikatnie uniósł. Jego duszę zalała i bolesna, bezgraniczna czułość.

Emmaline Amanda Hatter, kochająca go bądź też nie, jest kobietą, którą on będzie kochał do końca swoich dni. Był o tym przekonany bardziej niż o czymkolwiek innym w swoim życiu.

Tym razem to Larence pocałował Emmę z pewnością siebie taką, jakby całował wcześniej tysiące kobiet. Jego usta przywarły do jej warg i poruszały się powoli, zmysłowo.

Wolną ręką otoczył jej ramię, ścisnął je, po czym przesunął ją niżej. Z ust Emmy wydobył się jęk i przysunęła się bliżej, walcząc pospiesznie z guzikami jego koszuli.

Koszula opadła, zanim zdążył to zauważyć. Emma odrzuciła ją na bok i zabrała się za spodnie.

Larence poczuł, jak jej palce przesuwają się szybko i zwinnie od jednego guzika do następnego, i na chwilę zabrakło mu powietrza. Przesunął palcem po wrażliwej skórze na wewnętrznej stronie jej ramienia. Emma zadrżała, a jej palce zaczęły się poruszać jeszcze szybciej.

Jego palec kontynuował swoją wędrówkę, aż dotarł do pachy, a następnie przesunął się w stronę piersi. Szorstkim opuszką musnął brodawkę, która natychmiast stwardniała.

Emma oderwała usta od jego warg i odrzuciła głowę do tyłu. Jej plecy wygięły się, a piersi wyprężyły w stronę Larence'a. Zrobił jedyną rzecz, która miała w tej chwili dla niego sens: ujął obie piersi w dłonie i językiem dotknął ich stwardniałych czubków.

- Och, Larence... Zdejmij spodnie.

- Już? Myślałem...

Chwyliła go mocno za pasek i przyciągnęła do siebie. Poczuł na twarzy jej szybki, gorący oddech.

- Zdejmij spodnie. Natychmiast.

Wstał i je ściągnął. Odrzucił je Bóg jeden wie gdzie, opadł z powrotem na śpiwory i wziął ją w ramiona.

Emma usiadła na nim i ponownie pocałowała. Larence poczuł, jak jej nagie piersi przyciskają się do jego klatki piersiowej. Jej długie włosy opadały wokół jego twarzy, zasłaniając zamglone światło księżyca. Zaczął gładzić jej gładkie plecy. Nagie ciało przywarło do drugiego nagiego ciała, a biodra Emmy zaczęły się poruszać w wolnym, zmysłowym tempie.

Pożądanie eksplodowało w ciele Larence'a. Czysta, rozgrzewająca do czerwoności namiętność. Nigdy wcześniej czegoś takiego nie doświadczył.

W jednej chwili znalazł się na niej. Emma wpatrywała się w niego ciemnymi z pożądania oczami. Widział, jak jej usta nabrzmiały od pocałunków, widział ślady, jakie na jej podbródku zostawił jego jednodniowy zarost.

Kocham cię. Wyobraził sobie, jak wypowiada te słowa, pragnął to uczynić.

- Em, ja...

Ścisnęła jego pośladki i zacisnęła kolana wokół talii Larence'a.

- Teraz - wyszeptwała chrapliwie. - Teraz.

Głośno jęknął i ukrył głowę na jej ramieniu. Objął ją mocno, przyciągnął i wszedł w nią. Emma jęknęła. Larence tymczasem wykonywał coraz silniejsze ruchy. Przyłgnęła do niego, dopasowując ciało do ciała tak, aż pot pojawił się na jego plecach i w rowku pomiędzy jej piersiami. Poruszali się coraz szybciej i szybciej. Ich oddechy stały się urywane i płytkie. Nagle przez Larence'a przebiegł dreszcz, który sprawił, że cały się naprężył. Emma chwyciła go za ramię i wydało mu się, że słyszy jej szept: „Jeszcze nie”, ale było już za późno. Ekspłodowała w nim niemożliwa do opisania rozkosz. Wydawało mu się, że lewituje nad ziemią. Powoli opadł z powrotem na ziemię. Emma wpatrywała się w niego, a jej spojrzenie było na wpół zamroczone, a na wpół sfrustrowane. W kącikach jej ust zadrżał nikły uśmiech. Larence pocałował ją i wtedy uśmiechnęła się szerzej. Przekręcił się na plecy, wsunął jedną rękę pod jej szyję i mocno przytulił. Emma skuliła się obok niego, przerzucając niedbale nogę przez jego udo. Ta niewymuszona zażyłość sprawiła, że to ustach Larence'a pojawił się uśmiech.

- To było wspaniałe - powiedział, ściskając lekko jej ramię. - Naprawdę wspaniałe.

Czekał na jej odpowiedź. Nie doczekał się, więc uniósł się na łokciach i popatrzył na nią pytająco.

- Em? Czy nie masz zamiaru nic powiedzieć?

Jej usta drgnęły.

- To było... błyskawiczne.

Larence zmarszczył czoło.

- Czy nie powinno być właśnie tak?
- Tak... - odpowiedziała Emma, ale w ten sposób, że Larence zaczął się zastanawiać.

Przygryzł w zamyśleniu dolną wargę, po czym rzekł:

- Czy masz może jakieś... sugestie co do udoskonalenia?
- No cóż... - Spojrzała na niego zmrużonymi oczami. - Następnym razem mógłbyś się postarać, aby trwało to nieco dłużej.

*Następnym razem!* Larence przytulił ją jeszcze mocniej do swego boku i obrócił się na plecy. Uśmiechnął się w ciemności niczym kot z Cheshire. To znaczy, że będzie następny raz.

Długo po tym, jak Emma zasnęła, Larence leżał rozbudzony i wpatrywał się w gwiazdny kobierzec nad głową.

*Trwało dłużej.* Te słowa kołatały się w jego głowie, przypominając mu o *Kamasutrze* i o innych książkach pochodzących ze Wschodu, które czytał, a tematem których był seks i erotyka.

Tak, pomyślał ze świeżo odkrytą pewnością siebie. Potrafi sprawić, że będzie to trwało dłużej, jeżeli właśnie tego potrzebuje Emma.

Dużo dłużej.

## 21

Gdzieś z daleka dobiegał wysoki, skrzeczący dźwięk, jaki wydaje jastrząb. Emma budziła się powoli i leniwie. Ziewnęła i przeciągnęła się niczym zadowolony kot. Nie mogła sobie przypomnieć, kiedy po raz ostatni czuła się tak dobrze zaraz po przebudzeniu.

Każdy jej mięsień był obolały... i radośnie żywotny. Przekręciła się na bok i przytuliła do nagiego ciała Larence'a. Otoczyła go ręką w pasie i oparła policzek na klatce piersiowej.

Była zdumiona tym, jak bardzo czuła się odprężona. Zawsze zastanawiała się, jak by to było obudzić się u boku kochanka. Gdy jednak rozważała, czy pozwolić Eugene spędzić u niej noc - a i samo rozważanie pojawiało się w jej świadomości niezwykle rzadko - jej żołądek kurczył się tak boleśnie, że praktycznie wyrzucała biednego mężczyznę za drzwi. A teraz leżała skulona niczym żona przy boku męża i na dodatek szalenie jej się to Podobało.

Łączyła ją z Larence'em zażyłość, której nie doświadczyła nigdy wcześniej. Wyzwalała ją ona, sprawiała, że czuła się wolna i pełna nadziei. Było też coś jeszcze, coś bardziej cennego i kruchego, co powoli wkradało się do świadomości Emmy: zaufanie.

Ze zdumieniem zdała sobie sprawę, że instynktownie mu ufa.

Był pierwszą osobą, przy której mogła być sobą. Agresywną, zaciekłą, zgorzkniałą lub też cichą i zadowoloną - po prostu sobą. Gdy to sobie uświadomiła, ogarnął ją niezwykle spokojny. Bez słowa jeszcze mocniej przytuliła się do Larence'a.

Poczuła na skórze pierwsze promienie słońca. Pustynia dookoła połyskiwała i zaczynała budzić się do życia. Poranne powietrze pachniało świeżością, słońcem i... namiętnością. Słodką, przenikającą wszystko

namiętnością.

Emma uśmiechnęła się leniwie. Seks, który połączył ich w nocy, nie był taki jak zawsze. Nigdy nie czuła się taka bezwolna i nie poddała się uczuciom w taki sposób.

Możliwe, że to rola nauczycielki podekscytowała ją tak bardzo. Z roztargnieniem przesuwając palcem po ciemnym owłosieniu na piersi Larence'a. Nigdy wcześniej nie kochała się z prawiczkim. Mimo całego swojego doświadczenia niespodzianką było odkrycie, jak wielkim afrodyzjakiem może być brak doświadczenia u partnera.

Po raz pierwszy seks był czymś więcej niż tylko przyjemnością.

Jej uśmiech stał się szerszy.

Larence przywiódł ją blisko - bliżej niż ktokolwiek przed nim - do tego nieuchwytnego czegoś, co w seksie zawsze było dla niej niedostępne. Przez jedną krótką, zapierającą dech w piersiach minutę myślała nawet, że to osiągnie. Niestety, wyszedł z niej - tak jak wszyscy - podczas gdy jej ciało drżało z potrzeby uwolnienia uwięzionego w nim napięcia.

Mimo to wiedziała, że zapagnie go znowu. I znowu.

- Dzień dobry, Em. - Larence uniósł się na jednym łokciu i popatrzył na nią z góry. Emma opadła z powrotem na śpiwór. W bladym porannym świetle jego oczy były koloru liści. Niesforny kasztanowy lok opadł mu na jedno oko. Posłał jej leniwy, pełen uczucia uśmiech i odgarnął włosy z twarzy.

Serce Emmy ścisnęło się.

Larence pochylił się i pocałował ją. Był to długi, powolny, wilgotny pocałunek, czuły, a jednocześnie namiętny

- Jak spałeś? - zapytała cicho, odgarniając włosy z jego oczu. Uśmiechnął się.

- Jak nigdy. A ty?

- Ja też.

Otoczył ją ramieniem i przytulił. Wspólnie przypatrywali się różowo- niebieskiemu niebu. Świt czołgał się po rzadko rosnącej trawie i złocił skały wznoszące się niedaleko ich obozowiska. Jak zwykle nad ich głowami jastrzęb zataczał wysokie koła.

- Dzisiaj jest wielki dzień - rzekł Larence, a Emma wiedziała dokładnie, o co mu chodzi.

- Opowiedz mi o tym jeszcze raz - wyszeptała, pragnąc, aby te spędzane wspólnie chwile nigdy się nie skończyły.

Przytulił ją i zaczął opowiadać legendę o Estebanie i Frayu Marcosie i o magicznym zaginionym mieście. Po raz kolejny Emmę zaskoczył ogrom jego wizji. Jego zdolność do marzeń dziwiła ją i jednocześnie sprawiała, że czuła się gorsza.

Odkąd sięgała pamięcią, zawsze odrzucała marzenia, uważając je za zwyczajne marnowanie czasu. Ale nigdy nie zastanawiała się nad ceną, jaką jej dusza płaci za taką postawę.

Teraz, w ramionach Larence'a, koszty te wyraźnie do niej dotarły. Ciepło, śmiech, nadzieja - to wszystko były błahostki, które tak lekceważyła. Boże, tak wiele ją ominęło. Całe jej dorosłe życie opierało się na pieniądzach. Tylko ich potrzebowała. I, niestety, wiedziała, że wciąż nie potrafi się bez nich obyć.

Marzenia Larence'a ponownie przypomniały Emmie o niespełnionych pragnieniach jej ojca. Zesztywniała, oczekując, że za chwilę ogarnie ją znajome poczucie żalu. Ku jej zdziwieniu tak się nie stało. Jedyne, co czuła, to bolesne, prawie przytłaczające uczucie straty.

Coś ją dręczyło na dnie duszy, coś ulotnego, ale mimo to ważnego. Starła się to zrozumieć, odgadnąć, co tak nękają od lat. Wiedziała, że Larence stanowi do tego klucz. Próbowwała odgadnąć, w jakim sensie, ale bez powodzenia. Przysunęła się bliżej do swego towarzysza i zapytała:

- Co sprawiło, że w ogóle zacząłeś szukać Ciboli?

- Początkiem było zwykłe marzenie. Byłem wtedy bardzo młody i potwornie cierpiałem. Dzięki temu marzeniu zachciało mu się żyć.

Po raz kolejny opisał miasto i legendę związaną z jego zniknięciem. Ale Emma już go nie słuchała. Myślała. Odpowiedź na jej pytania wślizgnęła się niepostrzeżenie do świadomości.

Czy to właśnie marzenia utrzymywały jej ojca przy życiu w ciągu długich, zimnych lat ich ubóstwa? Zawsze żył w świecie marzeń i powtarzał, że jutro będzie inaczej. Lepiej.

Co by się stało, jeśli nie byłby w stanie wierzyć w swoje marzenia albo nie potrafił w ogóle marzyć? Czy życie byłoby tak okropne, tak ciemne i nie do zniesienia, że popełniłby samobójstwo wiele lat wcześniej?

Zagryzła dolną wargę.

Jeżeli tak, to nie przez marzenia odebrał sobie życie, lecz przez to, że je stracił. Być może kiedy umarła matka, zabrała ze sobą ostatnie marzenie męża, a on nie miał siły, by żyć bez jej światła.

Emma poczuła, jakby zdjęto z jej ramion ogromny ciężar.

Larence tymczasem ciągnął swój monolog:

- ...krzyż był wielki, tak duży jak niosący go mężczyzna, a pomalowany był na najżywszy, najjaśniejszy odcień bieli...

Zamknęła oczy; słowa opowieści spływały po niej niczym wiosenny deszcz. Historia ta owijała się wokół niej, kradnąc duszę i myśli. Po raz pierwszy w życiu Emma nie zabroniła sobie marzyć. Przez jej głowę przepływały obrazy ukazujące piękne ukryte miasto, które stanowiły pożywienie dla wyobraźni. Złoto. Widziała tysiące mieniących się złotych monet. Wystarczająco dużo, aby mogły zabezpieczyć ją do końca życia.

Zaczęła szybciej oddychać; serce waliło w szaleńczym tempie. Marzyła. I to nie tylko o własnej przyszłości, ale i o przyszłości Larence'a.

Uśmiechnęła się. Nie pamiętała, by kiedykolwiek pragnęła czegoś dla innego człowieka. Delikatnie pocałowała ramię swego towarzysza.

Po raz drugi, odkąd poznała Larence'a, widziała nadzieję na przyszłość.

Larence przyglądał się, jak Emma szczotkuje włosy. Spowijało ją żółtawo-różowe światło budzącego się słońca. W jego blasku jej włosy wydawały się dzikim gąszczem złota i srebra. Szczotka przesuwiała się powoli po poplątanej masie. Z każdym jej ruchem czuł, jak coś go ściska w klatce piersiowej.

Boże, była taka piękna. Zdawał sobie sprawę, że widok kobiety szczotkującej włosy, oświetlonej przez budzące się do życia słońce, może i jest banalny. Ale to, co było banałem dla innych mężczyzn, dla niego stanowiło nowość. Nawet teraz, po nocy spędzonej w jej gorącym uścisku, nie mógł uwierzyć w swoje szczęście.

Gdyby tylko zdołał jej powiedzieć, jak bardzo ją kocha. Pragnął wypowiedzieć te słowa, i to od chwili, kiedy po raz pierwszy go pocałowała. Ale nie był głupi - Emma z pewnością nie chciałaby słyszeć o jego uczuciach. A to, że ich nie odwzajemnia, było pewne jak w banku. Cóż, mogła go pocałować, zaprosić do łóżka; dla niej nie było to nic trudnego ani niezwykłego. Jedyne miejsce, które chroniła, miejsce, do którego zawsze broniła mu dostępu, to serce. A właśnie tam najbardziej chciał się dostać.

Gdy pomyślał o tych wszystkich kobietach, w których mógł się zakochać, na jego ustach pojawił się nikły, drżący uśmiech. O tych, które już dawno porzuciły marzenia o miłości i ochoczo zaprosiłyby do swego życia naukowca ze złamanym sercem.

Westchnął, czując się nagle stary i zagubiony. Pasowałby do takiej właśnie kobiety.

Dotarła do niego ironia sytuacji, w której się znalazł, i prawie wbrew sobie znów się uśmiechnął. Powinien był się zakochać w bezdomnym strzyżyku, a tymczasem wybrał białego łabędzia. Był prawie pewien, że słowa babki się sprawdzą.

On - samotny, niedoświadczony, utykający na nogę - zakochał się po uszy w pewnej sobie, niezależnej, pięknej kobiecie, która miała twarz madonny, umysł potentata giełdowego i ciało godne najdroższej kurtyzany. Mogła mieć każdego mężczyznę, jakiego tylko zapragnęła - i z pewnością miała.

Larence ponownie westchnął, marząc, by choć przez ułamek sekundy wszystko wyglądało inaczej. Żeby był typem pewnego siebie, światowego mężczyzny, który doskonale wie, jak postępować z kobietami takimi jak Emma. Żeby był dla niej jak kąpiel w szampanie, a nie nudna kałuża po deszczu.

Jego nadzieje przysły. Nie był takim mężczyzną. Nie był i nie będzie. Właściwie to nawet nie chciał nim być.

Postanowił cieszyć się chwilą. Obojętnie, czy będzie to jedna noc z Emma, czy kilkanaście. To nie miało znaczenia. Otrzymał od losu cudowny, rzadki dar. I miał zamiar wykorzystać go na tyle, na ile to będzie możliwe.

Spójrz, Larence! Kolejna czarno-pomarańczowa stokrotka. Tym razem większa.

Uśmiechnął się do swej towarzyszki.

- Czarnooka Susan.

Zatrzymali się, zsunęli z grzbietów zwierząt i podeszli do kępki dziko rosnących kwiatów. Gdy usiedli obok siebie na wielkim płaskim kamieniu, Larence wyciągnął notes i zaczął szkicować.

- Nie, nie tak - odezwała się Emma. Odwrócił się do niej, starając się powstrzymać pchający się na usta szeroki uśmiech.

- Naprawdę?

Zerknęła na notes, po czym popatrzyła na Larence'a. W jej oczach widniała zaskakująca nieśmiałość.

- Mogę spróbować?

Bez słowa podał jej ołówek i notes. Emma pracowała w ślimaczym tempie, dbając o każdy szczegół. Larence przesunął dłoń po jej rozgrzanym ramieniu, rozkoszując się delikatnością skóry, a jeszcze bardziej swoim prawem do dotyknięcia tej kobiety.

Po chwili rozejrzał się z roztargnieniem. Krajobraz znów się zmienił i po raz kolejny, od kiedy opuścili Malpais, znaleźli się na obcym, nowym terenie. Tylko niektóre elementy pejzażu i zapachy były znajome. Zielona trawa, kolorowe dzikie kwiaty i drzewa. I wzniesienia, które przecinały równinę niczym wyrastające z ziemi skały w kolorze gałki muszkatolowej.

Cibola znajdowała się tuż-tuż i świadomość tego wyraźnie ekscytowała Larence'a. Jego myśli pomknęły leniwie do obrazów, które krzepiły go przez całe życie. Złote ulice, srebrne drzwi, turkusowe okiennice.

Wkrótce ujrzą wejście do kanionu.

Emma trąciła go łokciem w bok.

- Larence, mówię do ciebie.

- Co? Ach tak. Co powiedziałaś?

Pokazała mu rysunek.

- Co o tym sądzisz?

Uśmiechnął się, patrząc na jej błyszczące dumą oczy. Wreszcie zaczęła dostrzegać otaczający ją świat.

- Jest doskonały. - Złożył na jej ustach długi, niespieszny pocałunek. - Po prostu doskonały.

Koło wieczora nadzieja Emmy na przyszłość zachwiała się. - Nie wiem - powiedział Larence spiętym, pełnym napięcia głosem, który ledwie rozpoznawała. - To powinno być tutaj.

Poczuła nasilający się ból głowy. Przycisnęła dwa palce do pulsujących skroni i rozejrzała się bezmyślnie. Znajdowali się w kanionie - właściwym kanionie, jeśli ten przeklęty dziennik był cokolwiek wart. Otaczały ich złoto-czerwone skalne wzniesienia, które wyglądały niczym pradawni surowi strażnicy. Drzewa były nieruchome. Do ukrytej doliny nie przedostawał się nawet najłżejszy wiatr. Zwierzęta spacerowały puszczone wolno; ich jedyną drogą ucieczki było wąskie, kręte przejście, które Larence zastawił.

Przeszedł obok Emmy, mamrocząc coś ze zdenerwowaniem. - Larence - odezwała się łagodnie. - To nie ma sensu. Cofnął się i obrzucił ją spojrzeniem, które mówiło: „Nawet się nie waż tego wypowiedzieć”, po czym ponownie się odwrócił i pomaszerował w kierunku najbliższego wzniesienia. Wpatrując się w ogromną masę złoto-czerwonego piaskowca, który wyrastał z porośniętego trawą i czarno-pomarańczowymi stokrotkami płaskowyzu, zatrasnął dziennik tak energicznie, że dźwięk rozległ się głośnie echem w skalnym więzieniu.

- To powinno być tutaj, do diabła! - krzyknął w stronę skał. - Tutaj!

Emma zrobiła w jego kierunku kilka niepewnych kroków.

- Larence...

Gwałtownie się odwrócił, ich spojrzenia się spotkały. Zobaczyła w jego oczach dziwną, płonąca namiętność, która ją przeraziła. Przez ułamek sekundy był kimś innym, kimś, kogo nie znała z przeszłości. Fanatykiem.

- Larence... - powtórzyła cicho, lecz z nadzieją. Na jej oczach ulotniła się gdzieś cała jego pewność siebie. Z gniewnego mężczyzny przekształcił się w człowieka małego i pokonanego. Opuścił szerokie ramiona, a jego spojrzenie zamgliło się desperacko. Światło fanatyka zniknęło. Emma głośno przełknęła ślinę. Stratę tego ognia, tej płonącej namiętności odczuła bardziej niż jakąkolwiek inną w swoim dotychczasowym życiu. Poczuła się bezradna i bezużyteczna. Co mogła powiedzieć albo zrobić, by złagodzić ból jego duszy? Obejrzeni każdy skrawek tego kanionu i nie znaleźli żadnego przejścia.

Larence odwrócił od niej pokonane spojrzenie i ponownie popatrzył na skały. Oprawiony w skórę dziennik wysunął się z jego zdrętwiałych palców i upadł na trawę.

- Dlaczego?! - krzyknął nagle. To jedno słowo odbiło się echem od milczących skał i wibrowało w tym trawiastym sanktuarium, aż stopniowo zanikło. - Dlaczego? - dodał ciszej.

Osunął się przy ognisku na kolana. Emma podeszła do niego, a w chwili, gdy zobaczyła jego twarz, wiedziała, że równie dobrze mógł klęknąć prosto w płomienie. Zrozumiał bowiem, że nie ocali miasta, które przywoływało go od tylu lat.

Bo nie było żadnego miasta. Jego praca, marzenia całego życia okazały się kłamstwem.

Do Emmy dotarła powaga sytuacji. Ciboli nie było. Larence nie odnalazł miasta, a ona swych skarbów. Była bankrutem, całkowitym.

Nie miała majątku ani przyszłości. Powróci do Nowego Jorku tak samo bez grosza przy duszy jak przy jego opuszczaniu. W jej umyśle niczym widmo pojawił się Rosare Court i wzdłuż kręgosłupa przebiegł lodowaty dreszcz.

Nie. Odepchnęła od siebie ten obraz. Nie czas teraz myśleć o własnej marnej stracie. Tak naprawdę nie utraciła niczego - i tak nigdy naprawdę nie wierzyła w Cibolę. To Larence wszystko stracił. A ona bała się - bardziej, niż była w stanie przyznać - że utracił także swoją iskrę. Swoją duszę.

Stała kilka kroków za nim, przypatrując się jego zgarbionym plecóm. Przepęniała ją niezdecydowanie.

Pragnęła podejść do niego, wziąć go w ramiona i zapewnić, że wszystko będzie dobrze, ale natychmiast odrzuciła ten pomysł. Co miała mu powiedzieć? Że jutro odnajdzie nowy sens życia?

Przeniosła spojrzenie z przygarbionego pokonanego człowieka na kamienne ściany. Wpatrywała się w nie gniewnie i w milczeniu. Dziennik przywiódł ich do tego ukrytego serca kanionu, po czym pozostawił samym sobie. Wysoko ponad ich głowami lekki wiatr poruszył czubkami drzew; ten dźwięk paskudnie przypominał ludzki śmiech.

Nieoczekiwanie przypomniały jej się słowa Pa-lo-wah-ti. *Będziesz szukał, ale nie znajdziesz. Wyjedź. Natychmiast. Kiedy jeszcze możesz.*

*Jeszcze możesz... jeszcze możesz...*

Emma przerwała te myśli. Musiała coś przedsięwziąć. Natychmiast. Jeśli nic nie zrobi, to zwariuje.

Podeszła do małego stawu. Diabło pił krystalicznie czy sta wodę, a nieopodal Tashee żuła powoli wysoką zieloną trawę. Emma pochyliła się w stronę jej zakurzonego boku, przysłuchując się z roztargnieniem miarowym dźwiękom, jakie wydawało zwierzę.

Co mogła zrobić, by pomóc Larence'owi?

*Może pewnego dnia poszczęści mi się i ugotujesz prawdziwy gulasz.*

Przypomniały jej się jego żartobliwe słowa i uczepliła się ich kurczowo. Nie było to wiele, ale coś. Podeszła szybkim krokiem do stosu zapasów i przekopała się przez wypchane torby w poszukiwaniu *Przewodnika po jadalnych roślinach i ziołach na amerykańskim południu*, należącego do Larence'a. Znalazłszy go, usiadła ze skrzyżowanymi nogami na gorącej trawie i zaczęła przeglądać rysunki przedstawiające rośliny jadalne. Kiedy wiedziała już, czego szukać, wsunęła książkę pod ramię i się podniosła.

Godzinę później prawie wesoło nuciła pod nosem. Do jej talii przytwierdzona była mała torba, wypełniona gorzkimi korzennymi bulwami, liśćmi dzikiej gorczycy i tasznika pospolitego, które podobno smakowały jak kapusta, chociaż Emma miała co do tego pewne wątpliwości.

Jedynie, czego jeszcze potrzebowała, to kilku dzikich ziemniaków - a przewodnik zapewniał, że powinna je tutaj znaleźć.

Przesuwała się powoli krok po kroku, z nosem przy ziemi niczym labrador medalista. Zgniatana jej stopami trawa wydzielala świeży znajomy zapach. Dziesiątki dzikich kwiatów ocierały się o brzeg jej spódnicy.

Nagle coś dojrzała. Jeszcze bardziej zwolniła i pochyliła się. Około pół metra od jej stóp rosła leśna zielona roślina z dużymi, przypominającymi strzały liśćmi, upstrzonymi długimi, spiralnymi, nierozwiniętymi pąkami.

Emma wstrzymała oddech. Zrobiła krok w stronę wypatrzonego okazu i uklękła. Otworzyła książkę, poszukała w niej strony z dzikimi ziemniakami i uważnie przestudiowała rysunek. Wreszcie znów popatrzyła na roślinę. Wyglądała tak samo jak na ilustracji.

Zagłębiła dłoń w suchej czerwonawej ziemi w poszukiwaniu korzenia. Jej palce zacisnęły się na czymś twardym i owalnym. Wydała z siebie krótki okrzyk radości i wyrwała korzeń. Był tak duży jak jej dłoń!

Spojrzała na niego, potem na liście, a następnie na rysunek w książce. Wyglądał tak samo. Nie identycznie, ale bardzo podobnie.

Znalazła swój dziki ziemniak. Do ust napłynęła jej ślinka w oczekiwaniu na coś świeżego. Emma z uśmiechem oczyściła ziemniak z ziemi, dołączyła go do pozostałych znalezisk, po czym zawróciła w stronę obozowiska.

Obrała ziemniak z jego szorstkiej skórki i przekroiła na cztery równe części, po czym wrzuciła je do gotującej się wolno wody. Dodała sporo wywaru wołowego, trochę soli i pieprzu, kilka suszonych cebulek, puszkę suszonej marchewki i liście tasznika. Stopniowo woda zaczęła ciemnieć, wreszcie zbrązowiła. Emma dodała łyżkę mąki i mieszała gulasz, aż zgęstniał. Gdy z garnka wydobyła się pachnąca wołowina para, jej żołądek głośno zaburczał. Głęboko odetchnęła, rozkoszując się aromatem domowego posiłku.

Potem usiadła na piętach, odłożyła łyżkę na leżący obok kamień i zerknęła na Larence'a, który wciąż chodził wzdłuż skalistych ścian niczym uwięziony zraniony tygrys. Co rusz słyszała, jak mamrocze:

- To musi być tutaj. To musi...

Gulasz gotował się już na wolnym ogniu dwie godziny, gdy milcząca przez cały ten czas Emma zawołała:

- Kolacja gotowa!

Larence powoli odwrócił się w jej stronę. Serce Emmy ścisnęło się na widok jego twarzy. Jego oczy, zazwyczaj tak pełne życia, teraz były przygaszone i otepiałe. Twarz miał bladą, prawie szarą, a usta zacisnięte w bezbarwną linię. Rzucił dziennik na ziemię, nie zwracając uwagi na to, gdzie wylądował, po czym wcisnął dłonie do kieszeni.

Spróbował się uśmiechnąć, a jego wysiłek o mało nie złamał serca Emmy.

- Świetnie - powiedział. - Umieram z głodu. Podniosła się, ruszyła do niego i spotkała z nim w połowie



drogi. Ujęła jego dłoń, bez słowa podeszli do niewielkiego ogniska i usiedli obok siebie. Emma nałożyła do miski swego towarzysza sporą porcję i podała mu.

- Świeży gulasz - wyszeptał suchym, bezdźwięcznym głosem. - Widzę, że mimo wszystko dopisało mi szczęście.

Nie mogła uwierzyć, że nawet teraz pamięta te dawno już powiedziane słowa.

Milcząc, wymieszał swój gulasz, wpatrując się w poruszający się widelec. Powietrze wypełnił tępy, ostry dźwięk cyny uderzającej o cynę. Wreszcie Larence uniósł głowę i popatrzył jej w oczy.

- Zawiodłem cię, Em. Nic tu nie ma dla ciebie...

Emma przełknęła ślinę. Poczwała w oczach palące łzy. Bez słowa wpatrywali się w siebie przez długą chwilę.

Pragnęła mu powiedzieć, że to nieistotne, że pieniądze nic dla niej nie znaczą. Ale nie potrafiła tego zrobić - to byłoby kłamstwo, a nie umiałaby go okłamać. Nie teraz, nie po tym wszystkim, co razem przeszli. Domyśliłby się, a świadomość, że go oszukuje, zraniłaby go bardziej niż prawda zawarta w milczeniu.

Chciała, by jej to nie obchodziło, pragnęła tego z całego serca, lecz smutna rzeczywistość była taka, że miało to dla niej znaczenie, i to wielkie. Zmieniła się, dorosła podczas tej wyprawy, ale nie do tego stopnia, żeby pieniądze przestały być dla niej ważne. Nigdy nie zmieni się aż tak bardzo. Świadomość tego, iż znów jest biedna, sprawiła, że zrobiło jej się niedobrze. Mogła zmienić się na tyle, aby wpuścić do swego życia miłość, ale nigdy nie będzie w stanie zlekceważyć znaczenia pieniędzy.

- Przykro mi, Em.

- Mnie też - odrzekła cicho. - A teraz jedz.

Pierwsza odwróciła od niego wzrok, po chwili on poszedł w jej ślady i w ciszy, wpatrując się w swoje miski, zaczęli jeść.

Emma pociągnęła mały łyk wywaru. Zaczęło ją palić w gardle, a zaraz potem w żołądku. Jej usta wypełnił paskudny, gorzki posmak.

Marszcząc czoło, uniosła ponownie pełną łyżkę do ust i dmuchała, aż zniknęła para. Wtedy z wahaniem przełknęła następną porcję. Piekło tak samo jak przy pierwszej. Skrzywiła się, prawie się krztusząc i znów czując gorzki smak.

Larence także się skrzywił.

- Smakuje tak jakoś...

- Wiem. - Przełknęła następną porcję i efekt był ten sam. Przecież nie wrzuciła do gulaszu aż tyle pieprzu. - Może to ta gorzka bulwa.

Larence posmakował ponownie.

- Taaa. Może - przytaknął z wahaniem. Emma z trudem stłumiła śmiech. Wiedziała, że nie jest to najodpowiedniejsza pora, lecz nie była w stanie dłużej się powstrzymać. Zachichotała.

- Prze...przepraszam - udało jej się wypowiedzieć pomiędzy atakami śmiechu. - Ale mówiłam ci, że otruję nas, gdy tylko spróbuję coś ugotować.

Niechętny uśmiech pojawił się na ustach Larence'a, po chwili jego oczy zabłyszczały radośnie.

- Powinienem być wiedzieć, że ty się nigdy nie mylisz. Emma uśmiechnęła się i pociągnęła łyk kawy. Gorący płyn spłynął jej do gardła, usuwając posmak nieszczęsnego gulaszu. Odchyliła się leniwie do tyłu, oparła na łokciach, i popatrzyła na otaczające ich zacienione wzniesienia.

Po chwili zauważyła coś dziwnego. Jej serce biło zdecydowanie zbyt szybko; na policzki wypełził gorący rumieniec. Przycisnęła do nich dłonie, przez chwilę rozkoszując się płynącym od nich chłodem.

Zaczęła ją boleć głowa. Powolne uderzenia w tylnej części czaszki następowały coraz częściej, jednocześnie przybierając na sile. Skrzywiła się i przycisnęła do skroni dwa drżące palce, żałując, że nie wzięła ze sobą kilku pigułek od bólu głowy.

Spojrzała nad ogniskiem na Larence'a; wpatrywał się w nią ze zmarszczonym czołem. Ten rzadko u niego spotykany grymas sprawił, że jej serce zaczęło bić jeszcze szybciej, a ból się nasilił. Sięgnęła niepewnie po dzbanek z kawą.

- Czy chcesz tro... - Przełknęła ślinę, a przynajmniej starała się to zrobić, bo wewnątrz ust miała suche niczym popiół. Ogarnęły ją mdłości. Przycisnęła dłoń do brzucha.

- Larence... ja... czuję się... eee... - Skoncentrowała się, próbując przypomnieć sobie właściwe słowo, a gdy już jej się to udało, wymówił je z trudem: - Niedobrze.

Jej palce zaczęły drżeć. Wpatrywała się w nie z rosnącą Paniką. Miska upadła jej na kolana, a gorący gulasz rozlał się na spódnicę. Mokry materiał przywarł do ud, parząc je.

- Au!

Larence natychmiast odstawił swoją miskę, tak że wylądowała na kamieniu z odgłosem, który odbił się głośnym echem w głowie Emmy. Przycisnęła dłonie do uszu, ale wciąż go słyszała, nawet coraz głośniejsze.

Dźwięk ten towarzyszył nagłym, szybkim uderzeniom jej serca.

Hałas był ogromny i otaczał ją ze wszystkich stron.

- Larence! - krzyknęła głośno, by go zagłuszyć.

Starał się czołgać w jej kierunku. Widziała, z jak wielkim trudem mu to przychodzi, dostrzegała koncentrację na jego twarzy. Z jego ust wydobywał się urywany oddech, który przyłączył się do kakofonii dźwięków, napierających na Emmę ze wszystkich stron. Z każdym desperackim ruchem Larence przysuwał się najwyżej o centymetr. Nigdy jej nie dosięgnie. Nigdy.

Przeraziła się nie na żarty. Świat wokół zawirował, stał się obcą przerażającą mieszaniną brązu, czerni i zieleni. Gwiazdy nad głową rozmazywały się, wtapiały w nocne niebo i znikwały, pozostawiając po sobie tylko ciemność.

W gardle Emmy powoli rodził się krzyk przerażenia. Traciła nad wszystkim kontrolę, nad umysłem, ciałem, zmysłami.

Przycisnęła do szyi drżącą dłoń i starała się na czymś skupić, na czymkolwiek, lecz świat był tylko chwiejącym się, tańczącym kalejdoskopem przeklętych cieni i ruchów. Widoczne w półmroku skalne wzniesienia pochylały się i przesuwwały w jej kierunku. Drzewa szeptały głośno między sobą i zbliżały się coraz bardziej do ogniska. Daleko - a może tuż obok niej - zaskrzeczał głośno jastrząb. Potem napłynęły odgłosy dziesiątek nocnych zwierząt: odległe wycie sowy, cichy szum skrzydeł nietoperza, szelest ogona węża. Przez jedną szaloną sekundę sądziła nawet, że słyszy ciche stąpanie skradającego się w ich stronę kuguara.

Nagle przez ciemność przedarła się dłoń. Emma wpatrywała się w nią z mieszaniną przerażenia i respektu. Dłoń stanowiła plamę wielkości półmiska i była w kolorze kanarkowej żółci.

- Emmaline. - Słowo to odbiło się echem w długim, ciemnym tunelu jej świadomości i wylądowało na kolanach Emmy niczym lina ratunkowa.

Sięgnęła po nią. Dłoń przemieniła się w rozplływającą się fioletową mgłę, po czym zniknęła. Emma zaczęła krzyczeć.

- Emmaline!

Skoncentrowała się, starając się pomyśleć o czymkolwiek. Nic nie przedostawało się do jej świadomości. Jej gardło było zaciśnięte, język nieruchomy i bezużyteczny.

- Już dobrze, Em, nie walcz z tym. Wtedy przypomniała sobie jego imię.

- La....re....nce... - powiedziała prawie bezgłośnie. Ich palce się splotły i trzymały mocno, stanowiąc dla Emmy kotwicę w tym chwiejącym się, niepewnym świecie. Z jej piersi wydobył się głośny, przeciągły, pełen ulgi szloch. Płacząc, pochylała się desperacko w stronę swego towarzysza. Każda łza spływająca po jej policzkach wydała jej się gorąca jak ogień. Na języku poczuła smak soli.

Larence znalazł się przy niej i wziął w ramiona.

- Już w porządku. - Jego głos był jakby odległy i pełen bólu. Oddychał z trudem. - W tym gulaszu coś musiało być. Śmiech zamarł na ustach Emmy. Tylko bez żartów.

- Korzeń bielunia. Liście bielunia wyglądają jak dzikie ziemniaki. - Trzymał ją mocno, otaczając troskliwie ramieniem. Razem udało im się wstać. Sami przeciwko szalonemu, nielogicznemu światu wokół nich. - Odpręż się... ciesz się... przygodą... pradawnym... indiańskim... rytuałem.

Trzymali się siebie kurczowo. Nad ich głowami ponownie pojawiły się tańczące gwiazdy. Z chwiejących się czubków drzew spłynęły strumienie kolorowego światła.

Wtedy Emma je zobaczyła: kobry, ogromne i przerażające, unosiły się i opadały. Dziesiątki oczu bez powiek skupiły się na niej. Widziała ich wysuwające się długie języki. Ciche powietrze Przepętniał syk. Kobry chwiały się na wietrze w prawo i lewo, po czym zaczęły nieuchronnie pełzać w ich kierunku. Syk stawał się coraz głośniejszy.

Krzyk zamarł w gardle Emmy, po czym wydostał się wysokim, przeszywającym dźwiękiem, który odbił się echem od otaczających kanion skał.

- Trzymaj się, Em. - Do jej obolałych od hałasu uszu dotarły słowa Larence'a. - Masz halucynacje.

Halucynacje. Tak. Uczepiła się tego, co niemożliwe zmieniło się w możliwe. Zaciśnęła zęby i popatrzyła na węża.

- Nie jesteście prawdziwe.

Zniknęły, pozostawiając po sobie armię cichych, kołyszących się drzew.

Emma znowu zaczęła się trząść. Ból głowy stał się bardziej intensywny. Ponownie poczuła mdłości i się zachwiała. Przytrzymała się Larence'a, jakby tonęła, bardziej przerażona niż kiedykolwiek w życiu.

- To nie jest prawdziwe. Nic nie jest prawdziwe - powtarzała w nieskończoność.

Nie wiedziała, jak długo tak stoją objęci, lecz wydawało jej się, że trwa to wiecznie. Albo jeszcze dłużej.

Ból głowy powoli ustępował, bicie serca stawało się coraz wolniejsze. Nawet drżenie palców ustało.

Spojrzała w uspokajające zielone oczy Larence'a i poczuła nieprzewartą ulgę. Udało im się. Przetrwali to. Razem.

Jej dłonie prześlizgnęły się po ciepłej szorstkiej męskiej koszuli i otoczyły szyję Larence'a. Przyciągnął ją mocno i pochylił się.

Emma uniosła się na palcach. Ich usta spotkały się w połowie drogi. Rozdzieliły się powoli i niechętnie.

Delikatny nocny wietrzyk zakołysał czubkami rosnącymi nieopodal drzew, a niewielkie ognisko zasyczało i zaczęło trzaskać, jak gdyby świętując ich zwycięstwo. Ciemność rozświetlały unoszące się nad ogniem iskry. Przez grube, smoliste czarne chmury przedarło się światło księżyca, które oświetlało ich niczym najdoskonalszy żyrandol.

Larence ujął twarz Emmy tak delikatnie, jakby była z najcenniejszej i najbardziej kruchej porcelany. Spojrzała mu w oczy i zobaczyła w nich coś, czego nie widziała od wielu lat, coś, w co dawno już przestała wierzyć: miłość.

Coś gorącego i jednocześnie twardego jak stal sprawiło, że

Jej gardło się ścisnęło.

- Emmaline, kocham cię.

Przyglądała się ruchom ust Larence'a. Wolne, zmysłowe otwieranie się i zamykanie jego warg sprawiło, że poczuła rozkoszny dreszcz. Dopiero po chwili, gdy dotarł do niej sens wypowiedzianych przez Larence'a słów, otworzyła buzię ze zdziwienia.

Ją? Kochał ją? Emmaline Hatter?

Potrząsnęła głową z niedowierzaniem i otworzyła usta, by go poprawić. Wyjaśnić, że to tylko działanie narkotyku albo nagła namiętność. Jej przecież nie kochał nikt.

- Ja...

Głośny trzask przerwał panującą ciszę. Trawa zakołysała się, a ziemia pod ich stopami zadudniła.

- O Boże - jęknęła Emma. - Nie znowu.

- Nie - powiedział pospiesznie Larence. - To się dzieje naprawdę.

Odwrócili się w kierunku, z którego dobiegał dziwny dźwięk.

Z nieba spłynął niebiesko-biały piorun i uderzył w ścianę piaskowca. Iskry unosiły się we wszystkie strony, a w skale pojawił się ogromny zygzakowaty rozłam. W powietrzu wyraźnie wyczuwało się dym.

Dudniący dźwięk stawał się coraz donośniejszy. Ziemia drżała pod ich stopami, przestraszona trawa kołysała się na wszystkie strony, ze szczytu wzniesienia opadały tumany kurzu.

Po chwili było po wszystkim.

Oboje przez jakiś czas z lękiem wpatrywali się w wielki skalny rozłam, po chwili Larence ruszył w jego stronę z wyciągniętą dłonią,

- Cibola.

Nazwa miasta przeraziła Emmę bardziej niż niedawne halucynacje. Chyba nie miał zamiaru tam iść? O Boże!

- Nie ruszaj się! - wrzasnęła.

Nie słuchał jej; siedł dalej niczym lunatyk.

Pobiegła za nim i mocno chwyciła za ramię, odwracając go twarzą do siebie.

- Nie wolno ci tam iść. Przecież to się może w każdej chwili zamknąć.

W oczach Larence'a widniała pewność, która ponownie ją przeraziła.

- To jest Cibola.

Potrząsnęła głową.

- Nie! - rzuciła płaczącym głosem. - Nie wiesz tego na pewno. Proszę.

- Chodź ze mną, Em, i bądź moją miłością.

Starła się uwolnić z jego ramion, ale trzymał ją bardzo mocno. Obraz Larence'a, wchodzącego w tę ciemność, przepelnił ją niewytłumaczalnym lękiem. Skała mogła się zamknąć równie szybko, jak się otworzyła, a wtedy on odejdzie, na zawsze.

- Zwierzęta - zaczęła.

- Nic im się nie stanie. Nie są w stanie wydostać się z kanionu, a tutaj jest mnóstwo jedzenia i wody. Chodź ze mną.

Emma trzymała się jego rękawa niczym przerażone dziecko wahające się, co zrobić.

Larence ścisnął jej dłoń. W jego oczach pojawiła się cała miłość do niej.

- Chodź, Em. To może się już nigdy nie otworzyć. Chodź ze mną. Proszę. Kocham cię.

Mogła zrobić tylko jedno. Drżąc, głęboko nabrała powietrza, odłożyła na bok strach i zrobiła to, czego nigdy nie uczyniła w całym swoim życiu. Zaufała.

Trzymając się za ręce, weszli w czarny skalny rozłam.

Panowała ciemność, jakiej Emma nigdy wcześniej nie doświadczyła. Czowała się tak, jakby pogrzebano ich żywcem.

- Emma?

Głos Larence'a dobiegł gdzieś z ciemności i podziałał na nią uspokajająco. Uścisnęła jego dłoń jeszcze mocniej, starając się powstrzymać drżenie palców. Nie była w stanie uczciwie przyznać, czy jest bardziej przerażona, czy podekscytowana.

Larence puścił jej rękę. Usłyszała, jak się pochyła i podnosi coś z ziemi. Po chwili do jej uszu dobiegł dźwięk rozdieranego materiału i zapalanej zapalki.

Mały płomień rozświetlił panującą ciemność i Emma natychmiast zauważyła, że u koszuli Larence'a brakuje lewego rękawa. Następną rzeczą, którą dojrzała, była prowizoryczna pochodnia w jego dłoni. Widząc jej zdziwienie, uśmiechnął się.

- Kolejna wskazówka udzielona przez Diamentowego Dicka.

Przytknął zapalkę do bawełny owiniętej wokół długiego kawałka drewna. Materiał natychmiast zajął się ogniem, dostarczając Potrzebnego im światła. Jaskinia dalej przekształcała się w lejkowaty, cienki pasek czerni. Przejście.

- Cibola. - Larence wypowiedział nazwę legendarnego miasta w tym samym momencie, w którym Emma o nim pomyślała.

Jej serce zaczęło bić szybciej. Poczowała, że poca jej się dłonie; były zimne i lepkie. Cibola.

Podniecenie mieszało się ze strachem i sprawiało, że jej oddech stał się szybki i płytki.

Razem, trzymając się za ręce, poszli wzdłuż chłodnych chropowatych piaskowych ścian. Pochodnia wytwarzała kalejdoskop chwiejącego się, tańczącego światła. Po około stu pięćdziesięciu metrach tunel przekształcił się w wąski korytarz.

Larence puścił dłoń swej towarzyszki.

- Pójdę pierwszy. Ty idź zaraz za mną.

Emma chwyciła go mocno z tyłu za wystającą ze spodni koszulę i podążyła za nim. Napierała na nią ciemność. Nie była w stanie dostrzec niczego poza zarysem głowy Larence'a. Zrobiło się zdecydowanie chłodniej. Wolną rękę przytknęła do brzucha, jakby próbowała zatrzymać ciepło w swym ciele. Jej palce mocno zacisnęły się na skraju bluzki, jak na linie ratowniczej.

Jednostajne szuranie kroków mieszało się z odgłosem ich przyspieszonych oddechów i rozbrzmiewało echem w wąskim tunelu.

Po chwili pięta Larence'a nieoczekiwanie uderzyła w coś, co cicho trzasnęło. Gdy się zatrzymał, Emma zderzyła się z jego plecami.

- Stoimy na czymś - powiedział, a ona dosłyszała w jego głosie podekscytowanie. - Cofnij się.

Kiedy to zrobiła, odwrócił się z pochodnią w jej stronę i opadł na kolana. Wzięła od niego ich jedyne źródło światła i trzymała je mocno w drżących dłoniach. Światło spłynęło po ścianie i zatrzymało się na zacienionym podłożu. Pod warstwą starego kurzu pojawiła się ledwie dostrzegalna sieć linii.

Emmie zrobiło się słabo z nadziei i podniecenia. Oblał ją zimny pot, tak że spódnica przyklejała się do kolan, ale ona nie zwracała żadnej uwagi na tę niedogodność. Jedyne, o czym potrafiła w tej chwili myśleć, to o Ciboli. Dobry Boże, może to naprawdę jest to miasto i jego skarby.

- Co to jest? - wydyszała.

Larence pochylił się niżej i dmuchnął. Na spódnicę Emmy popłynęła chmura kurzu.

- Płyty. Przysuń światło trochę bliżej.

Wykonała jego polecenie i zobaczyła to samo co on. Dwie duże, doskonale wycięte kamienne płyty tworzyły na ziemi półmetrowy kwadrat. Jedna była nieco wyżej niż druga, tak jakby dawno temu ktoś ją podniósł i nie ułożył dokładnie na miejscu. Larence zaczął ostrożnie podnosić płyty. Ocierały się jedna o drugą, wydając odgłos podobny do tego, jaki powstaje, gdy przesuwamy się ostrym paznokciem po cegle. Pod płytami znajdował się następny tunel. Kiedy Emma przysunęła pochodnię, przez otwór wpadło światło i ich oczom ukazał się leżący około metra niżej ludzki szkielet. Krzyknęła i się cofnęła. Pochodnia w jej dłoniach zachwiała się, oświetlając ściany z piaskowca.

- Nie bój się, Em. To są tylko kości.

Tylko kości! Starając się uspokoić, ponownie zbliżyła się do otworu i zajrzała do niego. Na brązowej ziemi leżały szare kości. Przy nich w miękkim podłożu tkwiła czaszka. Puste oczodoły wpatrywały się w nią, jakby podjudzały do zejścia i wstąpienia do ich królestwa.

- To tylko grób - powiedziała do siebie, starając się zachować zimną krew. - To tylko przeklęty grób.

- Nie sądzę. - Larence jeszcze bardziej pochylił się nad otworem, by uważniej przyjrzeć się szkieletowi. - Widzisz, w jaki sposób jego ręce są skrzyżowane na piersi? To pradawny symbol oznaczający niebezpieczeństwo. Taki sam jak ten, który zostawił nam Ka-Neek. - Ukłęknął i potarł dłonią o swój ciemny jednodniowy zarost. - Nie. Sądzę, że on jest... że on był strażnikiem.

Serce Emmy na moment zamarło.

- Naprawdę?

- Tak mi się wydaje. - Uśmiechnął się. - Dowiedzmy się więc, czego pilnuje.

Jego towarzyszka zawahała się i zerknęła ponownie na kości. Złowrogie przecucie sprawiło, że poczuła gęsią skórkę. Być może nie powinni tu być. Przypomniały jej się słowa Pa-lo-wah-ti. *Wyjedź. Natychmiast. Kiedy jeszcze możesz.*

- Em?

Spróbowała uśmiechnąć się. Larence wyciągnął rękę, dotknął jej dłoni, ścisnął ją delikatnie i wyszeptał:

- Uwierz, Em. Uwierz.

Zanim zdążyła mu odpowiedzieć, odebrał od niej pochodnię i już go nie było. Zsuwał się do otworu. Jego buty dotknęły podłoża, a po chwili Emma poczuła zapach starego kurzu. Przechyliła się i patrzyła za nim. Do jej uszu dobiegł dziwny dźwięk, jakby dziecięcej grzechotki.

Larence stał nad szkieletem i uważnie przyglądał się widniejącemu na ścianie krwawobrazowemu symbolowi.

- Emma, ja...

Jednocześnie ujrzeni węża. Paciorkowate oczy bez powiek dominowały w łuskowatej głowie. Grzechotanie nasiliło się, wypełniając otwór przerażającym, pulsującym dźwiękiem.

- Cholera! - Larence cofnął się gwałtownie, uderzając głową w skałę tak mocno, że aż posypał się pył. Unikając nadeptnięcia na leżące kości, zamachnął się pochodnią i walnął nią węża prosto między oczy. Grzechotnik cofnął się i zniknął między żebrami szkieletu. Larence odczekał chwilę, po czym pochylił się i podniósł pochodnię. - Daj mi swoją spódnicę - powiedział chrapliwym głosem. Gdy Emma ściągnęła ją i wrzuciła do otworu, narzucił materiał na klatkę piersiową szkieletu i wepchnął go pod każdą kość. - To powinno dać nam trochę czasu. Schodź na dół.

Nie poruszyła się; nie była w stanie. Wpatrywała się tylko w czarny, wypełniony kośćmi otwór i czekała na grzechoczący dźwięk. Z przerażeniem spojrzała na wyciągniętą dłoń swego towarzysza. Wiedziała, że musi to zrobić.

- O Boże - jęknęła. - Tylko nie węże.

- Uwierz, Em. Uwierz.

Boże, jak ona zaczynała nienawidzić tego słowa. Bez wątpienia pojawi się ono na jej nagrobku: „Emmaline Amanda Hatter. Uwierzyła i to ją zabiło”.

- Emma, ten wąż nie będzie wiecznie pod przykryciem. Chwyć dłoń Larence'a, zacisnęła powieki i ześlizgnęła się w jego oczekujące ramiona.

- Widzisz - rzekł. - I nic się nie stało.

- Wyprowadź mnie stąd! - Jej słowa odbiły się od ścian głośnym echem.

Zaniósł ją do wąskiego wyjścia z grobowca i postawił na ziemi. Stali tak razem, a ich spojrzenia przykute były do stosu kości. Larence przechylił się i z powrotem zdjął ze szkieletu spódnicę. Emma zamarła, lecz nic nie nastąpiło. Nie usłyszała żadnego dźwięku, nie zobaczyła żadnego ruchu.

Wypuściła powietrze z płuc z długim, bolesnym westchnieniem ulgi. Szybko naciągnęła spódnicę, po czym podała Larence'owi rękę.

Razem zaczęli wędrówkę w dół ciemnego, przejmującego wilgotnego, krętego przejścia. W stronę samego wnętrza ziemi.

Jakiś czas później - Emma już dawno porzuciła myśl o odliczaniu go - do jej uszu zaczął dobiegać odgłos inny niż tylko szuranie ich butów.

Najpierw był to delikatny dźwięk, jaki towarzyszy uderzeniu kropli deszczu wpadającej do przepelnionej beczki, po czym stopniowo przekształcał się w odbijający się echem odgłos spływającej wody.

W pierwszej chwili nie wierzyła własnym uszom. To było niemożliwe - wodosпад w suchym, jałowym wnętrzu nowomeksykańskiej pustyni, sześćdziesiąt albo i więcej metrów pod powierzchnią ziemi. Ale na przekór tym rozważaniom dźwięk stawał się coraz wyraźniejszy. Z każdym krokiem wzrastało jego natężenie.

Po chwili zobaczyli coś jeszcze bardziej nieoczekiwanego, coś zupełnie nieprawdopodobnego.

Światło. Najpierw ujrzeni maleńką, jasną plamkę na końcu korytarza, ale z każdym następnym krokiem światło stawało się coraz bardziej rozległe i jaśniejsze. Jego biel zataczała coraz szersze kręgi, aż wreszcie

istniało już tylko ono. Było po prostu Jasno, wszędzie, w każdym zakątku. Zimne ściany piaskowca Pokryły się prawdziwym blaskiem.

Larence przyspieszył kroku; szedł tak szybko, jak tylko pozwalała mu nie w pełni sprawna noga. Emma trzymała się jego dłoni i pospiesznie podążała za nim.

Kiedy zbliżyli się do końca korytarza, poczuli zapach świeżej wody, drzew i późnowiosennej trawy. Obok nich znajdowała się wysoka ściana skalna. Ponad nimi... Kto to wie?

I nagle Emma zdała sobie sprawę, że to - cokolwiek to było - znajduje się tuż-tuż. Wiedziała też, że Cibola istnieje tylko wtedy, jeżeli ona w nią uwierzy.

Zatrzymała się i pociągnęła dłoń swego towarzysza tak, że stanął.

- Co robisz? To jest zaraz za...

- Wiem. - Odwróciła się w jego stronę. - Chcę, byś wiedział, że wierzę, iż tam jest. Chcę, żeby tam było. Dla ciebie.

- Kocham cię.

Emma poczuła, jak uginają się jej kolana, a serce na sekundę zamiera. To było uczucie, którego nie pamiętała od lat i którego dawno już przestała oczekiwać. Być może nawet przestała w nie wierzyć.

To była...

Zanim zdążyła to nazwać, Larence powiódł ją za róg.

Gwałtownie wciągnął powietrze. To było wspanialsze, większe, bogatsze niż cokolwiek, czego oczekiwał, o czym kiedykolwiek marzył.

- O mój Boże.

Emma westchnęła.

Za wąskim przejściem rozciągała się wielka, okrągła równina. Aksamitnie miękki, ciemnobrązowy piasek rozpościarał się od jednego skalnego wzniesienia do drugiego niczym kosztowny koc z najdelikatniejszej wełny. Powietrze przepełniał jego ciepły, suchy zapach. Wysoko do nieba wznosiły się brązowoczerwone ściany kanionu. Wokół skalne płyty uformowały wyniosły okrąg bez wejścia czy wyjścia, początku ani końca. Nad ich głowami widniała plama kobaltowoniebieskiego nieba, którego barwa jaskrawo kontrastowała z czerwonymi ścianami.

Pośrodku równiny znajdował się owalny basen w kolorze bladej zieleni, jak najczystszy orientalny jadeit. Gdzieś z góry, ze szczelin i pęknięć w skałach, wesoło spływała spieniona woda, rozpryskując się hakaśliwie na błyszczącej tafli basenu.

Larence wpatrywał się oniemiały w otaczające ich piękno. Wszystko było ciche, przytłumione i stare. Oczami duszy widział pradawnych mieszkańców tej doliny, przechadzających się przy basenie lub kucających na progach swoich domostw i mielących ziarna. W jego głowie odbijał się echem wysoki dziecięcy śmiech i choć wiedział, że dzieci nie śmiały się tutaj od bardzo dawna, wciąż je słyszał i widział.

Był tak urzeczony wyjątkową urodą tego miejsca, że dopiero po chwili zauważył złoto i jego usta otworzyły się ze zdumienia.

Stali na ulicy wyłożonej płytkami ze złota. Szeroka na prawie dziesięć metrów, przebiegała przez piaszczystą równinę, otaczała basen, po czym ponownie łagodnie wspinała się w kierunku znajdującego się wyżej rzędu rzeźbionych drzwi. Światło słoneczne sprawiało, że ulica wyglądała niczym kręta oślepiająca rzeka płynnego złota. Larence'a przepełniło jeszcze większe podekscytowanie. To był dokładnie ten sam widok, który od tak dawna pojawiał się w jego snach i marzeniach.

Wspaniałe widoki bombardowały go tak, że nie wiedział, gdzie zatrzymać wzrok. Srebrne i turkusowe drzwi mrugały do niego, przypominając mu o marzeniach. Patrzył w zachwycie i bez tchu na rząd misternie dekorowanych sklepień łukowych, które stapiały się ze skalistymi ścianami wzniesień.

Odruchowo sięgnął po notes, lecz się powstrzymał. Teraz był czas na oglądanie, rozkoszowanie się miejscem, które przywoływało go przez ćwierć wieku. Później będzie pora na jego utrwalenie.

Zwolnij, Lare. Zwolnij.

Emma rzuciła się w jego ramiona.

- Udało ci się! Udało!

Okręcił ją wokół siebie, ledwie zwracając uwagę na ból w kostce. Ich śmiech wymieszał się i odbił echem w otoczonym kałami kanionie.

- Nam się udało.

Oczy Emmy rozjaśniło uwielbienie. Larence'a coś ścisnęło w piersi; poczuł się szczególnie, wręcz wyjątkowy.

Ale w jej oczach było coś jeszcze, co przepełniło go pragnieniem i tęsknotą. Coś, czego pragnął tak bardzo, że aż ścisnął mu się żołądek.

Miłość.

Oblizwał suche wargi i modlił się, aby jego desperacja nie była widoczna. Uczucie bez wzajemności wydało mu się nie do zniesienia.

Puścił swą towarzyszkę, tak że zsunęła się na ziemię, ocierając się o jego ciało. Jej obcasy stuknęły delikatnie o złote płytki.

Zaśmiała się radośnie, chwyciła jego dłoń i się podniosła.

- Chodźmy - powiedziała.

Śmiejąc się, poszli złotą ulicą w kierunku basenu.

- Kto pierwszy, ten lepszy! - zawołała Emma i przykucnęła, by rozwiązać buty.

- Emma, nie!

Jej but przeleciał nad jego głową i upadł na piasek. Larence starał się pamiętać o tym, że jest naukowcem i że właśnie ogląda swoje życiowe osiągnięcie.

- Mamy mnóstwo czasu na pływanie. Chcę... Drugi but upadł na piasek tuż przy jego stopach. Wciąż się śmiejąc, Emma podbiegła do Larence'a, chwyciła go za kołnierzyk koszuli i przyciągnęła do siebie.

Wpatrywały się w niego błyszczące niebieskie oczy. Było w nich coś, co sprawiło, że zaschło mu w gardle: szczerą, gorącą obietnicą wspólnego dzielenia namiętności.

Przypomnij sobie, mówiły jej oczy. Przypomnij. Podziała. Obrazy z zeszłej nocy rozpały mu krew. Spodnie przy zapięciu wydały się nagle zbyt ciasne.

Z trudem przełknął ślinę. W głowie mu się kręciło, miał problemy nawet z przypomnieniem sobie, co jest jego życiowym osiągnięciem. Był w stanie myśleć jedynie o Emmie, jej ustach, dotyku, jej namiętności.

Nagle go puściła. Po chwili uwolniła się z ubrań i pobiegła, naga i roześmiana, w kierunku wody.

Larence zaczął walczyć z guzikami przy spodniach. Rzucił ubrania na jedną stertę i pospieszył za nią. Woda, sięgająca mu do kostek, a potem coraz wyżej, przypominała mu o dotyku Emmy. Jej języku.

Zanurkował i gdy bez żadnego wysiłku wypłynął tuż obok wodospadu, porwał go pienisty strumień. Wynurzył ponownie głowę. Poprzez głośny szum wody dosłyszał głos Emmy:

- Larence?

Cofnął się o krok, tak że kaskada tworzyła zasłonę umożliwiającą patrzenie przez nią, ale jednocześnie pozostanie niezauważonym.

Emma stała w odległości około sześćdziesięciu metrów od niego i rozglądała się. Po jej minie widział, że jest zaniepokojona.

- Larence, to nie jest śmieszne.

Uśmiechnął się. Rozbawiony, zanurkował pod wodospadem, kierując się w jej stronę.

Nie zauważyła żadnego poruszenia w wodzie. Pojawił się nagle, wynurzając się z lśniącego basenu niczym tajemniczy mieszkaniec wodnego świata, nagi, zanurzony do pasa. Światło słoneczne nadawało jego skórze bladozłoty połysk. Do jego ciemnych rzęs przywarły srebrzyste kropelki wody, które jedna po drugiej spływały leniwie po policzkach i cicho opadały na umięśnioną klatkę piersiową.

Emma poczuła w żołądku niecierpliwie mrowienie. W oczach Larence'a widniała czysta, nieskrywana namiętność, której nigdy wcześniej nie widziała. Zabrakło jej tchu. Wydawało jej się, że on pragnie czegoś więcej niż dotyku i pocałunku, więcej nawet niż dostępu do najgłębszych zakamarków jej ciała. Ze pragnie Jej duszy.

Jego spojrzenia paliło ją. Czowała się tak, jakby została wzięta w niewolę.

Role się odwróciły. Emma nie była już myśliwym, teraz to na nią polowano i - o dziwo - to ją podniecało do szaleństwa.

Nerwowo oblizwała wargi. W koronach rosnących nieopodal drzew zaszumiał cichy wietrzyk i owiał jej nagie piersi. Poczuła na ramionach gęsią skórę, a brodawki jej piersi natychmiast stwardniały. Odruchowo uniosła dłoń do szyi, czując gwałtownie przyspieszony puls.

Potrzebowała ogromnej siły woli, aby pozostać w bezruchu. Przełknęła ślinę. Czekwała, marząc o tym, by Larence jej dotknął, ale jednocześnie żałując, że go w ogóle poznała. Miała wrażenie, że stoi na krawędzi wielkiego klifu i jedyne, co musi zrobić, to wyciągnąć ręce i skoczyć. Prosto w objęcia pragnienia, którego nie była w stanie kontrolować, pożądania, do którego nie potrafiła się nie przyznać.

Zadrzała i zamknęła oczy. Czekwała.

I wtedy jej dotknął. Poczuła ciepłe wilgotne dłonie na ramionach.

- Chodź - rzekł Larence.

Emma zamrugwała zdziwiona.

Przekręcił jej głowę w lewo, w stronę wystającej! z basenu dużej, płaskiej skały. Jej czerwonobrazowa powierzchnia błyszczała w słońcu niczym wypolerowana miedź. Obok rósł ogromny stary cedr, a jego długie, pokryte igłami gałęzie opadały w dół, zanurzając się lekko w wolno poruszającej się wodzie.

Emma wpatrywała się tępo w swego towarzysza.

- Chcesz mi pokazać skałę? Teraz?

Przytaknął.

- Myślałam, że mog...

- Nie rób tego.

Zmarszczyła czoło.

- Czego?

- Nie myśl.

Zanim zdążyła cokolwiek odpowiedzieć, wziął ją na ręce i zaniósł do skały. Woda przyskała wokół jego nóg i obmywała ciało Emmy. Każda mokra kropla była dla niej niczym iskierka ognia.

Skała pod jej nagimi plecami była chłodna i śliska. Larence chwycił jej dłonie i otoczył nimi swoją szyję.

Nie poruszała się, prawie nie oddychała, gdy jego spojrzenie błędziło leniwie po jej ciele. Leżała naga i przylepiona do skały i pozwalała na siebie patrzeć.

- Jesteś taka piękna - wyszeptał Larence, całując jej prawą pierś.

Emma głęboko wciągnęła powietrze. Zrobiło jej się zimno, a po chwili gorąco.

Kiedy Larence się cofnął, chłodne powietrze owiało jej ciało i sprawiło, że brodawki stały się twarde niczym małe kamyki. Wpatrywała się w niego jak zahipnotyzowana pragnieniem widniejącym w jego oczach.

Dłonie Larence'a przesunęły się po jej bokach, prześlizgując w kierunku ud i delikatnie rozsuwając nogi. Wsunął się między jej kolana.

Emma uniosła głowę, lecz całując, zmusił ją, by ponownie położyła się na skale, i przywarł do niej całym ciałem.

Przesunęła dłońmi po plecach Larence'a i zacisnęła je na jego pośladkach.

- Teraz, teraz - szepnęła.

Na jego ustach pojawił się szeroki uśmiech.

- Cierpliwości - wyszeptał.

Uderzyła go pięścią w klatkę piersiową. Kiedy się wyprostował i popatrzył na nią, w jego oczach widniał ledwie powstrzymany śmiech.

- Tak, Emmo?

Wpatrywała się w niego, chrapliwie oddychając.

- Chcę, żebyś...

Potrząsnął głową. Chłodne krople wody spłynęły na jej twarz.

- Ale ja myślę...

- Mówiłem ci, żebyś nie myślała.

Usta Larence'a błędziły od jej szyi, obojczyka, krągłości piersi aż do stwardniałej brodawki.

Głęboko wciągnęła powietrze, gdy poczuła jego wilgotny język.

- Teraz, Larence - jęknęła Emma, wyginając się w łuk. - Teraz.

Delikatnie oderwał jej dłonie od swojego ciała i przytrzymał je nad głową kochanki.

- Złap to. - Rzucił głosem tak niskim i chrapliwym, że ledwo go rozpoznała.

Bez wahania chwyciła się gałęzi zwisającej tuż nad jej głową. Sękata kora wydawała się obca i dziwnie erotyczna. Emma podciągnęła się wyżej na skale; na jej twarz i piersi opadły igły.

Larence przesunął się niżej. Z naukową wręcz precyzją badał dłońmi drżące, gorące ciało. Jedną po drugiej zbierał z niej igły i odrzucał na bok.

Dotykał jej w miejscach, których nigdy nie uważała za wrażliwe, a mimo to pod jego zaborczymi palcami skóra płonęła i wilgotniała. Usta Larence'a przesunęły się leniwie po piersiach Emmy, w dół po płaskim drżącym brzuchu i jeszcze niżej.

Kiedy osiągnęły swój cel, gwałtownie wciągnęła powietrze i zeszywniała.

- Zaczekaj!

Larence uniósł na nią swój wzrok. Nagle poczuła się niezręcznie i niepewnie. Przełknęła głośno ślinę.

- Nie rób tego - powiedziała dyszącym i niepewnym głosem. Uśmiechnął się i uniósł jedną brew.

- Czego?

- Dobrze wiesz. Tego.

- Nie martw się, kochanie. Braki w technice potrafię nadrobić cierpliwością.

- Nie. Nie chcę, by którekolwiek z nas było cierpliwe. Chcę... Larence opuścił głowę. Poczuli jego język i przeszył ją spazm rozkoszy. Jęknęła i zamknęła oczy, podczas gdy on wolno zataczał językiem niewielkie kółka. Odgłos bicia serca Emmy mieszał się z szumem i narastał w jej głowie, aż nie słyszała już niczego innego. Nic nie widziała. Była w stanie jedynie czuć, a miała co czuć.

Język Larence'a poruszał się coraz szybciej i gwałtowniej. Drżąc, jęczała, raz po raz wypowiadając jego



imię. Czuli się tak, jakby zbliżała się do czegoś, desperacko pragnąc tego dotknąć, ale jednocześnie im była bliżej, tym szybciej wymykało się to z jej zasięgu.

Jej ciało naprężyło się. Wiła się na skale, pragnąc się uwolnić od tego bolesnego wręcz napięcia.

- Proszę - wyjęczała bliska łez. - To boli. O Boże, to boli.

- Puść już drzewo.

Trzęsąc się, zsunęła się po śliskiej skale prosto na kolana Larence'a. Bez żadnego wstydu rozłożyła nogi i oplótła go nimi.

Otoczyła go ramionami i ukryła twarz w ciepłym wilgotnym załamaniu szyi kochanka. Przywarła do niego, gdy się wynurzył i przycisnął ją do skały. Poczuli na ciele chłód wody i mimowolnie się zatrzęsła.

Gdy wszedł w nią, gwałtownie wciągnęła powietrze i jeszcze mocniej przywarła do jego spoconego ciała. Zaczął poruszać się w niej coraz szybciej, a ona, gładząc go po plecach, dopasowała się do jego rytmu.

- O Boże, Larence... O Boże, o Boże, o Boże...

Naprężyła się i zadrzała. Wysunęła biodra do przodu, płonąc z pożądania, wbijając paznokcie w plecy kochanka. Już prawie tam była, już prawie...

Ulga przetoczyła się przez jej ciało niczym morski bałwan. Wybuchł rozgrzany do czerwoności wulkan przyjemności tak czystej, tak żywiołowej, że po twarzy Emmy spłynęły gorące łzy. Zagryzła mocno dolną wargę, aby powstrzymać krzyk, gdy jej ciało ogarniał spazm za spazmem. Prawie nie dotarło do niej, że Larence wbił się w nią mocno po raz ostatni, wtulił twarz w jej szyję i głośno jęknął.

Kiedy wreszcie znalazła w sobie tyle siły, by otworzyć oczy, odkryła, że się w nią wpatruje. Patrzył na nią z miłością, czułością i lekkim śmiechem. Tak jak mężowie powinni patrzeć na żony, ale rzadko to robią. Zapragnęła go po raz kolejny.

Uśmiechnęła się, uświadamiając sobie, że przez te wszystkie lata myliła się. Seks nie był obowiązkiem. Nie był celem ani sposobem dotarcia na szczyt. Był przyjemnością samą w sobie.

I - o dziwo - Larence, prawiczek, wiedział o tym od pierwszej chwili.

W jego oczach zamigotały iskierki śmiechu.

- A więc, Em - zaczął, przeciągając słowa - czy tym razem też było zbyt... błyskawicznie?

Uśmiechając się, wciąż drżącą dłonią odgarnęła z jego twarzy kosmyk mokrych włosów.

- Być może, doktoru, przy odrobinie więcej praktyki...

## 23

Larence zaniósł Emmę na brzeg. Jej ciało było ciepłe, a jego ramiona wydawały się właściwym schronieniem. Szyję pieścił mu kobiecy oddech delikatny jak muśnięcie skrzydeł motyla.

Gdy postawił ją na ziemi, przeciągnęła się niczym zadowolony kot, który znalazł dla siebie doskonałe miejsce na ciepłym piasku.

Larence wpatrywał się w nią jak zahipnotyzowany. Jej nagie ciało wyglądało jak aksamitna brzoskwinia. Burza wysychających blond włosów opadała kaskadami na ramiona Emmy. Na czoło spadało kilka niesfornych złocistych loków, a do nagich piersi i wilgotnego brzucha przywarły długie, rozjaśnione przez słońce pasma. Piasek przyklejał się do jej skóry niczym drobinki złotego pyłu.

Uklęknął przy niej i odgarnął z jej piersi kosmyk włosów, który okręcił się wokół jego palca, silny, ale jednocześnie delikatny. Tak jak kontakt, który się między nimi wytworzył: kruchy i wiotki.

Gdyby tylko mnie pokochała.

To pragnienie miłości nie było nowe. Było obecne w życiu Larence'a od zawsze. Nawet teraz pamiętał, jakie przeżywał katusze, gdy pragnął miłości babci tak żarliwie, tak desperacko, że zrobiłby wszystko, aby zasłużyć na chociaż niewielką aprobatę. Przez lata się starał, przegrywał i próbował od początku. Aż wreszcie się poddał. I już nigdy więcej nie spróbował - ani z babcią, ani z kimkolwiek innym. Miał dziesiątki przyjaciół i znajomych, ale nikogo, z kim dzieliliby prawdziwy - emocjonalny, duchowy czy też fizyczny - związek.

Dopóki nie spotkał Emmaline. Było w niej coś - przypuszczał, że ból, który widział w jej oczach od samego początku - co przyciągało go niczym ćmę do ognia. I jak ćma zbliżał się do niej coraz bardziej, coraz bliżej gorąca, pragnąc, aby ogrzało go choć na krótką chwilę.

Starał się wmówić sobie, że to nie ma znaczenia, że Emma go nie kocha, że nigdy go nie pokocha. Ale okłamywanie - siebie czy też innych - nie leżało w jego naturze.

Nie miał pojęcia, co zrobić, żeby się w nim zakochała. Dał jej już wszystko, co mógł. Jeżeli to nie wystarczało...

- Larence? - odezwała się. - Co ci jest?

- Nic - odparł sucho i z bólem.

Emma wyciągnęła rękę i go dotknęła. Jej palec pieszczotliwie gładził męski policzek.

- Połóż się koło mnie.

Zmusił się do uśmiechu.

- Nienasycona dziewczucha.

Zaśmiała się. Ten czysty, przejrzysty dźwięk na nowo przepełnił go pragnieniem i tęsknotą. Tak bardzo chciał słyszeć ten śmiech każdego dnia do końca życia.

Wyciągnął się, otaczając ją ramieniem i przytulając, po czym zaczął się wpatrywać w błękitne niebo. Spływające na ziemię promienie słoneczne otaczały ich aureolą złotego ciepła.

Dopiero po kilku minutach Larence uświadomił sobie, że kiedy niósł Emmę z basenu, nie utykał. Gdy zdał sobie z tego sprawę, usiadł.

Emma ześlizgnęła się z niego i upadła plecami na piasek. Uniosła dłoń, aby osłonić oczy przed słońcem, i zamruła.

- Co ty wyprawiasz?

Oszołomiony Larence przyglądał się złotemu miastu z jeszcze większym szacunkiem. Otaczała go magia, która okazała się potężną, rzeczywistą siłą.

W oczach ukochanej zobaczył troskę. Położył się, ponownie mocno ją przytulając. Ogrzany ciepłem jej ciała, przypatrywał się jasnemu niebu, czując się tak, jakby otrzymał cenny kruchy skarb. Trzymał go w drżących, niepewnych dłoniach, obawiając się, że najmniejszy nawet oddech sprawi, że skarb odfrunie i dłonie pozostaną znowu puste.

Dłonie... W jego świadomości pojawił się znajomy obraz, który przypomniał mu o dawnym bólu. Dłonie, małe, różowe i zupełnie nieruchome, przyklejone do zimnej szyby. Dłonie, które tak bardzo korciło, by sięgnąć do klamki i pomachać do chłopców grających w piłkę w pobliskim parku. Ale pozostawały przyklejone do szyby. Był odseparowany od innych dzieci nie tylko przez szkło, ale także przez głębokie przekonanie, że nikt go nie chce.

Larence zacisnął powieki i okazało się, że przynajmniej raz nie ma problemów z wyrzuceniem tego z pamięci. Wystarczyło tylko pomyśleć o tym, jak niósł Emmę na rękach, a okropne wspomnienia z dzieciństwa rozplywały się niczym dym.

Westchnął z niedowierzaniem. Zawsze czekał na ten moment, modlił się, wierzył w niego. W pewien sposób wiedział, że Cibola stanowi swego rodzaju rekompensatę za wszystkie stracone chwile, ale nigdy, nawet w najskrytszych chłopięcych fantazjach, nie przypuszczał, że to miasto go uleczy.

- Larence, ty cały drżysz.

- Przestałem kuleć.

Emma usiadła wyprostowana. Odwróciła się, oparła dłonie na Jego klatce piersiowej i uważnie mu się przyjrzała. Jej niebieskie oczy były pełne przejęcia i podekscytowania, gdy zapytała cicho:

- Przestałeś?

- Też nie mogę w to uwierzyć.

Nie zamruła, nie poruszyła się, nie uśmiechnęła ani nie Marszczyła czoła. Po prostu siedziała, wpatrując się w niego oczami, w których widniała niepewność. Larence nie był w stanie odgadnąć, o czym Emma myśli, ale miał niejasne wrażenie, że Jest ona na granicy powiedzenia czegoś, co wołałaby zataić. Wreszcie podjęła decyzję i niepewność zniknęła z jej oczu.

- Jak to się stało? - spytała.

Larence zamarł. Pytała go o jego życie, o przeszłość. Być może nie było to wiele. Dla innej kobiety mogło to być nie więcej niż czcza pogawędka, ale nie dla Emmy. Ona nie wdawała się w uprzejme konwersacje. Wyciągała teraz do niego dłoń, z drżącymi palcami, ale wyciągała.

Widział jej zdenerwowanie; zagryzała dolną wargę. Instynktownie wiedział, że gdyby jej teraz odmówił, nigdy więcej nie spytałaby go o to. Nigdy więcej nie wyciągnęłaby dłoni.

Nie obawiaj się - powiedział do siebie w duchu. Opowiedz jej o tym. Daj jej wszystko, co tylko masz, i módl się, aby to wystarczyło. Pokaż jej, na czym polega dzielenie się z kimś. Nabrał głęboko powietrza.

- Wywrócony powóz. Zdruzgotał mi kostkę.

Emma siedziała bez ruchu i wpatrywała się w swego towarzysza. Czekala.

- Widzę, że nauczyłaś się cierpliwości - rzekł.

- To była jedna z moich ulubionych lekcji. - Posłała mu łagodny, czarujący uśmiech, który ogrzał chłodne zakamarki jej duszy. - No więc jak to się stało?

Nie obawiaj się. Daj jej wszystko i spraw, aby to wystarczyło.

Dla Emmy otworzył drzwi, które były zamknięte przez trzydzieści lat. Przez jego głowę przemykały się - jedno po drugim - wspomnienia. Skrzywił się i zacisnął powieki.

Wrócił do roku 1863; był czteroletnim chłopcem w drodze powrotnej z teatru.

*Powóz się przechylił. Kobieta krzyknęła. Larence wyleciał z ramion matki i wpadł na drewniane drzwi. W jego stopie eksplodował ból. Krzyczał, przerażony jego ogromem. Uszy chłopca bombardowała kakofonia dźwięków: przerażające rżenie upadającego konia, zgrzyt metalowych podków, przesuwających się po śliskim bruku, trzask uderzających o twardą drogę drzwi.*

*Po chwili było już po wszystkim. Zapanowała cisza.*

*Plącząc, czuł się w ciemności panującej w przewróconym powozie, badając drogę małymi drżącymi dłońmi.*

- Mama? Mama?

- Larence?

Głos Emmy wyrwał go z przeszłości. Spojrzał na nią przestraszony i dojrzał w jej oczach coś, czego wcześniej nie widział: współczucie i zrozumienie. Tak jakby wiedziała, jak to jest być opuszczonym, samotnym i niewiarygodnie przerażonym.

Jej milczące zrozumienie utuliło go niczym ciepły koc, uspokajając i dając siłę.

- Jechaliśmy do domu z teatru i ojciec utracił kontrolę nad końmi. Powóz się przewrócił i moi rodzice zginęli. Ja... ja musiałem długo czekać na ocalenie. Długo? - pomyślał tępo. Całe życie.

- Mama? Gdzie jesteś?

*Wokół niego zamykała się ciemna nicność. Miał problemy z oddychaniem. Walczył z babskimi łzami, desperacko starając się być silny i taki, aby tato mógł być z niego dumny.*

- Lare? - Dobięł do niego drżący głos matki. Przyczołgał się do niej, wlokąc za sobą obolałą stopę. Skrzyżował nogi i ułożył głowę matki na swoich małych kolanach. W jego spodnie wsiąkało coś ciepłego i lepkiego.

- Mama?

- Kocham cię, skarbie - wyszeptła urywanym głosem. - Bądź silny.

- Ale mam... mam...

Larence nie mógł uwierzyć, że trzydzieści lat później te wspomnienia wciąż tak bardzo boją. Przecież każdy powinien w końcu dorosnąć.

Ale on nigdy nie był w stanie zapomnieć. Kiedy już zbliżał się do tego momentu, zawsze znalazło się coś, co przypomniało mu o godzinach spędzonych w wywróconym powozie, głowie nieżyjącej matki, spoczywającej na jego kolanach, jej krwi wsiąkającej w chłopięce spodnie. O czekaniu w przerażającej ciemności na ojca, który wtedy już nie żył.

Starał się, jak mógł, być silny, dorosły. Ale był tylko przełazony.

Emma poczuła, jak coś chwyta ją za gardło. W jej oczach pojawiły się gorące łzy, które bezwiednie spłynęły po policzkach. Serce bolało ją z żalu za tego małego chłopca, siedzącego w ciemności, czekającego i modlącego się do Boga, który nie chciał go wysłuchać. Nic dziwnego, że wciąż przeżywał koszmary związane z ciemnością.

- To musiało być straszne.

Larence przytulił ją mocno i pogłaskał po nagich plecach. Dopiero po chwili zdał sobie sprawę, że to on pociesza i uspokaja Emmę.

- Na szczęście, jak sądzę, miałem babcię, która mnie wychowywała.

Dosłyszała w jego głosie fałsz, zobaczyła go w ledwie dostrzegalnie zmienionym wyrazie oczu. Kilka tygodni temu nie zwróciłaby na to uwagi, prawdę mówiąc, nawet nie próbowałaby tego zrobić. Ale teraz wszystko było inaczej, ona była inna.

- Tak, na szczęście - powiedziała.

- Bardzo się starała mną opiekować, nie narażać na niebezpieczeństwo.

Emma postanowiła spróbować.

- Może za bardzo?

Ból wykrzywił mu twarz.

- Może.

Ponownie ścisnęło się jej serce. Instynktownie wiedziała, że Larence nigdy nie powie jej więcej, nie przyzna się do swoich dziecięcych lęków i samotności. Nie miał zamiaru do tego wracać. Przekształcił swój ból w coś, z czym był w stanie żyć: marzenie. Znalazł nadzieję w ciemności rozpaczy.

Nie, nie znalazł, poprawiła się w duchu, on ją stworzył.

Wpatrywała się z niego z ogromnym szacunkiem. Jak mu się to udało? Gdyby jej się to przytrafiło, byłaby zgorzkniała, wściekła i żyłaby w izolacji.

Właśnie tak, jak żyła.

Uświadomienie sobie tego najpierw zaskoczyło Emmę, a po chwili zawstydziło. Pozwalała sobie na

wściekłość i zgorzknienie. Nie tylko rozpamiętywała przeszłość, ale także pławiła się w bólu, aż wspomnienia upośledziły ją i zawładnęły jej duszą.

Podczas gdy Larence odnalazł siły, nadzieję i optymizm, ona знаła jedynie ciemność, rozpacz i gniew.

Został osierocony, okaleczony; wychowywała go kobieta, która najwyraźniej nie chciała tego chłopca. Nie kochała go. I wciąż posiadał siłę, która pozwalała mu unieść się ponad to wszystko. Wierzyć, że świat to wspaniałe miejsce.

Emma odetchnęła głęboko. Przez lata rozpamiętywała niesprawiedliwość, jaka spotkała ją w dzieciństwie, próbując dzięki temu utrzymać światło i radość na dystans. Ale teraz zapragnęła tego światła, chciała otulić swoją duszę jego ciepłem i ogrzać wszystkie jej zakamarki. Pragnęła odnaleźć w swoim życiu optymizm i radość, tak jak Larence.

*Pamiętaj dobre chwile. Zapomnij o złych.* Przypomniały jej się jego słowa, które tym razem niosły ze sobą nowe znaczenie. Świadomie starała się przypomnieć sobie dobre chwile z dzieciństwa. Pojawiły się one z zadziwiającą łatwością. Uściski. Pocałunki. Śmiech.

Pomyślała o ostatnich wspólnych rodzinnych świątach. Dotychczas pamiętała je jedynie jako poranek, kiedy ona i rodzice tulili się do siebie, zziębnięci i głodni, przy gołym drzewku. Ale teraz widziała coś jeszcze, wspomnienie radości i miłości. Zamiast rozpamiętywać chłód panujący w ciemnym mieszkaniu, Emma przypomniała sobie ciepło uścisku ojca, miłość zawartą w spojrzeniu matki.

Stłumiła w sobie tak wiele, o tylu rzeczach zapomniała. Nagle poczuła się młoda, wolna i szczęśliwa, gotowa, by zacząć wszystko od początku. Przepęłniała ją radość i nadzieja. Uśmiechając się, otoczyła Larence'a ramionami i ucisnęła go z całej siły.

- Hej! - zawołał, gładząc jej nagie plecy. - Za co to?

Emma przełknęła ślinę i odsunęła się na tyle, by go widzieć. Ich spojrzenia się spotkały i zobaczyła w zielonych głębiach Jego oczu miłość tak czystą, tak prawdziwą, że zachciało jej się znowu płakać.

- Kocham cię, Larence.

Zbladł.

- Nie mów czegoś, jeżeli nie jesteś tego pewna, Em. - Głos mu zadrżał. - Wszystko, tylko nie to.

Pogłaskała go po policzku.

- Jestem pewna. Przez całe życie myślałam o pieniądzach, tylko o pieniądzach. Ty to zmieniłeś. Zmieniłeś mnie. - Cicho się zaśmiała i dodała: - Teraz myślę o pieniądzach i o tobie.

- Wyjdź za mnie.

Jej śmiech zamarł. Szczęście zderzyło się ze strachem.

- Emma? Nie mów mi, że zaniemówiłaś.

Wpatrywała się w niego w oszołomieniu. Jego słowa były niczym jasne, gorące światło, ofiarujące ciepło, którego szukała przez całe życie, nie oczekując, że je znajdzie.

Pragnęła odrzucić na bok ostrożność i powiedzieć „tak”, krzyknąć ile sił w płucach. Ale panicznie się bała. A jeżeli to wszystko było kłamstwem? Jeśli zmieniła się tylko trochę i jutro znowu stanie się zimna i twarda? Nie darowałyby sobie, gdyby zraniła Larence'a.

- Wyjdź za mnie. Teraz.

- Nie, nie mogę.

Ujął jej twarz.

- Wyjdź za mnie.

Emma chciała potrząsnąć głową, lecz jego dłonie uniemożliwiły jakikolwiek ruch.

- Boję się. - Z jej ust wymknęły się te znienawidzone słowa prawie niedosłyszalnym szeptem.

- Więc przestań się bać.

- Nie jestem taka, jak myślisz. Naprawdę, ja...

- Więc się zmień.

- A jeśli nie potrafię?

Larence uśmiechnął się lekko.

- Emmo, ty już się zmieniłaś.

Jej serce na chwilę zamarło.

- Naprawdę tak sądzisz.

- Emmo, jestem pewien. A teraz powiedz, że za mnie wyjdiesz. Zadam to pytanie jeszcze tylko dwadzieścia dwa razy, więc zacznij się zastanawiać.

Nerwowo przesunęła językiem po dolnej wardze. Zmieniła się; Larence miał rację. Może nie do końca, nie we wszystkim, lecz za bardzo, by powrócić do poprzedniego stylu życia. Teraz, kiedy wiedziała już, co znaczy kochać i być kochanym, nie potrafiłaby z powrotem żyć w samotności.

Larence nie mylił się w tak wielu sprawach. Może miał także rację co do niej? Co do nich.

Chociaż raz w życiu musiała komuś zaufać i naprawdę uwierzyć, że jest zdolna do miłości. Przełknęła głośno ślinę, żałując, że nie ma przy sobie odrobiny brandy dla uspokojenia nerwów.

- Dobrze - wyszeptwała. - Wyjdę za ciebie.

W chwili, gdy to powiedziała, przepełniło ją niesłychane poczucie wolności. Miała wrażenie, że się zbliża do domu.

- Jesteś pewna?

Emma uniosła dłoń i dotknęła jego szorstkiego policzka. Ich spojrzenia się spotkały. W oczach Larence'a dostrzegła niedowierzanie i strach, tak jakby się bał, że to wszystko nie dzieje się naprawdę. Jej oczy wyrażały najszczerzą miłość i spokój. Jestem pewna.

## 24

Emma zgodziła się za niego wyjść. Larence powtarzał to sobie w myślach mniej więcej co piętnaście minut i za każdym razem przepełniało go to zdziwieniem.

- Spójrz, Larence!

Puściła jego dłoń i pobiegła do przodu. Bluzka zsunęła się jej kusząco z jednego ramienia. Za jej plecami powiewała burza jasnych włosów. Na złotej ulicy słychać było odgłos bosych kobiecych stóp.

- Pospiesz się! - krzyknęła, śmiejąc się.

Larence przyglądał się jej z dumą, której nie był w stanie ukryć. Biegła lekko, tak pewna siebie i tego, co chce. Zawsze taka pewna. Do jego uszu dobiegł śmiech Emmy i poczuł nagłe pragnienie, aby podbiec, chwycić ją i zamknąć w ramionach, zedrzeć z niej ubranie, po czym położyć na ogrzanej słońcem ulicy i wycierać każdy centymetr nagiego ciała.

- No chodź.

Odepchnął od siebie rozkoszną fantazję i pospieszył w jej stronę, wciąż zachwycając się tym, że jest w stanie biec bez żadnych przeszkód. Dogonił ją w kilka sekund, chwycił jej dłoń i obrócił twarzą do siebie.

Zdziwiona, zamrugwała. Na tle owalnej opalonej twarzy jej oczy wydawały się ogromne i niesamowicie niebieskie. Do uchylonych ust, nosa i rzęs przywierały pasma rozwianych włosów.

W ułamku sekundy Larence ponownie się w niej zakochał. Odgarnął z jej twarzy włosy i ułożył za uchem.

- Czy wiesz, jak bardzo cię kocham?

- Jak? - zapytała, potrząsając zalotnie głową. Uśmiechnął się.

- Bardziej, niż na to zasługujesz.

- Akurat co do tego nie było nigdy wątpliwości - odparła, odwzajemniając uśmiech.

Otoczył ją ramieniem i przyciągnął do siebie, kolejny raz myśląc o tym, jak to cudownie jest oddychać świeżym powietrzem tego pięknego wiosennego dnia. Emma oparła głowę na jego ramieniu. Razem, tym razem nieco wolniej, poszli ulicą. Nie czuli się przez nikogo ani przez nic poganiani. Mieli przed sobą całe życie i oboje o tym wiedzieli. Byli młodzi, zakochani i znajdowali się w mieście z marzeń i snów.

Larence uśmiechnął się. To niesamowite, że prawie zapominał o Ciboli. Odnalazł ją, marzenie swego życia, a teraz, kiedy do niej dotarł, jego znaczenie bladeło w porównaniu z tą przypadkowo znaną miłością.

Skręcili, dotarli do pierwszego zabudowania, zatrzymali się i z cichym zaskoczeniem wpatrywali w wejście. Łukowe drzwi, wykonane z polerowanego srebra wysokiej próby, udekorowano turkusami. W drzwiach wisiały wyblakłe resztki czerwonej niegdyś zasłony.

- Jakie to piękne - wyszeptwała Emma.

Larence bez słowa ujął jej dłoń i razem weszli na niski stopień. Postrzępione brzegi zasłony otarły się o jego czoło i na chwilę otuliły zapachem starej, pokrytej pajęczyną wełny. Odetchnął głęboko, rozkoszując się tym dziwnym aromatem.

Na widok tego, co ujrzał w środku, nie był w stanie uczynić kolejnego kroku. Właśnie na to czekał od lat. Nie złote ulice, srebrne drzwi albo turkusy, ale to: codzienne życie w Ciboli. Poczł woń suchego piaskowca, starej skóry i próchniejącego drewna. I czegoś Jeszcze, czegoś, co prawie potrafił nazwać, ale nie był pewien.

Kukurydza, uświadomił sobie nagle. Czł ulotny zapach kukurydzy.

Ściany z piaskowca tworzyły okrągłe, przytulne mieszkanie. Dwa oszklone okrągłe otwory w obu ścianach stanowiły okna, które wpuszczały do pomieszczenia zamglone promienie słońca, tworzące znak krzyża.

Emma, stojąca za plecami swego towarzysza, kichnęła.

- Niewiele widzę.

Larence puścił jej dłoń i przysunął się w stronę światła, aby lepiej widzieć rozpościerające się przed nim bogactwa. Przy ścianie na wprost niego znajdowało się kwadratowe palenisko. W jego kamiennym

wgłębieniu stał tuzin jednakowych młynków.

Do sufitu przyczepiony był drąg i Larence prawie widział koce i ubrania, które kiedyś na nim powiewały. Po prawej wisały na ścianie antylopie rogi. Obok znajdowały się niezliczone kołczany, łuki, maczugi, tarcze, pałki i inne wojenne akcesoria. W odległym rogu na niskiej ławie stało kilka dzbanów na wodę i około pół tuzina glinianych garnków.

Nawet z takiej odległości potrafił docenić ich artyzm. Pospieszył w ich kierunku i przyklęknął przed tymi wspaniałościami. Dotykając chropowatej, misternie dekorowanej powierzchni jednego z dzbanów, z zachwytem pomyślał, że to rękodzieło nie ma sobie równych.

Emma bezszelestnie uklękła przy nim na kamiennej podłodze.

Uśmiechnął się, myśląc, że to wspaniale mieć ją teraz przy sobie. To odkrycie byłoby o wiele mniej satysfakcjonujące, gdyby dokonał go w pojedynkę.

Przed jego oczami pojawił się nagle obraz, czysty, wyraźny i przesłaniający sobą wszystko inne. Ujrzał siebie i Emmę, starych, z siwymi włosami, pochylających się nad zawalonym papierami biurkiem. Pracowali nad czymś - być może nad książką - związanym z pewnym tajemniczym miejscem. Pracowali wspólnie.

Razem, pomyślał z dumą, będą razem przez resztę życia. Razem będą w stanie zrobić wszystko.

Jeśli tylko...

Larence starał się powstrzymać tę myśl, ale nie potrafił. Była tylko jedna rzecz, mogąca stanowić kość niezgody między nimi. To mogło ich rozdzielić. Pieniądze.

Musiał w końcu poznać odpowiedź. Zaciśnął dłonie w pięści, odwrócił się do klęczącej obok niego kobiety i rzekł:

- To należy do muzeum.

Wyglądała na zaskoczoną i zmieszaną jego słowami.

- Oczywiście, że tak.

Larence poczuł wszechogarniającą ulgę. Dotknął twarzy Emmy, delikatnie uniósł jej podbródek i popatrzył głęboko w oczy. W ich niebieskiej głębi dojrzał własną przyszłość, swoje życie. Kilka dni temu podarował tej kobiecie duszę, zaufał jej dużo wcześniej, niż powinien. A teraz udowodniła, że zasługuje na jego zaufanie, miłość, jego duszę, marzenia - wszystko to było bezpieczne w jej rękach.

- Kocham cię - rzekł, po raz pierwszy uświadamiając sobie, jak fatalnie nieadekwatne są te słowa. Jak małe w porównaniu z uczuciem, które wyrażają.

Emma uśmiechnęła się, a on ponownie zdziwił się, widząc piękno jej oczu teraz, gdy zniknęły z nich już resztki chłodu.

- Śmiało - powiedziała. - Wyciągaj notes.

Roześmiał się, gdy uświadomił sobie, jak ona dobrze go zna. Odwrócił się, by po raz ostatni rzucić okiem na dzban, po czym położył dłonie na kolanach i zaczął się podnosić. Wtedy coś przyciągnęło jego spojrzenie.

Dzbanki uderzyły cicho o siebie, gdy wsunął dłoń w przestrzeń pomiędzy nimi. Jego palce zamknęły się na czymś zimnym i twardym. Ostrożnie cofnął dłoń. Znajdował się w niej lśniący stos turkusów i srebra.

Emmie zaparło dech.

Słońce oświetliło naszyjnik i sprawiło, że załśnił niebiesko-zielonym blaskiem. Pośrodku perfekcyjnie wypolerowanych kamieni znajdował się mniejszy sznur oprawionych w srebro kamyków.

- Och, Larence.

Rozwinął naszyjnik, a gdy to zrobił, na ziemię z cichym odgłosem upadła prosta złota obrączka. Uśmiechnął się, po czym Przyłożył naszyjnik do szyi Emmy.

- D...dla mnie?

- Przynajmniej na teraz - odpowiedział, otaczając klejnotami Jej szyję.

Siedziała bez ruchu, zupełnie jak piękny posąg, do którego często porównywał ją w myślach. Turkusy otulały jej szyję, a mniejszy sznur spoczywał w rowku między piersiami.

Boże, była tak piękna. I była jego. Jego.

Klatka piersiowa Larence'a wydała się nagle zbyt mała dla jego serca. Nigdy nie przypuszczał, że taka właśnie może być miłość, że tak będzie się czuł. To było ukoronowaniem jego wszystkich marzeń, modlitw, które bał się wypowiedzieć. Długie samotne lata odeszły w dal, zniknęły niczym drobinki kurzu, zmyte wodą jego miłości.

- Emma?

Spojrzała na niego, mrugając.

- Daj mi dłoń.

Kiedy to zrobiła, wciąż klęcząc na jednym kolanie, rzekł uroczyście:

- Emmaline Amando Hatter, czy wyjdiesz za mnie?

W jej oczach zabłysły łzy.

- T...tak.

- W takim razie, Em, w obliczu Boga, historii i wszystkiego, co jest dla mnie święte, ślubuję kochać cię, troszczyć się o ciebie i miłować do końca moich dni.

Otarła łzy, które spłynęły po jej policzkach.

- La...Larence. - Zmarszczyła nagle czoło. - Jakie jest twoje drugie imię?

- Alexander. Uśmiechnęła się niepewnie.

- Larence Alexanderze Digby, w obliczu Boga i... złota, i wszystkiego, co jest dla mnie święte, ślubuję kochać cię, troszczyć się o ciebie i miłować do końca moich dni.

Wsunął na jej palec prostą złotą obrączkę. Pod ciężarem cennego metalu dłoń Emmy minimalnie drgnęła. Przez chwilę obydwójce, milcząc, przypatrywali się obrączce, każde pograżone we własnych myślach.

- Czy to małżeństwo jest już ważne? - zapytała nagle.

Na ustach Larence'a pojawił się zmysłowy uśmiech.

- Jeszcze nie. Pozostaje sprawa konsumpcji. - Objął ją w talii i przyciągnął do siebie.

Przewrócili się, łądując na twardej podłodze. Śmiejąc się, Larence przeturlał się na nią.

- Tutaj? - spytała bez tchu.

On tymczasem już zręcznie rozpinał jej bluzkę.

- Wątpię, aby to był pierwszy raz, gdy ktoś robi to na tej podłodze.

Uśmiechnęła się uwodzicielsko i uniosła głowę, aby go pocałować.

- Postaraj się tylko, żeby to nie był ostatni raz.

Nadeszła noc, która skradła światło przedostające się przez okrągłe okna. Jakieś pół godziny wcześniej krzyż utworzony przez wpadające do środka promienie słoneczne zaczął stopniowo znikać. Teraz jedynym światłem w pomieszczeniu był blask płonącego w palenisku ognia. Jasne, pomarańczowo-czerwone płomienie syczały i rzucały tańczące cienie na otaczające ich ściany.

Emma siedziała na piętach i opierała się zmęczona o ramię Larence'a. Na chwilę zamknęła oczy, po czym jej spojrzenie powędrowało z powrotem w kierunku arkusza papieru na jego kolanach. Pod zwinnym ołówkiem największy dzban na wodę właśnie zaczął przybierać kształty.

Larence szkicował go pewnymi, szybkimi ruchami. W pomieszczeniu echem odbijał się odgłos ich równomiernych oddechów, który nadawał temu dawno opuszczonemu miejscu nowe życie.

- Ta krawędź powinna być ciemniejsza - powiedziała Emma.

- Masz rację - odpowiedział i złożył pocałunek na czubku jej głowy. - Zdaje się, że będziesz odpowiednią żoną dla naukowca.

Uśmiechnęła się, myśląc o tym, jak bardzo się zmieniła w ciągu ostatnich kilku dni. Jeszcze dwa tygodnie temu spoglądały pogardliwie na kogoś, kto ośmieliłby się widzieć w niej Wspaniałą żonę dla naukowca. Teraz uznała ten komplement za pieszczotliwy.

Żona. Przez większość swego życia była samotnym odludkiem. Nic nie docierało do jej duszy; posuwała się ślepo naprzód, obsesyjnie pragnąc osiągnąć swoje cele, nie pozwalając sobie na to, by pragnąć zbyt wiele czy oczekiwać zbyt dużo od innych.

Był to dla niej jedyny sposób na przetrwanie w zimnych, ciemnych slumsach Nowego Jorku. W tym środowisku stała się twarda jak diament i podobnie zimna jak ten minerał. To właśnie utrzymywało ją przy życiu. Maksymalnie ograniczała wszelkie kontakty z ludźmi, bo nauczyła się, że miłość - w przeciwieństwie do pieniędzy - nie trwa wiecznie.

Ani razu nie pozwoliła sobie na uwierzenie, że może mieć więcej niż poczucie zabezpieczenia finansowego. Że może mieć to wszystko: dom, męża, który będzie ją kochał, dzieci i bezpieczeństwo finansowe.

Larence zmienił jej nastawienie do życia. Zaofiarował jej nadzieję, która oświetliła ciemną i ponurą samotność. A teraz, gdy siedziała przy nim, opierając się o niego niczym lojalna żona, nie mogła przestać wierzyć w to światło, w tę nadzieję.

Z pełnym zadowolenia westchnieniem ponownie zamknęła oczy, oparła policzek o ramię siedzącego obok mężczyzny i przesunęła palcami po turkusowym naszyjniku spoczywającym pomiędzy jej piersiami. Kamienie wydawały się chłodne i gładkie niczym lustro.

Zamarła. Uniosła natychmiast głowę.

- Larence! - Zerwała się na równe nogi. Zachwiał się, straciwszy swoją podporę, lecz nie przerywał rysowania.

- Tak? - spytał, nie podnosząc wzroku.

- Coś jest nie tak.

- Hm.

Emma skrzyżowała ręce na piersi, by powstrzymać drżenie. Nerwowo przyjrzała się pomieszczeniu. To, co jeszcze przed chwilą wydawało się ciepłe, przytulne i przyjazne, nagle stało się zimne i wrogie. Jej stopy zaczęły wybijać nerwowy rytm.

- Gdzie są ludzie?

Ołówek zatrzymał się. Larence uniósł głowę i się uśmiechnął.

- Nie żyją od setek lat.

- Przecież to wiem. Ale gdzie są ich kości? Albo ich groby?

Przez ułamek sekundy wpatrywał się w nią bezmyślnie. Po chwili się zerwał. Notes z hałasem upadł na podłogę.

- Cholera!

Nastąpiła chwila ciszy, po czym Larence przyciągnął Emmę do siebie i uniósł ją w silnym uścisku. Obracał się razem z nią, aż zaczęła się śmiać.

Kiedy zsunęła się w dół i jej nagie stopy uderzyły o twardą kamienną podłogę, wciąż wpatrywali się w siebie.

Larence złożył na jej ustach długi pocałunek, w którym zawarte były miłość, troska i obietnice.

- Pa-lo-wah-ti nie miał racji, kochanie, mówiąc, że powinnaś zawrócić - szepnął. - Masz swój udział w tej wyprawie. A teraz poszukajmy miejsca pochówku mieszkańców tego miasta.

Trzy godziny później dotarli do końca drogi. Znaleźli tam półtorametrowy okrąg utworzony z oszlifowanych kawałków jadeitu. Pośrodku tkwiła sękata laska przybrana czymś, co kiedyś musiało być okazałymi strusimi piórami i paciorkami. Larence wpatrywał się w laskę szeroko otwartymi oczami. Poszperał w kieszeni na piersi, wyciągnął dziennik i trzęsącymi się palcami zaczął przerzucać kartki. Po chwili uderzył palcem w jedną ze stron.

- Aha! Jest dowód.

Emma czekała cierpliwie, aż zostanie oświecona co do szczególnego znaczenia „aha”. Jej towarzysz milczał jednak, więc zapytała:

- Aha co?

- To jest laska Estebana. Popatrz tutaj. Pokazał jej rysunek tak szybko, że nie zdążyła się upewnić, czy to rzeczywiście jest laska, po czym zapatrzył się weń.

- Dziwne - rzekł.

Zerknęła jeszcze raz do dziennika i natychmiast zorientowała się, że Larence się nie mylił: to była laska.

- Według mnie, wygląda całkiem zwyczajnie.

- Co? - zapytał z roztargnieniem. - Ach, tak, niczym się nie wyróżnia. To po prostu...

- Po prostu co? - naciskała.

Potał podbródek i zmarszczył czoło.

- Esteban nigdy nie udawał się dokądkolwiek bez swojej laski. Ona była dla niego czymś w rodzaju talizmanu. Myślę, że tak ją można nazwać. Dlaczego miałby ją zostawić?

Zanotował coś szybko, po czym ponownie zmarszczył czoło.

- Oczywiście, równie intrygującym pytaniem jest kwestia zdobycia przez nich jadeitu. - Rzucił w jej kierunku znaczące spojrzenie. - W tych okolicach jadeit nie występuje.

Emma walczyła z ochotą, aby przewrócić oczami. Być może mimo wszystko nie była odpowiednią żoną dla naukowca. Taka rola wymaga dużo więcej cierpliwości.

- Larence - powiedziała z naciskiem. - Bardziej intrygującym pytaniem jest, gdzie są groby? Albo kości? Z wyjątkiem strażnika nie ma tutaj żadnych innych. Żadnych.

Skrzyżowała ręce na piersi i rozejrzała się. Z każdego miejsca w Ciboli widoczne było złoto, srebro i turkusy. Ale tym razem to nie drogocенności przykuwały jej uwagę, lecz miasto samo w sobie. Magia tego miejsca wydawała się silniejsza i jeszcze bardziej namacalna, tak oczywista i wyraźna jak ściany piaskowca.

- Nikt nie wybudowałby czegoś takiego, a potem po prostu odszedł - rzekła bardziej do siebie niż do Larence'a. - A więc co się wydarzyło?

W oddali zaskrzeczał jastrząb. Ten wibrujący dźwięk pojawił się w porannym powietrzu i zanikł.

Larence powoli się przebudzał, podświadomie przysuwając się do śpiącej Emmy.

- Dzień dobry, żono.

- Dzień dobry, mężu - odparła, mrugając. Przez długą chwilę leżeli, przytuleni, i wpatrywali się w niebo, czując pod sobą miękki ciepły piasek.

Emma przebiegła palcami po kręconych kasztanowych włosach, które porastały klatkę piersiową



Larence'a. Było cudownie obudzić się w jego ramionach. Wydała ciche, pełne zadowolenia westchnienie.

Czuła się spełniona, szczęśliwa i pewna siebie. Pomyślała o marzeniach, których nie dopuszczała do siebie w ciągu minionych lat, pragnieniach, nadziejach i modlitwach, które chowała pod lodową warstwą ambicji. Były ich setki. Tysiące.

Ale teraz miała tylko jedno. Niepewnie i tęsknie dotknęła swego brzucha. Jej dłoń przesuwiała się w górę i w dół po płaskiej, nagiej powierzchni. Gdzieś głęboko w jej wnętrzu coś drgnęło. Wiedziała, że to tylko nerwy albo zimno, albo po prostu zwykły skurcz mięśni, ale przez jeden zapierający dech w piersiach moment sądziła, że to nowe życie.

Larence ujął jej dłoń.

- Ja też pragnę dziecka - wyszeptał.

Emma wciągnęła powietrze. Natychmiast pochłonęły ją myśli, że może pewnego dnia... Przez całe lata bała się pozwolić sobie na pragnienie dziecka, lecz bez względu na to, jak bardzo starała się kontrolować swoje myśli, samotnie w jej ogromnym łóżu, ale to pragnienie i tak wydostawało się na powierzchnię, silnie i wywołujące ból.

Przez jej głowę przebiegły znajome obrazy: ona trzymająca dziecko w ramionach, śpiewająca kołysankę, całująca maleńką i główkę. Tyle że tym razem te obrazy wywołały na jej twarzy uśmiech. Zaczynała w siebie wierzyć.

Uśmiech nagle zamarł na jej ustach, bo tuż za nadzieją nadeszły wątpliwości, uderzająco bolesne. Przypomniała sobie owa Eugene'a: *Nie jesteś kobietą, z którą chciałbym wychowywać dzieci.*

- Nawet o tym nie myśl - rzekł ostro Larence. - Będziesz wspaniałą, kochającą matką. Gdy Emma usłyszała w jego głosie pewność, w jej oczach pojawiły się łzy. Strach znacznie się zmniejszył, ale wciąż się bała. Prawdopodobnie ten niepokój nie opuści jej do czasu, aż rodzi dziecko i przez każdy następny rok jego życia. Ale miała przy boku Larence'a, a dzięki temu wszystko wydawało się prostsze.

Uśmiechnęła się do niego niepewnie. Może, pomyślała, jeżeli on we mnie wierzy, będę w stanie znaleźć siłę, aby uwierzyć w siebie.

- A ty będziesz wspaniałym ojcem.

- Mam taką nadzieję.

Tak jak ogień, który bierze swój początek z iskry, marzenie zaczęło nabierać coraz realniejszych kształtów. Emma przytaknęła gorączkowo.

- Naszemu dziecku niczego nie będzie brakować. Starła się nadać swojej obietnicy zwyczajne brzmienie, ale zupełnie jej to nie wyszło. W jej głosie pobrzmiewała desperacja i strach związany z jej dzieciństwem. Nawet teraz, otoczona ramionami Larence'a, nie umiała zapomnieć, co znaczy być biednym. Jej dziecko nigdy nie będzie musiało tego poznać, nigdy nie będzie głodne, zmarznęte lub zrozpaczone. Wolałaby pozostać bezdzietna i samotna do końca swoich dni, niż wychowywać je w ubóstwie.

Przypomniała sobie małe dziecko, które widziała w Rosare Court, i zadrżała. Wolałaby umrzeć, niż pozwolić swemu maleństwu kaszleć w taki sposób.

- Będzie miało gorące jedzenie, czyste ubrania, zdrową wodę do picia i sypialnię udekorowaną białymi hamburskimi koronkami.

- Wszystko to, czego ty nie miałeś?

Odruchowo pomyślała o kłamstwie i zatuszowaniu swojej przeszłości, tak jak to zawsze robiła. Po chwili jednak przypomniała sobie, że ma przy sobie Larence'a, i z jej ust wydostało się ciche, pełne wahania „tak”.

- Będzie miało to wszystko i jeszcze więcej - rzekł. - Miłość, troskę i światło.

Ta fantazja zawładnęła duszą Emmy. Ukryte głęboko nadzieje wydostały się na powierzchnię.

- Kiedy wrócimy, mam zamiar przekazać Columbia College pieniądze na postawienie nowego budynku. Nazwą go za to twoim imieniem. Wtedy nasza mała dziewczynka będzie wiedziała, że marzenia jej taty miały duże znaczenie. Od samego początku będzie świadoma tego, że w marzeniach nie ma nic złego.

Emma czekała na odpowiedź Larence'a, ale na próżno. Zali panowała niezręczna cisza. Zdziwiona, odwróciła się, by na niego spojrzeć. Wpatrywał się w nią z dziwnym, trudnym do odgadnięcia wyrazem oczu.

- Larence? Co jest?

- Michael Jameson mówił, że podczas krachu na giełdzie straciłaś wszystko. - Jego głos był cichy i zduszony. - Sądziłem, że właśnie dlatego pojechałaś ze mną.

Zaśmiała się.

- Opuściłam Nowy Jork z pięćdziesięcioma dolarami przy duszy. A wcześniej musiałam sprzedać moją ostatnią cenną rzecz, żeby je zdobyć.

- A więc skąd będziesz miała pieniądze, które masz zamiar przekazać Columbia College?

- Oczywiście z Ciboli.

Larence wyszarpnął ramię spod jej głowy i zerwał się na równe nogi. Głowa Emmy uderzyła o ziemię.

- Hej! - zawołała, rozcierając jej tył. - O co ci chodzi?

- O co mi chodzi? - Chwycił spodnie i zaczął je pospiesznie wkładać. - O co mi chodzi?

Emma spojrzała na niego podejrzliwie, usiadła, podniosła bluzkę i osłoniła nią nagie piersi. Jej twarz przybrała wyraz charakterystyczny dla okresu spędzonego na Wall Street.

- Tak, Larence, o to właśnie cię pytam. O co ci chodzi?

Przecisnął ostatni metalowy guzik przez dziurkę i oparł ręce ja biodrach.

- Jak możesz mnie o to pytać? Powiedziałaś, że tamte dzbany należą do muzeum.

Zdezorientowana Emma zmarszczyła czoło. Larence był najwyraźniej zdenerwowany, ale dlaczego na nią? Co takiego zrobiła? Tak, i właśnie to miałam na myśli. Wszystkie te sprzęty czynią należą do muzeum.

- Nie do wiary - wymamrotał, potrząsając głową. - Ty naprawdę nie rozumiesz.

- Nie, ja...

- Powiedz mi tylko to: skąd masz zamiar zdobyć pieniądze dla college'u?

- Z ulicy. Po prostu zabiorę kilkaset złotych płytek. - Zauważyła, że zbladł, i uniosła brwi. - Jakiś problem?

- Jakiś problem? - Wpatrywał się w nią z wyraźnym niedowierzaniem. - Czy jest jakikolwiek cholerny problem?

Emma drgnęła, słysząc jego podniesiony głos.

- Larence, przerażasz mnie.

Zbliżył się do niej o krok i postawił na nogi.

- To dobrze! - krzyknął prosto w jej twarz. - Bo ty także mnie przerażasz.

- Czy nie mo...

- Nie pozwolę ci zabrać złota. Ani jednego kawałka.

Emma poczuła się tak, jakby uderzył ją w twarz. Gwałtownie zbladła.

- Ale nasza umowa...

- Do diabła z umową! Chryste, Emma, jesteśmy małżeństwem.

Wpatrywała się w niego tępo, niezdolna do poruszenia się, powiedzenia czegoś bądź zareagowania w jakikolwiek inny sposób. Wszystko zaczęło się rozsypywać. Cała nadzieja, marzenie, w które dzięki niemu uwierzyła, modlitwy, wszystko. Przerażona, szeroko otworzyła oczy.

Spróbowała się cofnąć, lecz Larence zacisnął palce na jej ramieniu i nie pozwolił się ruszyć.

- Nie, Emmo. Nie możesz od tego uciec.

Ich spojrzenia się spotkały; mierzyli się wzrokiem. Emma poczuła na twarzy nerwowy oddech Larence'a. W jego oczach dojrzała ból.

Prosił ją, aby wyzbyła się myśli o pieniądzach, o bezpieczeństwie, jakie zapewniają. Prosił ją, by była biedna.

Przesunęła językiem po drżącej dolnej wardze. Łzy zamazywały to, co widziała.

- Nie prosz mnie o to, Larence. Wszystko, tylko nie o to. Dorastałam w biedzie, prawdziwej biedzie. Straciłam dziewictwo ze sprzedawcą jabłek za kilka nadgryzionych owoców. Nie. - Jej głos załamał się, ale nie odwróciła wzroku. - Nie prosz mnie, żebym tam wróciła.

- Nie proszę cię, żebyś gdziekolwiek odchodziła - rzekł cicho Larence. - Proszę cię, żebyś została. Ze mną. Proszę...

Emma słyszała, jak ją prosi, by została, wyczuwała w jego głosie bolesne pragnienie, które z nim dzieliła. Słowa były jasne: zostań. Ale jasna była również prawda: do widzenia.

Nie możesz mieć tego wszystkiego i zawsze o tym wiedziałaś. Z jej ust wydobył się krótki, cichy szloch. To wszystko było kłamstwem. Nie mogła mieć wszystkiego. Musiała wybrać. Miłość albo pieniądze.

Wybór, od którego uciekała przez całe życie, wreszcie ją dogonił. Czekał przez wszystkie te lata. Czekał cierpliwie, aż ona uwierzy w miłość, aż zacznie słabnąć. Wtedy uderzył z całą swoją mocą.

- Mój Boże, Em, przecież to kradzież. - Głos Larence'a przepełniony był silnymi emocjami. - I nie ukradniesz tego mnie, ale światu. Indiańskim dzieciom, które potrzebują tego o niebo bardziej, niż ty pragniesz kolejnego futra czy jakiegoś diademu z brylantami.

Uniosła głowę. Jak śmiał ją osądzać? Czy kiedykolwiek musiał spać w rynsztoku albo zjadać to, co pozostawili inni? Czy trzymał dłoń matki, która umarła z biedy, albo sprzątał bałagan po samobójstwie ojca? Jakie miał prawo, aby mówić jej, co jest właściwe? Wyszarpnęła się z jego uścisku i spojrzała z gniewem.

- Pewnie! - parsknęła. - Dalej, daj mi wykład, Larence. Ale to ty otrzymujesz wszystko, czego pragniesz od tego miasta. Wszystko znajdzie się w twoim wymarzonej muzeum. A ja znajdę się na bruku.

- Czy nie widzisz, Em? - spytał, chwytając ją za ramiona. - Czy nic nie rozumiesz? Nie będzie muzeum poświęconego Ciboli. To miejsce jest szczególne i magiczne. Ma być obejrzone, narysowane, opisane, dzielone z innymi. Ale nie ograbione.

Potrząsnął Emma, aż spojrzała na niego. Ból w jego oczach był dla niej niczym silny cios w brzuch. Jej słuszny gniew rozwiął się. Bez tego mężczyzny czuła się pusta i przerażająco samotna.

- Och, Larence. - Jego imię wydostało się z jej ust razem z westchnieniem porażki. Postrzegali świat w tak różny sposób. Nawet ich rozumienie tego, co jest właściwe, a co nie, nie pokrywało się. Głęboko na dnie duszy Emma zdawała sobie sprawę, że Larence ma w zasadzie rację. Nie powinna zabierać z miasta złotych płytek. Przyzwoity człowiek nie zrobiłby tego.

Ale ona nie była przyzwoita. Nic by nie osiągnęła, gdyby taka była. Kiedyś, dawno temu, była tak przyzwoita, jak tylko potrafiła. Aż do dnia, w którym musiała podejść do tłustego sprzedawcy jabłek i błagać go o kilka nadgryzionych owoców.

Wspomnienie to zabłysło w jej świadomości i ponownie poczuła się brudna i osamotniona. Trzęsąc się, zamknęła oczy i natychmiast stanęły jej przed nimi owinięte w koc zwłoki matki, które zsunęły się z wozu i upadły z płaszczykiem na stos innych ciał. Słyszała wypowiedziane przez woźnicę wyrazy współczucia. *Szkoda, że nie masz więcej forsy, dzieciaku. Te biedne groby nie stanowią miłego widoku.*

Po chwili do świadomości Emmy wkraśl się obraz jej ojca skulonego przy kuchennym stole. Nieżywego. Jego krew spływająca na podłogę.

Potrząsnęła głową, by rozpędzić uporczywą wizję, i otworzyła oczy. Utkwiony był w nich wzrok Larence'a.

Poczuła w klatce piersiowej utrudniający oddychanie ból. Może pewnego dnia byłaby w stanie zrobić to, o co ją prosił. Może po kilku latach życia w otoczeniu jego miłości zaczęłaby wierzyć w księcia na białym koniu i szczęśliwe zakończenie. Ale nie teraz. Całe lata spędziła w strachu i bólu - a tylko niecały tydzień był przepełniony miłością. Nie potrafiłaby odwrócić się plecami do swojej dotychczasowej egzystencji, do wszystkiego, czego kiedykolwiek pragnęła lub na co pracowała. Nie byłaby w stanie bezgranicznie, prawdziwie uwierzyć, że sama miłość może wystarczyć, że jest w stanie zapewnić ciepło i wyżywienie.

Jeszcze nie. Może nigdy. Larence poprosił ją o jedyną rzecz, której nie mogła spełnić. Boże, nie mogła z powrotem żyć w ubóstwie.

- M...mówiłeś, że mnie kochasz - wyszeptwała. Każde słowo ścisnęło jej duszę, po czym rozbijało ją na małe kawałki.

W jego oczach zapłonął ból.

- Bo cię kocham, Em. To uczucie będzie moim przekleństwem. Kiedy wyrwiesz ostatnią złotą płytkę z tego magicznego miasta, wciąż będę cię kochał. Ale to nie wystarczy. Jeśli zniszczysz to miasto, nie będę w stanie cię szanować.

A więc tak. Wszystko skończone.

Emma z bólem wypuściła wstrzymywane w płucach powietrze. Poczuła się mała, osaczona i przerażona, jakby goniła ją wielka dysząca bestia, zbliżająca się, by zabić.

Pomiędzy nimi zapanowała ciężka cisza. Świat skurczył się tylko do nich dwojga, stojących twarzą w twarz w samym środku magicznego miasta, oddalonych od siebie zaledwie o kilka centymetrów, a jednocześnie przerażająco samotnych.

Larence rzucił jej smutne spojrzenie.

- Kocham cię.

Słowa te napełniły Emmę bólem tak wielkim, że musiała zacisnąć usta, by powstrzymać się od krzyku. Jej zwisające po obu stronach dłonie zacisnęły się w zbieleńskie pięści. Miał rację - to uczucie będzie ich przekleństwem.

Wyciągnęła dłoń i dotknęła policzka ukochanego. Larence zeszytywniał, czując jej dotyk.

- Ja też cię kocham - powiedziała głosem brzmiącym niczym Szelest dawno opadłych liści. Jej dłoń po chwili wróciła na miejsce; Emmie natychmiast zrobiło się zimno. Zacisnęła ją w pięść, jakby mogła dzięki temu zachować przynajmniej wspomnienie ciepła Larence'a.

Trzęsąc się, zebrała swoje ubrania, włożyła je w bolesnej ciszy, po czym chwyciła pochodnię i odeszła. Nie obejrzała się za siebie, choć kosztowało ją to wiele.

## 25

Larence stał jak wrośnięty w ziemię. Drżał, dłonie miał zacisnięte. Odgłos towarzyszący uderzeniom bosych kobiecych stóp o ulicę był dla niego niczym wystrzały armatnie.

Zostawiła go. Wybrała złoto.

Na tę myśl jego twarz wykrzywiła się, a nogi zaczęły się uginać. Gdyby nie determinacja, upadłby.

Nie - pomyślał ponuro - to nie determinacja. To praktyka, całe lata praktyki. Od kiedy tylko pamiętał, zawsze walczył z bólem.

Przez całe życie był samotnikiem. Mały chłopiec z nosem rozplaszczonym na szybie, przypatrujący się zabawie innych dzieci. Zbyt nieśmiały, by szybko i łatwo nawiązywać przyjaźnie, czekał, aż inni chłopcy zbliżą się do niego, oczywiście na próżno.

Dawno temu przestał czekać i wyzbył się nadziei. I wtedy, gdy najmniej tego oczekiwał. Bóg odpowiedział na jego modlitwy.

Emmaline. To imię pojawiające się w jego świadomości podziało na niego uspokajająco, po czym ponownie zepchnęło w otchłań rozpacz. Wkroczyła w jego życie niczym promyk najjaśniejszego światła, ogrzewający i rozjaśniający zimne, ciemne i opuszczone zakamarki duszy - miejsca, o których starał się zapomnieć. Wystarczył jeden uśmiech tej kobiety, by zwalić go z nóg i sprawić, że zakochał się po same uszy. Nieodwołalnie. Całkowicie.

Głęboko odetchnął i bezmyślnie popatrzył na bladozielony basen. Jego wzrok przyciągnęła połyskująca powierzchnia wystającej z wody skały. W uszach Larence'a zabrzmiał beztroski śmiech Emmy. Otoczyły go wspomnienia zeszłej nocy, bolesne niczym pchnięcia ostrym nożem. Oderwał spojrzenie od chłodnej zachęcającej wody.

Zawsze myślał, że miłość będzie w stanie wszystko rozwiązać, że to właśnie w niej odnajdzie zaproszenie, którego nigdy nie otrzymał. Że ktoś w końcu zaprosi do zabawy osamotnionego chłopca chowającego się za szybą.

I tak się stało. W sposób, o jaki się modlił i na jaki zawsze miał nadzieję. Miłość okazała się taka, jak zawsze sobie wyobrażał, a nawet przerastała jego marzenia.

Larence zacisnął pięści tak mocno, że paznokcie wbiły się w dłoń. Starał się myśleć o czymś innym. Desperacko próbował nie pogrążyć się w rozpacz, ale tym razem nie był wystarczająco silny, by się uśmiechnąć lub mieć choć odrobinę nadziei.

Czuł się słabszy, bardziej pokonany, samotny i opuszczony niż kiedykolwiek wcześniej. Miłość w jego marzeniach była uczuciem trwającym wiecznie. Nigdy podczas tych długich, samotnych nocy, kiedy leżał sam w łóżku i wyobrażał sobie przyszłą żonę, nie przyszło mu do głowy, że miłość może się skończyć.

Zacisnął mocno oczy, walcząc z żalem i bólem. Słodki Jezu, to tak boli.

Idź za nią.

Ta myśl jedynie na ułamek sekundy przyniosła nadzieję. Wiedział, że nie potrafi przyłożyć ręki do zniszczenia tego miasta. Marzenia o Ciboli zawsze stanowiły dla Larence'a lekarstwo, pomagały żyć, trzymały na dystans przerażającą, towarzyszącą nocy ciemność. To właśnie tutaj zawsze przybiegał, gdy rzeczywistość stawała się zbyt trudna do zniesienia. Przez całe lata to miasto dawało mu nadzieję i utrzymywało przy życiu. Teraz przyszła jego pora na odwdzięczenie się.

Gdy dotarła do niego cała ironia tej sytuacji, usta Larence'a wykrzywiły się w ponurym, wyrażającym dezaprobatę uśmiechu.

Poprosił Emmę, by dokonała wyboru między miłością a pieniędzmi, i poczuł się zdruzgotany, kiedy wybrała to drugie.

A on? Czy był choć trochę lepszy? On też nie wybrał miłości. Wolał swoje marzenie i nawet teraz, wiedząc, co go czeka w samotnym życiu, dokonałby takiego samego wyboru.

Nie potrafił pogwałcić historii i splądrować tych pradawnych skarbów, nawet za cenę zatrzymania jedynej miłości, jaką znał. Jeśli zrobiłby to, jeśli w imię uczucia odrzuciłby wszystko, w co wierzył, zagubiłby w tym wszystkim siebie samego.

Odezwał się cichutki, ledwie słyszalny głos jego serca: „Może ona wróci”.

Przytrzymał się kurczowo tej nadziei, mimo że pewnie była złudna. Tylko ona mu pozostała.

Emma zacisnęła dłonie w pięści, oddalając się od ich prowizorycznego obozowiska. Wyłożona złotem droga przebiegała w poprzek równiny i wznosiła się wyżej. Emma przyspieszyła kroku, a odgłos jej obcasów uderzających o drogocenny kruszec stał się jeszcze głośniejszy. Jej oddech był krótki, bolesny i urywany. Zakłuło ją w boku, ale nie pozwoliła sobie na zwolnienie tempa.

Przy każdym kroku pragnęła się odwrócić i pobiec z powrotem do Larence'a, by rzucić się w jego kochające ramiona. Ale lata samodyscypliny teraz się przydały. Emmie udało się utrzymać usta zacisnięte w ponurą, ciekłą linię. Spojrzenie miała utkwione w zbliżające się szybko, zaciemnione przejście.

Odwracanie się i powrót nie miały żadnego sensu. Pozostanie z Larence'em oznaczało ubóstwo. Skręcające z głodu wnętrzości, kradnąca duszę bieda. Ta wizja była zbyt przerażająca, aby o niej myśleć.

Zdawała sobie sprawę, że przesadza. Głęboko w duchu wiedziała, że zachowuje się irracjonalnie, ale nie mogła się powstrzymać. Nie mogła tak po prostu wyeliminować lat spędzonych w strachu. Larence miał pracę, ale nic ponadto. Jej ojciec miał dziesiątki posad. Zatrudnienie nie oznaczało natychmiast bezpieczeństwa. Naukowa chwała również go nie zapewniała. Pieniądze - zimne, twarde monety - to one są

zabezpieczeniem. Emma nie mogłaby bez nich żyć.

Kochała Larence'a, to prawda. I zrobiłaby wszystko, o co by ją poprosił, z wyjątkiem tego. Nie potrafiłaby być dla niego biedna. Żyła kiedyś w brudnym, lodowato zimnym i ciemnym świetle i nie byłaby w stanie do niego wrócić. Nie potrafiłaby z powrotem pomaszerować do piekła, nawet dla Larence'a.

A poza tym on nie miał prawa o to prosić.

W chwili gdy Emma dotarła do przejścia, opuściła ją cała dotychczasowa siła. Wokół zamknęła się wilgotna cuchnąca ciemność. Pomyślała o zapaleniu pochodni, po czym przypomniała sobie, że nie ma zapalek, więc odrzuciła trzymany w dłoni kawałek drewna na bok. Uderzył o ścianę i upadł na ziemię.

Bolała ją każda kość. Zmęczona, oparła się o zimną skalną ścianę i zamknęła oczy.

Dopiero po chwili uświadomiła sobie, że czeka na Larence'a. Jej wszystkie zmysły skupiły się na złotym świetle, który znajdował się tuż-tuż. W uszach słyszała głośne uderzenia swego serca i odgłos urywanego oddechu, stłumiony szum wodospadu i... i...

Nic więcej. Było to dla niej niczym silne uderzenie w policzek. Larence nie szedł za nią. Nie potrafił wyrzec się miasta, tak jak ona nie umiała porzucić złota. Wszystko było już naprawdę skończone. W oczach Emmy pojawiły się gorące łzy. Poczowała ściskanie w gardle. Ukryła twarz w dłoniach i osunęła się na kolana. Z głuchym odgłosem uderzyła czołem o ziemię.

Przez jej głowę przemykały wspomnienia, obrazy i myśli, które mieszały się z marzeniami i nadzieją, aż stały się bezładną i bezzYTECZną plataniną płonącego bólu. Z każdą myślą, każdym wspomnieniem jej ciało trzęsło się coraz bardziej, a łzy spływały coraz szybciej. Z jej piersi wydobywał się spazmatyczny szloch. Niczym obłok mgły otaczał ją gryzący zapach starego kurzu.

Plakała tak długo, aż zabrakło jej łez, a oczy były opuchnięte i czerwone. I wciąż leżała załamana, pokonana i przerażona, z czołem dotykającym zimnej skały.

Gdy łzy stopniowo ustąpiły, pozostawiły po sobie ostry ból. Zmęczona Emma przysiadła na piętach i otarła wilgoć z policzków. Czuła narastający ból głowy.

Jak on mógł ją prosić, by wyrzekła się złota? Przecież mówił, że ją kocha.

Czy miłość polega na tym, by oczekiwać od kochanego człowieka, że porzuci coś, na co pracował, za co prawie umarł.

Do diabła z nim! Nauczył ją miłości i dał nadzieję. Dzięki niemu uwierzyła w istnienie szczęścia. Po latach spędzonych w ciemności, rozpacz i samotności wyciągnął do niej trzymającą światełko nadziei dłoń, a ona, głupia, sięgnęła po jego ciepło niczym nadgorliwa uczennica.

A teraz nie było już tego światła. Zakładając oczywiście, że w ogóle istniało. Znalazła się tam, gdzie zawsze była. Sama.

Głowa Emmy wydawała się puchnąć. Szyja ugięła się pod jej ciężarem. Ból stawał się coraz trudniejszy do zniesienia.

Dosyć. Z bezwzględnością wyniesioną z praktyki uniosła podbródek i zacisnęła zęby. Już dosyć się napłakała. Teraz nadszedł czas, by pójść dalej. Podjęła decyzję, tak jak i Larence, i teraz nie było już powrotu.

Owszem, kochali się. Ale tak jak od zawsze podejrzewała, sama miłość nie wystarcza.

Emma sięgnęła do głębin swojej duszy w poszukiwaniu tak dobrze znanej wewnętrznej siły. Powinna tam trafić na znajomą brykę lodu, ukrytą głęboko pod warstwą świeżo narodzonej miłości, zaufania i nadziei. Być może niewielką i rozpuszczającą się, ale wciąż ważną.

Wiedziała, że ją odnajdzie, bo to właśnie ona dała jej siłę niezbędną do odejścia od Larence'a. I to ona powstrzyma ją od powrotu.

Ochronnym gestem przyłożyła jedną rękę do brzucha, a drugą oparła o ścianę i zrobiła pierwszy krok. Potem następny i jeszcze jeden. Czuła się jak duży kawałek drewna; jej głowa była jedna wielką pulsującą bryłą bólu, ale jakoś Emmie udawało się posuwać naprzód.

Krok po kroku odnajdywała drogę w ciemności. Odgłos wodospadu stopniowo zanikał, aż zamilkł całkowicie. Przejście stało się zimne, ciemne i śmiertelnie ciche. Ale wciąż szła dalej.

Wreszcie dotarła do miejsca, gdzie przejście się zwężało. Ostrożnie badając drogę, przesunęła się do przodu. Jej but uderzył w coś. Zaklekotały kości.

Strażnik! Przywarła całym ciałem do skały i zamarła. Serce zaczęło jej walić w szaleńczym tempie. Wspomnienie paciorkowatych oczu i grzechoczącego ogona sprawiło, że w kolanach poczuła nagłą słabość.

Uspokój się. Przesunęła spocone dłonie po chropowatej ścianie, ściągnęła szybko spódnicę i upuściła ją u swych stóp.

Wciąż nie było słyhać żadnego grzechotania. Modląc się cicho, odeszła kawałek w bok, podniosła spódnicę, rzuciła ją na szkielec i upadłszy na kolana, wsunęła materiał pod zębra.

Dopiero gdy niepewnie się podniosła, usłyszała grzechotanie.

Chwyciła spódnicę i złapała za krawędzie szczeliny nad głową. Na jej twarz posypały się grudki ziemi. Emma z całych sił podciągnęła się w górę i z westchnieniem ulgi wydostała na powierzchnię. Upadła twarzą na ziemię, walcząc o oddech.

Poczuła ciepło. Podniosła głowę i ujrzała promienie żółtawego światła przedzierające się przez głęboką czerń korytarza. Wiedziała, że powinno jej to sprawić ulgę, ale czuła się jedynie zmęczona, stara i rozżalona.

Chwiejąc się, powoli zmusiła się do wstania. Oczekała chwilę, aby wziąć się w garść, po czym zrobiła pierwszy krok. Z każdym następnym jej nogi stawały się coraz cięższe, a smutek coraz większy. Zostawiła Larence'a. Zostawiła. Zostawiła. Zostawiła.

Wynurzyła się z ciemności niczym ćma. Promienie słoneczne oświetliły jej twarz i ogrzały zziębnięte ciało.

Emma zachwiała się. Nogi ugięły się pod nią i osunęła się, drżąca i wyczerpana, na ciepłą ziemię. Kolana uderzyły o twardą powierzchnię, wysyłając iskry bólu w stronę ud. Krzywiąc się, usiadła na piętach i spuściła głowę.

Słońce otoczyło ją swymi uspokajającymi, ciepłymi palcami i odeгнаło panujący w ciemności chłód. Przebiegł ją dreszcz, a na jej ciele pojawiła się gęsia skórka. Objęła się ramionami, starając się wpuścić do lodowato zimnych zakamarków swej duszy choć odrobinę słonecznego światła. Boże, to ciepło było tak miłe, że Emma prawie zapomniała o mężczyźnie, którego zostawiła.

Mężczyźnie, który pozwolił jej odejść.

Odrzuciła od siebie tę bolesną myśl. Nie miało sensu ponowne roztrząsanie jej decyzji. Podjęła jedyną, z którą była w stanie żyć, i koniec.

Potarła bolące oczy i rozejrzała się. W oddali dostrzegła sylwetkę samotnego jeźdźca. Wysoko nad jego głową jastrząb zataczał kółka na tle niesamowicie niebieskiego nieba. Irytujący skrzek ptaka odbijał się echem od skał i wibrował w uszach Emmy.

Niewyraźny jeździec zmierzał w jej kierunku. Poczuła ostre ukłucie strachu. Zerwała się na równe nogi i przytrzymała dłoń nad przekrwionymi oczami. Słyszała cichy odgłos zanurzających się w piasku kopyt. Zmrużyła oczy, starając się dojrzeć twarz jeźdźca. Kiedy rozpoznała zbliżającego się mężczyznę, jej strach przekształcił się w gniew. To był Pa-lo-wah-ti siedzący na małym osle.

W odległości około trzech metrów od niej stary zgarbiony mężczyzna zatrzymał osła. Jego niewiążące oczy odnalazły ją z zadziwiającą szybkością.

- Witaj - rzekł, podnosząc uroczyście dłoń w geście powitania. Emma zacisnęła zęby. Wiedziała, że to bez sensu czuć teraz irytację, ale nie obchodziło jej to. Jedyne, co czuła do tej pory, to poczucie zdrady, beznadziejności i ból. Gniew zdecydowanie poprawiał sytuację - od zawsze było to uczucie, z którym czuła się za pan brat.

- Co ty tutaj robisz? - spytała, opierając dłonie na biodrach.

- Twoja oślica jest osiodłana i czeka na ciebie.

- Dlaczego?

- Zabierze cię do fortu białych ludzi.

Zmarszczyła czoło.

- Słuchaj, miałam ciężki...

- Pojadę z tobą. To nie będzie długa podróż. - Zanim zdążyła cokolwiek odpowiedzieć, starzec zagwizdał, a Tashee - jak zwykle zdręczyni - przydreptała do niego posłusznie.

Emma popatrzyła na zwierzę, osiodłane, spakowane i gotowe do drogi, a jej determinacja zaczęła się chwiać. Podróżowanie w pojedynkę przez pustynię, bez umiejętności odczytywania kompasu i mapy, było trochę przerażające. Poza tym Pa-lo-wah-ti - jakkolwiek niesamowity - był jedynym dostępnym przewodnikiem.

- Jadę do Albuquerque - oświadczyła ostro.

- Fort jest bliżej i pełno tam białych ludzi.

Emma przygryzła dolną wargę. Musiała przyznać, że starzec ma rację.

- W porządku - rzekła w końcu. - Możesz jechać ze mną.

- Tak.

Starając się wyglądać na spokojną, chwyciła brzeg spódnicy ruszyła niewielkim nasypem w stronę Tashee.

Nie powinnaś jechać. Te słowa odbijały się szerokim echem w głowie Emmy niczym letnia burza: gwałtowna, ostra i niesłuchanie głośna. Łzy ponownie zakłuły ją w oczy.

Zaciskając zęby, otworzyła przytroczoną do siodła torbę i wyciągnęła z niej swoje długie majtki. Przełożyła nogi przez otwory w nogawkach, zasznurowała je w pasie, po czym wspięła się na grzbiet Tashee.

- Jedźmy - rzuciła gardłowo.

- Nie powinnaś była tam jechać - rzekł Pa-lo-wah-ti. Oto, czego potrzebuję w tej właśnie chwili, pomyślała, pociągając gniewnie nosem. Przeklęty starzec potrafiący czytać w cudzych myślach. Wytarła łzy i spojrzała na Indianina. Co ty tu, do diabła, właściwie robisz? Mówiłem, że was znajduję.

- Za miesiąc - odparowała. - To znaczy za trzydzieści dni, a nie trzy.

- Minęły trzydzieści trzy dni, odkąd opuściliście moje domostwo.

Emma zaniemówiła. Nie miała pojęcia, w jaki sposób odpowiedzieć na taki absurd, więc po prostu tego nie zrobiła.

Zacisnęła dłonie na uździe i skierowała Tashee w kierunku ukrytego wyjścia z zamkniętego kanionu.

Osiół Indianina, który dreptał tuż przed nią, po chwili zwolnił i jechali obok siebie.

- Myliłem się co do ciebie. Chciałbym cię za to przeprosić. Zaskoczona, odwróciła głowę. Starzec przyglądał się jej twarzy.

- Nie miałem racji. - Tym razem zostało to wypowiedziane łagodniejszym tonem. Do nosa Emmy przywędrował zapach jego oddechu i tytoniu. - Powinnaś była tam pojechać. Gdyby Larence sam dotarł do kanionu, zostałby tam pokonany. To ty, jego druga połowa, odnalazłaś korzeń bielunia i umożliwiłaś dokonanie pradawnego rytuału.

Usta Emmy otworzyły się ze zdziwienia. Skąd ten stary mężczyzna o tym wiedział? Przez całą noc ona i Larence byli przecież sami. Z wyjątkiem jastrzębia.

Nieoczekiwanie zadrzała. Jastrząb towarzyszył im podczas całej wyprawy, obserwował ich, podążał za nimi. Czy to możliwe, że Indianin widział poprzez ptasie oczy?

Spojrzała ostro na niewidzące oczy Pa-lo-wah-ti. Nie, pomyślała zdecydowanie. To absurdalne w ogóle rozważać taki pomysł. Ślepiec jest ślepcem, i już.

- Sądzę, że ty też nie miałaś racji - kontynuował. - Myślałaś, że jesteś niczym.

*Pa-lo-wah-ti nie miał racji, kochanie.*

Palce Emmy zacisnęły się na skórzanych lejcach. W jej ciało wbił się ciepły metal ślubnej obrączki. Indianin spojrzał na nią.

*Ślubuję kochać cię, troszczyć się o ciebie i miłować do końca moich dni.*

Łzy pojawiły się w oczach Emmy, po czym spłynęły po policzkach gorącymi strumieniami.

Starzec uściskał jej ramię i powiedział:

- Zostań.

Gdy potrząsnęła głową, pasma włosów przyklejały się do jej mokrych policzków, zasłaniając oczy.

- Nie mogę - rzekła cicho. - Zabierz mnie stąd. Proszę.

Indianin puścił jej ramię i z jego ust wydobyło się długie westchnienie.

- Jest właśnie tak, jak przypuszczałem. Jedź za mną.

Powoli zsiadł z osła i rozplatał sznur zagrządzający wyjście z kanionu. Po chwili znalazł się z powrotem na zwierzącym grzbiecie i zniknął w ledwie dostrzegalnym przejściu.

Emma nie mogła się powstrzymać. Odwróciła się, aby spojrzeć za siebie, mając nadzieję, że zobaczy Larence'a. Ale oczywiście nie było go tam. Ujrzała jedynie trawiastą równinę i milczące wysokie wzniesienia.

Zmusiła się, aby spojrzeć z powrotem na widniejące przed nią skały. W jej uszach wibrowało każde uderzenie kopyta o ziemię. Zatrzymała osła i ponownie związała sznur, raniąc przy tym dłonie. Z bólem uświadomiła sobie, że właśnie wyjeżdża.

Nie jest za późno! Zawróć! Zawróć! - mówiło, a właściwie krzyczało jej serce. Ale to nie serce żywiło, ubierało ją i zapewniało dach nad głową w ciągu długich, ponurych lat po śmierci rodziców. To rozum pozwalał żyć dalej.

I to rozum teraz wołał. Może nie tak głośno, ale potrafił się przebić przez krzyk duszy.

Nie będzie ponownie biedna. Dla nikogo.

Decyzja została podjęta.

Prawie godzinę później świat zaczął drzeć. W lesie echem wbijała się lawina wzrastającego hałasu.

- Pa-lo-wah-ti, co się dzieje? - spytała. Nawet na nią nie spojrzał.

- Ziemia trzęsie się - odparł.

- Ale...

Uniósł kościstą dłoń, nakazując jej ciszę.

- Wszystko w porządku.

Emma zmarszczyła czoło. Czytała o trzęsieniach ziemi, lecz nigdy tego nie doświadczyła. Zacisnęła palce wokół prowizorycznego uchwytu siodła. Z roztargnieniem uniosła dłoń, by dotknąć turkusowego naszyjnika. Jej palce przesunęły się po materiale bluzki i zbliżyły do szyi.

Wciągnęła głęboko powietrze, gdy zdała sobie sprawę z tego, co się stało. Poziom adrenaliny w jej organizmie wzrósł, serce zaczęło bić szybciej. Trzęsienie ziemi odeszło w zapomnienie. Naszyjnik zniknął.

## 26

Larence'owi wydawało się, że stoi już tak całą wieczność. Z opuszczoną głową, zamkniętymi oczami i zaciśniętymi dłońmi, stał bez ruchu w centrum złotego miasta. Nie myślał, nie widział, nic nawet nie czuł. Przeczekał. Czekał, aż minie ból spowodowany zdradą Emmaline.

Najpierw poczuł to jako dudnienie pod stopami. Był tak załamany, że dopiero po chwili zainteresował się tym, co dzieje się wokół. Gdy dźwięk stawał się coraz głośniejszy, a drzenie bardziej intensywne, podniósł zmęczony wzrok na niebo.

Cały świat kołysał się, drżał niczym ze strachu. Ze szczytów wzniesień osypywały się tumany kurzu, opadając na złote płytki i lądując w przejrzystym basenie. Piasek pod jego stopami przesunął się i tańczył.

Dźwięk - zarówno pochodzący z wnętrza ziemi, jak i z jej powierzchni - rozbrzmiał głośnie, głuchym echem w całym mieście. Gładka tafla basenu zadrżała. Wtedy zabrzmiał okropny, przeraźliwy dźwięk skały ocierającej się o skałę.

Przejdźcie! Emma!

Larence okręcił się i popędził w stronę przesmyku między skalnymi ścianami. Wymachując ramionami, wbiegł do ciemności.

Uderzył o coś stopą; potknął się, upadając twarzą na skalne podłoże i trafiając policzkiem w kawałek sękatego kija. Poczuł że, po twarzy spłynęła ciepła krew.

Podniósł się na kolana, macając ziemię w poszukiwaniu kawałka drewna. To była ich pochodnia. Wsunął ją pod ramię, przekopał kieszenie w poszukiwaniu zapalek i po chwili ją zapalił. Gdy pojawiły się nikłe jasnopomarańczowe płomienie, ruszył dalej.

Wkrótce znalazł się przy grobie strażnika i bezmyślnie przykucnął przy stercie kości. Zignorował delikatne grzechotanie węża. Korytarz nad jego głową był ciemny i śmiertelnie cichy. Zęby się do niego dostać, Larence musiał się podciągnąć. Gdy na końcu tunelu dojrzał zygzaki światła, z ulgi ugięły się pod nim kolana.

Dudnienie powtórzyło się, tym razem głośnie.

Wokół niego posypał się kurz i pył, który pokrył szarą warstwą ciemne podłoże. Larence nerwowo zacisnął dłoń na pochodni i poszedł dalej.

Ziemia zadrżała ponownie. Równocześnie rozległ się nieprzyjemny odgłos skały napierającej na skałę.

Światło na końcu tunelu zaczęło mrugać.

- Nie! - Larence odrzucił pochodnię i pobiegł w jego stronę. W uszach dudnił mu dźwięk własnego urywanego oddechu, mieszający się z odgłosem walącego w szaleńczym tempie serca.

Dotarł do światła dokładnie w chwili, gdy zniknęło. Tam gdzie przedtem był przesmyk w skale, pozostała krwawoczerwona linia.

Larence stanął w miejscu, a jego wyciągnięte dłonie uderzyły o twardą skałę. Gdy ból przeszył mu ramiona, desperacko przywarł do ściany. Pył kłuł go w oczy, po policzkach spływały brązowe łzy.

*Zostańcie razem w mieście.*

Teraz - zbyt późno - zrozumiał te słowa. Magia Ciboli opierała się na tym, że on i Emma byli razem.

Larence drapał ścianę, aż palce zaczęły mu krwawić. W końcu, wyczerpany, zwolnił i wreszcie był w stanie dosłyszeć coś poza własnym świszczącym oddechem - dźwięk dochodzący zza jego pleców. Oparł palce na ścianie i nasłuchiwał. Po kilku sekundach się odwrócił.

Porzucona pochodnia leżała w kałuży drżącego światła. W jej stronę przyczołgiwały się cienie - głodne i nieustępliwe.

Światło zachwiało się i osłabło. Pochodnia zasyczała po raz ostatni i zgasła. Jaskinię objęła w posiadanie czarna noc.

Ręce mu opadły, ogarnęło go przerażenie.

Dobry Boże, pomyślał z desperacją. Tylko nie to. Wszystko, ale nie to.

Było dokładnie tak jak kiedyś. Zacisnął mocno powieki, przypominając sobie ciemny wywrócony powóz, chłopca czekającego samotnie, opuszczonego i przerażonego, na kogoś, kto przybędzie i go uratuje.

Tyle że tym razem nikt po niego nie przyjdzie. Tym razem umrze. Sam. W ciemności.

Chwiejąc się na boki, Larence uderzył pięściami w skalną ścianę i osunął się na kolana. Cisza panująca wokół wzbudzała grozę. Dotknął policzka, lecz skóra była zimna i lepka; nie pozostało na niej ciepło ostatniego dotyku ukochanej kobiety. Było ono już tylko wspomnieniem.



Odeszła. Zniknęła nadzieja, której trzymał się tak kurczowo, odkąd Emma wybrała złoto. Został sam z niczym. Po raz pierwszy w życiu nie był w stanie odnaleźć w sytuacji, w której się znalazł, ani odrobiny dobra, ani żdźbła nadziei.

Do jego duszy wdarła się potworna pustka, która zmroziła całe ciało. Bez nadziei nie istniało już nic. Nie potrafił okłamywać samego siebie, nie był w stanie dłużej trzymać się fałszywej nadziei, że Emma zmieni zdanie i wróci.

Nie nastąpią żadne przeprosiny. Za kilka lat nie będzie gorzko-słodkiego uśmiechu, jaki towarzyszy wspomnieniom z młodości. Nie będzie już zresztą przyszłości. Ani miłości, ani śmiechu. Żony. Syna. Córki.

Larence zacisnął obolałe dłonie w pięści i uderzył nimi o kolana. To cholernie niesprawiedliwe. Był dobrym człowiekiem, wiódł przyzwoite życie. Nigdy nie pragnął więcej niż należącej mu się części, nigdy nikogo nie zranił.

Przecież nawet nie pragnął wiele od życia. Tylko kogoś, z kim mógłby być i kogo by pokochał. Miał tak wiele do zaoferowania. Tak wiele.

Skoro kochałeś ją tak bardzo, to dlaczego nie próbowałeś znaleźć jakiegoś kompromisu? Oparł głowę na zimnej skale i zamknął oczy, wydając z siebie gniewne westchnienie. Dlaczego? - zapytał się ponownie. Wiedział, jak wiele znaczą dla niej pieniądze, więc czemu nie zrobił czegoś, by została?

Ale Larence wiedział dlaczego. Był zraniony i rozgniewany. Pragnął - chociaż raz - by ktoś wybrał jego. Sądził, że będzie czas na naprawę błędów. Czas, by wszystko naprawić.

Czas.

Uderzył głową w ścianę. W jego czaszce eksplodował ból, ale ledwie go zauważył. To było nic w porównaniu z cierpieniem duszy.

Walnął zaciśniętymi pięściami w zimną ciemną ziemię i zawołał:

- Emmaaaaa!

Imię ukochanej przez chwilę odbijało się echem od skalnych ścian, po czym zanikło.

Pa-lo-wah-ti zatrzymał się na szczycie niewielkiego wzgórza. Nad ich głowami jastrzęb wykonał ostatnie kółko, po czym usiadł z furkotem skrzydeł na czubku najbliższego drzewa.

- Fort białego człowieka - rzekł starzec, wskazując głową na skupisko drewnianych zabudowań rozciągających się przed nimi w otoczonej czerwonymi piaskowcami dolinie.

Emma przypatrywała się zmęczonymi oczami niewielkiej osadzie. Sięgnęła w dół, oderwała od brzegu spódnicy kolejny kawałek bawełny i zawiązała ten niewielki skrawek materiału na najbliższym drzewie. Oznaczała w ten sposób cały szlak.

Towarzyszący jej Indianin westchnął ze zmęczenia.

- Pamiętasz noc, kiedy zostałeś porwana przez Ka-Neeke?

Kobieta rzuciła mu ostre spojrzenie. Nie było go przy nich wtedy. Więc skąd wiedział?

Spojrzała wrogo na jastrzębia. Paciorkowate czarne oczy utkwione były w jej twarzy.

- Nie chcieliśmy zrobić wam krzywdy. Miało was to tylko przestraszyć, tak żebyście przzerwali poszukiwania. Obserwowaliśmy każdy wasz krok, śledziliśmy każdą myśl.

- Ale...

- Jesteśmy strażnikami świętego miasta. Keo-ye-mo-shinami. Od wieków przelewamy krew, by chronić tajemnice naszych przodków. Od dwustu lat to ja jestem dowódcą i nigdy w tym czasie nie poczułem się... zdezorientowany.

- Dopóki nie spotkałeś Larence'a?

- Widział miasto tak dokładnie. Z takim ogniem i namiętnością. Jak mogłem go powstrzymać? Jestem tylko człowiekiem, nie Bogiem. Takie decyzje nie należą do mnie. - Westchnął ciężko i potrząsnął głową. - Kiedy zostałem przywódcą, bogowie zabrali mi oczy i nauczyli patrzeć duszą. - Przyłożył kościstą dłoń do piersi, jakby chciał podkreślić swoje słowa. - Twój mężczyzna był łatwy do rozszyfrowania, jego dusza była tak czysta jak górski potok. On był *ke-hi*, przyjacielem dusz, więc byłem zdezorientowany. Miałem powstrzymać białych złodziei, ale czy także *ke-hi*? Przez wiele nocy walczyłem z pytaniami, leżałem, nie śpiąc, czekając na wskazówki od bogów. Ale oni milczeli. Moje serce jasno widziało prawdę, lecz rozum i syn mojego syna, Ka-Neeke, nazwali je kłamcą. Długo nie mogłem spać. W końcu posłuchałem serca, tak jak powinienem był zrobić od samego początku. Twój mężczyzna został tutaj przywołany. Jego przeznaczeniem było szukanie. Więc czekałem.

Zaglądał w moją duszę, pomyślała Emma i poczuła mdłości. Wstyd nakazał jej odwrócić wzrok.

- Ja... ja... - zacięła się.

- Tu nie chodzi o ciebie, Emmaline. Ty sądzisz, że tak, bo jesteś przyzwyczajona do myślenia wyłącznie o sobie, ale chodzi o coś... większego.

- Larence i ja zawarliśmy umowę - zaprotestowała słabo. - Połowa złota jest moja. Starzec spojrział na nią z bezgranicznym smutkiem.
- Więc zniszczyłybyś to?
- Nie. Zabiorę tylko część. Larence wciąż będzie miał swoje muzeum. - Nawet w jej uszach słowa te brzmiały słabo i nieprzekonywująco.
- Pa-lo-wah-ti opuścił głowę.
- Już popełniłeś jeden fatalny błąd. Nie rób kolejnego.
- Emma zeszywniała.
- Czy to groźba?
- Odrzucił się, aby na nią spojrzeć, a smutek w jego oczach sprawił, że jej żołądek się ścisnął.
- Pamiętaj, Emmaline, że potrzeba dużo złota, aby napełnić pustą duszę. I tylko kropli magii.

Przy wjeździe do fortu Emma zatrzymała Tashee. Miała tylko chwilę na martwienie się o swój niedbały wygląd, zanim w ukrytych w ścianie drzwiach pojawił się umundurowany strażnik i skierował w jej stronę.

Zeszywniała, zaciskając nerwowo palce na lejcach. Walczyła z pokusą, by przeczesać dłonią płataninę włosów.

- Czy mogę w czymś pomóc, panienko?
- Przesunęła językiem po szorstkiej powierzchni dolnej wargi.
- Jestem Emmaline Hatter z Nowego Jorku.

Na opalonej twarzy młodego mężczyzny pojawił się głupawy uśmiech. Podniósł dłoń do czapki.

- Jestem szeregowiec Henry Snort z Saint Louis. Co mogę dla pani zrobić?

- Chciałabym zobaczyć się z pana przełożonym. Szeregowiec Snort nawet nie starał się ukryć zaskoczenia.

Marszcząc lekko czoło, podniósł głowę i uważnie mierzył wzrokiem jej zaniedbany wygląd. Patrzył tak, że gorąco żałowała, iż nie ma na sobie halki, która była teraz upchnięta w jednej z toreb.

- Nie wiem, panienko - powiedział, ocierając pot z czoła. - Kapitan MacEwan jest żonaty i nie sądzę, żeby...

Emma przez chwilę czuła zakłopotanie, a zaraz potem ogarnął ją gniew.

- Proszę pana, jestem damą. Bardzo znaną, bardzo zamożną damą, która miała raczej... niewiarygodne przeżycia na pustyni. Więc przestań gadać jak trzynastolatek i prowadź mnie do swojego kapitana.

Dziesięć minut później usiadła w wygodnym skórzanym fotelu i poczęstowano ją filiżanką herbaty. Fotel wydawał jej się absolutnie cudowny po tylu trzęsących godzinach spędzonych na Tashee.

Nagle otworzyły się drzwi. Emma się odwróciła i zobaczyła wysokiego, szerokiego w barach mężczyznę o rudej bujnej czuprynie.

Gdy wszedł do nędznie oświetlonego pomieszczenia, pierwszą myślą Emmy było to, że wszystko w nim jest wielkie i czerwone - włosy, ciało, nos. Kiedy usiadł za stołem, skórzany fotel zatrzęszczał pod jego ciężarem. Oparł łokcie na dębowym stole, splótł grube palce i przyjrzał się Emmie żywymi, inteligentnymi oczami.

- Więc mówi pani, że jest Emmaline Hatter z Nowego Jorku.
- Bo jestem.

Jego gęste brwi uniosły się.

- Nie wierzę. Zbiło ją to z tropu.

- Dlaczego?

- Wie pani, czytam gazety. Emmaline Hatter to znana kobieta. Mówią na nią Szalona Hatter. Nie sądzę, aby ta twarda jak stal, bogata jak sam pan Bóg dama ubierała się jak meksykańska dziwka i włączyła w pojedynek po pustyni.

Emma nawet nie drgnęła, słysząc jego grubiańskie uwagi. Tak naprawdę odprężyło ją to. Lubiła ludzi, którzy mówią prosto z mostu, co sądzą, a nie owijają wszystkiego w bawełnę.

- Kapitanie MacEwan, może pan zadepeszować do Funduszu Gwarancyjnego Smitherton. Eugene Cummin, dyrektor, potwierdzi, że Emmaline Hatter rzeczywiście udała się do Nowego Meksyku w poszukiwaniu legendarnego zaginionego miasta Cibola.

Kapitan MacEwan wciągnął powietrze, jego twarz zbladła.

- To plotki. Od lat spekulujemy na ten temat.

Emma głęboko zastanawiała się nad swoim kolejnym zdaniem. Nie miała wyboru: musiała powiedzieć kapitanowi prawdę. To był jedyny sposób na uzyskanie od niego pomocy. Powoli pochyliła się w jego stronę.

- Czy potrafi pan dochować tajemnicy?
- Jego niebieskie oczy załśniły, gdy gorliwie przytaknął.

- Pewnie.

- Znalazłam to miasto.

Oparł się z hałasem w fotelu.

- Najświętsza Panienko!

Emma odchyliła się i pociągnęła łyk herbaty. Rozmowa przybrała inny obrót. Teraz ona znalazła się w pozycji, którą zawsze tak lubiła i za wszelką cenę starała się osiągnąć. Miała nieograniczoną władzę.

Zmarszczyła czoło na tę myśl. Dzisiaj nie cieszyła się ze zwycięstwa. Nie odczuwała przyjemności ani dumy. Jedyne, co czuła, to żal.

Opanowała emocje i odstawiła filiżankę na stół.

- Potrzebuję kilku, dwóch albo trzech, uczciwych mężczyzn, na których można polegać, aby towarzyszyli mi w drodze do miasta w celu wywiezienia złota.

- Dużo go tam jest? - spytał prawie bez tchu.

- Pełne wozy. Będę potrzebowała ludzi dobrej postury, gotowych do przejścia i czołgania się przez tunel. Dobrze zapłacę, im i panu.

Uśmiechnął się.

- Myślę, że możemy pani pomóc, panno Hatter.

Dziwny smutek nie pozwolił jej się uśmiechnąć. Tak jakby

część niej, ukryta głęboko pod warstwą zdrowego rozsądku, pragnęła, by odmówiono jej pomocy.

- Tak, kapitanie MacEwan. Tak właśnie myślałam. Gdy mężczyzna podniósł się, by wyjść, Emmie coś przyszło do głowy. Z jakiegoś dziwnego powodu spytała:

- Och, kapitanie, którego dzisiaj mamy? Na chwilę zmarszczył czoło.

- Początek czerwca.

Poczuła, że zbladła. Pa-lo-wah-ti miał rację. Przebywali w Ciboli ponad miesiąc.

Po tylu dniach spędzonych w ciszy Emma poczuła się lekko ogluszona, gdy otoczył ją hałas i bieżanina fortu. Jej uszy bombardowały dziesiątki różnorodnych dźwięków, jak zgrzyt kół w powozach, ryczenie mułów, strzępy rozmów i furkot powiewającej na wietrze amerykańskiej flagi.

Kapitan MacEwan powiódł Emmę do niewielkiego domu. Szarawobrzowa konstrukcja wyglądała tak jak inne słoczone za ścianami obronnymi budynki, tyle że tu pod oknami rosły w donicach kwiaty. Jasne plamki różu, zieleni i żółci nadawały domostwu przytulny wygląd.

Mężczyzna wspiął się po niskich drewnianych schodkach.

- Moll, kochanie! - wrzasnął, otwierając drzwi. - Chodź tutaj!

Emma usłyszała odgłos zbliżających się pospiesznie kroków. Odruchowo wygładziła swą meksykańską bluzkę, kolejny raz żalując, że nie zaślania jej spalonych słońcem ramion.

- O co chodzi, Francis? Czy coś się stało? - dobiegł zza drzwi dźwięczny, radosny głos. Kapitan roześmiał się głośno.

- Nie, wręcz przeciwnie. Mam tutaj damę z Nowego Jorku, pannę Emmaline Hatter. Sądziłem, że poczęstujesz panią czymś, gdy ja będę przygotowywał jej rzeczy.

- Dama? To odejdz wreszcie od drzwi i wpuść ją do środka!

MacEwan odwrócił się i uśmiechnął do Emmy.

- Jest trochę spragniona damskiego towarzystwa. Niewiele jest kobiet tak szalonych, by...

- Masz na myśli wystarczająco zakochanych. - Kobieta zaśmiała się.

- Szalonych na tyle, by podążyć za mężem na takie pustkowia.

Emma przełknęła ślinę i cofnęła się o krok. Nagle poczuła, że nie chce wejść i zobaczyć dwojga zakochanych ludzi.

- Może, jeśli jest pani zbyt zajęta... - zaczęła.

- Nonsens - odrzekł kapitan, przytrzymując drzwi. Emma nerwowo chwyciła brzeg spódnicy i ruszyła po schodkach. Pokój, do którego weszła, był dokładnie taki, jak obiecywały kwiaty: przytulny i domowy. Podłogę, ściany i sufit pokrywało drewno w kolorze miodu.

Koło okien wisały białe bawełniane zasłony. Obok kominka stał zużyty fotel na biegunach.

Przy jednym z krzeseł stała wysoka, skromnie ubrana kobieta, która trzymała na biodrze małe dziecko, a drugi rudowłosy szkrab przyczepiony był do jej dłoni,

- To moja żona, Molly - rzekł MacEwan. - Moll, to jest pani Emmaline Hatter. Może wypijecie razem herbatę? Wrócę za około pół godziny.

Za kapitanem zamknęły się drzwi i Molly posłała Emmie konspiratorski uśmiech.

- Pewnie też pani nie cierpi, kiedy do czegoś panią zmuszają.

Emma nie potrafiła powstrzymać uśmiechu. Bezpośredniość gospodyni i jej przyjazny uśmiech sprawiały,

że czuła się mile widziana. Molly powiodła ją do stołu i gestem zaprosiła, aby usiadła, po czym na kilka minut zniknęła w kuchni i wróciła z dzbankiem herbaty oraz talerzem pełnym domowych ciasteczek.

Dwie kobiety siedziały przy stole w jadalni, popijając herbatę i rozmawiając. Na podłodze obok leżał Willie, dwuletni synek Molly, który bawił się stosem kolorowych klocków, a niemowlę, Susan, spało w ramionach mamy.

Gdy rozmawiały przyciszonymi głosami, Emma przyglądała się, jak Molly delikatnie głaszcząc główkę śpiącego dziecka, i serce ścisnęło się z bólu. Przypomniała sobie słowa Larence'a. *Ja też pragnę dziecka...*

Jej dolna warga zadrżała. Zagryzła ją mocno i oderwała wilgotne od łez oczy od główki maleństwa.

- Muszę siusiu, mamo.

- Dobrze - odpowiedziała Molly. Wstając, oderwała śpiące niemowlę od piersi. - Potrzyj ją pani przez chwilę? Mały Willie dopiero się uczy i muszę mu pomóc.

Emma zbladła.

- Och, ja...

- Dziękuję. - Gospodyni ułożyła dziecko w ramionach gościa. - Chodź, Will. - Wzięła chłopca za rękę i wyprowadziła na zewnątrz.

Kiedy Emma została sama z niemowlęciem, zebrała się na odwagę i spojrzała na nie. W różowej twarzyczce mrugały do niej duże brązowe oczy. Małe usta lekko się uchyliły.

Przytknęła dłoń do twarzy dziecka i delikatnie musnęła niesamowicie gładki policzek. Czuła żal pomieszany ze smutkiem. Właśnie tego się wyrzekła, opuszczając Cibolę. Oderwała spojrzenie od dziecka i uważnie przyjrzała się czystemu, zapraszającemu domostwu. Miłość. Dom. Dzieci. Oto, od czego odeszła.

*Wyjdź za mnie, Em.*

W jej świadomości pojawiły się słowa i obrazy, z oślepiającą mocą przypominające o tym, jak to dobrze być zakochanym. Przypomniała sobie delikatność Larence'a, gdy gładził jej gorące czoło i ofiarował mogącą ocalić życie wodę. Pamiętała jego śmiech, siłę. *To nic złego bać się.*

Pamiętała też dotyk. O, Boże, pomyślała, zagryzając dolną wargę.

*Nie martw się, kochanie. Braki w technice potrafię nadrobić cierpliwością,*

W jej oczach pojawiły się gorące łzy, które po chwili spłynęły po policzkach. Dojrzała przez okno, jak kapitan MacEwan nadzoruje ładowanie wozu, i ból w jej piersi jeszcze się zwiększył. Ze strachu i żalu zaczęła ją mdlić i rozboleła głowa.

Jak coś może być dobre, jeżeli sprawia tyle bólu?

Po raz pierwszy pozwoliła sobie na zakwestionowanie swojej decyzji.

Rozejrzała się i tym razem zauważyła rzeczy, na które wcześniej nie zwróciła uwagi, na przykład utracone uszko porcelanowej filiżanki, wielokrotnie podszywany brzeg zasłon.

Do duszy Emmy wkradła się iskra czegoś niebezpiecznie przypominającego nadzieję. Przycisnęła do siebie niemowlę, wstała i przespacerowała się po pokoju.

MacEwanowie byli biedni.

Zaszokowana, zeszytniała. Nigdy nie zastanawiała się nad różnicą pomiędzy biedą a bogactwem. Dlaczego? - zadała sobie pytanie. Dlaczego nie przyszło jej do głowy wcześniej?

Być może to było zbyt głęboko zakorzenione w ciemności.

Być może rozum pragnął ochraniać duszę. Nie wiedziała. Jedyne, czego była pewna, to tego, że dla niej zawsze musiało być wszystko albo nic. Można było być albo bogatym, albo biednym, zabezpieczonym albo w potrzasku ubóstwa.

Spędziła całe życie, uciekając od okropnych wspomnień z dzieciństwa, trzymając się kurczowo tego, co trzymało je na odległość. Biegła szybko i nigdy się nie oglądała.

To ślepa ambicja sprawiała, że Emma wciąż pędziła naprzód. Ani razu nie przyszło jej do głowy, że zachowuje się... niedojrzałe. Że bieda czasami może przybrać łagodniejszą postać.

Teraz, gdy rozglądała się po przytulnym domku MacEwanów, zaczęła to dostrzegać. Czuła się jak kobieta budząca się do życia z długiej śpiączki, po raz pierwszy widząca nowy świat.

Jej pokój w Rosare Court też kiedyś tak wyglądał. Prawda, że był to jedynie pokój w wilgotnym, rozwalającym się budynku, ale matka potrafiła wypełnić go kwiatami, śmiechem i skrawkami zniszczonej koronki. To był prawdziwy dom. A ona i rodzice stanowili kochającą się szczęśliwą rodzinę.

Biedną, ale szczęśliwą. Jako dziecko nie potrzebowała pieniędzy. Mama i tata, ich ciepła miłość wystarczały jej. Dopiero po ich śmierci bieda stała się nie do zniesienia.

A może i to nie było do końca prawdą. Może to nie bieda była tu okropna, ale brak miłości.

Boże, jak mogła o tym zapomnieć? Dlaczego jej dziecięcy umysł skupił się jedynie na negatywnych stronach i całkowicie porzucił miłe wspomnienia?

Molly i Willie weszli ze śmiechem do pokoju, a tuż za nimi pojawił się Francis. Ściany zdrząły, kiedy wielki mężczyzna zatrzasnął drzwi.

- Sam poszedłem siusiu! - zawołał chłopczyk. Francis przyklęknął na jedno kolano i otworzył ramiona; syn zatonął w jego uścisku.

- Naprawdę, Willie? - Potargał włosy syna. - Jestem z ciebie dumny.

- Dzięki za przypilnowanie naszej Susie - powiedziała Molly, biorąc niemowlę z powrotem w ramiona.

Emma wpatrywała się w nią. Wciąż czuła ciepło skóry maleństwa i słyszała jego cichy regularny oddech.

Podnosząc wzrok, zobaczyła rodzinę MacEwanów, stojącą i przytulającą się niczym na bożonarodzeniowej fotografii. Ich uśmiechy nadawały pokojowi prawdziwie bogaty wygląd.

I wtedy zrozumiała. Myliła się, wybierając pieniądze. Myliła się, zostawiając Larence'a i jedyną w życiu szansę na szczęście. Nic, żadna suma ani złoto, nie było warte tej krótkiej chwili, kiedy trzymała w ramionach niemowlę, albo sekundy, której potrzebował Larence, by wyszeptać, że ją kocha.

Uświadomienie sobie tego zdjęło z jej ramion przeraźliwy ciężar. Nagle poczuła się tak lekko, że mogłaby fruwać.

Popełniła ogromny błąd, ale nie było za późno, żeby go naprawić. Wróci do niego, powie, jak bardzo go kocha i żałuje, że od niego odeszła. Zrobi wszystko, by naprawić swój błąd. Wszystko.

I nigdy, przenigdy już go nie zostawi.

Wyprostowała się i uniosła podbródek. Właśnie miała powiedzieć MacEwanowi, że jej informacje na temat Ciboli były żartem, kiedy zerknęła przez okno i ujrzała mężczyzn, którzy załadowywali wóz dynamitem.

- Co do... - Przemknęła obok MacEwanów i otworzyła drzwi. - Co ty robisz?! - wrzasnęła w stronę młodego mężczyzny, układającego paczki na gołych deskach.

Popatrzył na nią zaskoczony.

Zeszła szybko po kilku schodkach i pomaszerowała przez podwórze.

- Kto tutaj dowodzi? - zapytała ostro, kiedy dotarła do wozu. Niedźwiedziowaty, szeroki w barach mężczyzna wypluł przeżuty tytoń i uderzył się dłonią w klatkę piersiową.

- Ja, proszę pani. Nazywam się Drake.

- Dlaczego ładujecie dynamit na mój wóz?

Ponownie splunął.

- Cóż, proszę pani. Nie mam zamiaru pełzać przez dziurę jak jakiś cholerny wąż. Podłożymy parę ładunków, potem wejdziemy tam i zabierzemy złoto.

Emmę zaszokowały jego słowa. Dopiero po chwili odzyskała zdolność mowy.

- C...co z rzeczami codziennego użytku?

- Rzeczami jakimi?

- No wie pan, kosze, dzbany na wodę, miski i strzały.

Wyraz jego oczu zmienił się. Przyglądał się jej tak, jakby była dziwadłem.

- Kogo obchodzą jakieś tam dzbany?

- Mnie - odpowiedziała bez zastanowienia Emma. Słowa te zadziwiły ją samą. Zdała sobie sprawę, że to prawda. Obchodziły ją kosze i dzbany, i historia związana z tym magicznym miejscem, i to bardzo. - Cóż, będę musiała.... - Potrząsnęła głową.

Drake cofnął się o krok.

- Co jest, proszę pani? Dobrze się pani czuje?

Posłała mu szeroki radosny uśmiech.

- Tak, panie Drake. Sądzę, że nareszcie tak.

- Chce pani, żebym ja i chłopcy...

- Nie, proszę pana, nie chcę. - Szybkim krokiem podeszła do miejsca, gdzie stała przywiązana do wozu Tashee. Sprawdziła, czy jej bidon jest pełny, odwiązała oślicę i powiodła ją w stronę bramy.

- Hej, panno Hatter! - rozległ się na podwórzu donośny głos kapitana MacEwana. - Gdzie pani idzie?

Odwracając się, podniosła lewą dłoń. W jaskrawym słońcu błysnęła gruba obrączka. I nagle Emma zrozumiała, dlaczego naszyjnik zniknął, a obrączka nie. Ona i Larence byli małżeństwem.

- Miał pan rację, kapitanie, kłamałam. Nie nazywam się Emmaline Hatter. Nazywam się Digby. A Cibola nie istnieje. Wszystko wymyśliłam.

Usłyszała wiązki przekleństw, ale nie zwróciła na niezadowolonych mężczyzn nawet najmniejszej uwagi.

Wesoło nucąc, wspięła się na grzbiet Tashee i podążyła przed siebie.

Wracała do męża.

Emma pociągnęła za lejce i osioł się zatrzymał. Pochylając się w bok, zerwała z krzaka ostatni kawałek materiału. Niewielki skrawek jasnoniebieskiej bawełny zatrzepotał w jej dłoni. Z czułością przesunęła palcem po powiewającym strzępie. Pewnego dnia te właśnie skrawki zajmą w jej domu honorowe miejsce.

Będzie je wielokrotnie pokazywać swoim dzieciom, wyciągać je zawsze podczas Bożego Narodzenia i rocznicy ich ślubu w Ciboli. Opowie dzieciom, jaka ich mama była kiedyś niemądra. I jak się zmieniła. Będzie używać tych małych kawałków bawełny, by pokazać im potęgę miłości.

Wepchnęła materiał do kieszeni, w której znajdowały się wszystkie pozostałe skrawki, które zebrała, odkąd wyjechała z fortu.

- W porządku, Tashee, jedziemy.

Zwierzę ponownie ruszyło. Emma wpatrywała się przed siebie. Niebo o świcie stanowiło mieszaninę różu i złota. W oddali widniała ogromna, wznosząca się do nieba skała.

Emma głęboko wciągnęła powietrze; była prawie na miejscu.

Czuła się tak dobrze, lepiej niż w ciągu wszystkich ostatnich lat. Wreszcie zrozumiała, co znaczy prawdziwa nadzieja, i nie mogła sobie wyobrazić, jak mogła bez niej przetrwać całe dotychczasowe życie. Nadzieja na przyszłość i coś, na co można z niecierpliwością czekać, sprawiały, że czuła się lżejsza od powietrza.

Już niedługo - pomyślała. Już niedługo okropny błąd, który zrobiła, zostawiając Larence'a, zostanie naprawiony i zapomniany. Zrobi wszystko, by jej wybaczył. I spędzi resztę życia, udowadniając mu, że jest warta jego miłości.

Wyprostowała się w siodle i popędziła Tashee.

Pół godziny później dotarła do ukrytego wejścia do kanionu. Osioł ostrożnie szedł po krętej, wąskiej ścieżce. Wokół wznosiły się czerwone skały. Każde uderzenie kopyta rozlegało się głośnym echem w zamkniętej przestrzeni.

Dotarłszy do końca przesmyku, Emma zsunęła się z grzbietu Tashee i, potykając się o wystające kamienie, pobiegła do prowizorycznej zapory ze sznura. Rozwiązała supeł i wbiegła do zamkniętego kanionu. Tuż za nią podążyła Tashee, która skierowała się prosto w kierunku stawu.

Przed oczami Emmy, gdy przedzierała się przez wysoką do kolan trawę, tańczyły pomarańczowo-czarne stokrotki.

- Larence! - krzyknęła ze śmiechem ile sił w płucach. Jego imię odbiło się od milczących kamiennych ścian i powróciło.

Diabło uniósł głowę i popatrzył na nią. Obok konia, tuż przy małym zielonkawym stawie, znajdowała się sterta zapasów Larence'a. Kawałek dalej muł spokojnie żuł trawę.

Emma poczuła ogromną radość. Wszystko było dokładnie tak, jak to zostawili. Bóg w swojej nieskończonej mądrości wierzył w nią nawet wtedy, gdy ona przestała wierzyć w niego. I dał jej drugą szansę. Chociaż raz odpowiedział na jej modlitwy.

Nie zmarnuje jej. Może nie była najmądrzejsza pod słońcem, ale szybko się uczyła. I nie popełniała dwa razy tego samego błędu.

- Cześć, Diabło! - krzyknęła i pomachała ręką, gdy przebiegała obok niego, kierując się w stronę środka równiny.

Ciężko oddychając, chwyciła się za bok. Była całkowicie bez kondycji. Sapiąc, pochyliła się na chwilę - tylko chwilę, gdyż nie miała ani sekundy do stracenia - i głęboko odetchnęła. Jej nos wypełnił zapach świeżej trawy, kwiatów i żywej ziemi.

Powoli się wyprostowała. Spływało na nią jaskrawe światło słoneczne i Emma po raz pierwszy zauważyła, jak zrobiło się gorąco. Na jej czole pojawiło się kilka kropel potu.

Stała wyprostowana wśród trawy, przytrzymała nad oczami uniesioną dłoń i zmrużyła je, wypatrując przejścia do Ciboli.

Uśmiech zniknął z jej twarzy.

Rozłam w skale zniknął.

Dopiero po chwili Emma zareagowała.

- Neeeeeeee!

Ze zduszonym okrzykiem chwyciła brzeg spódnicy i zaczęła biec. Skała przed nią była tylko brązową ścianą. Bez względu na to, jak intensywnie się w nią wpatrywała, nie była w stanie niczego dojrzeć. Żadnej szczeliny, żadnego przejścia.

Poczuła ból w boku, ale nie przestawała biec. Co chwilę wycierała z twarzy warstwę łez i kurzu, ale wilgoć prawie natychmiast powracała. Łzy przekształcały świat w trzęsącą się mieszaninę szarości i zieleni. Oddech Emmy stał się świszczący i urywany.

Potknęła się o wystający kamień i upadła na ziemię. Kaszłąc, podniosła się i dalej biegła w obłoku kurzu. Zderzyła się ze skalną ścianą i jęknęła z bólem.

Gdzie jest przejście? Gdzie jest to przekłete przejście?

Ogarnęło ją przerażenie. Zdesperowana, szukała dalej, przesuając palcami po skale; dotykała każdego, nawet najmniejszego, pęknięcia bądź wybrzuszenia.

- Proszę, proszę, proszę.

Nie było niczego, nawet śladu, że kiedyś znajdowało się tutaj przejście.

Przycisnęła mocno rękę do brzucha, mając nadzieję powstrzymać w ten sposób mdłości.

Pogrążyła się w rozpacz i poczuciu beznadziejności. W jej oczach pojawiały się słone krople, po czym wysychały. Ból był zbyt silny dla łez.

- Przepraszam! - krzyczała do Boga. - Przepraszam! Nie rób mu tego z mojego powodu. Proszę. - Jej głos się załamał. - Proszę - powtórzyła ze szlochem. - Proszę, bądź sprawiedliwy. Weź mnie zamiast niego. Chcę umrzeć.

- Emma?

Słowo to wtargnęło do jej świadomości, jak słodkie wspomnienie.

O, Boże. Spędzi resztę życia, słysząc jego głos w szeptaniu wiatru, z każdym powiewem czując jego dotyk. Pochyliła się i oparła czoło o chropowatą skałę. Jej dotyk przypominał zarośniętą twarz Larence'a. *To nic złego bać się. Zaopiekuj się tobą.*

- Emma, jesteś tam?

Wyprostowała się i wbiła przerażony wzrok w skałę. To niemożliwe. Pewnie pomieszały jej się już zmysły. To nie mógł być przecież głos Larence'a.

Przysunęła się jeszcze bliżej i dotknęła palcami skały.

- Larence?

- Emma! - krzyknął. - Czy to ty?

To był on, pogrzebany żywcem. W ciemnościach.

Rzuciła się na skałę i zaczęła ją drapać.

- Otwórz się, do diabła! - Szlochając, waliła pięściami w ścianę i drapała ją, aż pozdzierała sobie paznokcie. Mimo to kontynuowała, krzycząc, płacząc, waląc.

- Emma. - Dobiegł ją głos Larence'a. - To nie twoja wina. Wyczerpana, osunęła się. Jej palce zsunęły się w dół po twardej skale i opadły na kolana. Mylił się. To była jej wina. Chciała umrzeć. Tak bardzo pragnęła umrzeć. Tym razem z jej oczu popłynęły łzy.

Emmaline wróciła do niego. Larence nie mógł w to uwierzyć. Czuł, jak ból, towarzyszący mu w ciągu ostatnich kilku godzin, się rozplywa. Naprawdę go kochała. To wszystko zmieniało. Przynajmniej umrze szczęśliwy ze świadomością, że jest kochany.

Gdyby tylko mógł ją zobaczyć jeszcze raz, dotknąć jej po raz ostatni. Przytulił się do czarnej skały, próbując wyczuć przez nią choć odrobinę ciepła Emmy. Dobiegł go niewyraźny odgłos jej szlochu.

- Em - wyszeptał z rozpaczą. - Nie płacz.

- Tak bardzo cię kocham, Larence. Wróciłam, by... by powiedzieć, że nie miałam racji. Tyle że jest za późno. Przepraszam.

- To także moja wina - odrzekł. - Też się myliłem, Em. Ty jesteś moim marzeniem. Ty, a nie jakieś tam miasto.

- Och, Larence.

Słyszał w jej głosie smutek i brak nadziei.

*Zostańcie razem w mieście.* Larence'owi przypomniły się te słowa. Zignorował mądrość Indianina i - zraniony i rozgniewany - pozwolił jej odejść. A teraz obydwójce byli sami, przerażeni i załamani. A Cibola, wspaniałe miasto z jego marzeń, stało się nie ocaleniem, lecz grobowcem.

- Powinienem być słuchać się Pa-lo-wah-ti - powiedział tępym głosem.

Pa-lo-wah-ti! Emma zerwała się na równe nogi. Przytrzymując spódnicę, zaczęła biec przez wysoką trawę. Gdy dotarła do środka równiny, jej oddech stał się świszczący i płytki. Poczekwała chwilę, aż się uspokoi. Wtedy wyprostowała się i rozejrzała.

*Obserwowaliśmy wasz każdy krok. Śledziliśmy każdą myśl.*

Wpatrywały się w nią wysokie milczące wzniesienia. Niebo nad głową było kobaltowoniebieskie.

Zwinęła dłonie przy ustach i krzyknęła najgłośniejszym głosem, jak tylko potrafiła:

- Pa-lo-wah-ti!

Jej głos przez długą chwilę unosił się w gorącym powietrzu, po czym się rozwiął.

Wzrok Emmy wędrował po kanionie, a uszy nasłuchiwały dźwięku innego niż bicie serca.

Nic się nie poruszyło, nic nie odpowiedziało.

Wykrzyknęła ponownie imię Indianina. I jeszcze raz, i jeszcze, i jeszcze, aż ochrypla, a po jej twarzy strumieniami spływały łzy.

I wciąż nie było odpowiedzi.

W końcu się poddała, osunęła na kolana i spuściła głowę.

- Pomóż nam - wyszeptwała.

- Emmaline.

Natychmiast uniosła głowę. Obok niej stał Pa-lo-wah-ti, Ka-Neek i jeszcze jeden mężczyzna. Dumni. Wprostowani.

- Pa-lo-wah-ti! O Boże - wyszeptwała, posuwając się na czworakach w jego kierunku. - Myliłam się. Proszę, pomóż nam. Proszę.

Jego niewidzące niebieskie oczy spoczęły na jej twarzy.

- Czasami wybory są dokonywane zbyt późno. Emma wiedziała, że starzec w jakiś sposób ją widzi. Wpatrywała się w jego oczy, nie odwracając wzroku. Dokładnie nad ich głowami pojawił się jastrząb. Poczuli na twarzy powiew powietrza wywołany jego skrzydłami. Mimo to nie spojrzęła w bok.

- A czasami nie - dodał stary Indianin. W oczach starca zabłysła iskra szacunku. Uniósł jedną siwą brew i Emma domyśliła się, że czeka na coś jeszcze.

- Wróciłam sama - powiedziała cicho.

- Po co?

- Po kroplę magii.

Przez chwilę sądziła, że starzec się uśmiechnie, ale nie zrobił tego. Dalej wpatrywał się w nią niebieskimi przesywającymi oczami.

- I czego ode mnie oczekujesz?

Przełknęła głośno ślinę.

- Chciałabym, abyś otworzył przejście do Ciboli.

- Dlaczego?

- Larence tam jest. Żywy.

Pa-lo-wah-ti milczał. Jego spojrzenie pomknęło w stronę skalnej ściany. Mijały długie minuty. Emma słyszała głośne uderzenia swego serca.

Wciąż klęczała. Z trudem powstrzymywała się od wstania i krzyknienia na starego Indianina, aby coś zrobił. Udało jej się jednak zachować kontrolę nad własnym zachowaniem.

Dla Larence'a mogłaby klęczeć przez całe życie.

- Jest pewna cena - rzekł wreszcie starzec. Emma odetchnęła głęboko.

- Zawsze jest.

- Musicie odejść z tego miejsca, obydwójce. I nigdy nie możecie nikomu opowiedzieć o tym, co tutaj znaleźliście.

Oczy Emmy rozszerzyły się z przerażenia.

- Wiem - rzekł cicho starzec, a w jego głosie było słychać współczucie. - Wiele go kosztujesz.

Zacisnęła powieki. Po jej policzkach spłynęły strumienie gorących łez. Niewiele, pomyślała ponuro. Wszystko. Zabrała mu wszystko. Sławę, fortunę, szacunek współpracowników. Jego marzenie. Zostawiając Larence'a samego w Ciboli, pozbawiła go marzeń.

- Decyduj się - ponaglił surowo Pa-lo-wah-ti.

Drgnęła na dźwięk jego grobowego głosu. Jaką odpowiedź mogła mu dać? Było za późno, aby uratować choć część życiowego osiągnięcia Larence'a. Zabrała mu wszystko. Jedyne, co mogła teraz zrobić, to zwrócić mu życie i modlić się, że to wystarczy, że pewnego dnia jej wybaczy.

Bóg jeden wiedział, że ona nie wybaczy sobie nigdy.

Otworzyła oczy.

- Tak. - Słowo to zabrzmiało tak, jakby zostało wydarte z głębi jej duszy.

Starzec położył na jej ramieniu kościstą dłoń. Emma uniosła głowę i napotkała jego spojrzenie. Przez chwilę wpatrywali się w siebie i wiedziała, że Indianin dojrzał jej lęk.

- Dobrze wybrałaś. Magia wypełni twoją duszę. A teraz zamknij oczy.

Zrobiła to, co jej kazał, i natychmiast poczuła zmianę. Po jej opuszczonej twarzy przebiegły cienie, niebo się zachmurzyło. Ziemia zagrzmiała i zatrzęsała się. Trawę pokrył opadający ze szczytów wzgórz pył. Powietrze ochłodziło się. Po kanionie hulał wiatr.

Woń palącej się skały mieszała się z zapachem magii i otaczała mgłą całą dolinę.

Uderzył piorun, a potem błysnęło porażające światło. W kanionie rozległ się dźwięk przesuwanej się skały.



Potem nastąpiła cisza.

Kiedy Emma zebrała się na odwagę i otworzyła oczy, niebo było jaskrawoniebieskie.

Rozejrzała się. Pa-lo-wah-ti i inni mężczyźni zniknęli.

- Emma!

Jej spojrzenie pomknęło w stronę skały. W przejściu wiodącym do Ciboli stał Larence.

Zerwała się na równe nogi i ruszyła biegiem w jego kierunku. Wtedy przypomniała sobie o obietnicy danej Indianinowi i zwolniła. Dręczyła ją niepewność. Jak ktoś - nawet Larence - może wybaczyć to, co zrobiła?

On również zaczął biec. Kiedy znalazł się w pełnym słońcu, potknął się. Szybko odzyskał równowagę i biegł dalej, ale tym razem bardziej niepewnie. Niezręcznie.

Magia zniknęła. Emma poczuła przytłaczający ją żal i rozgoryczenie. Boże, czy jej chciwość nie kosztowała go już wystarczająco dużo?

Porwał ją w ramiona i zakreślił wkoło. Zarzuciła mu ręce na szyję i przywarła do niego, wiedząc, że w chwili, gdy mu powie, że za jej chciwość musiał zapłacić utratą swego życiowego osiągnięcia, wszystko się skończy.

Stopniowo jego uścisk zelżał i Emma osunęła się na ziemię. Spojrzała na Larence'a, uniosła dłoń i pogładziła go po policzku. Starła się zapamiętać każdą zmarszczkę na jego twarzy, każdy szczegół, tak by po wielu latach, kiedy będzie stara i samotna, mogła sobie przypomnieć tę chwilę i mężczyznę, który był wszystkim, czego kiedykolwiek pragnęła. Każdym jej marzeniem i każdą modlitwą.

Mężczyznę, który był jej miłością.

- Emma, ja...

- Zaczekaj! Zanim cokolwiek powiesz, muszę ci coś wyznać. Ja... - Odwróciła wzrok i zagryzła nerwowo dolną wargę. - Ja... musiałam obiecać, że nikomu nie wspomnimy ani słowem o mieście.

Dotknął jej podbródka i zmusił, aby na niego spojrzała.

- Emmaline Amando Hatter, w obliczu Boga i wszystkiego, co jest dla mnie święte, ślubuję kochać cię, troszczyć się o ciebie i miłować do końca moich dni.

- Och, Larence.

W jego oczach zabłyśły łzy.

- Pani Digby, czy pani mnie kocha?

Emma płakała tak przeraźliwie, że nie była w stanie odpowiedzieć. Jedyne, co mogła zrobić, to skinać głową.

Wtedy on zrobił najbardziej zadziwiajączą rzecz. Pocałował ją. Poczuła jego usta, delikatny dotyk języka i jej serce przepełniła nadzieja.

Zamrugnęła.

- Kocham cię, żono - powiedział. Bała się, że się przesłyszała.

- Ale twoje marzenie...

- Ty jesteś moim marzeniem. Może i jestem roztargnionym naukowcem, ale nie popełniam dwa razy tego samego błędu.

- Ale, Larence, ja...

- Nigdy nie miałaś wycucia, kiedy się zamkną - rzekł, scałowując łzy z jej oczu. - Nie zorientowałaś się jeszcze, że jestem człowiekiem, który ma wiele marzeń? Słyszałaś o Atlantydzie?

- Oczywiście, ale to tylko legenda.

Pocałował ją ponownie. Kiedy ich usta się rozdzieliły, Larence rzekł:

- Cibola także była legendą.

I wtedy Emma zrozumiała: przygoda jej życia dopiero się rozpoczynała.